

Chcę przeczytać wszystkie powieści Jenny Eclair.
Jojo Moyes

Przeprowadzka

Jeden dom,
jedna kobieta,
wiele tajemnic

JENNY ECLAIR

Wydawnictwo
ab
two

Jenny Eclair

PRZEPROWADZKA

przełożył Tomasz Kłoszewski

Dla wszystkich domów, w których mieszkałam, i dla wszystkich ludzi, z którymi żyłam

Podziękowania

Dla mojej wiernej redaktorki, Antonii Hodgson, która po raz kolejny dała mi szansę, dla Geofa, bo poradził sobie z tym, że go zaniedbywałam, i dla Phoebe, która też zna to uczucie.

Edwina

Edwina podejmuje decyzję

Edwina chwyta się kurków zimnej i ciepłej wody i wstaje. Wanna trzeszczy, jakby chciała się wyrwać ze swojego łożyska. Ma klasycznie wygięte brzegi, popękaną miejscami emalię i mnóstwo plam od kamiennego osadu, które przypominają barwą rozlaną herbatę. Wszystko się rozpada, myśli Edwina, przeciera zaparowane lustro i uśmiecha się do własnego odbicia.

Kim, na Boga, jest ta drobna, srebrnowłosa kobieta z brązowymi jak u wiewiórki oczami? Gdzie się podziała piękna, wesola dwudziestodwuletnia brunetka z czerwonymi ustami i jędrnym brzuchem?

Nadal tam jest, stwierdza i przypomina sobie swoją starą rosyjską matrioszkę. W środku są wszystkie Edwiny, od samotnej małej dziewczynki, uczennicy szkoły z internatem, do nadpobudliwej studentki akademii sztuk pięknych, młodej żony i wreszcie wdowy – wszystkie jej wcielenia tam są, upchane po kolei, aż po najmniejszą malutką laleczkę, która kryje się na samym dnie, pewnie nie większa niż orzeszek.

Jestem wciąż sobą, stwierdza; siada i zaczyna się wycierać. Ręcznik jest postrzępiony, a lustro stare i zmatowiałe.

Zanim przeszła operację usunięcia katarakty, była błogo nieświadoma oznak otaczającego ją rozkładu, ale rok temu, kiedy wróciła z kliniki okulistycznej w Moorfields i zaczęła nosić plastikowe soczewki kontaktowe, nagle dostrzegła zwisające z sufitu filigranowe pajęczyny, odchody myszy w kuchennych szafkach i spustoszenia dokonane przez korniki.

Dom zaczął się buntować przeciwko niej. Codziennie pokazywał, na co go stać, jak rozkapryszone chore dziecko. Na listwach przypodłogowych pojawiły się cienkie pęknięcia, woń stęchlizny zaczynała drapać w gardle, w toalecie na dole już dwa razy trzeba było naprawiać zerwany sznur od spłuczki.

Ogród zmienił się w dziką dżunglę; szyby w suterenie pokryły się zgnitym, zielonkawym nalotem. Bluszcz tak się rozrósł, że w kuchni nawet w czerwcu było ciemno jak w gęstym lesie.

Dom wyraźnie daje do zrozumienia, że powinna się stąd wynieść. Wyznaczony jej czas minął, teraz kolej na kogoś innego. To miejsce potrzebuje rąk silniejszych niż jej piegowate dłonie, którymi niepewnie chwyta się poręczy przy schodach. Moje małe, stare ręce, myśli.

Budynki z epoki georgiańskiej są wrogo nastawione do starszych ludzi, konkluduje i idzie powoli do sypialni, w której leży dywan upstrzony plamami pleśni; musi się mocno wysilić, żeby wysunąć szufladę mahoniowej komody z bielizną.

Prezent od rodziców Oliviera, wszystkie przyzwoite meble dostali od nich. Tak jak stojący zegar, na którego cyferblacie widnieją sympatycznie uśmiechnięte wizerunki słońca i księżyca. Nie pasują do smutnie spuszczonej wskazówek. Zatrzymały się na ósmej dwadzieścia – rano czy wieczorem?

Edwina czasem gubi się w tym wszystkim, chociaż robi co może, żeby utrzymać w dobrej formie zarówno umysł, jak i ciało: rano, zanim się ubierze, wykonuje kilka

ćwiczeń jogi i kręci głową, żeby zmniejszyć sztywność barków. A jeśli chodzi o umysł... Dużo czyta, jest wykształcona, na półkach jej biblioteczki nie ma żadnej szmiry, są za to najprzeróżniejsze wartościowe książki, począwszy od literatury dla dziewcząt wydawanej przez Ladybird Books, przez albumy o krzewach i kwiatach, aż po opasłe tomy laureatów i kandydatów do Nagrody Bookera. W torebce nosi legitymacje członkowskie National Portrait Gallery i muzeum Tate. Co prawda straciły już ważność, ale zawsze...

Edwina stwierdza ze złością: Jesteś inteligentną, elokwentną kobietą. Nie jesteś gorsza niż ci jajogłowi z BBC 2, a gdyby ktoś poprosił, mogłabyś bez trudu przygotować kolację dla dwunastu osób. Wcale za tym nie tęskni; dni, kiedy jadalnię oświetlał blask świec i błysk sreber, dawno minęły. Dzisiaj najczęściej jada w kuchni, która znajduje się w suterenie – cóż, połączenie tacy i schodów to śmiertelnie niebezpieczna kombinacja.

Coraz większa część domu pozostaje niewykorzystana – do niektórych pokoi Edwina nie zaglądała już od miesięcy. Może powinna sobie zafundować wycieczkę z przewodnikiem, zobaczyłaby swój dom oczami kogoś innego, a może nadszedł czas, by go sprzedać.

Już kiedyś coś podobnego przyszło jej do głowy, szybko jednak odrzuciła ten pomysł, uznała, że jest niedorzeczny i śmieszny. Ale tym razem wszystko układa się w logiczną całość – nie chce być dłużej więźniem własnej przeszłości.

Oczywiście będę musiała zrobić generalne porządki, dochodzi do wniosku, kiedy po raz pierwszy od wielu tygodni decyduje się zaścić łóżko. Zwykle wydaje się jej to bez sensu, zważywszy, że wstaje późno, po południu ucina sobie drzemkę, a wieczorem kładzie się wcześniej. Prześcieradła są szare. Kiedyś miała pomoc domową, która zajmowała się praniem i prasowaniem, ale Alicia od dawna jest na emeryturze, a Edwina nie zniosłaby stresu, z jakim musiałaby się uporać, gdyby chciała zatrudnić kogoś innego.

W dzisiejszych czasach wszystko załatwia się przez internet. Jakieś pięćdziesiąt lat temu spotkała Alicię przez przypadek, na ławce w parku; przegadały dwie godziny i Edwina zaproponowała jej pracę. No tak, ale to zdarzyło się w ubiegłym wieku.

Kochana Alicia, mieszka na Saint Lucii i nadal pisze do Edwiny – przysyła koperty wypchane fotografiami swoich wnuków: Lucindy, Cuthberta, Dibble'a i Grubba.

Edwina czasem odpisuje i wysyła pośpiesznie nabazgraną kartkę. Po wystawie w Royal Academy kupiła cały zestaw pocztówek z pracami Davida Hockneya. Kiedy to było? Rok temu? A może dwa lata?

Rzadko teraz bywa na wystawach. Postępuje głupio, bo przecież autobus jadący do centrum ma przystanek tuż przed jej domem, ale czasem wygodniej jest nigdzie nie wychodzić i oglądać w telewizji *Skarby ze strychu*.

Edwina wkłada oliwkowe sztruksy. Nie przytyła od czasu, kiedy po raz pierwszy wychodziła za mąż. O drugim razie nie ma co wspominać.

Natychmiast stają jej przed oczyma oba śluby: obydwa odbyły się w urzędzie stanu cywilnego, nigdy nie wyjechała w podróż poślubną, pierwszy brała w optymistycznej białej sukience do kolan, a drugi w szarej, statecznej i stonowanej.

Rzecz jasna od tego czasu nieco przybrała na wadze, ale nigdy nie musiała nosić większych rozmiarów niż dziesiątka. Nie licząc okresów ciąży, rzecz jasna.

Te sztruksy kupiła w latach osiemdziesiątych, były drogie jak na tamte czasy, ale

zawsze lubiła eleganckie ciuchy. Nawet dziś potrafi ubrać się szykownie; co za szkoda, że w szufladzie z wełnianymi rzeczami zagnieździły się mole. Sweter, który teraz wciąga przez głowę, miejscami prześwituje jak koronka – ma wygryzione dziury na rękawach i pod pachami. Nie szkodzi, jest ciepły. Niektóre kaloryfery nie działają i pewnie trzeba by je odpowietrzyć.

Edwina siada na wiklinowym krześle, które od niepamiętnych czasów stoi przy komodzie. Jest wyściełane wyblakłym różowym aksamitem. Edwina nie pamięta, czy kiedykolwiek wcześniej na nim usiadła. Nieważne, nic nie ma znaczenia, czas rozstać się z tym wszystkim: zapowietrzonymi kaloryferami, pokrytą kamieniem wanną i molami. Za długo trzyma się tego domu. Całkiem jak bluszcz oblepiający ściany od podwórza. Czas się uwolnić. Musi raz na zawsze zamknąć za sobą drzwi pod numerem sto trzydzieści siedem. Zabierze ze sobą trochę wspomnień – spakuje do małej walizki tylko te dobre, niepotrzebny jej ciężki bagaż. Może zostawić tu mnóstwo rzeczy.

Jakie to dziwne, że to ona wyprowadzi się stąd jako ostatnia. Przez ułamek sekundy słyszy, jak biegają po schodach – tupot kroków, śmiech, a potem cisza.

Tylko nie płacz! – napomina samą siebie.

Sprawa załatwiona. Edwina nie może się nadziwić, że zachowuje taki spokój. Postąpiła rozważnie: zadzwoniła do agencji nieruchomości, której biuro znajduje się nieopodal, i uzgodniła, że ktoś wpadnie i wyceni dom.

Zanim zajmie się czymś innym, musi najpierw zapisać datę spotkania w notatniku, który trzyma na biurku, i na kalendarzu ściennym. Te kalendarze przysyłała co roku jej przyjaciółka Joyce, biedaczka zmarła sześć tygodni temu – dostała udaru mózgu w pralni chemicznej – więc Edwina już nie będzie dostawać kalendarzy ze zdjęciami kotów.

Agent nieruchomości przyjdzie w piątek, a to daje jej dwa dni, aby doprowadzić dom do przyzwoitego stanu – odkurzy mieszkanie elektroluksem i użyje wybielacza w toalecie; ale najpierw śniadanie. Kiedy się ma siedemdziesiąt parę lat, trzeba się odżywiać rozsądnie: płatki owsiane i ryby morskie (oczywiście nie naraz, albo jedno, albo drugie), mnóstwo zieleniny, dużo wapnia potrzebnego dla kości i trochę galaretki owocowej (paznokcie). Czasami, z łakomstwa, zjada od razu pół słoiczka, zanim przypomni sobie, że po kolejną porcję będzie musiała pójść do sklepu.

Powinna zacząć sprzątanie od najwyższego piętra. Ale może też rozpocząć na dole, od kuchni. To w niej spędza najwięcej czasu; jest tu ciepło, stoją sofa i telewizor, kuchenka i zmywarka są pod ręką, a toaleta znajduje się na półpiętrze, za tylnymi drzwiami. Chroni się tu jak nietlotny ptak, suterena stała się jej gniazdem i zdarzają się wieczory, kiedy zasypia na sofie, a rano budzi się ubrana, z oddechem śmierdzącym whisky.

Edwina siada i zaczyna się zastanawiać, co tak naprawdę oznaczać będzie przeprowadzka. Wie, że pod zlewozmywakiem jest szafka pełna rondli; niektórych nie używała od trzydziestu lat. Ma też mikser Kenwooda, maszynkę do lodów i masażer do stóp; wszystko poutykane po kątach, pokryte kurzem, niepotrzebne. Zbędne, bezużyteczne, mrczy pod nosem. Garnek do ryb? Po co mi to?

Nie tylko kuchnia jest przepełniona sprzętami gromadzonymi przez pół wieku. W jadalni na górze, w przeszklonym kredensie stoi cała zielono-złota zastawa Royal Doulton, a szuflady wypchane są lnianymi serwetkami i pudełkami srebrnych sztuczków, których nikt nie polerował od lat.

To jasne, powinna zacząć wypełniać czarne plastikowe torby, poustawiać je w korytarzu, a potem wynieść do sklepu dobroczynnego ze starzyzną. Dałaby radę nosić po jednej torbie, ale teraz, kiedy zbiera myśli, ugotuje sobie jajko, usiądzie i posłucha *Woman's Hour*, audycji radiowej dla kobiet nadawanej przez BBC 4.

Pół godziny później, kiedy zjadła już jajko i tosty, a w radiu podają nieprzyjemne informacje o przymusowym obrzezaniu kobiet, uświadamia sobie nagle, że sprzedaż domu to może i dobry pomysł, ale... dokąd ma się wyprowadzić? Niestety, kiedy się owdowiało (i to dwukrotnie) i nie mieszka się z pozostałą rodziną (a nawet nie utrzymuje się z nią bliskich kontaktów), to trzeba podejmować decyzje samodzielnie, a jak coś pójdzie nie tak, to nie ma na kogo zrzucić winy.

Edwina chwytą długopis i na odwrocie starej koperty zaczyna zapisywać

argumenty za i przeciw dotyczące sprzedaży domu pod numerem sto trzydzieści siedem:

Jest za duży. Potknę się w nim i zabiję.

Wytrąca mnie z równowagi; niekiedy wieczorami nie czuję się w nim bezpiecznie, boję się. Ale bywają noce, kiedy nic mnie nie obchodzi, nawet myśl, że ktoś mógłby się włamać i zamordować mnie w łóżku.

Możliwe, że mam przed sobą jeszcze piętnaście lat życia. Nie muszę mieszkać w Londynie.

Mogłabym zamieszkać w Kornwalii. Mogę zrobić, co zechcę, zdrowie mi dopisuje, mam sprawny umysł i jestem niezależna finansowo.

Poniżej zanotowała: jajka, płyn do czyszczenia, gąbki, herbatniki.

Wyjdzie później. Stara się wychodzić codziennie – kiedy przestajesz się ruszać, niedołączniesz. Ale teraz przejrzy szuflady w sosnowej komodzie, usiądzie na krześle z workiem na śmieci u stóp i bezlitośnie przetrząśnie ich zawartość. Gdziekolwiek się stąd wyniesie, nie zabierze ze sobą niepotrzebnych bambetli. Niepokoi ją, jak bardzo się zapuściła. Kiedy ma się taki duży dom, zawsze da się gdzieś poupychać różne rupiecie, jest tyle zakamarków i skrytek, poodkrywała je razem z dziećmi, gdy były jeszcze małe.

Chwilami, kiedy szybko odwróci głowę, wydaje się jej, że dostrzega jedno z nich. Małą, ciemną główkę i dłoń pełną skradzionych herbatników. Od czasu do czasu słyszy chichot dobiegający zza sofy.

Kiedy ludzie pytają, ile ma dzieci, nie wie, co ma odpowiedzieć. Jedno, dwoje, troje czy prawie czworo?

Szuflada po lewej stronie nie chce się wysunąć, ale Edwina nie ustępuje. Nie zamierza poddać się przy pierwszej przeszkodzie. Wsuwa linijkę w szeroką na cal szparę, przewraca w środku jakieś przedmioty i w końcu udaje się ją otworzyć.

Sznurki, stare, nieważne już znaczki pocztowe, nożyczki do paznokci, karty parkingowe, słoiczki z multiwitaminami, rolki taśmy klejącej. Ostatni list Alicii z Santa Lucii, jej najmłodszy wnuk otrzymał właśnie dyplom – fotografia zakłopotanego chłopaka w birecie, todze i ze zwiniętym rulonem w dłoniach.

Będzie musiała napisać o tym Alicii, właściwie mogłaby to zrobić od razu: wygrzebać jakąś kartkę pocztową i długopis, w którym jeszcze nie wysechł tusz, i poinformować swoją starą przyjaciółkę i gospodynię, że po tylu latach przeprowadza się do Kornwalii.

Edwinie zaczyna świtać pewien plan. Widzi siebie, jak wychyla się przez poręcz w jakimś wysoko położonym miejscu w St. Ives i patrzy na morze. Mieszka w drewnianym domku z werandą; siada na dworze i pije kawę, gdy jest zimno, a wino w słoneczne dni, i piecze sardynki na małym grillu. Znów zacznie malować; będzie malować morze farbami olejnymi, wykorzysta wszelkie odcienie niebieskiej barwy, od kobaltu do błękitu pruskiego.

Planowanie tego wszystkiego wyczerpuje ją, więc otula się starym kocem i kładzie się na sofie. Owinięta kraciatym pledem zastanawia się, jakby to było, gdyby ważni dla niej mężczyźni nie umarli.

Tylko Lucas jeszcze żyje, ale on tak naprawdę się nie liczy: nic ich nie łączy, nawet najmniejsza cząstka DNA. Przez wiele lat była dla niego troskliwą macochą, pamiętała

o jego urodzinach, pakowała w ozdobny papier prezenty pod choinkę, przygotowywała śniadania i prała ubrania, ale zawsze czuła się jak aktorka odgrywająca rolę na scenie; tylko udawała, że zależy jej na nim.

Lucas nie był jej dzieckiem, był synem Barbary i jedynie – i to niechętnie – tolerowali się nawzajem. Prawdę mówiąc, gdyby większą grupą wybrali się na przejażdżkę po jeziorze i łódka wywróciłaby się do góry dnem, byłby ostatnim, którego próbowały uratować. Właściwie często się zastanawiała, czy gdyby miała taką okazję, nie przytrzymałaby jego głowy pod wodą.

Trudność bycia żoną i matką, myśli Edwina, polega na tym, że poczucie obowiązku nakazuje ci dbać o bezpieczeństwo rodziny, ale tak naprawdę jest to niewykonalne. Los bywa kapryśny, wszystko może się spieprzyć, a jeśli raz wydarzy się coś złego, to wcale nie znaczy, że pech się nie powtórzy.

Oczywiście wszystko się zaczęło, kiedy poznała Olliego.

Ollie Treadaway, złoty chłopak z Akademii Sztuk Pięknych Goldsmiths, silny, szczupły dziewiętnastolatek z modną kędzierzawą grzywką, chłopak, którego przeznaczeniem było nigdy nie dorosnąć.

Pamięta, jak prawie sześćdziesiąt lat temu zobaczyła go po raz pierwszy w uczelnianej stołówce. Rok 1957, była ubrana w szary sweterek polo i obcisłe rybaczki w czarno--białą kratkę; on miał na sobie granatowy marynarski sweter.

– Moja matka sama zrobiła go na drutach – wyjaśnił miękko akcentem z Kerry. – Jezusie, można się w nim ugotować. – Stał w kolejce i czekał na jajka sadzone z frytkami, i nagle ściągnął sweter, a ona od razu pokochała blady odcień skóry tego chłopca.

Ollie Treadaway z dalekiej Irlandii. Jakby udało się jej złowić najlepszy okaz łososia.

Pochodził ze starej rodziny właścicieli ziemskich, dobrej rasy o nieco gwałtownym temperamencie. Było w nim coś urzekającego, i do tego te niejasne opowieści o podupadającej posiadłości, piciu i rozpustnych kobietach.

– To przekleństwo – powiedział jej kiedyś ze śmiechem. – Straszliwa, potworna klątwa Treadawayów. – Był tak rozbawiony, że nie potraktowała poważnie jego słów.

Kłątwa czy nie, kiedy stryj i ciotka Olliego (oboje niezłe ziółka) zginęli w wypadku samochodowym (w grę wchodziła mgła, whisky i nadmorski klif), jego nad wyraz rozsądny ojciec zdołał uratować posiadłość, która znajdowała się na skraju bankructwa, i przywrócił rodzinie równowagę finansową. Threadawayowie nie byli już tak obrzydliwie bogaci jak niegdyś, ale nadal posiadali wiele akrów bujnych irlandzkich łąk, na których pasły się setki krów z wielkimi wymionami, dających mleko przetwarzane na doskonały ser.

Portrety olejne zmarłego stryja i ciotki Olliego namalowane w latach trzydziestych wisiały w hallu. Były chyba jedynymi przedmiotami, które starałaby się uratować, gdyby w domu wybuchł pożar.

Edwina zasypia. Śni się jej zagmatwany sen, w którym wszyscy znajdują się w łódce: ona, jej dwóch mężów i trójka dzieci; wszyscy po kolei ciągną słomki, aby wylosować, kto ma teraz utonąć.

Oględziny

Budzi ją dzwonek do drzwi. Według jej zegarka jest dopiero jedenasta rano. Stanowczo za wcześnie na drzemkę, ale czasami łatwiej jest spać, niż stawić czoło rzeczywistości. Przyszłość ciężko ogarnąć, bo nie wiadomo, co się za chwilę stanie. Przynajmniej przeszłość jest poukładana: wszystko już się wydarzyło, niczego nie można zmienić, a czas leczy rany. No, chyba że się je rozdrapuje, napomina samą siebie.

W drzwiach stoi chłopak o karmelowej skórze. Edwina nie ma pojęcia, kim on może być, mormonem czy złodziejem, więc – zgodnie z zaleceniami, jakie otrzymała od straży sąsiedzkiej – prosi go o dowód osobisty.

– Jestem Lee – mówi chłopak i wyciąga dłoń. – Lee Clarke, od Gatemana i Pierce’a.

No jasne, jest z agencji nieruchomości. Zapisała termin spotkania, na pewno. To już czwartek? Ma nadzieję, że nie weźmie jej za rasistkę; żałuje, że nie ma tu Alicii, by dowieść, że coś takiego nie wchodzi w grę.

Nie wygląda na swój wiek, na kogoś, kto już pracuje, jest jak dzieciak w garniturze. Co się stało z młodymi mężczyznami? Był czas, kiedy młodzi mężczyźni stanowili jakby oddzielny gatunek – nie dźwigali jarzma dorosłości, ale byli silni, wysocy, potrafili uwodzić młode kobiety, stawiać żagle na łódkach i naprawiać motocykle. Ten sprawia wrażenie, jakby był ledwo zdolny unieść zakupy swojej matki, to co tu mówić o pilotowaniu spitfire’a czy grze w tenisa.

Edwina rumieni się, otwiera drzwi i wpuszcza go do hallu. Nie potrafi patrzeć na swój dom oczami innych ludzi, chociaż sama widzi go na tyle różnych sposobów. Są dni, kiedy wchodzi na frontowe schody i znów jest młodą kobietą, która na kolejnych stopniach zmagają się z ciężarem wielkiego dzieciennego wózka i bez przerwy musi pamiętać, żeby na górze zaciągnąć hamulec, bo inaczej olbrzymi silver cross razem ze swoją zawartością stoczy się w dół, kiedy tylko spuści z niego wzrok.

Pięćdziesiąt pięć lat temu po raz pierwszy przeszła przez te drzwi; a raczej została wniesiona w ramionach swojego kochanego, świeżo poślubionego męża, przystojnego Olliego Treadawaya, który z wysiłkiem przekroczył próg (była w piątym miesiącu ciąży).

– Jesteś pewien? – zapytała. – Cały należy do nas?

Byli ubogimi artystami i przyzwyczaiła się do życia w wynajmowanych pokojach. Nosila spodnie i małe czerwone baleriny, chodzili do kawiarenek w Soho i tańczyli przy muzyce z szaf grających. Ale teraz wzięli ślub, była w ciąży i mieli dom. A skończyła dopiero dwadzieścia dwa lata.

Dom z dziurawym dachem i grzybem na popękanych ścianach.

– Tylko nie zjadaj grzybów – śmiał się Ollie, kiedy prowadził ją za rękę z piętra na piętro przez kolejne pokoje i pokazywał pokruszone gzymsy, które zamierzał naprawić, gładził dłonią balustradę przy schodach, a ona starała się nie wciągać do płuc kurzu, wilgoci i zgnilizny, a tymczasem wewnątrz jej brzucha ruchliwe małe piąstki próbowały zwrócić na siebie jej uwagę.

Pracował ciężko, nie schodził z drabiny, a ona siadała obok i oglądała próbniki z kolorami farb. Cięża sprawiła, że kolory dziwnie pachniały; z lubością wdychała

głębokie czerwienie i leśną zielen, ale zapach błękitów i fioletów powodował mdłości. Ollie wspierał ją, twierdząc, że „ludzie w epoce georgiańskiej mieli bzika na punkcie kolorów”, i w końcu wybrała zielononiebieski, pawi kolor do hallu i ciemnofioletowy do jadalni.

Przecież chodzili do szkoły plastycznej i nie musieli się stosować do żadnych reguł. Dopiero po wielu latach dom pod numerem sto trzydzieści siedem przeszedł transformację: przybrał beżowe barwy i przez pewien czas wydawało się jej, że przez przypadek weszła do obcego mieszkania, do nie swojego życia, ale wtedy, w 1959 roku, była okrągła jak piłka plażowa i razem z mężem – panem Treadawayem – bawiąc się w dorosłych, malowali swoje gniazdko. To był wyścig z czasem. Termin porodu wyznaczono na marzec, mieli więc spędzić we dwoje tylko jedno Boże Narodzenie, zanim staną się rodziną.

Jedno jedyne Boże Narodzenie tylko dla nich.

Przypomina sobie stolik karciany w świeżo odmalowanej na krwistoczerwono kuchni, w której przypaliła kurczaka i przygotowała taką ilość sosu chlebowego, że można by nakarmić batalion wojska.

– Nigdy nie jadłam sosu chlebowego – przyznała, a on powiedział:

– My zazwyczaj jedliśmy gęś. – Po czym zaczęli się śmiać, bo tak niewiele o sobie wiedzieli i nie miało to żadnego znaczenia, bo mieli przed sobą całą wieczność, dziesiątki lat, by dowiedzieć się, które z nich przechodziło ospę wietrzną (Edwina tak, Ollie nie) i jakiego psa powinni kupić.

Ollie od razu wybrał lurchera, a tymczasem Edwina chciała królika, ponieważ, jak wyjaśniła, bała się psów, i wtedy po raz pierwszy, od kiedy się spotkali, miała wrażenie, że jej chłopak był lekko rozczarowany.

Więc psy niekoniecznie, ale dzieci jak najbardziej tak, co do tego nie mogło być wątpliwości: była w ciąży, kiedy się pobrali w urzędzie stanu cywilnego w Camberwell. Zrobił z niej uczciwą kobietę. Chociaż tyle mógł uczynić, zresztą byli w sobie szaleńczo zakochani.

Wysłali listy, miłe listy z przeprosinami do swoich rodziców i obiecali ich wkrótce zaprosić na wielkie przyjęcie. Jego matka odpisała z rezerwą, była rozgoryczona, ale załączyła czek na pięćset funtów. Pochodziła z konserwatywnej irlandzkiej rodziny, wyjaśnił Ollie, niesamowicie nadzianej kilkaset lat wcześniej, ale większość fortuny roztrwonili nieodpowiedzialni, rozrzutni synowie, podczas gdy córki zaciskały kciuki w nadziei, że wyjdą dobrze za mąż lub umrą młodo.

Jego matka i tak miała szczęście: ojciec Olliego był wyrozumiałym, ciężko pracującym człowiekiem. Edwina nie musiała się martwić: żadne z nich nie dbało o wesela, matka była nieśmiała, a ojciec zbyt zajęty.

Rodzice Edwiny mieszkali jeszcze dalej, za granicą, w koloniach. Była jedynaczką, którą wychowała ciotka w Winchester. Ciotce Idzie spodobała się romantyczna otoczka ich potajemnego ślubu i obiecała, że co roku, w rocznicę tego wydarzenia będzie zapraszać ich na przyjęcie do Ritza (obietnica, której nie dotzymała ani razu). „Życzę ci szczęścia, kochanie”, napisała ciotka Ida. „On wydaje się taki słodki”.

I był.

Poplamione odbicie w zmatowiałym lustrze zawieszonym w hallu gwałtownie przerywa wspomnienia. Jak dwudziestodwuletnia panna młoda mogła zmienić się w kogoś takiego?

Chłopak patrzy na nią i czeka na polecenia.

– Tędy. – Wskazuje gestem dłoni.

Schody wykrzywiły się tak bardzo na lewą stronę, że musiała usunąć pręty przytrzymujące wykładzinę, która się wtedy zsunęła. Chciała zamówić cyklinowanie parkietu, ale nigdy się na to nie zdobyła; zresztą podobają się jej szerokie, porysowane klepki. Są jak pokład łódki, chociaż ta krypa pewnie niedługo wywróci się do góry dnem.

– Chyba powinniśmy zacząć od poddasza.

Przepuszcza go przed sobą, a on wchodzi po stopniach, starając się nie dotykać poręczy. Ona przeciwnie, opiera się i zaciska na niej dłoń, czuje, że nie może zginać stawów w kostkach, są jak z drewna. Jeśli zostanie tu dłużej, będzie musiała zainstalować krzesło schodowe. Co, na Boga, pomyślałby o tym Ollie?

Nie rozpoznałby jej, gdyby wpadła na niego w autobusie lub w metrze. Ustąpiłby jej miejsca; pomyśleć tylko, jest tak stara, że jej młody, nieżyjący mąż czułby się zmuszony wstać na jej widok. Ollie był bardzo szarmancki, pomimo że były to lata sześćdziesiąte. Zawsze szedł po chodniku od strony ulicy; kiedy padało, osłaniał ją parasolką, otwierał przed nią drzwi, opiekuńczo trzymał za rękę, sprawiał, że świat był bezpieczny.

Tylko na koniec przestała czuć się pewnie, bo odszedł bez słowa pożegnania i po raz pierwszy w dorosłym życiu została sama, zastanawiając się, co u licha ma zrobić.

Chłopak dotarł na szczyt schodów, Edwinie brakuje tchu. Na podeście strychu jest dwoje drzwi; w dawnych czasach sypiałyby tu służące i kiedy chłopak otwiera jedno z nich, Edwina nie byłaby zdziwiona, gdyby ujrzała małą, drobną pomywaczkę w czepcu i białej koszuli nocnej. W końcu jest tu tyle duchów, jeden dodatkowy nie robi różnicy.

Pokój dziecięcy

Rzecz jasna, kiedy kupili ten dom, czasy pokojówek już dawno minęły.

– To kiedyś był pokój dziecięcy – wyjaśnia wstrząśnięta wyglądem pomieszczenia. Kiedy znalazły się tu te wszystkie graty?

– Dobrze, że jest duży – odpowiada chłopak, ale Edwina widzi, że trudno mu ocenić wymiary pokoju.

Wygląda, jakby za chwilę miała się tu odbyć aukcja. Na środku stoi masywna mahoniowa szafa otoczona przez różne niepotrzebne sprzęty i meble. Łóżko piętrowe z lat siedemdziesiątych, całe oblepione naklejkami (Edwina rozpoznaje jedną z kart futbolowych, tę z Kevinem Keeganem – na głowie ma trwałą ondulację, a na ustach lubieżny uśmiech). Ustawiony do góry nogami, połamany wiklinowy fotel opiera się o brzydką nowoczesną biblioteczkę, a ta balansuje na krawędzi laminowanego stołu. Chyba kiedyś stał w kuchni? Przy ścianie, przechylony na tylnych nogach, stoi szezlong z wyblakłym płóciennym obiciem rozdartym pośrodku; Edwina dostrzega też róg szkolnego kufra, głęboko zakopanego pod stosem starych firanek. Nie musi czytać nalepki, żeby się domyślić, do kogo należy. Do jej syna, jej jedyne go syna.

Edwina jest lekko oszołomiona. Zniesiono tu wszystko, z czym nie potrafiła się uporać. Wie, że istnieją firmy, które za odpowiednią cenę uprzątną cały dom, ale myśli, że obcy będą dotykać niektórych z tych rzeczy, mrozi jej krew w żyłach. Chłopak wyjmuje coś, co wygląda jak paralizator.

– To laser – wyjaśnia. – Mierzy powierzchnię, w stopach i calach albo w metrach kwadratowych.

Ollie miał metalową taśmę mierniczą, którą się wysuwało, aż się zacięła ze zgrzytem, następnie wystarczyło nacisnąć guzik i sama się zwijała. Kiedyś gonił ją z nią po całym domu, śmiali się tak, że nie byli w stanie złapać tchu.

Wszystkie jej dzieci urodziły się w tym domu: te, które przeżyły, i to, któremu nie było to dane; kiedy podrosły, przychodziły do tego pomieszczenia, żeby bawić się i spać. Zabawki nadal gdzieś tu leżały: domek dla lalek, drewniane klocki i miliony plastikowych klocków Lego.

Oczywiście, kiedy dzieci były bardzo małe, układała je we własnym łóżku; dwoje bobasów, po jednym przy każdej piersi.

Podczas badań prenatalnych nikt nawet nie wspomniął o bliźniętach, więc kiedy pewnej bezksiężycowej marcowej nocy zaczęła rodzić, nie spodziewali się dodatkowego gościa.

Poród domowy na żądanie. Była młoda, zdrowa, poza tym nie znosiła szpitali. Na wszelki wypadek przygotowali mnóstwo gazet i starych prześcieradeł.

– Dobrze, że wychowałem się na farmie – śmiał się Ollie, ale w jego oczach kryło się przerażenie.

Położna przyjechała na rowerze przed lunchem. Przywiozła kanapki, pastę rybną w folii aluminiowej i jajka na twardo.

– Wszyscy musimy być w pełni sił – powiedziała Edwinie; miała nieświeży

oddech, zionęło od niej jak od wielkiego, cuchnącego kocura.

Oczywiście był i potworny ból, przez chwilę pomyślała, jak łatwo jest umrzeć przy porodzie, prze się tak mocno, aż serce może pęknąć, ale była silniejsza, niż sądziła, i pięć minut przed północą urodziła córeczkę z czerwoną, pomarszczoną twarzą; wyglądała, jakby przeszła przez te same męki co matka. Położna dała dziecku głośnego klapsa i niemowlę natychmiast zaczęło płakać. Stwierdzono, że to zdrowa, mała dziewczynka i Edwina wyciągnęła się na łóżku, oczekując, że ból zaraz minie.

– Poczujesz się lepiej, kiedy wyjdzie łożysko – zapewniła ją położna, ale tak się nie stało i po raz pierwszy od chwili przybycia kobieta wyglądała na zaniepokojoną. – Szczerze mówiąc, myślałam, że o tej porze będę już zajadać się tostami u siebie w domu – powiedziała. – Damy ci jeszcze trochę czasu, a potem pomyślimy co dalej.

W tym momencie popatrzyła na Olliego i bezgłośnie wymówiła słowo „komplikacje”, które on powtórzył na głos, jakby grali w jakąś ginekologiczną grę towarzyską.

Edwina leżała na zakrwawionych prześcieradłach, męczyła się potwornie i jęczała, aż nagle uniosła się na czworakach i wydała na świat kolejną małą istotkę. Tym razem był to chłopczyk, mniejszy od siostry, chudy i siny.

– Ktoś tu nie dostawał swojej części pokarmu – oznajmiła położna; trzymała noworodka do góry nogami jak obdartego ze skóry królika. Przypominała prestidigitatora. Popatrzyła na zaróżowione tłuszcjsze niemowlę, jakby pytała: I kto tu jest takim obzartuchem?

Obrzydliwe, poszarpane łożysko wyszło wkrótce potem i wreszcie, o drugiej w nocy, położna odjechała, zostawiwszy oszołomionych, niedoświadczonych rodziców, każde z dzieckiem na ręku.

– Rowena – powiedział stanowczo Ollie.

– Charlie – odparła Edwina i tak już zostało; w ten sposób nadali imiona swoim dzieciom.

W skrytości serca Edwina zawsze chciała, żeby dziewczynka nazywała się Elizabeth, a pewnego razu, po straszliwej kłótni, Ollie przyznał, że wolałby Sebastiana od Charliego.

– Nie chcę, żeby został męczennikiem – odparowała. Potwornie się wtedy pokłócili.

Nigdy nie mówiła do niego Charles, zawsze był Charliem.

Oficjalnie urodził się dzień później niż siostra, więc postanowili obchodzić ich urodziny naprzemiennie.

– Mogą świętować raz czternastego, a raz piętnastego marca – zdecydowała jak królowa z bajki, nie zdając sobie sprawy z tego, co ich czeka, bo myślała jedynie o przyszłych przyjęciach i tortach.

Wiosenne dzieci, niczym krokusy, wyhodowała je w swoim brzuchu, ciemnym i ciepłym jak ziemia.

Kiedy Ollie doszedł do siebie po tym niespodziewanym (i krwawym) szoku, był zachwycony. Jego babka też urodziła bliźnięta, ale przeżyło tylko jedno.

– Najwyraźniej coś takiego jest dziedziczne – powtarzał bez przerwy, a jego żona

w połogu drżała na samą myśl, że może stracić jedno z nich. Tylko które? Ene, due, rike, fake...

Chociaż nie spodziewała się parki, to teraz, kiedy już przyszły na świat, nie mogła wyobrazić sobie posiadania tylko jednego dziecka. Będą zawsze mieli siebie i nigdy nie będą samotni, myślała. Zawsze będą mieć kogoś bliskiego. Charlie i Rowena, dwie czarne główki, jak dwie pestki w jednym jabłku.

Łóżeczko dziecięce wala się gdzieś w kącie, zepsute. Jakie to głupie, że nadal je trzyma, minęło już ponad pół wieku.

Bliźniaki leżały obok siebie jak dwa opatulone woreczki cukru, a potem, kiedy zrobiły się grubsze, układała je tak, że głowa brata dotykała stóp siostry (i, oczywiście, na odwrót). Dopiero gdy wzmocniły im się nogi i Charlie zaczął budzić Rowenę, kopiąc ją w twarz, rozdzieliła je. Kupili drugie łóżeczko, ale Charliemu się to nie spodobało. Chciał wrócić do dawnego układu i znów leżeć obok siostry; nadal pragnął bawić się w kopanie. W końcu ponownie umieściła rodzeństwo razem, a Rowena nauczyła się uchylać przed wierzgającym bratem.

Była mądrą dziewczynką, matka odgadła to od razu. Od pierwszych chwil Rowena wiedziała, jak unikać kłopotów.

– Łazienka jest tam? – pyta chłopak, przesuwając się ostrożnie wokół zdezelowanej szafki.

Edwina zdaje sobie sprawę z tego, że nie chce, by drzazgi rozdarły mu spodnie. Mebel wygląda tak, jakby ktoś pastwił się nad nim z siekierą.

– Tak, tuż obok.

– Można by tam wstawić kabinę kąpielową z prysznicem – mówi chłopak przez ramię. – To wymaga trochę zachodu.

Edwina chce mu odpowiedzieć, że nie ma już na nic sił. Nawet nie można ode mnie wymagać, bym szła za tobą i przeproszała. Jest, jak jest.

Dawno temu ta mała łazienka miała wystrój dżungli. Edwina sama namalowała lwy i tygrysy wyglądające zza gęstych tropikalnych liści, małpy bujające się na lianach, ale dzieci podrosły i na ścianach pojawiły się marynarskie, błękitno-białe pasy. Wtedy zamieszkali tu chłopcy, a Rowena przeniosła się na dół.

– To byłaby katastrofa. – Wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła pomyśleć.

– Wcale nie – mówi chłopak. – Trzeba tylko odmalować. No i ludzie wolą dzisiaj duże słuchawki prysznicowe.

– Bo mają wielkie, puste głowy – odpowiada.

– Pani... hm...

Nie pamięta, jak brzmi jej nazwisko, ponieważ jest stara, a o starych ludziach łatwo się zapomina, podobnie jak oni sami wszystko zapominają. Te same prawa dla obu stron.

Przez chwilę nie może się zdecydować, jak ma się przedstawić: Treadaway czy Spinner?

– Proszę mi mówić Edwina – decyduje. – Tak będzie prościej. A ty jesteś...

– Lee – przypomina jej. – Ludzie mają różne zachcianki. To wielka okazja dla kupujących, bo mogą odcisnąć własne piętno na mieszkaniu i zaprojektować wszystko według swojego gustu.

To mój dom, ma ochotę odpowiedzieć, niech się odpieprzą.

Ale oczywiście podjęła już decyzję. Sprzedaje, klamka zapadła.

Chłopak chowa do kieszeni swoje elektroniczne cacko.

– Co jest naprzeciwko? – pyta, a ona odpowiada ostrożnie:

– Dodatkowy pokój. – Zdążyła ugryźć się w język, zanim powiedziała „stara sypialnia Lucasa”. Od tak dawna nie wymawiała tego imienia, nie jest pewna, czy jej usta są w ogóle w stanie je wypowiedzieć.

Nie ma ochoty myśleć teraz o Lucasie; nie chce już nigdy myśleć o swoim pasierbie. Nie po tym, co zrobił.

Pokój niań/sypialnia Lucasa

Na początku sypiały tu nianie, potem zamieszkał w nim Lucas, a teraz jest po prostu dodatkowym pokojem w domu, w którym i tak jest za dużo pustych pomieszczeń.

Młody agent nieruchomości rozgląda się po schludnie urządzonej wewnątrz i z aprobatą kiwa głową. Idealny metraż, mniejszy (ale jedynie o połowę) niż ogromne pomieszczenie z trzema oknami, które znajduje się naprzeciwko; no i pokój jest pusty, co stanowi dodatkową zaletę.

Właściwie jest w nim coś spartańskiego: zasłane, pojedyncze łóżko nasuwa skojarzenia z... mnisią celą, koszarami, więzienną izbą... Jak to najlepiej określić?

– Jest funkcjonalny – decyduje.

Na ścianach wiszą oprawione mapy kupione w sklepie ze starzyzną w czasach, kiedy w południowym Londynie można było jeszcze natrafić na prawdziwe okazje. Pastelowe kolory wyblakły, ale nadal tchną duchem opowieści o dalekich wyprawach. Należą do innej epoki, w której młody mężczyzna mógł wyjechać i odnieść sukces, żeglować po oceanach i podbijać nowe ziemie, zostawić za sobą stare grzechy; był w stanie zacząć wszystko na nowo.

Lee pojechał kiedyś z wycieczką szkolną do Amsterdamu. Planowali uciec nauczycielom, żeby w coffee shopie zjeść ciastka z haszem, ale utknęli w domu Anny Frank.

– Bardzo ładnie, urządzone z prostotą – mówi, bo nic innego nie przychodzi mu do głowy, chociaż to nieprawda, jest zbyt pusto. Nie chce wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale Lee ma przeczucie, że w szafie i komodzie niczego nie ma. Dlaczego przepełnia go to takim smutkiem?

Starsza pani sprawia wrażenie oszołomionej. Może powoli wariuje, traci świadomość, to się czasem zdarza takim starszkom. Pewnego razu poszedł wymierzyć niewielki jednopiętrowy domek na tyłach Walworth Road i okazało się, że kobieta, która go sprzedaje, jest kompletnie łysa.

– Chemioterapia – stwierdziła, kiedy nalewała mu herbatę z dzbanka owiniętego w siwą kędzierzawą perukę, którą pacjenci dostawali bezpłatnie w szpitalu. – Tylko do tego to cholerstwo się nadaje – dodała.

Ponownie wyjmuje swój miernik, a Edwina przypomina sobie, jak przygotowywali ten pokój dla niań. Pomalowali go na różowo i zachęcali każdą z dziewczyn, żeby urządziła go po swojemu:

– To twój dom, czuj się jak u siebie. Możesz tu palić, jeśli chcesz.

Ustawili popielniczki i rozłożyli czasopisma, „Petticoat” i „Honey”; chcieli, żeby wewnątrz wyglądało przytulnie. Nie przypominało wtedy tego zimnego i pustego pomieszczenia; na łóżku leżały poduszki w kolorowych, wykonanych na szydełku poszewkach i, o ile dobrze sobie przypomina, pomarańczowa pluszowa narzuta.

Pierwsza była Heather, Szkotka w grubych wełnianych rajstopach i długim do kolan kilcie. Ollie kupił jej puszkę tradycyjnych szkockich ciasteczek, żeby nie tęskniła tak bardzo za domem, ale już po dwóch miesiącach uciekła z powrotem do Dumfries,

nawet nie zdążyła zmienić swoich rajstop na miejskie nylony.

Została po niej tylko mała plastikowa broszka w kształcie teriera szkockiego; nadal jest w domu. Edwina może zapomnieć, jaki jest dzień tygodnia, ale jest pewna (jak tego, że dwa razy dwa to cztery), że broszka leży w puszcze po tytoniu w skrzyneczce z przyborami do szycia, razem z guzikami od letnich sukienek, których nie zakładała już od lat.

Po Heather mieli dziewczynę z środkowej Anglii, wyglądała, jakby przez cały czas była przeziębiona, chrypiała i upychała w rękawach wilgotne chusteczki do nosa. Ollie uważał, że jest zbyt słaba do tej pracy, i miał rację: ciągle polegiwała, uskarżała się na „neuralgię”, i zanim bliźnięta skończyły pół roku, zatrudnili trzecią nianię. Edwina siada na tapczanie, bolą ją nogi.

Lee wyszedł na schody, żeby porozmawiać przez telefon. Edwina wzdrygnęła się, kiedy rozległ się dzwonek komórki; bujała myślami daleko, starała się przypomnieć sobie, jak miała na imię trzecia niania. No tak, Rachel.

W tych pokojach, myśli, wspomnienia układają się jak kolejne warstwy cebuli. Obierasz jedną, hokus-pokus i znów pojawia się następna. I tak bez końca.

To dziwne, siedzi teraz w miejscu, w którym spędziła najmniej czasu. Było przeznaczone dla obcych: najpierw dla niań, a potem dla Lucasa.

Nie chce myśleć o swoim pasierbie, ale nic nie może na to poradzić, on też jest częścią tego domu, zostawiał tu swój łupież i obcięte paznokcie. Przecież obecny wystrój tego pokoju stworzono specjalnie dla niego.

– Może będzie chciał wrócić – wyrwało się jego ojcu. – Chociaż na jedną noc.

Nie mogła powiedzieć „nie”, nie potrafiła wyznać: Nie życzę sobie jego obecności pod żadnym pozorem. Była po prostu szczęśliwa, że kiedy wrócił do Anglii, zamieszkał ze swoją matką.

Edwinę przechodzi dreszcz, gdy przypomina sobie Barbarę, pierwszą panią Spinner, kobietę już prawie dziewięćdziesięcioletnią, której tak nienawidzi, że na samą myśl o niej robi się jej niedobrze. Barbara, matka Lucasa. Byli ze sobą bardzo blisko, jakby związani liną. I po co tak bardzo się starała? Przecież łączyło ich wszystko, począwszy od pasemka włosów pomiędzy głębokimi zakolami na czole, aż po odrazę, jaką czuli do Edwiny.

Powinna była się domyślić, jak to się skończy, od razu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Lucasa. Był cały zakrwawiony, dłonie też miał we krwi, po prostu koszmar.

Później, kiedy ten incydent zamieciono pod dywan, Lucas zaczął często u nich bywać, stał się nieoficjalnym, gościnnym członkiem rodziny i ona, jak każda przyzwoita, choć na razie potencjalna macocha, chciała, żeby czuł się tu jak u siebie. Więc przeprowadziła małe śledztwo, dowiedziała się, że bardzo interesował się programem lotów kosmicznych Apollo i namalowała dla niego specjalny fresk. Ręcznie wykonany napis na drzwiach informował, że to jego pokój.

Zjawił się z małą skórzaną walizką, pulchny chłopak w szarych flanelowych szortach, i ledwie raczył dostrzec jej starania, zmrużył oczy, wpatrując się w biegające dookoła bliźnięta, które piszczały w podnieceniu:

– Czy to nie wspaniałe? Czy nasza mama nie jest najmądrzejsza na świecie?

Lucas odwrócił się bez słowa, wszedł do pokoju i zatrzasnął przed nimi drzwi.

Nie powinna już o tym myśleć. Edwina bierze się w garść i wraca do terażniejszości: ściany są teraz szare. Różowa farba i plakaty z Cliffem Richardem, które powiesiła Heather, już dawno zniknęły; chropowata faktura księżycowego krajobrazu, statku kosmicznego Apollo 11, astronautów i małej, nie większej niż piłka do krykieta kuli ziemskiej w tle, utonęły pod kolejnymi warstwami farby, równie głęboko jak jej wspomnienia.

Zamieszkają tu inni ludzie. Nigdy się nie dowiedzą, co tu zaszło: rozzłoszczony chłopiec zdrapał ze ściany jej pracę, często moczył się w łóżku i nikomu nie wolno było o tym wspominać. To zawsze był wypadek, wylała się woda ze szklanki lub przeciekł termofor.

– Termofor? – dziwiła się Rowena. – Przecież jest lipiec.

Kto by pomyślał, że ten chłopiec, którego tak bardzo starała się pokochać, zwróci się przeciwko nim.

– Odplącał ci – mamrocze do siebie – za to, że ukradłaś męża jego matce, że rozbiłaś ich rodzinę, że zrujnowałaś idealne życie jedynaka. Miał wtedy dziesięć lat, był wystarczająco duży, żeby wiedzieć, co się stało, ale za mały, by to zrozumieć.

Biedny Lucas, to musiało być dla niego trudne: zjawił się w domu, w którym zawsze miał czuć się jak intruz, gdzie bliźnięta znały każdy kąt, wszystkie zakamarki, wszelkie tajemnice, wiedziały, w której puszcze w spiżarni przechowuje się najlepsze ciasteczka, gdzie trzeba usiąść w kuchni, żeby na głowę nie kapało z rozwieszonego na sznurze prania.

Lee skończył rozmawiać przez telefon i wraca.

– Ładna zieleń za oknami – mówi. – Dobry widok.

Edwina nie zamierza się sprzeczać. Widok z tego pokoju nie jest szczególnie atrakcyjny: wierzchołki drzew, pokryte szarym gontem dachy, pod którymi skrywa się życie innych ludzi, nieskończone rzędy pudełek wypełnionych czyimiś wspomnieniami. Gdyby mury potrafiły mówić...

– Może obejrzymy teraz, co jest na dole, dobrze?

Schodzi za nim po schodach. Nauczyła się, że lepiej trzymać się z tyłu: trudniej się potknąć i nikt cię nie zepchnie.

Stoją teraz w jej sypialni, chłopak mówi, a Edwina nie słucha. On znowu używa swojego gadżetu do pomiarów i Edwina nagle uświadamia sobie, że na poduszce leży jej koszula nocna. To nie jest odpowiedni widok dla oczu młodego mężczyzny.

Powinna zmienić pościel i starannie zasłać łóżko. Widać, że materac jest wklęsnięty, przypomina samochód z uszkodzonym zawieszeniem; wgłębienie jest tak duże, że Edwina co noc stacza się do środka. To zresztą nie ma znaczenia, śpi sama i nie ma już „twojej” i „mojej” strony.

To było najdziwniejsze w jej drugim małżeństwie. Nie kolejne obce nazwisko czy lśniąca nowa złota obrączka (choć miała przecież starą, zupełnie dobrą), ale to, że Dickie chciał leżeć po lewej stronie łóżka, tej, którą ona zajmowała, kiedy spała z Olliem.

Rzęłałam się w tym pokoju z dwoma mężczyznami, wspomina w milczeniu, i trzema „znajomymi panami”, którzy nie byli moimi partnerami ani nawet chłopakami. Bywały w moim życiu chwile, w których zachowywałam się dość swobodnie, myśli, dwa razy po tym, jak odszedł Ollie, i raz po Dickiem, kiedy zdawało mi się, że naprawdę już nie mam nic do stracenia.

Czarnoskóry mężczyzna, stary kolega ze studiów i ten człowiek, który pomylił adres i zapukał do drzwi, mając nadzieję, że kupi tu kajak – wtedy zrobiła to po raz ostatni, miała sześćdziesiąt trzy lata i właśnie po raz drugi została wdową.

Kiedy poznała Olliego, była dziewicą. Nic nadzwyczajnego w tych czasach, nawet na uczelni artystycznej, wiele dziewcząt pozostawało nietkniętych aż do połowy drugiego roku. Wiele traciło cnotę z wykładowcami, traktowano to nieomal jak premię do skromnej akademickiej pensji. Teraz za coś takiego wylatuje się z pracy, i tak powinno być, myśli Edwina. Niewinne dziewczyny tak łatwo można wykorzystać.

Ona i Ollie z początku jakoś sobie radzili. Pamięta częsty seks analny i ataki paniki, kiedy spóźniał się jej okres (Ollie był przerażony), aż wreszcie stało się to, co musiało się stać: była w trzecim miesiącu ciąży, zanim w ogóle pomyśleli o ślubie.

Mężczyzna od kajaka był najlepszym kochankiem. Nie zapytała, jak ma na imię, on też jej nie spytał; chodziło o czysto zwierzęce doświadczenie, i bardzo dobrze.

Jej mężowie (nie wie, dlaczego teraz o tym myśli) mieli zupełnie odmienne podejście do seksu. Ollie był pełen energii i pasji, a Dickie bardziej stonowany, traktował to niemal jak rytuał. W zasadzie jego technika była bez zarzutu – jakby przeczytał instrukcję obsługi – ale nigdy nie lubiła go całować. Olliego mogła całować w łóżku bez końca, tak długo, aż jego twarz na poduszce stawała się wilgotna i lepka.

Kochałam Olliego, przypomina sobie, a Dickiemu byłam wdzięczna.

Z drugim mężem często uprawiała seks z poczucia winy. Uwiodła go, odciągnęła od pierwszej żony za pomocą swojego ciała, brązowych oczu, czarującego uśmiechu i białych zębów, więc nie wydawało się jej uczciwe (kiedy już porzucił Barbarę), by ona (burzycielka spokoju domowego ogniska) mogła pozbawić go seksu. W końcu wybrał ją przede wszystkim z tego powodu. Była taka zmysłowa i chętna, stanowiła całkowite przeciwieństwo Barbary. Dickie powiedział jej kiedyś, że jego pierwsza żona była zimna

jak ryba, przed snem nakładała na twarz mnóstwo kremu i wkładała drogą koszulę nocną, która zdawała się mówić: Patrz, ale nie dotykaj.

Edwina najczęściej sypiała nago, miała wąskie biodra i ciemne, twarde sutki. Dickiemu podobało się, że lubiła, kiedy robił jej minetę, co w latach siedemdziesiątych nie było takie powszechne. Zaraz po ślubie niełatwo było jej udawać entuzjazm w łóżku, ale starała się najlepiej, jak umiała. Zdała sobie sprawę, że seks ma wiele wspólnego z ćwiczeniami gimnastycznymi: możesz za nim nie przepadać, ale jak już się zacznie, da się go nawet polubić.

Ale nie martwi się, że już nigdy więcej tego nie zrobi, nawet nie sypia już bez ubrania. Z wiekiem stała się pruderyjna, być może dlatego, że widok własnego ciała sprawia jej ból. A kiedyś tak dobrze czuła się nago.

To kolejny problem, kiedy jest się macochą: możesz pokazać się nago własnym dzieciom, ale dla syna obcej kobiety taki widok to już zupełnie inna sprawa. Wiedziała, że Lucas opowiada Barbarze o jej zwyczajach, jak się ubiera i co je. Nie chciała dostarczać tej kobiecie dodatkowej amunicji. Barbara i tak wiedziała, że czasem na niedzielny obiad podawała rodzinie paluszki rybne. Nie potrzebowała oskarżeń o perwersję seksualną, wystarczyło, że tamta traktuje ją jak fleję.

Barbara była okropna, pisywała zwięzłe, ale celne i złośliwe liściki: „Kiedy w zeszłym tygodniu Lucas wrócił do domu z Kensington, zauważyłam, że brakuje jednej skarpetki!”. Listy pisała ręcznie, fioletowym atramentem na opatrzonej monogramem papeterii, i nigdy nie adresowała ich bezpośrednio do Edwiny. Nie była w stanie wymówić jej imienia ani nawet go napisać.

Rzecz jasna, ich drogi musiały się kiedyś skrzyżować. W ciągu dwudziestu pięciu lat spotkały się twarzą w twarz cztery razy: na popołudniowym przedstawieniu *Jesus Christ Superstar* (wytracona z równowagi Edwina nie zdobyła się na to, by po przerwie wrócić na widowię), w sklepie Russell & Bromley, w sądzie i na pogrzebie Dickiego. Na szczęście katedra Southwark jest na tyle przestronna, że mogły trzymać się daleko od siebie.

W dniu, kiedy chowano ojca, Lucas siedział obok matki. Edwina nie odezwała się do niego, a on nie próbował do niej podejść. Szybko wymknęła się z kościoła, cała uroczystość przypominała nieco partyjną fetę, a ona nigdy nie czuła się specjalnie zaangażowana w te sprawy.

Dickie zajmował się pisaniem przemówień politycznych dla Partii Liberalnej, co Edwinie nie przeszkadzało. Nie była z natury zwierzęciem politycznym, ale podobało się jej, że liberałowie siedzą spokojnie okrakiem na barykadzie i tylko z lekka przechylają się na jedną z walczących stron; nie osiągali wiele, ale nie dawali się też spisać na straty.

Oczywiście, była ta okropna historia z Jeremym Thorpem, ale Dickie wyszedł z tego trudnego okresu bez szwanku i utrzymał swoją pozycję, kiedy liderem partii został David Steel, którego Edwina uważała za czarującego człowieka, chociaż, broń Boże, nie utrzymywała bliskich kontaktów towarzyskich z politykami. Niechęć do wspierania kariery Dickiego całkowicie odróżniała ją od jego pierwszej żony. Barbara uwielbiała splendory takiego życia i była wściekła na Dickiego nie tylko za porzucenie obowiązków męża i ojca, ale w znacznym stopniu i za to, że był pozbawiony większych ambicji

politycznych. Barbara święcie wierzyła w moc szarych eminencji i marzyła, by zostać żoną członka parlamentu jak jej drużna Minty Landreth.

Edwiny nic nie obchodziły te sprawy; nie interesowała jej polityka i nudziły ją wszelkie rozmowy na temat pracy Dickiego. Niestety, w końcu i on powoli się tym znużył. Pamięta, jak zastanawiała się, czy Dickie nie poświęcił zbyt wiele, porzucając Barbarę. W końcu jej nie obchodziła jego kariera, okropnie gotowała, więc poza seksem (w którym najczęściej udawała namiętność), była dość marną drugą żoną.

Kiedy klamka zapadła, często rozmyślała, czy on nie żałował tego wszystkiego. Tyłu rzeczy można by uniknąć, gdyby został z Barbarą, gdyby Ollie nie...

– Mówiłem, że być może na tej ścianie jest wilgoć! – Chłopak krzyczy, jakby była głucha.

Może i odrobinę niedosłyszysz, ma w końcu siedemdziesiąt osiem lat. Jest głuchawa i zdarza się jej nie trzymać moczu. Nie tylko ściana jest wilgotna, ma ochotę zażartować, tylko po to, żeby zobaczyć jego minę.

– Możliwe! – odkrzykuje.

Ze zdziwieniem uświadamia sobie, że siedzi na wiklinowym krześle wyściełanym różową poduszką, na którym usiadła też poprzedniego dnia. Dobrze jest spojrzeć na rzeczy z nowej perspektywy.

W tym pokoju wszystko kręciło się wokół snu i seksu, ubierania i rozbierania, leżenia i wstawania, dźwięku budzika, początku i końca dnia. Kiedy była młodą matką, kładła się w tym łóżku i czekała, aż płacz dzieci ją obudzi. Potem, dużo później, nie mogła już spać, bo niepokój, samotność i strach nie pozwalały jej zmrużyć oka, bo serce waliło szybciej niż powolne tykanie zegara, a mózg pracował na najwyższych obrotach... Co mam zrobić? Co powinnam? Co mogę? O Boże, Boże, pomóż mi.

Chłopak już obejrzał pokój. Dla niego nie jest wypełniony wspomnieniami, to tylko miła dwuosobowa sypialnia z masywnymi meblami i brudną pościelą. I trochę śmierdzi tu moczem.

Edwina i chłopak wychodzą z sypialni i idą do łazienki, która znajduje się tuż obok.
– O kurwa – szepcze cichutko, ale jego słowa da się usłyszeć.

Edwina kiwa głową; łazienka jest duża, a wiktoriańska wanna ogromna. Ollie znalazł ją na złomowisku nad rzeką; nie ma pojęcia, jak udało się ją przynieść do domu i wnieść po schodach.

Była tak wielka, że mieścili się w niej wszyscy razem: Ollie, Edwina, Rowena i Charlie; bliźnięta miały na głowach korony z piany, pomiędzy nimi pływała żółta gumowa kaczka.

– Jest jeszcze mnóstwo miejsca – żartował Ollie. – Następnym razem musimy mieć trojaczki.

Ona też się śmiała – tak jakby. Ale niczego nie wykluczała, zawsze podejrzewała, że może znów zajść w ciążę. Nie śniło się jej, że za mniej więcej rok wyciągnie się w tej wannie, zanurzy głowę w wodzie i nie zwracając uwagi na płacz dzieci, będzie się zastanawiać, jak długo umiera człowiek, który podetnie sobie brzytwą żyły na nadgarstkach.

Pomalowali łazienkę na kolor błękitnego, bezchmurnego nieba, niebieskiego jak niezapominajki, nieba, jakie widziała pewnego cudownego dnia, którego nigdy nie zapomni.

Sennen Cove, Kornwalia.

W Wielkanoc było za zimno, żeby pływać, ale zanurzali dzieciom stopy w wodzie i Charlie tak się rozkrzyczał, że twarz poczerwieniała mu jak wiśnia.

Kosz piknikowy na czerwonym kocu w szkocką kratę, przyjaciele ze szkoły plastycznej, tort owocowy i kanapki z serem i korniszonami. Wszyscy byli młodzi. Ona i Ollie jako pierwsi zostali rodzicami; Rowena i Charlie stanowili atrakcję, nie tylko dlatego, że byli bliźniętami, ale też dlatego, że zaczęli przypominać małych ludzi. Stawiali pierwsze kroki, mieli pulchne rączki, lubili się śmiać (choć równie chętnie płakali), dreptali niezgrabnie w tetrowych pieluszkach i co chwila gwałtownie opadali pupami na piasek. Charlie próbował go zjadać. Fuj.

Życie zmienił rzut piłką, twardą, czerwoną piłeczką krykietową, która przemknęła na tle kobaltowego nieba. Trach! Usłyszała uderzenie, znajomy dźwięk gwałtownego kontaktu skóry z pałką do krykieta, a potem pauza. Brzęczenie pszczoły, szczekanie psa, gdzieś daleko na plaży krzyczał chłopiec – puszczał żółtego latawca, który zarył dziobem w wydnię, kiedy wiatr zmienił kierunek – nagle poczuła przenikliwy chłód i zobaczyła, że Ollie leży na piasku twarzą w dół i się nie rusza.

Karetka wjechała na plażę, wszyscy się gapili, oprócz chłopca – próbował poderwać w powietrze żółtego latawca, który to wzbijał się w górę, to pikował w dół – a ratownicy zajmowali się Olliem, robili mu sztuczne oddychanie, uciskali jego klatkę piersiową, aż w końcu potrzęsnęli głowami, zakryli jego piękną twarz czerwonym kocem i go zabrali.

Nie pamięta, jak wróciła do domu z tych wakacji. Z dwójką małych dzieci nie

mogła przecież prowadzić sama zielonego, pokrytego rdzą humbera hawka Olliego. Ogólnie rzecz biorąc, nie zdała tego egzaminu. Po śmierci Olliego musiała się podszkolić; wdowa musi nauczyć się wszystkiego.

Jej matka przyjechała z Malty, co jeszcze pogorszyło sprawy, bo prawie wcale się nie znały, a Glenda nigdy nie poznała Olliego. Bez przerwy powtarzała, że Edwina musi być dzielna i pamiętać, że całkiem niedawno, w poprzednim pokoleniu, miliony kobiet straciły na plażach swoich mężczyzn.

– Tak, ale oni nie grali we francuskiego krykieta! – zaczęła wrzeszczeć Edwina i wtedy matka uderzyła ją w twarz, ponieważ „najwyraźniej wpadła w histerię”.

Rodzicie Olliego byli niewiele lepsi, ale przynajmniej mieli wymówkę. Owszem, byli wstrząśnięci, przepełniał ich ból, syn umarł, ale przecież ktoś musi zajmować się farmą. Przyjechali na pogrzeb, popłakali i szybko wyjechali. W następnych latach przysyłali pocztówki i prezenty na urodziny bliźniąt, ale z upływem czasu informacje na kartkach stawały się coraz bardziej skąpe i zniknęły zaproszenia do odwiedzin.

Wydawało się nieprawdopodobne, że po śmierci Olliego życie może trwać. Przez kilka tygodni była na wpół przytomna, dopiero kiedy matka wróciła do ojca na Maltę, dopadła ją rzeczywistość.

Została sama w wielkim starym domu, który wymagał pieniędzy i mnóstwa pracy, a miała dwójkę małych dzieci i żadnych dochodów. Bywały takie dni, zbyt wiele, by zliczyć, kiedy miała ochotę skoczyć razem z bliźniętami z mostu Waterloo.

Kilka lat później, kiedy w życiu nastąpił spokojniejszy okres, łazienka przeszła przemianę. Ściany kazała obłożyć kremową boazerią (mniej więcej do wysokości metra), a resztę błękitu pokryła różową tapetą w chińskie wzory, i w końcu nadszedł czas, kiedy mogła tam wejść i nie przypominać sobie od razu o niebie Kornwalii ani o tym, że słońce tamtego dnia miało taki sam kolor jak gumowa kaczka bliźniąt. Żółty i niebieski, najradośniejsza kombinacja kolorów, przypominały o śmierci. Tak jak irysy w kościele w dzień pogrzebu też były żółte i niebieskie.

Załamaby się, dobrze o tym wie, gdyby nie Alicia. Kochana Alicia, kobieta, z którą nic ją nie łączyło, a która w ciągu kolejnych lat okazała się najbliższą sojuszniczką.

Spotkały się na terenie Imperial War Museum. Edwina siedziała na ławce w pewnej odległości od wózka: była już zmęczona dobiegającym z niego płaczem i biła się z myślami, czy nie wrócić do domu bez tego ciężkiego cholerstwa. Wózkiem by się nie przejmowała, ale bliźnięta nie dałyby jeszcze rady wrócić pieszo taki kawał drogi. Już jedno ciężko jej było unieść, a co dopiero dwójkę – nie była koniem pociągowym. Czasem ich nienawidziła. Charlie był leniwy i miał skłonności do histeryzowania, a Rowena lubiła się dąsać.

Ławka zakołysała się lekko: jakaś kobieta usiadła obok Edwiny i zaczęła zawiązywać sznurówkę. Miała na sobie luźne czarne spodnie, okulary w różowych oprawkach o kształcie kocich oczu i włosy upięte w ostentacyjny, sprężysty kok. Fryzura była najwyraźniej powodem, dla którego niepokoiła się pogodą. Pozbierała swoje pakunki, spojrzała w górę na ciemne chmury i wyciągnęła dłoń, żeby sprawdzić, czy z nieba spadają już krople deszczu. Poklepała się po wymyślnej, lakierowanej konstrukcji

na głowie i powiedziała do Edwiny:

– Mam nadzieję, że zdążę wrócić do domu, zanim lunie.

Jej akcent był równie egzotyczny jak wygląd. Edwina domyśliła się, że kobieta pochodzi z Karaibów, prawdopodobnie z Jamajki, i wyobraziła sobie srebrzyste plaże i gorące słońce. Ach, samotne wakacje, samodzielne, bez nikogo na karku.

W tym momencie Charlie wyrzucił z wózka swój bucik, a kobieta wstała i go podniosła. Kiedy się zorientowała, że w silver crossie leży jeszcze jedno maleństwo, jej twarz wykrzywił niesamowicie szeroki uśmiech i natychmiast zaczęła wydawać zabawne odgłosy oraz robić śmieszne miny. Niektórzy są w tym po prostu lepsi ode mnie, pomyślała Edwina, która marzyła, by móc już normalnie porozmawiać z dziećmi. Zabiegi kobiety odniosły pożądany skutek. Wózek z radośnie gaworzącymi maluchami kołysał się łagodnie i przez kilka cudownych chwil Edwina miała nadzieję, że będzie mogła posiedzieć w spokoju na ławce i odetchnąć.

Jednak kiedy wypuściła powietrze z płuc, okazało się, że nie może powstrzymać szlochu, potwornego łkania, któremu towarzyszyły olbrzymie krople deszczu, coraz gęściej padające z groźnie pożółkłego nieba.

Alicia pomogła dopchać wózek na Kennington Road. Kiedy Edwina otworzyła drzwi, nieznajoma pochwyciła niemowlęta, umieściła je pod pachami, wbiegła po schodkach, odłożyła dzieci w mieszkaniu, pobiegła z powrotem po wózek i jedną ręką wniosła go do domu.

Moja matka mówiła o niej „ta Murzynka”, rozmyśla Edwina ponad pół wieku później. „Ta Murzynka z niemożliwie wielkim tyłkiem”.

Gdy Edwina spotkała ją po raz pierwszy, Alicia, właścicielka niewątpliwie dużego tyłka, pracowała dorywczo jako sprzątaczką i miała dwóch synów, którzy przebywali w Kingston na Jamajce pod opieką babci. Takie są u nas zwyczaje, wyjaśniła. Mieszkała w okolicach Old Kent Road razem z mężem i kilkoma jego kuzynami.

Edwina nigdy żadnego z nich nie poznała, nigdy nie była w ich mieszkaniu, to Alicia przychodziła do niej do domu. Robiła to codziennie, a kiedy bliźnięta były już za duże na to, by opiekowała się nimi niania, zajmowała się prasowaniem i sprzątaniami.

Kochana Alicia, lubiła ciastka, kręciła biodrami i miewała zmienne nastroje. Kiedy tego pierwszego dnia dotarli do domu, były przemoczone do suchej nitki i kok Alicii zmienił się w zmierzwiony kłęb.

W kuchni było ciepło. Olbrzymia kuchnia AGA funkcjonowała bez zarzutu – to była jedna z rzeczy, przy której Ollie się upierał – „Wychowałem się na farmie, spodoba ci się” – ale nie miał racji, nie nauczyła się z niej korzystać. Kiedy odszedł, AGA służyła za źródło ciepła, ale do podgrzewania posiłków dla dzieci Edwina używała małej kuchenki elektrycznej. Nie umiała gotować, więc kupowała jedzenie w puszkach, zupy Heinza i słoiczki z przecierami dla niemowląt. Wiedziała, że nie odżywiają się prawidłowo. Rowenie ropiały oczy, a Charlie bez przerwy kasłał.

Alicia rozebrała i wytarła dzieci, obchodziła się z nimi, jakby były małymi urządzeniami: ramiona do góry i zdjęć koszulkę, obrót i powtórzyć operację od pasa w dół. Kiedy zebrała przemoczone ubranka, wspięła się na kuchenny stół i ściągnęła ze sznura suche rzeczy.

– Przydałoby się żelazko – mruknęła. – Ale dzieciom to nie przeszkadza.

Nie przeszkadzało. Suche, ogrzane i nakarmione do syta gorącymi grzankami z miodem bliźnięta znalazły się w swoim kojcu, gdzie, wreszcie, siedziały zadowolone i bawiły się zabawkami, tylko Rowena unosiła chwilami główkę znad klocków z alfabetem i posyłała matce spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Tak to się robi”.

Nie mogłam się doczekać, żeby je komuś przekazać, przyznaje się przed sobą Edwina. Alicia miała tak szerokie uda, że wystarczyło tam miejsca dla obojga, nigdy dzieci nie oceniała, nie była ich matką. Mogła się martwić o ich stan fizyczny, a troska o ich regularne wypróżnianie stała się niemal jej obsesją (Alicia była wielbicielek śliwek), ale nigdy ich nie krytykowała. Kochała bliźnięta spokojną, niezachwianą miłością i czasami Edwina była o to zazdrosna.

Chłopak coś do niej mówi, głos dobiega jakby z daleka. Edwina zaczyna słuchać, kiedy znów schodzą po schodach.

– Świetna ulica – zachwyca się młodzieniec. – Fantastyczna lokalizacja.

Pięćdziesiąt lat temu nikt tak nie uważał, powiedziałyby mu to, gdyby jej się chciało, wokoło były tylko salony bingo i przystanki autobusowe, żadnych sklepów. Teraz wszędzie roi się od pizzerii, chińskich knajpek i biegaczy. Ludzie wcześniej tego nie robili – nie biegali w kółko po ulicach, cali spoceni. Takie czasy, wszyscy pragną żyć wiecznie. Ja nie, myśli Edwina, mam dość, jestem zmęczona.

Pomalowali go na granatowo.

– To bawialnia – informuje chłopaka, a on kiwa ze zrozumieniem głową.

To jasne, Anglicy z wyższych sfer, kiedy mówią o swoim domu, używają specyficznego słownictwa: nie mają pokoiw dziennych ani oszklonych werand, tylko bawialnie i oranżerie, pokoje kredensowe, śniadaniowe i gospodarcze; i zazwyczaj posiadają fortepiany.

Zgadza się: tam, w rogu, stoi fortepian buduarowy.

Granatowe ściany dawno już zostały przemalowane na kolor przypominający biel londyńskich chmur. Nuda, myśli ze złością Edwina. Gdyby miała określić tę barwę, nazwałaby ją „niezobowiązującą”. Przynajmniej książki nadają temu miejscu nieco charakteru, strona Olliego i strona Dickiego, myśli Edwina, zerkając na półki otaczające marmurowy kominek. Obaj moi mężowie lubili czytać.

Po lewej stoją książki Olliego o sztuce, filmie i architekturze, a po prawej Dickiego – tomy poświęcone historii i polityce oraz biografie.

Czasami ogląda fotografie i ilustracje w bibliotece Olliego, katalogi z wystaw, na których byli razem, kolekcję książek poświęconych renesansowi, którą odziedziczył po nieszczęsnym stryju. Za to książek Dickiego nie tyka, druk jest za drobny, papier taki cienki, styl zbyt suchy. Ale Dickie był wykształcony, studiował historię i nauki polityczne na Oksfordzie, kochał czytać, a ona uwielbiała patrzeć na niego, kiedy to robił.

Rowena także lubiła książki, spędzała tu całe godziny umoszczona na sofie, z głową dosłownie zanurzoną w książkach, tak głęboko, że niemal dotykała stronic rzęsami. Kiedy miała osiem lat, zdiagnozowano u niej krótkowzroczność i rozpoczęła się epoka gubienia i niszczenia okularów (wszyscy na nich siadali). Charlie jakimś cudem nie odziedziczył genu miopii; nie przepadał za lekturą, słowami, a nawet za muzyką, chociaż siadał przy fortepianie w fantazyjnie zawiązanej na szyi jedwabnej apaszce Edwiny i improwizował wymyślone przez siebie piosenki, podczas gdy Lucas stał pośrodku pokoju na chińskim dywanie i czerwony z wściekłości zatykał sobie uszy, krzycząc, żeby „skończyć z tym straszliwym hałasem”.

Ach, Lucas, przepelniony oburzeniem stary-maleńki z grubym zadkiem.

Powinna napalić w kominku, zimno tu jak w grobie. To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie zrobili z Olliem, kiedy tu zamieszkali; pamięta, jak opiekali kasztany nad złocistymi płomieniami, brązowa, chropowata skórka pękała i kawałeczki spadały do puszki zawieszanej na metalowym wieszaku. Ollie potrafił skonstruować niemal wszystko.

Dickie miał dwie lewe ręce. Ledwie potrafił rozpalić ogień i nie znośił zajmować się czymkolwiek, co wymagało zdjęcia spinek do mankietów; Ollie nie nosił spinek – był typem mężczyzny, który lubił zakasywać rękawy. Umiał zbudować półkę, przyszyć guzik, zmienić żarówkę i pieluchę dziecku, przyrządzić omlet. Kiedy była w ciąży, smażył jej naleśniki; był nowoczesnym mężczyzną, chociaż wtedy nie używano jeszcze takiego określenia.

Dickie był natomiast tradycjonalistą, nosił krawaty w barwach swojej uczelni, ręcznie robione buty, szyte na miarę garnitury z Piccadilly i posiadał kolekcję kapeluszy, w tym kilka filcowych, czapkę w stylu Sherolcka Holmesa, panamę, a nawet cylinder, który wkładał na śluby i wyścigi w Ascot. Ollie miał tylko wełniany szkocki beret z pomponem.

Och, dość już tego, kobieto, strofuje się Edwina. Dlaczego ich ze sobą porównuje? Obaj nie żyją. Co z tego, że jeden potrafił usmażyć naleśniki, a drugi nie był w stanie przygotować czegoś bardziej skomplikowanego niż filiżanka herbaty i kanapki?

Przypomina sobie, jak tuż po ślubie wysłała Dickiego do supermarketu, a on wrócił z mnóstwem dziwnych rzeczy, w tym z zestawem jaskrawo udekorowanych tortów i ciastek. „Te są naprawdę pyszne”, powiedział, kończąc pudełko ptifurek Mr Kipling.

Dickie był w dzieciństwie karmiony porządnym angielskim jedzeniem – jagnięco-wołowymi zupami Brown Windsor, rybami morskimi i pieczywem z kminkiem – więc niespodziewana przyjemność smakowania sztucznych aromatów i różnokolorowego lukru była jak objawienie. Gdy chodziło o jedzenie, Dickie, pomimo znakomitego wykształcenia i wychowania, najlepiej czuł się na popołudniowych przyjęciach dla dzieci.

– Byłam kiedyś taka dumna z tego pokoju – mówi Edwina, chociaż Lee stoi odwrócony do niej plecami i nie słucha.

– Ładne, oryginalne wnętrze. – Kiwa z uznaniem głową; wie, że ludzie tego chcą, dom może się rozpaść, ale Gateman i Pierce mają klientów, którzy gotowi byli dosłownie posikać się ze szczęścia na widok takiej wielkiej przestrzeni i wysokiego sufitu. – Ten pokój jest ogromny.

Trzy szerokie okna od ulicy (na wysokości platformy piętrowych autobusów linii 157), w każdym drewniane żaluzje, chroniące mieszkańców domu przed wścibskimi spojrzzeniami.

– Rzadko go używam – odpowiada Edwina.

Wygląda na lekko zmarzniętą, to najchłodniejsze pomieszczenie, jakie dotychczas oglądali. Lee ma wrażenie, że w tym pokoju od dawna nie włączano grzejników. Farba na ścianach w kolorze złamanej bieli jest popękana i miejscami odchodzi, ale różowy sufit zachował się w doskonałym stanie, a otaczające go ozdobne stiuki są szerokie i misternie wykonane, chociaż pokryte grubą warstwą kurzu.

Pamięta lepsze czasy, myśli Edwina, zapada się w aksamitną sofę i wspomina chwile, w których pokój wyglądał najpiękniej – gdy przystrojony na Boże Narodzenie pachniał sosnowymi szyszkami. Byłam taka próżna, zapalałam światełka na choince i rozsuwałam żaluzje, żeby biedacy w autobusie mogli to zobaczyć i pozazdrościć nam szczęścia.

Pudło z ozdobami świątecznymi jest w pokoju na poddaszu albo w jej garderobie; od lat już nie zawraca sobie głowy podobnymi głupstwami. Ktoś inny może przyjść i zdecydować, w którym rogu postawić choinkę, jak ułożyć ozdobne łańcuchy i czy na czubku powiesić gwiazdkę, czy aniołka.

Lubiła ustawiać drzewko przed środkowym oknem, wysoką na dziesięć stóp jodłę przystrojoną drogimi bombkami i niezidentyfikowanymi przedmiotami, które bliźnięta zrobiły w przedszkolu.

Nic dziwnego, że Lucas nigdy nie czuł się tu jak u siebie. Wszystkie wspomnienia z dzieciństwa łączyły go z domem matki: to Barbara przechowywała jego maleńkie rękodzieła, gliniane dzbanuszki, bałwanki z waty i Mikołajów z papieru toaletowego.

Dickie zazwyczaj zabierał go z Chelsea w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Pewnego roku, kiedy Lucas miał mniej więcej trzynaście lat, zjawił się na kolacji w smokingu i muszce. Wyglądał śmiesznie i bliźnięta w dzinsach pękały ze śmiechu. Edwina przypomina sobie, jak sama powiedziała:

– Ojejku, Lucas, wracasz z partyjki snookera?

Żałuje tego teraz, szkoda, że nie potrafiła być miłsza.

To był najbardziej reprezentacyjny pokój w całym domu, zawsze, nie tylko w czasie świąt. Nadal znajduje się tu większość zachowanych „cennych” przedmiotów: hebanowo-złoty francuski zegar stojący, dwie chińskie wazy, stolik z orzecha włoskiego i haftowany wiktoriański podnóżek.

Wiszą tu trzy „wartościowe” prace: akwaforta sygnowana przez Bena Nicholsona, którego Ollie kiedyś poznał, obraz przypisywany Paulowi Nashowi i wielka barwna kompozycja Terry’ego Frosta.

Reszta to interesujące bohomy, kilka pejzaży, dwie martwe natury i parę dobrych rycin.

Obrazy sprawiają, że pokój wygląda teraz jak muzeum. Jest jak opuszczona księgarnia połączona z galerią sztuki, której nikt już nie odwiedza. Takie pomieszczenie wymaga rodziny – i może psa? Małego. Nie boi się ich tak jak kiedyś, wszystko, co najgorsze, już się przydarzyło. Co jej może zrobić pies: ugryźć w kostkę, nasikać na dywan? Wielka mi rzecz.

– Może w Kornwalii kupię sobie psa – szepcze, ale nie wyobraża sobie, jaki to ma być pies.

Przez głowę przebiegają jej podobizny różnych ras, aż w końcu koncentruje się na jamniku, małym czarno-brązowym jamniku. Tak, jeśli chce mieć podobną psinę, musi się przeprowadzić: stworzenie na tak krótkich nóżkach nie dałoby rady wbiegać i zbiegać ze schodów, mogłoby skrócić kark.

Nagle uświadamia sobie, że chłopak coś mówi, jego głos jest jak brzęczenie muchy latającej tuż obok ucha.

– Słucham? – Dostała gęziej skórki, chyba będzie musiała włożyć sweter.

– Pytałem, czy możemy przejść dalej?

– Och, oczywiście, proszę tędy. – Wskazuje drogę i przez chwilę czuje się jak stara przewodniczka w jednym z tych małych, niedofinansowanych prowincjonalnych muzeów.

Dawny pokój Roweny

– Kolejny pokój gościnny? – powtarza chłopak, tym razem głośniej.

Kobieta nie słucha i Lee zastanawia się, czy emeryci cierpią czasem na ADHD. W jego szkole były dzieciaki, które zachowywały się jak ona, były śpiące i nie zwracały na nikogo uwagi. Nazywali je Psychotropkami.

Pokój jest większy niż dodatkowa sypialnia na górze, bez trudu mieści się tu podwójne, pomalowane na biało metalowe łóżko z zaokrąglonymi nogami, pochodzące z lat osiemdziesiątych. Jest niezasłane, z materacem obszytym materiałem w paski – najwyraźniej od dawna nikt tu nie nocował.

W głębi stoi źle dopasowana do reszty pokoju szafa z ażurowymi drzwiami. Na ścianach w łososiowym kolorze widać małe dziurki w miejscach, gdzie kiedyś wisiały obrazki, są też ślady po gumie blu tac do przyklejania plakatów, a na białej umywalce wbudowanej w szafkę z melaminy stoi powiększające lustro do makijażu. Wystrój wnętrza jest staroświecki, ale chłopak domyśla się, że kiedyś mieszkała tu nastolatka, która teraz jest już dorosła i pewnie ma własne dzieci.

Lee przez chwilę czuje się zakłopotany. Niektóre domy łatwo zdradzają swoje sekrety, ale ten pokój jest przesiąknięty tajemnicami.

Na materacu leży złożona kolorowa kołdra – pochodzi z czasów, kiedy Edwina poświęciła się kolejnemu hobby (tylko dlatego, żeby nie zwariować). Spędzała długie noce na cięciu starych letnich sukienek córki, wzorzyste tkaniny przypominały o szczęśliwszych czasach, upalnych wakacjach, willi we Francji, sieciach rybackich i tenisówkach.

Po prostu potnij materiał, Edwino, i zszyj kawałki, szyj, nie przestawaj, drobnym, niedostrzegalnym ścięciem. Gdyby udało się tak zaszyć rozerwane, obolałe serce. Oddychaj, Edwino, oddychaj.

Pokój jest (według optymistycznej opinii agenta nieruchomości) w „dobrym stanie” i można go „świetnie urządzać”. Na toaletce, obok szklanej misy wypełnionej kuleczkami waty, leżą osobiste drobiazgi, srebrna szczotka do włosów i grzebień od kompletu, na parapecie pręży się porcelanowy, stojący dęba koń, na drzwiach wisi oklapły szlafrok frotté – wszystko to przypomina dekorację teatralną. W tym pokoju od lat nikt nie gościł.

– Pokój Roweny – szepcze stara kobieta. – Już tu nie mieszka. Żadnego z nich już tu nie ma.

Chłopak jest lekko dezorientowany, ale dobrze wie, że nie należy pytać, kim jest Rowena. Nie wolno dać się wciągnąć w osobiste sprawy klienta, to nieprofesjonalne i czasochłonne.

Starsze panie czują się osamotnione: spytasz o rodzinę, a natychmiast wyciągają album ze zdjęciami i pokazują ci zmarłe koty.

Edwina jest nieco oszołomiona. Co mogłaby odpowiedzieć, gdyby spytał? Rowena to moja córka, mądra, trudna do zrozumienia Rowena, zajęła ten pokój, żeby uciec od chłopców. Ile miała wtedy lat? Skończyła dwanaście, ale była rozwinięta ponad wiek.

Dickie nie mógł się z tym pogodzić, że spośród trójki dzieci właśnie ona miała najbystrzejszy umysł.

To w sprawach związanych z ich edukacją spierali się najgoręcej. Kiedy się poznali, nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie chciała posłać dzieci do szkoły z internatem; fakt, że Edwina nie znosiła tych instytucji, nie miał dla niego znaczenia.

– Wszyscy ich nie znosiliśmy – odpowiadał. – Miałem siedem lat, gdy mnie tam wysłano, więc nienawidzę ich o wiele dłużej niż ty.

Lucas został zapisany do Alma Mater ojca, Wyebourne College, już w chwili narodzin. Kiedy miał trzynaście lat, zdał egzamin wstępny i od razu wyjechał.

Do tego czasu uczęszczał do Witterings, niewielkiej prywatnej szkoły podstawowej w South Downs, gdzie mógł korzystać z dobrodziejstw oferowanych przez sześćdziesięcioakrowe tereny sportowe i miał niewielkie szanse na zetknięcie się z nieodpowiednim towarzystwem.

Było oczywiste, że za jakiś czas Lucas wybierze Oksford albo Cambridge (najpewniej Oksford, bo jego ojciec uczył się w kolegium Brasenose), ale w gruncie rzeczy jej pasierb miał po prostu zmienić jedną placówkę oświatową z jadalnią wyłożoną dębową boazerią na inną, prawie nie dostrzegając różnicy.

W końcu sam Dickie mawiał, że pudding z rodzynkami podawany w stołówce parlamentu smakuje niemal identycznie jak ten, który jadał w swojej podstawówce.

– Musi istnieć tajny przepis – powiedział kiedyś z zadumą – który znany jest tylko w kuchniach wybranych instytucji.

– Najpewniej przyrządzają go z proszku – odpowiedziała Edwina.

Nie miała zaufania do kubków smakowych Dickiego, od kiedy przyłapała go na wyjadaniu mielonki konserwowej; na dodatek twierdził, że jest przepyszna.

Rowena była dziewczynką, więc mogła zdawać egzaminy wstępne dwa lata wcześniej niż jej bracia; jedenastoletnia uczennica uzyskała doskonałe oceny z wszystkich przedmiotów. Była dociekliwa, elokwentna i skrupulatna. Nawet charakter pisma miała wspaniały, w przeciwieństwie do brata: biedny Charlie był leworęczny; jego zeszyty wyglądały okropnie, ale nic nie mógł na to poradzić, bo rozmazywał rękawem atrament, nim ten zdążył wyschnąć.

Dziś pewnie pozwoliliby mu napisać pracę egzaminacyjną na maszynie, zastanawia się Edwina, mając na myśli laptopa.

Edwina zawsze podejrzewała, że pod względem zdolności do nauki jej dzieci różniły się całkowicie. Tak podpowiadał jej matczyny instynkt, wyostrzony przez lata obserwacji: Rowena wszystko robiła pierwsza.

Przez długi czas nikt inny tego nie zauważył, nawet nauczyciele, którzy w prywatnej szkole podstawowej sadzali Rowenę i Charliego w jednej ławce, nie byli świadomi faktu, że to siostra wykonywała wszystkie zadania, a brat starannie przepisywał je od niej.

Z roku na rok pozwalał, by jego umysł pracował coraz wolniej, jak na jałowym biegu. Po co miałby się wysilać, skoro Rowena mogła pracować za dwoje? Nie chciało mu się niczego uczyć, nie opanował żadnej reguły ortograficznej, nie zapamiętał ani jednej daty historycznej, nie przyswoił nawet tabliczki mnożenia. Podczas przerw wałęsał

się, odgrywając potwora z serialu *Doktor Who* albo naśladowując odgłosy pierdzenia za pomocą dłoni lub pachy.

Przesilenie nastąpiło podczas wywiadówki, kiedy nowa, dobrze wykształcona nauczycielka powiedziała Edwinie, że Charlie opóźnia rozwój Roweny i należy rozdzielić bliźnięta, ponieważ „nie wiemy, jak rozwiązać problemy Charliego, bo na razie przyćmiewa go inteligencja siostry”.

– Jestem pewna, że odkryjecie w Charliem wiele uzdolnień – warknęła Edwina, ale nie chcąc stracić inicjatywy, zgodziła się. – On ma naprawdę bardzo ładny głos, pięknie śpiewa – stwierdziła zgodnie z prawdą. Kiedy czasem myśli, jaki talent się zmarnował, ma ochotę krzyczeć.

Przestań, upomina się; żeby powstrzymać krzyk, zaczyna wpatrywać się w kołdrę domowej roboty, skupia wzrok na sześciokątnych, biało-czerwonych łąkach i przypomina sobie córkę na plaży w Brittany, ubraną w sukienkę na ramiączkach w biało-czerwone grochy. Rowena i Charlie jedzą lody truskawkowe, mają chyba cztery lata, Olliego już nie ma, a Dickiego jeszcze nie poznała. Zabrała na wakacje Alicję: wygląda jak góra pofałdowanej skóry w cytrynowym kostiumie kąpielowym; ludzie się gapią, co za dziwna rodzina.

Przez jakiś czas pokój obok bawialni był sanktuarium Roweny, zaciszem, gdzie mogła odrabiać lekcje, słuchać muzyki, czytać książki i wycinać zdjęcia kucyków.

Później stał się symbolem czegoś innego, gniazdem kłamstw, które wydzielało lekki smrodek wymiocin ukrytych w papierowych chusteczkach upchanych pod materacami.

Edwina odgania wspomnienia. Przez chwilę jej pilna, potulna córeczka znów zamieszkała w tym pokoju. Gdy zamknie oczy, słyszy dźwięki fletu, niepewne, ale melodyjne, Rowena ćwiczy w nieskończoność, chce mieć pewność, że za rok dostanie się do szkolnej orkiestry.

– Rowena bywa chwilami próżna – zauważył Dickie, kiedy wybrali się w długą i nudną podróż do Blackheath Hall, by usłyszeć, jak wykonuje kolejną solową partię.

Rzecz jasna, był rozgoryczony: Lucas właśnie rzucił grę na wiolonczeli, a nauczyciel muzyki w Wyebourne College nie zgodził się zwrócić opłaty za resztę semestru.

– Przecież był tylko na jednej lekcji – wysapał poirytowany Dickie.

Prawda była taka, że Rowena potrafiła ciężko harować, a Lucasowi słoń nadepnął na ucho; za to Charlie miał doskonały słuch.

Charlie był utalentowany, posiadał prawdziwy dar, głos tak wspaniały i rzadki, że tydzień po tej okropnej wywiadówce Edwina została zaproszona na rozmowę z nauczycielem muzyki w szkole podstawowej, zabawnym małym człowieczkiem z niesamowicie krzywym kręgosłupem, który poinformował ją, że Charlie ma słuch absolutny.

– Więc powinien być także absolutnie posłuszny – zażartowała Edwina, zadowolona z kalamburu, ale mały człowieczek ze zdeformowanym kręgosłupem zignorował jej poczucie humoru i oznajmił, że warto rozważyć, czy Charlie nie powinien spróbować dostać się do szkoły katedralnej dla chłopców śpiewających w chórze

Westminster Abbey.

To była szkoła z internatem, musiałby opuścić dom.

Powinna była obstawać przy swoim zdaniu, przecież nigdy nie chciała, żeby jej dzieci mieszkały w internacie. Ale Charlie miał taki talent. Do dzisiaj nie wie, czy ten dar był błogosławieństwem, czy przekleństwem.

Czasami żałowała, że bliźnięta nie zostały na zawsze niemowlakami, mogłyby w nieskończoność wierzyć różowoniebieskimi piętami w swoim łóżeczku.

Jej oczy wilgotnieją, mruga, żeby odzyskać ostrość spojrzenia.

– Wszystko w porządku? – pyta chłopak.

Jak on, na Boga, ma na imię? Linus? Leslie?

– Nic mi nie jest – odpowiada.

Lee znów na nią spogląda, Edwina ma oczy jak wiewiórka: bystre, ale lekko roztargnione, jakby schowała orzechy i nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

– Jeszcze tylko dwa piętra – mówi mała kobieta. – Chodźmy, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

O co jej chodzi? – zastanawia się Lee.

Edwina prowadzi chłopaka na dół po schodach, które, jak zauważa Lee, zbyt mocno przechylają się na lewą stronę, trzeba będzie przeprowadzić gruntowną kontrolę konstrukcji całego budynku.

W głębi widać wielkie drzwi frontowe. Niedługo, myśli Edwina, dostarczane tu listy nie będą adresowane do mnie. Nie żeby teraz zasypywana była korespondencją, najczęściej przychodzą ulotki reklamowe, katalogi biur podróży, ohydnych butów ortopedycznych i osobistych alarmów dla seniorów.

Dawno temu wszystkie koperty, te ważne i nieważne, wrzucano przez otwór w drzwiach przykryty mosiężną klapką. Zanim nastały komputery, nim wymyślono e-maile, podstawą była poczta: listy, rachunki, dobre i złe wiadomości, życzenia urodzinowe, kartki świąteczne, pocztówki, wyciągi z banku i oceny pracy ucznia. Wystarczy już tego, upomina samą siebie. Zaczynasz robić się cikliwa, a ten chłopak musi dokończyć swoją robotę.

Ozdobny stolik po lewej stronie pod ścianą zawalony jest ulotkami czyścicieli okien, fast foodów, kółka kościelnego i kursów bikram jogi. Obok stolika niczym wartownik stoi wieszak na płaszcze i parasole, a w lustrze nad konsolą odbijają się jej dwa ulubione portrety: zmarłego stryja Olliego (miał słabo zarysowany podbródek, ale był bardzo przystojny), darmozjada i strasznego kobieciarza, i jego żony, która już tyle lat wpatruje się zaniepokojonym wzrokiem w swojego męża.

Edwina pamięta, jak Ollie za pomocą nowego młotka wbijał gwoździe i wieszał te obrazy, co chwila odsuwał się i sprawdzał, czy wiszą równo.

– Biedny stryj Aiden – kpił. – Powiedziałem ci, że najstarszy syn Treadawayów miał strasznego pecha. To brednie, Aiden skręcił kark, ponieważ był zapitym durniem i kiepskim kierowcą, a jego żona zginęła, bo wsiadła razem z nim do samochodu i oboje stoczyli się z klifu. Chociaż trzeba oddać mu sprawiedliwość, to była bardzo mglista noc.

– Co za głupie fatum – zgodziła się i przytuliła do jego wełnianego marynarskiego swetra, który niecały rok później został na plaży w Kornwalii, gdy ciało najmłodszego syna Treadawayów zabrano do kostnicy.

Przekleństwo, nieszczęśliwy wypadek, zrządzenie losu, któż to wie?

Prowadzi młodego agenta nieruchomości do jadalni, która znajduje się we frontowej części domu. Dickie nalegał, żeby położyć tapetę na brązowofioletowe ściany.

– Nie jestem w stanie przeczytać tu żadnych dokumentów – uskarżał się. – Jest ciemno jak w Czarnej Dziurze Kalkuty¹.

Zdecydowali się więc na tapetę w beżowe, złote i ciemnoczerwone paski; te ostatnie miały wypukły wzorek – tradycyjny, szykowny, w stylu Dickiego. Rzecz jasna po latach wewnątrz zaczęło odrobinę przypominać hinduską restaurację, ale w tym czasie przestali przejmować się już proszonymi kolacjami, gośćmi i wiecznym głędzeniem na te same tematy.

Zatopiliśmy się w książkach i pracy, przypomina sobie, we wszystkim, co pozwalało uciec przed poczuciem winy. No i telewizja – żeby zagłuszyć milczenie.

Biurko Dickiego nadal stoi przy oknie; jedyny mebel, który była żona, Barbara, pozwoliła mu zabrać do nowego domu po drugiej stronie rzeki.

W końcu biurko należało kiedyś do jego ojca, było stare, dębowe, z zasuwaną od góry roletą, po której otwarciu ukazywało się wewnątrz pełne przegródek, maleńkich szufladek i obity zieloną skórą blat.

Dickie lepiej niż Ollie radził sobie z załatwianiem codziennych spraw. Dzięki niemu wszystko było uporządkowane: ubezpieczenie na życie, podatek drogowy, lokaty, każdy świstek papieru, który mógł się do czegoś przydać, leżał na swoim miejscu w jednej ze starannie opisanych szarych kopert. Świadectwa urodzin, małżeństw i zgonów, akty notarialne, wszystkie ważne dokumenty, których nie można było jej powierzyć, bo istniało ryzyko, że wylądują pod stojakiem na parasole, gdzie nikt nie potrafiłby ich odnaleźć.

W przeciwieństwie do jej pierwszego męża Dickie lubił siadywać z wiecznym piórem w dłoni, przeglądać książeczkę czekową, sprawdzać rachunki i upewniać się, że polisy na życie są opłacane w terminie. Lubiał mieć wszystko udokumentowane, dotyczyło to też uroczystości rodzinnych. To on należał, żeby zamawiali u zawodowego fotografa własne kartki świąteczne; pokaz pozorów rodzinnej sielanki.

Dzieci nienawidziły tego zwyczaju, staczały bójki o to, kto ma gdzie siedzieć. Jednego roku Charlie miał podbite oko, następnego Rowena podrapany podbródek. Edwina nigdy się nie zastanawiała, jak wyglądał Lucas; chyba zwykle był naburmuszony.

Edwina uważała, że makabryczne kartki świąteczne były jak środkowy palec pokazany Barbarze – przecież mogła zauważyć jedną z nich na gzymsie kominka u wspólnych znajomych. Co prawda nie mieli ich zbyt wielu, właściwie tylko jednego – Edwinie na krótką chwilę ukazuje się okropna, udręczona twarz biednego Paula Landretha. Dobry Boże, pomimo tego, co się zdarzyło... to wcale nie znaczy, że mu nie współczuła, i oczywiście jego żonie... jak miała na imię? Minty Landreth, biedna jędza. Wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi.

Dawniej na tym biurku stało dużo dobrych fotografii oprawionych w srebrne ramki, ale należą już do przeszłości, do innego stulecia! Są takie staroświeckie, ich obecność prowokuje pytania: A co było później?

Fotografie leżą teraz na dnie szuflady. Zdarza się, że wyciąga je i wpatruje się w dobrze niegdyś znane twarze, upływ czasu daje poczucie dystansu, są jak postaci z powieści. Może gdyby nigdy ich nie oglądała, zapomnieliby w końcu, kim byli ci ludzie.

Pośrodku pokoju mahoniowy stół rozciąga się jak leniwy drewniany kocur. Może przy nim zasiąść szesnaście osób, ale od lat nie było tu tylu gości.

Edwina tak rzadko z niego korzysta, że czasem robi się jej go żal. Jakby czekał, żeby coś się zdarzyło; jest jak zabawka, którą nikt się nie bawi.

Pod ścianą góruje nad stołem olbrzymi kredens z luksusową zastawą stołową, podarunek od rodziny matki Olliego. Wazy na zupę i półmiski do mięs ze złotej i zielonej porcelany, obok, do kompletu, naczynia do warzyw z ciężkimi pokrywami i talerze w różnych rozmiarach: duże do pieczystego i gulaszu, małe do ciast, serów i owoców.

W szufladach leżą płócienne serwetki pokryte brązowymi plamkami rdzy

i zmatowiałe srebrne obręcze do serwetek należące do bliźniąt, z wygrawerowanymi monogramami R.E.T i C.S.T.

Edwina i Ollie poszli na kompromis i nadali też dzieciom drugie imiona: zostały ochrzczone jako Rowena Elizabeth i Charles Sebastian.

Podczas ceremonii, kiedy pastor spryskał czoło Charliego wodą, ten tak gwałtownie odchylił głowę, że uderzył się o chrzcielnicę i prawie skręcił sobie kark, natomiast Rowena wyglądała na lekko znudzoną.

Mieli już wtedy więcej włosów, świadczyły o ich charakterach – Rowena proste, sztywne i rzadkie, Charlie gęste jak zarośla dzikiej róży, splątane, z wyraźną skłonnością do kołtunów.

– Ten chłopiec ma coś z Cygana – zauważył ktoś i Edwina poczuła, jak zalewa ją fala dumy, ale i niepokoju.

Mieli tylko jedną sukienkę do chrztu, zrobioną niegdyś dla prababki Olliego ze strony matki, wyszywaną w zielone koniczynki. Edwina ubrała w nią Charliego; z jakiejś przyczyny uznała, że potrzebuje więcej szczęścia niż Rowena, która musiała się zadowolić zupełnie przyzwoitą, chociaż skromniejszą, białą bawełnianą sukienką od Johna Lewisa.

– Doskonale – przerywa jej Lee.

Edwina nie wie, jak długo już chłopak przestępuje z nogi na nogę, stara się ukryć zniecierpliwienie czy może musi skorzystać z toalety?

Może poczekać, myśli z rozdrażnieniem. Stół należałoby wypolerować, mahoń stracił swój blask, jak kobieta, która zmieniała się w banalną szatynkę, bo zblakły jej kasztanowe włosy. Obicia krzeseł są wytarte, karafki na bocznych półkach nie rzucają już na ściany kolorowych, tańczących cieni.

Kiedy zostali rodzicami, to tutaj zjedli pierwszą bożonarodzeniową kolację, przy stole, który kupili na aukcji w Peckham. Niemowlęta siedziały obok siebie na wysokich krzeselkach, Ollie miał na głowie papierową koronę i wyglądał jak prawdziwy król. Kupił całe pudło strzelających zabawek z niespodziankami, chociaż tylko on i Edwina potrafili je otworzyć, co zresztą zrobili przy butelce czerwonego wina i śmiali się z żartów zapisanych na karteczkach, które wypadały z kartonowych rolek.

Dickie nie chciał wkładać papierowej korony; czuł się skrępowany, uważał, że to głupi zwyczaj. Za to z całą powagą zabierał się do krojenia drobiu, pocierał nóż o ostrzałkę; ten dźwięk nadal przypomina Edwinie o indykach, niedzielach, trudnym okresie, kiedy mieszkał z nimi Lucas, który komentował niezdarne zachowanie Charliego przy stole, kręcił nosem na jej sosy i bez przerwy zerkał na zegarek, bo chciał jak najszybciej wrócić do szkoły albo do matki.

Gdyby był tu przez cały czas, myśli Edwina, mógłby w końcu pokochać nas na tyle, by się wiecznie nie buntować.

Po namyśle uznaje, że mogła bardziej się postarać. Dzisiaj ludzie lepiej sobie radzą z rozwodami – wiedzą, jakie to traumatyczne przeżycie dla dzieci, napisano na ten temat wiele książek, rozmawia się o tym w radiu – ale wtedy nie było łatwo o radę. Robili to, co uważali za najlepsze.

Lucas przychodził tylko na obiady i czasem w weekendy, spędzał też z nimi część

wakacji, ale kiedy zniknął, odczuwała jedynie ulgę. Coraz lepiej widziała, że chłopak nie znosi niczego, co próbowała dla niego zrobić: muralu w pokoju, jedzenia, które gotowała, i prezentów, jakie mu kupowała.

Na pierwsze święta po ślubie z Dickiem podarowała pasierbowi teleskop – w końcu astronomia była jego pasją – ale ledwie oderwał kawałek ozdobionego Mikołajami papieru, w który owinięty był prezent, wepchnął nierozpakowany upominek pod sofę i do końca wieczoru, dopóki nie wrócił do Chelsea, wyglądał na znudzonego. Pamięta, jak swędziały ją ręce, tak bardzo chciała wymierzyć mu policzek.

To był ten rok, w którym poszli całą piątką na pantomimę. Staralam się, myśli Edwina, wszyscy dostali tyle prezentów. Pomimo alimentów dla Barbary nie mieli kłopotów finansowych. Dzieci chodziły do prywatnych szkół, Alicia zawsze była gotowa do pomocy, Dickie jeździł bentleyem, a ona starym saabem.

Wiele osób mogłoby im pozazdrościć: często jadali w restauracjach, chodzili do zoo, jeździli rowerami po parku i starali się umacniać wzajemne więzi za pomocą pięknych przedmiotów, które w jej zamyśle miały stać się pamiątkami rodzinnymi.

Ale gdybym teraz wyjęła wszystkie stare albumy ze zdjęciami, rozważa w milczeniu, nadal zauważałabym te pęknięcia. Nie przypominają prawdziwej rodziny. Poza bliźniętami u nikogo nie widać rodzinnego podobieństwa. Jej dzieci przypominają zmarłego ojca, Lucas jest podobny do matki, a Edwina i Dickie zawsze wyglądają na zbitych z tropu, jakby dziwiło ich to, co zrobili.

– Pójdziemy dalej? – pyta młodzieniec.

Edwina kiwa głową i myśli: To była tylko gra, a my nie znaleźmy jej stawki.

Edwina popycha drewniane drzwi oddzielające jadalnię od pokoju na tyłach domu. Chłopak mruga oczami, nie spodziewał się tego.

– Moja pracownia – wyjaśnia stara kobieta i dodaje w myślach: Mój raj, moje sanktuarium, tu nawet dzieci musiały pukać przed wejściem. „Nawet jeśli odpadnie mi głowa i z pępka będzie leciała mi krew?”, pytał Charlie. „Nawet wtedy będziesz musiał zapukać”, odpowiedziała matka.

– No, no – duka młody agent nieruchomości.

– Prawie już nie maluję, ale kiedyś byłam całkiem niezłą.

Ściany świadczą o prawdziwości jej słów: Edwina nie zgadzała się, żeby te prace wystawiano gdziekolwiek indziej. Co prawda na jednej ze ścian wiszą też dwie abstrakcyjne kompozycje Olliego, ale reszta wyszła spod jej ręki, są jak olbrzymi kolaż składający się z gotowych i ledwie zaczętych obrazów, szkiców i prawie ukończonych dzieł. Akty rysowane węglem drzewnym walczą o przestrzeń z pejzażami (głównie akwarelami), są i pośpiesznie wykonane ołówkiem portrety oraz kunsztowne rysunki piórkiem, całe lata pracy, żywe CV.

– Kiedyś byłam ilustratorką – mówi i robi jej się smutno na widok posklejanych pędzli, tub wyschniętych akryli, połamanych krążków akwarel, zastygłego tuszu w słoikach i zardzewiałych stalówek, ale sztalugi są nadal rozstawione, gotowe do pracy, a stołek wyregulowany na odpowiednią wysokość.

– Ale potem wprowadzili komputery. – Wskazuje na maca. – I, cóż, to już nie było to samo.

Lee jest zdumiony staroświeckim wyglądem komputera. Przypomina kształtem turkusową kostkę toblerone.

– Chyba nigdy nie widziałem tego modelu.

– To mój ostatni – mówi Edwina. – Kiedyś miałam naprawdę stary.

Co nie znaczy, że go używała. Komputer nie pociągał jej tak jak węgle i farby, nigdy nie potrafiła ująć myszki z takim zapalem, z jakim sięgała po ołówek, ekran nie był w stanie zastąpić papieru. Nie mogła się przyzwyczaić, że jej prace znajdują się za szkłem monitora, nie mogła ich dotknąć, przypominały biedne, chore maleństwo zamknięte w inkubatorze.

Ale zanim technologia wzięła górę, kariera Edwiny toczyła się dość gładko. Kiedy zyskała uznanie jako projektantka kartek okolicznościowych, posypały się inne propozycje. Wkrótce ilustrowała książki kucharskie i opowiadania publikowane w czasopiśmie, a potem zgłosili się wydawcy literatury dla dzieci i – ku swemu zaskoczeniu – Edwina stała się gwiazdą.

– Słyszał pan o Betsy i Tomie? – pyta lekko zdziwiona, że nawet po tylu latach pokłady próżności nie całkiem się w niej wyczerpały.

– Nie – pada odpowiedź, a ona chyba nie ma ochoty tłumaczyć, jaki odniosła sukces.

Kolekcja książek o Betsy i Tomie stoi na półce, same pierwsze wydania w twardej

oprawie. Pewnie mogłaby sprzedać na eBayu każdy tom za niezłą sumkę, gdyby tylko wiedziała, jak działa ten eBay.

Oczywiście tekst nie jest jej autorstwa, napisało go małżeństwo zamieszkałe w Barnes. Ale ona stworzyła ilustracje, to jej wizerunki rodziny Love przyczyniły się do sukcesu serii. Tekst był dość nudny, najważniejsze były jej szczegółowe rysunki – zapinane na guziki czerwone buciki, które Betsy bez przerwy gubiła, piegowata twarz Toma i herbatniki domowej roboty, które upychał w kieszeniach szortów – to za tym szalały dzieciaki.

– Zarobiłam mnóstwo pieniędzy na Betsy i Tomie – przyznaje Edwina, składając cichy hołd Alicii, dzięki której mogła w latach sześćdziesiątych zostać pracującą matką.

Czerpałam z tego, co najlepsze w obu tych światach, stwierdza, możliwość pracy w domu była wspaniała. Alicia opiekowała się bliźniętami, siedziała w pokoju dziecięcym albo w kuchni, a ona mogła tu rysować i malować. Widywali się codziennie podczas lunchu, jedli zupę i – najczęściej – jakieś tosty, dzieci w śliniaczkach otwierały usta jak wygłodniałe pisklęta, a potem wracała do siebie, do pachnącego terpentyną królestwa.

Czasem wagarowała i ucinała sobie drzemkę na starym szezlongu. „Chwila refleksji”, tak to nazywała. „Chwila na chrapanie”, drażniła się z nią Alicia.

Przez piętnaście lat ilustrowała niezwykle popularne książki o Betsy i Tomie, a sekret jej powodzenia polegał na prawdzie zawartej w rysunkach. Edwina doskonale wiedziała, jak maluch wymachuje łyżeczką, kiedy siedzi na wysokim krzeselku, jak dziecko dokazuje w kąpieli, bo materiał do studiów miała tuż pod nosem, we własnym domu. Betsy przejęła zwyczaj Charliego, który lubił żuć miękkie ucho pluszowego zajęcia; nawyk Roweny, która spała w łóżku z nogami na poduszce – może był to jakiś atawizm, przecież w takiej pozycji leżała w łonie matki – stał się znakiem rozpoznawczym Toma.

Chwilami Edwinie wydawało się, że zna Betsy i Toma równie dobrze jak swoje dzieci, no i łatwiej było ich kontrolować, ponieważ się nie starzeli. Przez cały czas rysowała puciołowatą czteroletnią Betsy i jej sześcioletniego brata okularnika, choć bliźnięta już dawno zmieniły się w niezgrabnych nastolatków z pryszczatą cerą i życiem pełnym tajemnic.

Betsy i Tom nie mieli sekretów; byli nieskomplikowanymi maluchami z wielką, kochającą rodziną i mnóstwem domowych zwierzątek.

Edwina czerpała pełnymi garściami inspiracje z własnych doświadczeń. Koszt nabycia i utrzymania świnek morskich i królików, które kupiła bliźniętom, zwracał się w postaci honorarium autorskiego. Jej matka została przemądrzałą samotną sąsiadką, a raz wykorzystywała podobiznę Lucasa, by przedstawić wstrętne chłopaka, który rzucał kamieniami w kulawego psa Betsy i Toma.

Ogarnęło ją poczucie winy i szybko wymazała jego twarz, zanim Dickie zdążył cokolwiek zauważyć.

Nie ma co się oszukiwać, kiedy prawdziwe życie stawało się zbyt skomplikowane, przychodziła tu z ulgą, uciekała w fikcyjny świat wyimaginowanych dzieci, które zawsze chodziły do podstawówki, a ich najgorszym występkiem było przemycenie do domu żywej żaby.

Oczywiście pieniądze też były ważne, dawały jej niezależność finansową, w latach pomiędzy śmiercią Olliego a poznaniem Dickiego zdołała doprowadzić dom do porządku i samodzielnie opłacała wszystkie rachunki. Po pewnym czasie była w stanie posłać bliźnięta do miłej prywatnej szkoły podstawowej w Chelsea, kupić samochód i ładne ubrania oraz zapewnić odpowiednie warunki Alicii.

Jaka szkoda, że nie wystarczyło jej sił, by nie wiązać się z nikim, ale była taka samotna, tak druzgocąco, boleśnie samotna.

Gdy dzieci poszły już spać, a Alicia wracała do swojej tajemniczej rodziny na Old Kent Road, Edwina nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Dom był zbyt wielki, a mąż zbyt martwy.

Myślała o nim bez przerwy, ale czasem zapominała, jak wyglądał, i wtedy wpadała w panikę. Bywały noce, kiedy chciała budzić dzieci, żeby opowiedziały jej, jaką miał twarz.

Każde z bliźnięt odziedziczyło inne cechy ojca: Rowena jego nos, Charlie podbródek. Śniło się jej, że twarz Olliego zmieniała się w puzzle, a ona nie potrafi właściwie ich ułożyć.

Czasami, kiedy nie mogła przywołać jego rysów, wyla i przeglądała w łóżku maleńką kolekcję drogocennych rodzinnych fotografii, tych ze ślubu (ich było najwięcej) i tych najsmutniejszych, na których uwieczniono całą ich czwórkę.

Przyjaciel Olliego przysłał po pogrzebie zdjęcie zrobione owego fatalnego dnia w Kornwalii. Nieostre kolorowe sylwetki Edwiny i Olliego: siedzą na kraciastym kocu, każde ma na kolanach jedno z bliźnięt, dzieci wymachują trzymanymi w dłoniach ciasteczkami i śmieją się do obiektywu; szkoda, że Ollie nie zdjął okularów przeciwsłonecznych, może zobaczyłaby coś w jego oczach, jakieś ostrzeżenie przed tym, co miało się stać.

Zastanawia się, co powiedziałby młody agent nieruchomości, gdyby teraz odwróciła się do niego i powiedziała: Mieszkałam tu z mężczyzną, który niespodziewanie umarł na plaży. Mieliśmy dwójkę dzieci. Wysłałam za innego, który był wcześniej żonaty, miał syna, którego nie potrafiłam pokochać. Ten dom przesiąknięty jest naszą krwią, potem, miłością, śmiechem i zdradą. Mogę go opuścić, ale część mnie pozostanie tu na zawsze, zatopiona w murach i podłogach. Możecie odkurzać to miejsce bez końca, ale nigdy nie uda się wam całkowicie nas pozbyć. Tu wszędzie rozsiane jest nasze DNA...

– Idziemy dalej? – pyta i wdycha głęboko zapach, który kiedyś określał jej istotę. Byłam już artystką, zanim zostałam matką, przypomina sobie.

Schody na tyłach domu

Schodzą do kuchni. Na półpiętrze Edwina wskazuje dłonią zamknięte sosnowe drzwi.

– Dolna toaleta.

Lee uśmiecha się ironicznie. Ludzie z pewnych sfer nigdy nie zmuszą się, żeby powiedzieć „ubikacja”.

– Bardzo przydatna – odpowiada. – Im więcej toalet, tym lepiej. Czy jest wystarczająco duża, by wstawić do niej kabinę prysznicową?

Edwina nie rozumie, dlaczego ktoś chciałby mieć prysznic w tym miejscu, więc ignoruje jego pytanie.

W tym domu nawet z najodleglejszych zakamarków wyzierają wspomnienia.

Nie lubi korzystać z dolnej toalety; teraz, ze względu na wygodę, robi to dość często, ale wcześniej całymi latami unikała tego ustronnego miejsca.

Fioletowe ściany barwą przypominają gencjanę – to kolor choroby, ran i poronień. Za każdym razem, kiedy zagląda do tego pomieszczenia, wracają wspomnienia straszliwych wydarzeń, które rozegrały się właśnie tutaj.

Oczywiście to nie dotyczy tylko mnie, upomina się. Nie jestem jedyną kobietą, która straciła dziecko.

To było dwa lata po ślubie z Dickiem. Zaplanowali tę ciążę; odstawiła pigułki, a on kochał się z nią z jeszcze większą pedanterią niż zwykle, wchodził w nią do granic fizycznych możliwości, jakby chciał dodać wigoru swojej spermie. Kilka razy poprosił ją nawet, żeby po stosunku przez kilka minut stała na głowie.

Tak czy owak, udało się. Miała trzydzieści sześć lat, kiedy po raz drugi poczuła, że jest w ciąży – oczekiwała trzeciego dziecka.

Lekarz potwierdził jej stan – w latach siedemdziesiątych nie było takich rzeczy jak testy ciążowe.

Wiedziała o tym, zanim doktor zdążył to potwierdzić: mdłości, obolałe piersi i nadwrażliwość na pewne zapachy. I nagła ochota na koktajle z krewetek.

Od razu zapytała, czy jest szansa, że znów będzie miała bliźnięta.

– To mało prawdopodobne – odpowiedział lekarz. – Chociaż zdarzały się takie przypadki. Wszystko się wyjaśni, musimy poczekać.

Instynktownie myślała o nowym dziecku jak o chłopcu, podczas gdy Dickie uważał, że to będzie dziewczynka, dziewczynka z blond loczkami, takimi samymi, jakie on miał w dzieciństwie. Pękał z dumy i podniecenia, ale lojalność wobec syna przeważała i zaproponował, żeby ogłosili to, dopiero kiedy Lucas przyjedzie do domu ze szkoły.

– Wstrzymajmy się do Wielkanocy, wtedy powiemy dzieciom. To nie byłoby fair w stosunku do Lucasa, gdyby Rowena i Charlie dowiedzieli się pierwsi. Możemy to jakoś uczcić, wyobrażasz sobie, jak się ucieszą, kiedy się dowiedzą, że będą mieli małą siostrzyczkę?

A co, jeśli to chłopiec?! – miała ochotę krzyknąć, ale Dickie był tak bardzo przekonany, że to córka, ładna, ujmująca istotka, którą będzie mógł zabierać na lody i na

zakupy do Knightsbridge. To będzie prawdziwa córeczka tatusia.

W końcu Lucas był synkiem mamusi. Genetycznie łączyło ich wszystko, od karnacji po mistrzostwo w dąsach. Dickie znał swojego syna na wylot, ale bliźnięta pozostawały dla niego kompletną tajemnicą. Nieważne, jak się starał, zawsze były wielką niewiadomą, zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie.

Dickie uważał, że mała dziewczynka będzie tym, co zjednoczy rodzinę, łącznikiem z krwi i kości, zbliży Lucasa do przybranego rodzeństwa, a bliźnięta do niego samego i jego syna.

Edwina nigdy nie widziała męża tak szczęśliwego. Zawsze pragnął gromadki dzieci, ale pierwsza żona miała problemy z zajściem w ciążę i przed poczęciem Lucasa odwiedzali mnóstwo specjalistów. Oboje wiedzieli, że kolejne dziecko byłoby szokiem dla Barbary, którą, jak twierdził Dickie, i tak przerażała większość rzeczy, a najbardziej seks i poród. Po narodzinach Lucasa (były dość makabryczne, trzeba było użyć kleszczy) Barbara zdecydowała, że ma już dość przyjemności łóżkowych i nawet najdrobniejsze przejawy czułości traktowała jak umizgi kobry.

Czterdzieści lat później, niedbałym gestem dłoni wskazując agentowi fioletową toaletę, Edwina przypomina sobie tamto straszliwe poczucie winy. Nie zrobiła nic złego, wtedy nikt nie wiedział, że kobiety w ciąży nie powinny palić. Przecież paliła, kiedy nosiła bliźnięta, i nic im się nie stało. Również piła, co prawda niewiele: od czasu do czasu kieliszek czerwonego wina, czasem whisky. Ale gdy Dickie rzucał propozycje imienia dla dziecka – Penelopa, Jennifer, Clara – milczała. Nie potrafiła wymyślić żadnego, które naprawdę by się jej podobało. Może jak zobaczą jego twarz, mówiła sobie.

To się stało w piątkową noc, tuż przed przyjazdem Lucasa na Wielkanoc, w wigilię dnia, kiedy zamierzali ogłosić radosną nowinę. Przez cały dzień czuła się okropnie, miała gorączkę i bolały ją plecy. Nie mogła się doczekać, aż dzieci pójną spać, i przerażała ją wizyta Lucasa.

Była dziewiąta wieczorem; zmywała naczynia po kolacji, gdy poczuła ból, jakby ktoś ścisnął jej brzuch imadłem. Dickie siedział w salonie z kieliszkiem brandy.

Dziesięć minut później było po wszystkim. Poroniła dziecko Dickiego nad sedesem i spuściła wodę z zakrzepłymi grudkami, nie zastanawiając się, co robi. W zasadzie powinna była zawinąć to w gazetę i przekazać do zbadania. Mogli się dowiedzieć, co poszło nie tak.

„Nie było mi pisane”, takie tłumaczenie zdawało się jej wystarczać. Po prostu nie było mi pisane. „Wady wrodzone”, podejrzewał lekarz. „Albo coś w tym rodzaju”.

A teraz jest zadowolona, że nic dodatkowego nie komplikuje i tak już pogmatwanej sytuacji.

Biedny Dickie, był zdruzgotany. Odebrał Lucasa i spędził resztę weekendu w łóżku – od brandy bolała go głowa. Współczuła mu, ale musiała zająć się jego apatycznym synem. Poddała się w sobotę po lunchu i poprosiła Lucasa o numer telefonu do jego matki.

Nigdy wcześniej nie rozmawiała z Barbarą, nie mogła jednak odesłać Lucasa do Chelsea, nie sprawdziwszy, czy ktoś będzie tam na niego czekał.

– Halo, Barbara? Tu Edwina.

Trzask odkładanej słuchawki. Głupia suka, pomyślała, a jakbym chciała porozmawiać z nią o czymś naprawdę ważnym? Gdyby chodziło o nagły wypadek?

– Sam do niej zadzwoń – poprosiła Lucasa.

– Cześć, mamó, czy mogę wrócić do domu? Nie najlepiej się tu czuję.

Barbara nie zgodziła się, żeby Edwina wsadziła go do taksówki. Chciała przyjechać po syna sama, ale stwierdziła, że „nie postawi stopy w tym domu”.

Za pośrednictwem Lucasa poinformowała Edwinę, że chłopak ma za godzinę czekać przed domem.

Edwina w milczeniu stała z pasierbem na wejściowych schodach; czarna taksówka podjechała dokładnie o zapowiedzianym czasie. Przez szybę dostrzegła na tylnym siedzeniu potężną grzywę hebanowych włosów i błysk karmazynowych paznokci.

Lucas pobiegł chodnikiem i po chwili zniknął w czeluści samochodu.

Edwina wróciła do domu. Nadal krwawiła.

Pokój śniadaniowy

Edwina jest już zmęczona, jej myśli zaczynają krążyć wokół lunchu. Zazwyczaj je zupę albo kanapki. Dzisiaj jest dzień kanapek, najchętniej z serem i korniszonami.

Idzie powoli, ostrożnie, zaciska na poręczy dłoń pokrytą czerwonymi żyłkami. Ostatnia część schodów jest zabójczo wąska. Kiedy skończą zwiedzanie sutereny, zabierze chłopaka do ogrodu, a potem się go pozbędzie.

Ma nadzieję, że w lodówce leży owinięty w folię kawałek sera Cheshire, przy odrobinie szczęścia nie będzie musiała zdrapywać z niego zbyt grubej warstwy pleśni.

Gotowaniem i praniem zajmowała się Alicia, chociaż Dickie wolał, by jego koszule odsyłano do pralni. Ponieważ, jak wyjaśnił, lubił, gdy zajmowano się nimi „profesjonalnie”. Dzień, w którym przekazała tę wiadomość Alicii, nie należał do przyjemnych. Kobieta sapała, narzekała i w przypływie złości trzaskała patelniami, więc Edwina ukryła się w pracowni.

Alicia była równie humorzasta jak każdy z członków rodziny, nie znosiła odkurzacza i nie lubiła robić niczego dla Lucasa. Niechęć była obopólna: te części garderoby, które wymagały naprawy, były specjalnie oznaczone i zajmowała się nimi gospodyni w szkole z internatem. Jakby nie chciał, żeby Alicia dotykała jego rzeczy.

Nigdy do tej pory nie miał bliskiego kontaktu z kolorowymi, przyznał kiedyś Dickie, a Edwina miała ochotę walnąć go w nos łyżką do nakładania potraw.

Jak zwykle w soboty jedli lunch tu, na dole (Alicia przed weekendem, zanim poszła do domu, przygotowała wielką porcję zapiekanki rybnej), a Edwina właśnie nakładała Dickiemu zielony groszek.

– Kolorowych? Nie waz się mówić w ten sposób o Alicii, to nie jakaś Murzynka z filmu o plantacjach bawełny. Dobry Boże, Dickie, mamy lata siedemdziesiąte, pogódź się z tym.

Ale Dickie zawsze sprawiał wrażenie, jakby ugrzązł w latach pięćdziesiątych.

Edwina wścieka się na to wspomnienie. Częściowo można zrzucić to na jego szkołę: Wybourne College był tak konserwatywny, że jedynymi czarnymi, jakich Dickie i Lucas mogli tam spotkać, byli uczniowie z egzotycznych rodzin królewskich lub czyściciele toalet. Co za idiotyczne miejsce.

– A to pokój śniadaniowy – oznajmia chłopakowi i natychmiast zdaje sobie sprawę, że znaki wskazujące, do czego służy to pomieszczenie, rozstawione są po całym stole: ceramiczny imbryk Brown Betty, przykryty wełnianym pokrowcem w granatowo-białe pasy, kubek zimnej herbaty earl grey i talerz ze skórkami chleba nasiąkniętymi marmoladą.

Naprawdę, robi się coraz bardziej otepiała. Mogłaby przysiąc, że posprzątała po śniadaniu, ale najwyraźniej tego nie zrobiła.

– Co za bałagan – mówi przepraszająco.

Na Lee nie robi to żadnego wrażenia. W zeszłym tygodniu o mało nie wdepnął w dziecięcy nocnik pełen moczu.

„Niosący znamiona zużycia” – byłoby łagodnym określeniem, jakim można by

opisać to pomieszczenie. Wszystko tu pamiętało lepsze czasy: postrzępione poduszki na krzesłach, z których odchodzi farba, i puste kuliste akwarium na parapecie, pokryte grubą warstwą kurzu. Widać ślady po dawnych ranach odniesionych w bitwach stoczonych przez rodzinę w zmaganiach z życiem, a jedyną wskazówką, że ktoś tu teraz mieszka, jest spleśniała pomarańcza leżąca w ceramicznej misie.

Edwina siada na sofie. Wygląda na to, że od dłuższego czasu nie wyrzucała starych gazet – całe ich sterty poupychane są po różnych kątach. Może warto byłoby rozpaść ognisko w ogródku i spalić, co się da; nie powinna nawet próbować niczego przeglądać. Lepiej wszystko zniszczyć, niż przekopywać się z mozołem przez wspomnienia z całego życia i zastanawiać się, co zachować. Po prostu puścić z dymem te rupiecie i przy okazji upiec kartofla na żalobnym stosie przebrzmiałych wspomnień.

Chłopak zerka na sufit.

– Rzadko się to już widuje.

Edwina patrzy na wyciąg do suszenia bielizny, który kiedyś ugiął się pod ciężarem mokrych prześcieradeł i niemowlęcych koszulek bliźniąt. W ciągu kolejnych lat ich ubrania przemieniały się ze śpioszków w biało-niebieskie bawełniane bluzeczki (okres przedszkola), a potem w ceglaste sztruksowe spódniczki i szorty (szkoła podstawowa), a później... Och, później wszystko się pokomplikowało. Trzy różne komplety mundurków, trzy różne szkoły, a każda z nich odegrała swoją rolę w tej historii.

Gdyby Rowena nie była taka bystra, Charlie tak podatny na wpływy, a Lucas tak zarozumiały...

– Od dawna tu pani mieszka?

– Tak – odpowiada. Jest zadowolona, że przynajmniej jej stare majtki nie wiszą mu nad głową. – Dłużej, niż pan żyje na tym świecie, dużo dłużej. Ponad pięćdziesiąt lat w tym samym domu.

Spogląda na kredens stojący przy przeciwległej ścianie, omiata wzrokiem półki, jak łowca staroci.

Zachowam ceramikę Clarice Cliff, wszystkie dzbanuszki w kształcie papug i serwis do kawy Susie Cooper. Inne można potłuc albo spalić, nie dbam o to. Zostawię tylko najpiękniejsze rzeczy, w tym wspomnienia. Pieprzyć resztę.

– Miło mieć jakieś mniej oficjalne miejsce, oprócz jadalni, gdzie można zjeść – szepcze i przypomina sobie, jak schodziła z pracowni, by spotkać się tu z Alicią i bliźniętami w czasie lunchu.

Rowena jadła gorliwie i starannie, zręcznie posługując się łyżką, zaś Charlie miał zwykle całą twarz poplamioną sosem do spaghetti, a jego plastikowy śliniaczek uwalany był jedzeniem, które nie trafiło do ust.

Wspomina Alicię objającą swój wielki tyłek o odrapany drewniany stół – bez przerwy wycierała, szorowała, nakładała jedzenie, a jej kok przekrzywił się to na jedną, to na drugą stronę głowy.

Później, w latach siedemdziesiątych, Alicia zrezygnowała z wałków do włosów i lakieru. Przez jakiś czas miała naturalną fryzurę, bujne afro, które otaczało jej twarz niczym wielka aureola.

– Czy nie możesz sprawić, żeby ta kobieta przykrywała włosy, kiedy gotuje? –

pytał Dickie, gdy badał kolację w poszukiwaniu zabłąkanych loków Alicii.

Prawdę mówiąc, Dickie czasami potrafił być upierdliwy.

W tym pokoju kwitło intensywne życie rodzinne. Na drzwiach zaznaczano długopisem wzrost dzieci – „Stój prosto i nie garb się” – kreski nadal są widoczne, opatrzone imionami i datami. Przez wiele lat bliźnięta były mniej więcej jednakowego wzrostu; a potem, nagle, pojawiły się kreski Lucasa; jej pasierb przez kilka lat górował nad przybranym rodzeństwem, do czasu gdy Charlie, już jako nastolatek, zaczął gwałtownie rosnąć.

Tyle ugotowanych, obranych i zjedzonych jajek, góry tostów, niezliczone paczki ciastek, rondle fasolki w sosie pomidorowym; Lucas nie znosił sosów majonezowych, Rowena przepadała za smarowidłem marmite i sałatą, Charlie wcinał chrupiące wieprzowe skwarki, w poplamionym słoiku stały czerwone tulipany, które dostała na Dzień Matki.

Otwiera oczy. Na przeciwległej ścianie wisi oprawione zdjęcie maleńkich rączek przedszkolaków umazanych czerwoną i niebieską farbą. Dłonie Roweny i Charliego.

Przez krótką chwilę Edwina zastanawia się, czy nie mogłaby zostać tu, na dole, przekształcić to najniższe piętro w samowystarczalne mieszkanie. Musiałaby zainstalować prysznic w toalecie, jak sugerował chłopak, ale bez wątpienia byłoby to prostsze niż przeprowadzka.

Po tej wycieczce dom wydaje się jej olbrzymi, jego rozmiar ją przytłacza.

– Tam jest kuchnia – mówi i wskazuje drogę.

Nie może się poddać. Nie zrobiła tego, kiedy było naprawdę źle, nie skapitulowała, nawet gdy ludzie na ulicy wytykali ją palcami. Tak trzeba, jakie jest inne wyjście? Wstaje, strzyka jej w kościach – co za nieprzyjemny, żenujący dźwięk. Gdybym miała broń, zawsze mogłabym się zastrzelić, myśli.

Kuchnia przypomina podmorski świat; może dlatego, że światło wpadające przez tylne okno jest zabarwione na ciemnozielono przez bujną roślinność ogrodu.

Lee czuje się niezręcznie. Nikt już dziś nie chce takich kuchni; istnieje cienka granica pomiędzy stylowymi antykami a staroświecką tandetą. Trzeba będzie wszystko stąd wyrzucić. Ma okropne podejrzenie, że wielka AGA jest zepsuta, stoi tu jak relikwinię minionej epoki, nieruchomy, udomowiony dinozaur. Kobiety z klasy średniej mają bzika na punkcie kuchni. Ktoś, kto kupi ten dom, prawdopodobnie zatrudni projektanta i po roku wewnątrz będzie nie do poznania: założą ogrzewanie podłogowe, wyleją beton i postawią wielką wyspę kuchenną, tak olbrzymią, że zmieściłby się na niej kawałek plaży. Jako doświadczony agent Lee wie, że szykowne kuchnie w Londynie nie przypominają już przytulnych wiejskich pomieszczeń, tylko kostnice i prosektoria.

– Ma olbrzymi potencjał – mówi do małej kobiety, która chyba ucięła sobie drzemkę na zdezelowanej starej sofie w pokoju śniadaniowym.

Edwina nie śpi, przymyka tylko oczy i zastanawia się, dlaczego, nawet w tym wieku, nie czuje się dobrze w kuchni.

Chyba dlatego, że nie miałam bliskiego kontaktu z matką, myśli, a ona z kolei nigdy nie gotowała, bo miała służbę. Nie pomoc domową jak Alicia, ale prawdziwych służących, do których zwracała się po nazwisku i na pewno im się nie zwierzała. Alicia знаła większość moich sekretów, a dla nikogo nie było tajemnicą, że nie potrafię gotować.

– Z kucharzeniem jest jak z pracą w ogrodzie – powiedziała Alicia. – Niektórzy ludzie mają rękę do kwiatów, inni smykałkę do gotowania, a ty, Edwino, nie masz ani jednego, ani drugiego.

– Mama ma talent do malowania – ofuknęła ją Rowena.

Alicia potrafiłaby wymieszać ciasto na naleśniki przez sen, jej ryż był lekki i puszysty, skórka kurczaków brązowa i chrupiąca. Piekła, ubijała jajka, szatkowała, mieszała, jak kuchenny derwisz tanecznym krokiem przesuwiała się pomiędzy piekarnikiem, stołem i zlewem. W przeciwieństwie do niej Edwina była niezdecydowana i niezdarna. Pamięta, jak Ollie uświadomił sobie, jak niezdarną jest gospodynią – kiedy po raz pierwszy spróbowała przygotować prawdziwe angielskie śniadanie.

– O Boże – powiedział, gdy uraczyła go talerzem surowych kielbasek, przypalonych tostów, spieczonych na wiór jajek sadzonych i pomidorów z puszki. Ale zjadł wszystko oprócz kielbasek, bo, jak powiedział, bał się złapać tasiemca.

Nic dziwnego, że był tak rozczarowany, dorastał przecież na farmie, gdzie posiłki były gorące i pożywne, jadano chleb domowego wypieku, a matka gotowała gulasze na wolnym ogniu tak długo, aż mięso odpadło od kości.

– Nauczysz się – powiedział. – A zresztą jesteś utalentowana w innych sprawach. – I wsunął dłoń między jej nogi, a potem rznąli się na stojąco przy ścianie.

Wiele lat później Dickie podarował jej *Kuchnię na co dzień*, oczywiście na urodziny. Przez cały tydzień pilnie chodziła do Kensington na kurs gotowania, gdzie uczyła się przyrządzać nadziewane pieczarki, zapiekane ryby i ciasta. Przynosiła do domu

swoje trofea w wiklinowym koszyku jak uczennica. Dickie dodawał jej otuchy:

– Bardzo dobrze, staruszko, wygląda wspaniale, nie mogę się doczekać.

Ale po dniu spędzonym na ucieraniu masła, przesiewaniu mąki, tarceniu skórki cytryny i zwijaniu rolad nie miała apetytu.

– Dziękuję, zjem tylko tosta i pójdę się położyć.

Przekonała się, że zajęcia ją nudzą, musiała stać przez cały dzień, udawać, że jej zależy, była otoczona przez rozentuzjasmowane młode żony, które robiły tyle zamieszania wokół kaczki w pomarańczach, co przy nowo narodzonym dziecku.

Rzecz jasna pierwsza żona Dickiego, która spędziła cały rok w szwajcarskiej prywatnej szkole dla dziewcząt, była znakomitą kucharką. Jej specjalnością był biszkopt z Genui i ptysie, uchodziła też za ekspertkę od różyczek z lukru.

Lucas wygłaszał peany na temat zdolności kulinarnych matki i przechwalał się tortami urodzinowymi, jakie co roku mu piekła. Bez przerwy tylko mamusia to, mamusia tamto. Do Edwiny zawsze zwracał się na ty.

– Nie możesz zostawić mnie w spokoju? – spytał pewnego razu.

– Nie, dopóki nie powiesz „proszę” – odparła.

– Proszę, czy możesz zostawić mnie w spokoju? – powtórzył posłusznie jak automat i odsunął od siebie talerz z nietkniętą wołowiną w wodnistym sosie.

Alicia nie pracowała w weekendy, jeśli przed piątkiem nie zdążyła zrobić czegoś na zapas, Edwina była zdana na siebie, cebulę częściej przypalała, niż rumieniła, źle przyrządzała czosnek i nie była pewna, jak długo gotuje się jajka.

Praca w kuchni jest skomplikowana, myśli Edwina, stwarza tyle problemów. Nie tylko Lucasa chciałyby zapomnieć, równie stanowczo odgania wspomnienie tych chwil, kiedy Rowena odchodziła od stołu, żeby zwymiotować.

Ona sama ostatnio stała się leniwa, robi zakupy na pobliskiej stacji benzynowej, gdzie mieści się niewielki market Tesco. Jada potrawy z puszki, miękki biały chleb, a na kolacje zadowala się płatkami. Jeśli jest naprawdę głodna, przegląda stos ulotek i zamawia przez telefon jedzenie na wynos. W ostatni weekend zjadła smażony ryż *nasi goreng* z nowej indonezyjskiej restauracji przy stacji metra Lambeth – był wyśmienity, a porcja tak duża, że wystarczyło też na lunch następnego dnia.

Ludzie robią tyle szumu wokół jedzenia, te wszystkie idiotyczne programy kulinarne w telewizji. Raz, po obejrzeniu odcinka *MasterChefa*, musiała zażyć rennie – dostała zgagi, choć niczego nie jadła.

Nagle przypomina sobie, jak tu, na dole, razem z bliźniętami, kiedy były jeszcze małe, przygotowywała ciasteczka ryżowe; nawet dziś przechodzą ją dreszcze na wspomnienie chwili, gdy nakładali lepką masę do cienkich papierowych foremek i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że Rowena jest o wiele zręczniejsza od Charliego.

Od tamtej chwili zaczęła mieć wątpliwości co do swojego pięknego synka. Widziała, jak błądzi nerwowo wzrokiem, przenosi spojrzenie z jednej rzeczy na drugą, jak nie jest w stanie skupić się nawet przez chwilę. Kiedy to zauważyła, nie mogła już udawać, że jest inaczej: Rowena potrafiła usiąść nad książką, obejrzeć obrazki i zrozumieć sens zawartej w nich historii; Charlie siedział obok niej i wykonywał te same ruchy, choć książka leżała przed nim do góry nogami. Nagle wstawał znudzony, odchodził

i najczęściej kończyło się na tym, że przytrząskiwał sobie gdzieś palec albo nabijał guza.

– To trzpiot – mówiła Alicia i śmiała się z wygłupów Charliego, ale czasem i ona wyglądała na zaniepokojoną.

Oczywiście były te cztery lata, kiedy Edwina nie musiała się o niego martwić, cztery wspaniałe lata, gdy wydawało się, że Charlie ma przed sobą jasną, bezpieczną przyszłość.

– Mój syn, chórzysta z Westminster – mówiła z dumą.

Nie chciała, żeby zamieszkał w internacie – miał dopiero dziewięć lat – ale pocieszała ją fakt, że szkoła była nieopodal. Mogła wsiąść do autobusu i pomachać mu przez szybę, a gdyby wydarzyło się coś złego (jej lub jemu), potrafiłaby wtargnąć do tamtego budynku i zabrać go do domu, owiniętego w kocyk.

To Dickie namówił ją, żeby posłała tam syna. Ich romans zaczął się niedawno, on spędzał coraz więcej czasu na Kennington Road, a Charlie potrafił przeszkadzać im w najbardziej nieodpowiednich chwilach.

Rzecz jasna zdaje sobie teraz sprawę, że dla jej kochanka odesłanie Charliego było jak najbardziej na rękę, ale wówczas sądziła, że Dickie robi to ze szczerego serca.

– To życiowa szansa – przypochebiał się. – Większość matek wiele by dała za coś takiego, nie możesz pozbawiać go takiej możliwości. Zresztą chłopcy świetnie sobie radzą w internacie, spodoba mu się.

Pozwoliła mu więc zdawać egzaminy; nauczyciele nie byli zachwyceni jego wynikami, ale fakt, że był tak uzdolniony muzycznie, że śpiewał jak anioł, a ona, biedactwo, była wdową, przechylił szalę na korzyść Charliego.

– Nie powinnam była się na to zgodzić – szepcze teraz, choć wie, że to jej duma, jej obrzydliwa próżność odpowiadają po części za porażki syna.

Chłopak w źle dopasowanym garniturze wysuwa z łomotem szufladę ze sztucami. Pełno w niej mysich odchodów.

– Przepraszam – mówi wesoło. – Nie chciałem pani budzić, ale, hmm, mam dziś jeszcze jeden dom do obmierzenia i muszę...

– Nie spałam – zapewnia go. – Rozmyślałam. Zajrzymy na koniec do ogrodu?

– Dobry pomysł – odpowiada i wychodzą z kuchni, tego wilgotnego zielonego akwarium.

Edwina zмага się z tylnymi drzwiami, w końcu Lee grzecznie odsuwa ją na bok, napiera ramieniem i otwiera je z trzaskiem.

– Rzadko tu zaglądam – przyznaje Edwina. – Wygląda jak dżungla. W szopie jest kosiarka do trawy – dodaje, chociaż Lee nawet nie jest w stanie dostrzec tego budynku.

Edwina jest wstrząśnięta, nie zdawała sobie sprawy, że ogród został tak zapuszczony. Cóż, matka natura potrafi być despotyczna, bardzo łatwo stracić nad nią kontrolę.

Ścieżka zniknęła, ale można dostrzec zarys drabinki nad krzakami jeżyn. Jednak szopa jest całkowicie zasłonięta przez wielkie, stare drzewa owocowe.

Alicja robiła *czatni* z jabłek, który mocno doprawiała imbirem, kardamonem i dużą ilością rodzynek.

Lee brnie w wysokiej do kolan trawie.

– Proszę uważać na pokrzywy – ostrzega go.

– I potłuczone szkło – dodaje chłopak, przedzierając się przez potłuczone szyby i połamane drewniane framugi.

– Próbowaliśmy hodować ogórki – wyjaśnia Edwina. – Tu była kiedyś sadzawka – ciągnie – ale ze względu na Charliego musieliśmy ją zakopać. Rok później skakała tu wielka żaba, jakby pytała: Gdzie on się podział? Kiedyś był tu staw, ale wygląda na to, że zniknął. Mówi się, że to słonie mają dobrą pamięć, ale moim zdaniem żaby nie są gorsze. Pochowaliśmy tu sporo chomików – dodaje, drząc w chłodnych podmuchach październikowego wiatru.

Pierwszego kupiła Rowenie, gdy Charlie poszedł do Westminster. Myślała, że córka może czuć się samotna bez brata, ale tak nie było, zachowywała się, jakby po raz pierwszy w życiu mogła się odprężyć. Kiedy Charlie przeniósł się do internatu, Rowena ujawniła swoje inne oblicze, stała się bardziej towarzyska, mniej zatroskana. Ta nowa Rowena zapraszała przyjaciół do domu na herbatki, a nawet wstąpiła do zuchów, ale szybko uznała, że nie lubi, jak inni mówią jej, co ma robić.

Życie rodzinne stało się bardziej intensywne, matce i córce dobrze robił czas spędzany sam na sam. Rowena przychodziła do sypialni wcześniej rano, po cichu wślizgiwała się pod kołdrę i przytulała do rozgrzanego ciała Edwiny. Może tęskniła za bratem bardziej, niż to okazywała.

Nazwała chomika Lulu, na cześć szkockiej piosenkarki.

– Ma taki sam kolor włosów – tłumaczyła, a Edwina nie miała serca powiedzieć jej, że chomik był samcem.

Rowena przestała przychodzić do sypialni na poranne pieszczoty, kiedy pewnego dnia przypadkowo położyła się obok Dickiego.

Rzadko zostawał na noc, ale wtedy Barbara pojechała z przyjaciółką do spa i skorzystali z tej okazji.

Minęło prawie pół wieku, a Edwina nadal czuje się winna. Dlaczego nie poczekali?

Pamięta, jak opowiadała Rowenie, że Dickie zgubił klucze do domu, bardzo zmarzł

i wszedł do łóżka, żeby się ogrzać.

Na co jej dziewięcioletnia córka odparła:

– Mógł spać w pokoju gościnnym. Mógł zabrać do łóżka termofor albo włożyć sweter.

Przez następne pół roku nie chciała przebywać w tym samym pomieszczeniu co jej przyszyły ojczym. Dickie bardzo się starał: kupował jej lalki i komplety przyborów do szycia, na które patrzyła łakomie, ale nie chciała ich dotknąć; wolała bawić się połamanymi kredkami i brudnymi paletami matki, niż otworzyć nowy prezent – pudełko z doskonałymi kredkami woskowymi.

Edwina przypomina sobie teraz, jak znalazła te kredki w koszu na śmieci – były nieużywane i starannie przełamane na pół. Tak długo wypierała to wspomnienie, jest zaszokowana, że to wszystko naprawdę się zdarzyło.

Rzecz jasna w końcu zawarto rozejm. Dickie znalazł klucz do serca Roweny – były nim książki: stare i nowe, rzadkie okazy i popularne wydania, niektóre z obrazkami, inne bez. Z perspektywy czasu okazało się to dla niego idealnym rozwiązaniem: Rowena potrafiła zatopić się w lekturze na całe godziny, a im dłużej czytała, tym więcej czasu on i Edwina mieli dla siebie.

Przynajmniej chomik dotrzymywał jej towarzystwa, myśli, ale Lulu zdechł. Było to w święta Bożego Narodzenia, od kilku tygodni myśleli, że zwierzątko zapadło w sen zimowy, ale Charlie przyjechał z Westminsteru, zaczął stukać ołówkiem w skrzynkę i wkrótce okazało się, że w środku, pośród trocin i waty, leżą tylko maleńkie kostki.

Przyszli więc tu, tylko we troje, i pochowali go; była Wigilia, a z nieba padał deszcz ze śniegiem. Alicia spędzała święta z rodziną na Old Kent Road, Dickie był w Chelsea z Barbarą i Lucasem. I kiedy przysypywali ziemią trumienkę Lulu zrobioną z rolki po papierze toaletowym, Edwina pomyślała, że nie chce umrzeć w samotności.

Nadal tego nie chce, mówi do siebie, nie chce być jedną z tych staruszek, które ktoś znajduje martwe w fotelach, a powietrze wokół roi się od brzęczących much.

Jej noworoczne postanowienie brzmiało: „Dickie musi opuścić żonę i zrobić ze mnie uczciwą kobietę. Albo znajdę sobie kogoś innego”.

Ostrzegła kochanka:

– Nie mogę wiecznie czekać. Jestem jeszcze młoda, potrafię przyciągać uwagę, jeśli ty się nie zdecydujesz, znajdzie się inny.

By dać mu nauczkę, zainteresowała się nieżonatym przyjacielem Dickiego, który miał sklep z antykami na King's Road. Teddy zabrał ją kilka razy na lunch i dał jej hojną zniżkę na ładną biżuterię, ale przestraszył się, kiedy przysunęła się zbyt blisko: nad górną wargą wystąpiły mu kropelki potu, a jego różowe pulchne dłonie zwilgotniały.

– Przecież on jest pedałem – powiedział Dickie. – Kochanie, w szkole zawsze znajdzie się kilku takich, w mojej było dwóch: Teddy i inny koleś, nazywał się Robbins. Strzeliłaś kulą w płot. Trochę cierpliwości, już wkrótce zajmę się tylko tobą.

Mówił jak sprzedawca w zatłoczonym domu towarowym, nie jak kochanek. Była wściekła. Kiedy powiedział jej, że Barbara będzie musiała poddać się operacji „w tamtym miejscu”, warknęła:

– Chodzi ci o usunięcie macicy, Dickie? Jeśli tak, to wyrażaj się jasno, do cholery.

Miesiąc później Dickie zabrał Barbarę na rejs statkiem wycieczkowym, żeby mogła odzyskać siły. „Naprawdę, kochanie, to była bardzo poważna operacja”, nie może teraz dać staruszce kopniaka, ona czuje się tak podle. Więc zamiast zostawić żonę, zabrał ją na Karaiby, „z polecenia lekarzy”.

Edwina została w domu na Kennington i, jak na ironię, ilustrowała *Przygody Betsy i Toma nad morzem*. Z czystej złośliwości na jednej ze stron narysowała w tle grubą czterdziestopięcioletnią brunetkę, okropnie poparzoną przez słońce, ale wydawca zakwestionował związek tej postaci z akcją i musiała ją usunąć.

Cholerna Barbara.

Niebo zasnuły chmury, pada rzęsisty deszcz, jak tego dnia, gdy poznała Alicję. To ona namówiła ją, żeby zasypać sadzawkę: nakryła Charliego, który wymykał się przez tylne drzwi, i chwyciła go za kostkę, kiedy się przewrócił. Powiedziała, że „chyba szuka guza”, i się roześmiała.

Edwina czuje na karku i głowie krople deszczu i gwałtownie wraca do rzeczywistości.

– Wejdźmy do środka, pani Spinner – mówi Lee. – Za kilka dni powinienem już mieć wycenę i wtedy ktoś przyjdzie, żeby zrobić zdjęcia na naszą stronę internetową.

Ach, więc przedstawiła się jako Spinner? Chyba tak.

W domu Edwina siada w hallu na najniższym stopniu schodów i przed dłuższy czas wpatruje się we frontowe drzwi.

Wkrótce zamknie je po raz ostatni. Czy złe wspomnienia tu zostaną, zastanawia się, czy przylgną do mnie jak pyłek kwiatowy, jak popiół?

Od wizyty Lee upłynął tydzień. Edwina przegląda garderobę. Przesiew trwa co najmniej dwie godziny dziennie. Dziś zajmuje się torebkami; jakim cudem zgromadziła ich aż tyle? Niektóre są prawie identyczne, kanciaste, z solidnymi, szykownymi zatrzaskami, krótkimi okrągłymi uchwytemi, w sam raz, żeby nosić je na przedramieniu, jak królowa. Czarne lakierowane, skórzane niebieskie, z krokodyla, z węża, jasnobrązowe, ciemnobrązowe, czekoladowe. Ma torebki wieczorowe, srebrne, z metalowych kółek przypominających kolczugę, złote satynowe kopertówki i rzadko używaną aksamitną, przepysznie haftowaną, idealną do opery. Nienawidzi opery, nigdy jej nie znosiła.

Rzecz jasna Dickie lubił, jak była szykownie ubrana, chociaż z początku fascynował go jej artystyczny styl. Po ślubie stwierdził, że luźne spodnie „nie są na każdą okazję, kochanie, nadają się do ogrodu, na piknik i do podobnych zajęć”.

To on kupował jej te wszystkie torebki, na urodziny i gwiazdkę. I chociaż wolałaby drogie pędzle (najchętniej z ogonów łasic syberyjskich), Dickie trzymał się tradycji i obsypywał ją wyrobami ze skóry, solidną biżuterią z Hatton Garden i perfumami. Niezliczone flakoniki po Joy Jeana Patou – Edwina nigdy nie mogła się zdecydować, czy lubi ich zapach, czy nie.

Wnętrze szafy nadal jest nimi przesiąknięte, mocne nuty jaśminu i róż mieszają się z wonią potu i odorem naftaliny. Cholerne mole, za nimi na pewno nie zatęskni. Dokądkolwiek się wyprowadzi, upewni się wcześniej, że nie ma tam moli. Zresztą, jeśli pojedzie do Kornwalii, nie będzie już nosić wełnianych swetrów, tylko marynarskie pasiaste bluzki i płócienne kitle malarskie.

Kiedy bliźnięta były małe, ubierała je w stare koszule Olliego, sadzała na stole kuchennym i dawała do zabawy rolki taniego papieru do wyściełania półek i farby w kolorach podstawowych, które rozrabiała na talerzach.

Charlie potrafił błyskawicznie wszystko zapaćkać, nabierał na pędzel za dużo farby, która się rozpląwała, i malowanie kończyło się wielką fioletową plamą. Rowena pracowała mozolnie, czekała, aż wyschnie tło, następnie pojawiały się czerwone jabłka na zielonym drzewie – poprawne, ale bez polotu.

Lucas nie chciał brać udziału w jakichkolwiek kreatywnych zajęciach. Nie potrafiła mu wyjaśnić, że w sztuce chodzi o wolność, ekspresję i luz. Nie lubił luzu, nie chciał pobrudzić sobie rąk, był maminsynkiem, ale chciał też rządzić i w końcu zdołał sobie wszystkich podporządkować.

Pozbyła się wszystkich ubrań Dickiego wiele lat temu, kiedy jeszcze miała samochód. Zawiozła walizki wypchane sztytami na miarę garniturami w prążki i tweedowymi marynarkami do Streatham; specjalnie wybrała sklep charytatywny położony jak najdalej, tak aby nie mogła przypadkiem przejść obok niego. To byłoby straszne, gdyby zobaczyła na wystawie manekina ubranego od stóp do głów w rzeczy zmarłego męża.

Na kolanach Edwiny leży teraz niebieska skórzana torebka z karmazynową

atłasową podszewką, podarunek z czasów, kiedy Dickie się o nią starał. Wrażenie elegancji psuje walająca się w środku stara szminka do ust firmy Rimmel.

Zawsze używała mocnej czerwieni, gardziła pokornym różem grzecznych kobiet. Jej wargi zawsze płonęły, niezależnie od okazji, nawet kiedy szła na spotkanie z przełożonym szkoły katedralnej dla chłopców śpiewających w chórze w Westminster Abbey; i zawsze uważała, że tanie szminki są równie dobre jak te drogie. Według lekko zatartego napisu ten odcień to „Namiętna czerwień”.

Ostrożnie zdejmuje pokrywkę, wysuwa szminkę i maluje swoje stare usta. Przegląda się w lustrze: wygląda idiotycznie, ma czerwono-żółte zęby, a skórę wokół warg pokrywa gęsta sieć zmarszczek. Uszmkowana żółwica, jaka szkoda.

„Jesteśmy bardzo zadowoleni, że możemy przyjąć Charliego, ma naprawdę wyjątkowy głos. Jednak musi być pani świadoma, że w nauce odstaje nieco od innych chłopców. Oczywiście zrobimy co w naszej mocy, by poprawić tę sytuację, ale Charles trafił do nas późno: ma dziewięć lat, a my najchętniej przyjmujemy ośmiolatek. Jednak ze względu na pewne szczególne okoliczności, na które nie mieliśmy wpływu, dysponujemy wolnym miejscem i sądzę, że pani syn zaaklimatyzuje się u nas”.

Edwina była wstrząśnięta, nie spodziewała się, że od razu go przyjmą. Patrzy w wielkie lustro zawieszone w olbrzymiej, starej, cuchnącej szafie i przybiera taką samą minę, jaką – tak sobie wyobraża – zrobiła wtedy. Och, och, och!

Odbicie okrągłych, czerwonych ust przypomina jej usta śpiewającego Charliego i znów słyszy krystalicznie czyste tony, które odbijają się od sklepienia opactwa, sto stóp ponad jego kędzierzawą głową.

To straszne, co spotyka chłopców, myśli Edwina. Wszyscy robią tyle zamieszania wokół dziewcząt, kiedy te stają się kobietami, ten niepotrzebny szum wokół miesiączek.

Rowena miała pierwszą w wieku trzynastu lat i podeszła do tego bardzo rzeczowo: – Będzie mi potrzebny zapas podpasek i trochę paracetamolu, mamusiu.

Ale Charlie dużo ciężiej przechodził okres dojrzewania płciowego.

Zaczął się od tego, że rósł z prędkością słońca, sześć cali w sześć miesięcy. Kiedy wrócił do domu na wakacje, był wyższy od Lucasa, który wydawał się wyjątkowo niski i tłusty po drugim roku spędzonym w Wybourne. W porównaniu z nim Charlie był jak gigantyczna przegubowa lampa stołowa. Zaczął się rozprostowywać i nie było widać końca tego procesu. Wysoki wzrost syna był zaskoczeniem, ale dla Edwiny dużo gorsza była jego grdyka – jabłko Adama sterczało tak ostro, że kiedy zauważyła je po raz pierwszy, przestraszyła się. Wyglądało jak narośl; oczywiście niczym takim nie było, ale nie mogła pozbyć się tego wrażenia.

Głos Charliego się zmieniał. Czasami stawał się piskliwy, czasami charczący, ale najczęściej po prostu lekko się załamywał.

Słyszała, jak w łazience próbował wyśpiewywać wysokie nuty, co bez trudu przychodziło mu w poprzednim semestrze. Była zrozpaczona, brzmiał jak ranna mewa.

Już nigdy nie zaśpiewa, nie tak pięknie, nie w Westminster Abbey, nie przed królową.

Dickie przypominał jej, że to samo spotyka wszystkich: żaden z chórzystów nie zostawał w Westminster Abbey po ukończeniu trzynastego roku życia. Czas było

odwiesić sutannę i małą białą krezę i iść do normalnej szkoły.

Tylko że nie dostał się do normalnej szkoły. Żadna dobra dzienna szkoła w Londynie nie chciała go przyjąć. Pozbawiony głosu Charlie miał niewiele do zaoferowania. Wyniki w nauce miał kiepskie, nawet nie był w stanie czytelnie napisać pracy egzaminacyjnej. W pewnej szkole powiedzieli, że został odrzucony, bo nikt nie potrafił odczytać jego nazwiska.

Nadszedł czas, żeby Dickie użył swoich wpływów.

– Porozmawiam w Wyebourne – obiecał. – W końcu po to zostaje się absolwentem, żeby korzystać z pewnych przywilejów. Zobaczę, co da się zrobić.

Dickie zajmował się polityką i potrafił być bardzo przekonujący, mimo to Edwina była zaskoczona, dowiedziawszy się, że Charlie został przyjęty.

Dickie nigdy nie powiedział, jak tego dokonał, ale później, kiedy wybuchł skandal, domyśliła się i była wściekła, jak jeszcze nigdy w życiu.

Patrzy znów w lustro i porusza ustami, wymawiając bezgłośnie wszystkie najgorsze słowa, jakimi obrzuciła męża.

– Ty chuju, ty pierdolony chuju, wiedziałeś, musiałeś, kurwa, wiedzieć! On był na twoim roku w tej pierdolonej szkole, dlaczego, do cholery, powierzyłeś moje dziecko takiemu potworowi?!

Najgorsze, że Dickie naprawdę nie rozumiał, o co ten cały raban. Z własnego doświadczenia wiedział, że w internacie każdy chłopiec był przez kogoś wykorzystywany. Przez starszego kolegę albo nauczyciela, wielkie rzeczy! Otrząsali się z tego. Pod pewnymi względami pozwalało to stać się prawdziwym mężczyzną.

– To molestowanie! – wrzasnęła. – Ten człowiek miał opiekować się moim synem, a zamiast tego go molestował!

– Uspokój się – odpowiedział. – To za mocne słowa. Nie zapominaj, że znam Robbinsa ze szkoły; może i jest pedałem, ale nie skrzywdziłby muchy.

– Nie mówimy o muchach, mówimy o chłopcach – odparowała. – I ty załatwiłeś miejsce dla mojego syna w tej szkole, wiedząc, że tam dzieją się takie rzeczy?

W tym momencie jakiś skurcz przebiegł po jego twarzy; zrozumiała, że czuje się winny.

I wtedy uświadomiła sobie, dlaczego szkoła zgodziła się przyjąć Charliego: bo Dickie wiedział, do czego zdolny jest ten człowiek, był przekonany, że Robbins nie jest w stanie się kontrolować, władze Wyebourne też były tego świadome, więc jeśli nie znaleźliby miejsca dla Charliego, Dickie mógłby wszystko wygadać.

Przyjęli Charliego, żeby Dickie siedział cicho. Nawet teraz na myśl o tym robi jej się niedobrze, idiotyczny mundurek kosztował masę pieniędzy, do tego ten groteskowy kufer, cała bezużyteczna wyprawka. Po co to wszystko?

Skończyło się na tym, że to Charlie wszystko wygadał. Dwaj inni chłopcy też zgodzili się mówić i rozszedł się smród jak po rozbiciu zepsutego jajka.

Oczywiście władze szkoły robiły, co mogły, żeby zatuszować sprawę. Pan Robbins natychmiast dostał wypowiedzenie (z odprawą) i zatrudniono nowego, heteroseksualnego do szpiku kości nauczyciela wychowania fizycznego, ale oczekiwano procesu sądowego, bo rodzice jednego z chłopców postanowili „dopaść zбочeńca”.

Rzecz jasna Charlie nie mógł dłużej chodzić do tej szkoły, przynajmniej nie do czasu zakończenia całej afery. Uznano, że najlepiej będzie, jeśli odejdzie natychmiast. Więc wrócił, razem z nowym kufrem pełnym prawie nieużywanych rzeczy. Trzy tygodnie później Robbins powiesił się w lesie nieopodal domu swojej matki. Przeprowadzono dochodzenie i stwierdzono, że był niezrównoważony psychicznie.

– A co z równowagą psychiczną mojego syna? – wściekała się Edwina, choć prawdę mówiąc, Charlie szybko dochodził do siebie.

Nie mogła uwierzyć, że Dickie chce, by Lucas pozostał w szkole.

– W miejscu, gdzie grasują pedofile? – Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Znów zaprotestował:

– Nie przesadzaj, Edwino, nie warto szermować takimi słowami jak pedofilia, przecież Charlie nie ma dziewięciu lat.

Kilka lat później Dickie przyznał, że był właśnie w tym wieku, kiedy starszy uczeń po raz pierwszy wszedł do jego sypialni, odwrócił go na brzuch i zatkał mu usta jego własną skarpetką.

– A co z Lucasem? – naciskała. – Jak byś się czuł, gdyby zrobił to Lucasowi?

– Och, o niego chyba nie trzeba się martwić – rzucił ironicznie Charlie.

Nie zauważyła, kiedy wszedł do pokoju.

– Pan Robbins lubił tylko ładnych. – Roześmiał się i wyszedł.

Ile tu tych torebek, myśli Edwina, co za bałagan.

Edwina wie, że musi się uporać z pokojem na górze, ale przeraża ją skala tego przedsięwzięcia, może tylko uchylić drzwi i zerknąć do środka. Czy po prawej stronie, w przeciwległym kącie, stoi stół bilardowy?

Może ludzie, którzy kupią dom, będą chcieli zatrzymać trochę rzeczy. Wśród tych rupieci muszą kryć się skarby – historia zatacza koła i to, co trzydzieści lat temu lądowało na śmietniku, dziś jest bardzo poszukiwane. Na przykład meble marki G Plan to ostatni krzyk mody. Kto by pomyślał?

Od czasu do czasu kupuje „Elle Decoration”, miło popatrzeć, jak ludzie żyją w niezagraconych mieszkaniach. Uśmiechnięte młode pary wokół kuchennych wysp, ich piękne dzieci, fotogeniczne psy i starannie dobrane owoce, kunsztownie ułożone w pięknie wymodelowanych misach. Gdyby można było zacząć wszystko od początku.

Czasami, kiedy nie może zasnąć, wyobraża sobie, że mieszka w białym drewnianym domku na klifie i go mebluje: tu postawi jasnoróżowy wiklinowy fotel, tam bukiet peonii w zielonym wazonie, a na podłodze może gruby, bawełniany hinduski dywan. Jest pewna, że gdzieś taki ma, może leży zwinięty w pokoju na górze.

Gdyby tylko miała dość sił, by uprzątnąć część gratów, może wtedy „drzewa przestałyby przesłaniać mi las” szepcze, choć nigdy tak naprawdę nie rozumiała tego powiedzenia.

Mnóstwo miejsca zajmuje w tym pokoju szkolny kufer Charliego, wielka jasnoniebieska skrzynia obita skórą, ze wzmocnionymi rogami, na którą wykosztował się jego ojczym.

Dickie był sprawiedliwy: kupił Charliemu dokładnie taki sam model jak Lucasowi. Różniły się jedynie kolorem. „To kufer na całe życie, więc powinien dostać najlepszy”.

Kiedy Charlie opuścił Wyebourne, zmienili tylko przywieszkę na bagaż z adresem szkoły (kufer wciąż był w idealnym stanie). Tym razem wyekspediowali go do West Sussex, gdzie, wbrew zdaniu Dickiego, zapisała syna do nieco bardziej „artystycznej placówki oświatowej”.

Koedukacyjna szkoła z internatem Glennings istniała dopiero od dziesięciu lat. Edwina pojechała ją obejrzeć. Dickie nie aprobował tej decyzji.

– Koedukacyjna szkoła z internatem to fatalny pomysł – powiedział. – Wszystkie dziewczyny zostaną dziwkami, a chłopcy będą zbyt rozkojarzeni, żeby grać w krykieta.

– Charlie nie przepada za krykietem – odparła. – Nie znosi sportu, a w Glennings nie ma to znaczenia.

Szkoła stawiała sobie za cel poszerzanie horyzontów uczniów, rozwijanie ich kreatywności, chciała, żeby podopieczni skupiali się na tych przedmiotach, które ich interesują.

– Po co uczyć dzieci czegoś, co je nudzi? – perorował zastępca dyrektora, prowadząc Edwinę po terenie szkoły. – Tu, w Glennings, zachęcamy je, by odnalazły własną ścieżkę. Mogą także trzymać małe domowe zwierzątka – dodał, wskazując znajdujące się nieopodal zabudowania gospodarcze, gdzie znajdowały się różnej

wielkości klatki. – Na przykład króliki i świnki morskie.

Charlie nie chciał mieć zwierzątka, to Rowena była miłośniczką czworonogów. Syn już wtedy wiedział, że posiadanie zwierzęcia wiąże się z obowiązkami: trzeba je karmić i zmieniać podściółkę, a to oznacza babranie się w gównie; poza tym nie miał na to czasu. Charlie zajmował się przede wszystkim samym sobą.

„Charlie to mój ukochany...”, Edwina często nuci tę starą szkocką piosenkę.

Glennig była jakby stworzona dla Charliego. Był zachwycony, że może sam wyznaczać sobie obowiązki (skończyło się tym, że w zasadzie nie miał żadnych) i podekscytowany, że już uczniowie przedostatniej klasy mogli palić na terenie szkoły – co za odjazd! No i nie było mundurków. Przez kilka lat codziennie wkładał sutannę i pomarszczoną białą krezę i musiał gładko zaczesywać do tyłu włosy (na dodatek wieczorem sprawdzano, czy ma czyste uszy). Teraz mógł nosić to, co chciał, i jego ubiór nabrał nieco teatralnego sznytu: w sklepach z używaną odzieżą zaczął kupować prążkowane kamizelki i wzorzyste krawaty, przez pewien czas paradował w zniszczonym cylindrze, a kiedy skończył piętnaście lat, koleżanka z klasy ufarbowała mu na blond końcówki czarnych kręconych włosów. Koleżanka, z którą być może (ale nie na pewno) sypiał.

Podczas gdy Charlie obijał się i chodził wystrojony w oryginalną bluzę wojskową z lat trzydziestych, z przypiętym do piersi rzędem medali, Rowena i Lucas podporządkowali się zasadom panującym w tradycyjnych szkołach prywatnych. Rowenie to nie przeszkadzało, jej mundurki były w miarę znośny: niebieska spódnica, biała bluzka i błękitny sweter, komplet, o którym trudno było powiedzieć coś złego, ale garderoba szkolna biednego Lucasa była niczym niekończąca się wiktoriańska przebieranka. Nie miał jednego mundurka, posiadał cały zestaw na różne okazje: strój codzienny, do kościoła i na uroczyste kolacje, a także kostiumy do tenisa, rugby i szermierki, oszałamiający asortyment różnokolorowych rynsztunków w szkolnych barwach i przepisowych koszul frakowych. W wieku trzynastu lat musiał już samodzielnie wiązać muszki i zakładać spinki do mankietów.

Lucasa przygotowywano do życia dżentelmena. Miał nawet letni słomkowy kapelusz i melonik na chłodniejszą porę. Charliego przygotowywano do... czego? Wyglądał jak włóczęga, jakby urwał się z wesołego miasteczka. Wyglądał jak jego ojciec.

Edwina siada na stosie firanek i spogląda na kłódkę z szyfrem przy skrzyni Charliego. Gdyby miała dynamit, wysadziłaby to cholerne wieko.

Nagle przypomina sobie o pracy, która na nią czeka. Ma porządkować, a nie siedzieć i wdychać kurz przeszłości. Przyniosła ze sobą worek na śmieci, powinna go przynajmniej napęłnić.

Pod firankami leży stos numerów „National Geographic”, który prenumerował Dickie. Można je wszystkie wyrzucić, więc wkłada czasopisma do worka, folia pęka i magazyny wysypują się na podłogę. Jeden z nich znalazła raz pod łóżkiem Lucasa, numer ze zdjęciami półnagich tańczących Maorysek. Biedny chłopak, w szkole całymi tygodniami pozbawiony był widoku dziewcząt w swoim wieku. Nic dziwnego, że posiłkował się czasopismami, chciał wypełnić czymś tę pustkę.

Za to Charlie miał dziewczyn na pęczki. Wszystkie koleżanki Roweny głupiały na

jego widok, a i w Glenning nie zasypiał gruszek w popiele. Edwina pamięta, jak zadzwonił do niej ten sam zastępca dyrektora, który oprowadzał ją po szkole kilka miesięcy wcześniej. Powiedział jej, że musi przypomnieć Charliemu, jaki jest dozwolony prawem wiek, w którym można podejmować współżycie seksualne, bez względu na to, czy ma to miejsce w szkole, czy poza nią.

– Takie są skutki trzymania królików na terenie szkoły – sarknął Dickie. – To podsuwa dzieciom niewłaściwe pomysły.

Edwina napisała do Charliego i bez ogródek wyjaśniła mu, że musi być ostrożny, bo chociaż on może być już gotowy na seks, to dziewczyna, o którą mu chodzi, jeszcze nie.

Odpisał swoją ledwie czytelną bazgraniną: „Bez paniki, ona bierze pigułki”.

Cóż, nie o to jej chodziło.

Pod tym względem Rowena nie dorównywała Charliemu. Była bardzo zdolna i skupiała się na nauce; już kiedy skończyła czternaście lat, mówiło się, że pójdzie na Oksford.

– Byłoby zabawnie, gdyby ona i Lucas znaleźli się w tym samym kolegium, chociaż za moich czasów nie przyjmowano do niego kobiet – zauważył Dickie.

Lucas oczywiście miał wstąpić do jego kolegium; rzecz jasna musiał zdać egzaminy i przejść rozmowy kwalifikacyjne, ale tak naprawdę były to tylko formalności.

Ludzie czasem tak bardzo się mylą, dochodzi do wniosku Edwina, odwraca się plecami do bałaganu panującego na poddaszu i idzie przygotować sobie pyszną kanapkę z szynką. Gdyby wszystko było tak proste jak lunch.

Schodząc ostrożnie po schodach, uświadamia sobie z niezachwianą pewnością, że nie wyrzuci kufra Charliego, dopóki go nie otworzy. Nagle czuje nieodpartą chęć sprawdzenia, co się kryje w zamkniętej skrzyni. Na pewno jakieś wskazówki, coś, co pozwoli jej zrozumieć. Ale najpierw szynka na miękkim białym chlebie, z odrobiną musztardy.

Edwina nie ma siły znów wchodzić na poddasze i postanawia spędzić popołudnie na przejrzeniu zawartości wysokiej komody w swojej sypialni. Dawno temu ten mebel, prezent od rodziców Olliego, przyплыł statkiem z Irlandii razem z wazami do zup i stojącym zegarem – wiktoriańskie wskazówki znieruchomiały, jakby z przerażenia, w chwili, kiedy zabierano go z Cork.

Jest coś straszliwie żalosego w zawartości szuflady z bielizną, te wszystkie sprane majtki i zdeformowane staniki. Ma ochotę włożyć tam podpałkę, a potem wrzucić zapaloną zapalną.

Oczywiście nie zrobi tego, nie jest głupia. Te wąskie georgiańskie domy z drewnianymi belkami stropowymi łatwo zmieniają się w śmiertelnie niebezpieczne pułapki. Gdyby pożar zaskoczył ją na jednym z górnych pięter, miałaby dwa wyjścia: wyskoczyć przez okno i umrzeć lub zostać i zginąć.

Dusić się i spłonąć czy skrzyć kark?

Ryzyko wybuchnięcia pożaru to jedna z rzeczy, które nie pozwalały jej spać w nocy. A co, jeśli dzieci będą bawić się zapalnikami w łózkach? A jeżeli ze sznurka suszarki spadnie skarpeta i włączy piec gazowy? A jakby przypadkiem zostawiła tłącego się papierosa w popielniczce, która chwiejnie stoi na poręczy łatwopalnej sofy? Co wtedy?

Dziwne, jak wiele bezsennych nocy traci się na rozmyślanie o rzeczach, które nigdy się nie wydarzą. Teraz, kiedy nie pali, szansa, że wybuchnie przypadkowy pożar, jest jeszcze mniejsza. Rzuciła razem z Dickiem, dwadzieścia lat temu. Zaczął miewać duszności, musiał odpoczywać na półpiętrach i codziennie rano kasłał przez dwadzieścia minut.

Jak tylko przestał palić, przybrał na wadze, a wokół jego brzucha pojawiła się tłusta oponka, więc ciągle brakowało mu tchu na schodach, ale przynajmniej przestał dokuczać mu kaszel.

Przez kilka następnych lat żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że zrobili to dużo, dużo za późno i że najgorsze już się stało. Przebiegłe komórki rakowe rozwijały się w najlepsze; uśpione niegdyś, zmutowane skupisko choroby rozkwitło.

Ollie palił jak smok, ale umarł, zanim jego płuca zmieniły się w węgiel drzewny. To serce go zawiodło, wadliwe zastawki i zapchane tętnice – tragedia była nieunikniona. Mogło to się stać w każdej chwili, ale wydarzyło się na plaży, pięknego, słonecznego dnia. W okamgnieniu, w błysku światła, w trzepocie skrzydeł motyla.

Ollie sam skrzycał sobie papierosy, zawsze nosił gotowego za uchem, ukrytego pomiędzy ciemnymi lokami. Charlie nabrał tego zwyczaju, kiedy miał szesnaście lat; była wstrząśnięta, że nawyki też są dziedziczne.

Charlie nie tylko obgryzał paznokcie jak ojciec (długie niczym u pianisty palce też miał po nim), ale palił ten sam rodzaj tytoniu, korzystał z takich samych bibulek Rizla i identycznie przesuwiał po nich językiem, z lewa na prawo; kościste przeguby dopełniały rozdzierającego serce obrazu wiernej kopii Olliego.

Podczas gdy jej nastoletni syn z dnia na dzień coraz bardziej upodabniał się do ojca, Lucas stawał się odbiciem matki – ciemnowłosa, korpulentny, miał słabość do słodczy, które były dla niego źródłem pocieszenia.

Edwina przypomina sobie czasy, kiedy jej pasierb był wręcz chorobliwie otyły – miał czternaście lat i ważył ponad osiemdziesiąt kilogramów. Nawet Barbara przestraszyła się i zabrała go do lekarza na Harley Street.

Edwina była zdumiona.

– Dlaczego po prostu nie nakłonicie go, żeby mniej jadł i więcej się ruszał?

– Wiesz, że jest astmatykiem – odparł Dickie.

Edwina nie uważała, żeby Lucas miał astmę; przypadłość tę wymyśliła Barbara, kiedy tylko jej mąż wyprowadził się z domu. To była część scenariusza pod tytułem: „Spójrzcie, jacy jesteśmy nieszczęśliwi” – przez jakiś czas Lucas przyjeżdżał do nich zaopatrzone w inhalatory i instrukcje, że nie powinien się zbyt „ekscytować”, kiedy ma zwroty głowy.

– Ekscytować, dobre sobie. Co to za słowo dla chłopca w tym wieku? Tu chodzi o kontrolę, Barbara nie potrzebuje dziecka, chce mieć marionetkę. Dziwię się, że nie przyszyła mu sznurków. Inhalatory, nie wierzę!

Medyczne akcesoria Lucasa intrygowały bliźnięta i pewnego weekendu Charlie oddał przybranemu bratu całe kieszonkowe w zamian za skorzystanie z jego inhalatora.

Edwina się wściekła. Matka nie dość, że prowokowała własne dziecko, aby uzależniło się od tego świństwa, to jeszcze uczyła je, by ciągnęło z tego profity.

Dickie ją wyśmiał:

– Przynajmniej wykazuje zmysł inicjatywy i przedsiębiorczości. W końcu płynie w nim krew bankierów.

Przyszłość Lucasa była jasna – od momentu, gdy skończył sześć lat, jego przeznaczeniem było „zajęcie w City”, na wzór obojga dziadków.

Nikt nie zadał sobie trudu, by spytać Charliego, dlaczego kupił lekarstwo, które wydawano tylko na receptę. To nasz błąd, myśli Edwina. Może ta transakcja mówiła o Charliem równie wiele co o Lucasie.

Stare majtki Edwiny leżą na środku podłogi, nie nadają się nawet na szmatki do kurzu.

Bizuteria – to, co z niej pozostało – spoczywa w górnej szufladzie po prawej stronie, wciśnięta pod stos jedwabnych apaszek i maleńkich, bezużytecznych damskich chusteczek, nie wiadomo dlaczego ozdobionych koronkami.

Sprowadziła się tu jedynie z kilkoma błyskotkami, przede wszystkim ze srebrnymi bransoletkami z wisiorkami, które otrzymywała w dzieciństwie od matki. Lydia wysyłała je Edwinie do internatu na urodziny albo kiedy „mamusię i tatusia wysyłali na nową placówkę”. W ten sposób chciała chyba przypomnieć córce o miejscu przebywania rodziców.

Edwina potrafi wizualizować sobie te wisiorki, jakby właśnie w tej chwili założyła bransoletki na rękę: mała riksza, Krzywa Wieża w Pizie, pantofelek z zadartym noskiem, hiszpański byk i jej ulubiony (choć nie wie dlaczego) maleńki samochodzik wystający z kubła na śmieci.

– Nie wiadomo, z jakiego kraju pochodzi – spierała się z nią Rowena. – Inne mają czytelny sens.

– Nie wiem, kochanie, może matka chciała przeprosić, że mnie zostawiła, właściciel tego samochodu także go porzucił. A może identyfikowała się z tym autkiem albo po prostu jej się spodobało. Nie mam pojęcia, o co jej chodziło, nie znałam jej zbyt dobrze.

– A czy ktokolwiek kogoś naprawdę zna? – odpowiedziała poważnie córka. Rowena potrafiła być czasami zagadkowa.

Oczywiście, kiedy matka zmarła, Edwina odziedziczyła całą biżuterię Lydii, łącznie ze szkatułką, dużym, wyłożonym czerwonym zamszem pudełkiem od Aspreya, które rozkładało się jak harmonijka i ukazywało mnóstwo różnych przegródek, kieszonek i szufladek.

Lydia zostawiła całą masę krzykliwych broszek i szpilek do kapeluszy z ozdobnymi główkami, misternie wykonane naszyjniki z koralami i upiorny sznur granatów – nic, co Edwina wybrałaby dla siebie, wszystko to było odrobinę w stylu filmu *The Last Days of the Raj*. Bezużyteczne naszyjniki, poplątane jak błyszczące węże, i zmatowiałe bransoletki.

Olliego nie było stać na drogi prezent zaręczynowy, dostała od niego tylko niewielki pierścionek z pojedynczym kamieniem, który później nosiła obok cienkiej obrączki ślubnej, aż pojawił się Dickie i przekonał ją, że robią złe wrażenie. Co ludzie sobie pomyślą?

Więc zastąpiła je większymi, bardziej błyszczącymi i droższymi. Stare, owinięte w watę, spoczyły w filcowej sakiewce, którą Rowena zrobiła w szkole na zajęciach technicznych.

Przez lata kolekcja świecidełek powiększyła się, poczynając od brzydkich wisiorów z lat siedemdziesiątych, które kupowały jej dzieci, a kończąc na lśniących drogich kamieniach i jedwabiscie gładkich perłach, które ofiarował jej Dickie.

Gdyby donosiła dziecko, na pewno dostałaby od niego z tej okazji pierścionek wysadzany wieloma brylantami. Ale tak się nie stało. Kobiety nie dostają biżuterii za poronienia.

W szkatułce trzymała też inne cenne przedmioty: jedyną istniejącą fotografię całej ich czwórki na plaży Sennen, pudełko po zapalniczkach z puklem włosów Olliego, mleczone zęby dzieci i kostkę do gry, którą uważała za szczęśliwą.

Myliła się co do kostki, ponieważ pewnego letniego popołudnia, czterdzieści kilka lat temu, kiedy Alicia poszła już do siebie, a ona była u dentysty, dom splądrowano i jaskrawoczerwona, rozkładana szkatułka na biżuterię została skradziona wraz ze wszystkim, co Edwina tak starannie przechowywała w jej wnętrzu.

Żałowała tylko, że straciła cienką obrączkę z pierwszego małżeństwa, mleczone zęby dzieci, kosmyk włosów, które nigdy nie miały posiwieć, i bezcenną fotografię. Nadal brakuje jej tych przedmiotów.

Jedynym pocieszeniem było to, że Rowena, z niezwykłą jak na nią chytryością, „pożyczyła” sobie bransoletkę z wisiorami i „zapomniała” odłożyć ją na miejsce, więc przynajmniej ten drobiazg ocalał.

Włamanie było szokiem dla wszystkich.

– Ale pomyśl, mamusiu, że to mogło się skończyć dużo gorzej. Dzięki Bogu, że miałaś tę wizytę u dentysty – zauważył Charlie przez telefon.

Zdziwiła się, że wie; nie pamiętała, żeby mu o tym mówiła, ale chyba musiała to zrobić. To słodkie, że potrafi zapamiętać takie szczegóły z jej życia.

W dniu kradzieży był – podobnie jak jego przybrany brat – w internacie. Ona poszła naprawić koronkę, Dickie siedział w biurze w Westminsterze, a Rowena męczyła się w szkole, gdzie pisała końcowy egzamin z historii. Edwina nadal pamięta wiele faktów o arcyksięciu Franciszku Ferdynandzie.

Sprawdzano alibi, bo nie znaleziono żadnych śladów włamania do domu. Rzecz jasna policja, Lucas i Dickie podejrzewali Alicię – co za cholerny idiotyzm, Edwina długo nie mogła otrząsnąć się z wściekłości, w którą wpadła, słysząc te oskarżenia.

Alicia była uczciwsza od każdego z nich, Edwina jasno przedstawiła swoją opinię Dickiemu, który kilka miesięcy wcześniej zaproponował, by ich pomoc domową zatrudnić w charakterze jego „osobistej sekretarki” – w ten sposób mogliby odpisać sobie jej pobory od podatków.

Cierpliwie starała się wytłumaczyć mężowi, że Alicia głęboko wierzy w Boga – ba! nie tylko wierzy, jest przekonana, iż On obserwuje ją w każdej minucie jej życia. Gdyby bez pytania wzięła sobie kawałek mydła z szafki w łazience, poraziłby ją piorunem i spalił na popiół.

To nie Alicii należało się obawiać.

Kiedy patrzy wstecz, ich naiwność wydaje się wręcz niewiarygodna. Prawda była na wyciągnięcie ręki; znów zalewa ją gorycz i czuje ból w sercu.

Edwina jest zmęczona, pada z nóg. Podchodzi do łóżka i zwija się w kłębek pośrodku wklęsniętego materaca.

Edwina wałęsa się bez celu po domu. Ustaliła już, że jest czwartek, ale nie może zdecydować, czym powinna się dziś zająć.

Teraz stoi w pracowni, jak emerytowana artystka kabaretowa, która wróciła do swojej starej garderoby, zwabiona zapachem szminki do charakteryzacji. Przysiada na sofie, wdycha woń terpentyny i farb olejnych, omiata wzrokiem prace, które wiszą na ścianach. Bardzo nieliczne są oprawione; kiedy uznała, że jest tylko ilustratorką, a nie prawdziwą malarką, postanowiła, że nie zasługują na ramy.

W tych kwestiach byłam w stosunku do siebie surowa, myśli, dziś bardziej podziwiam swój ówczesny talent, wtedy nie patrzyłam na siebie tak łaskawym okiem.

Może gdybym nie musiała zarabiać na życie, zostałabym prawdziwą artystką?

Chwilami czuje się umiarkowanie wkurzona, że nie traktowano jej poważniej. Nadal życzyłaby sobie, by jej obraz znalazł się w National Portrait Gallery, ale co miałyby namalować? Jedyne autoportret.

– Jaka ze mnie samotna, stara wiedźma – szepcze, podnosi miękki ołówek i wsuwa go w otwór wiekowej temperówki, przytwierdzonej na stałe do blatu biurka. Zapach strużyn od razu wprawia ją w lepszy nastrój.

Żałuje, że nie ma więcej prac Olliego, zostały jej tylko te dwie wielkie abstrakcje. Kiedy była w ciąży z bliźniakami, rysował ją piórkiem i tuszem; nie potrafił idealnie odwzorować rysów twarzy, ale trafiał w punkt, gdy trzeba było oddać nastrój i charakter postaci. Wyglądała na szczęśliwą, ufną i optymistyczną. Nic dziwnego, że kilka lat później, pełna wściekłości i ginu, podarła je na strzępy.

Kto wie, ile mogliby oboje osiągnąć, gdyby Ollie nie umarł.

Może nie skupiłaby się wyłącznie na komercji. Spogląda na szkice do ostatniego tomu o Betsy i Tomie, *Najszcześniejsze Boże Narodzenie* – to był niesłychany sukces.

Zaproponowała nowatorską okładkę, wielką bombkę choinkową, w której odbijała się cała rodzina Betsy i Toma, ale wydawca uznał ją za „dość niezwykłą” i poprosił, żeby pokazała, jak dzieci rozpakowują prezenty pod pięknie przystrojonym drzewkiem.

Wstępne projekty tej pracy kryją się pod plikami innych szkiców i pomysłów, które przypięła do korkowej tablicy wiszącej nad biurkiem.

– Diabeł tkwi w szczegółach – mówi i przypomina sobie, jak szukając inspiracji, zbierała skrawki ozdobnego papieru do pakowania i skórki po mandarynkach i jak własnymi zębami ogryzała marchewkę dla renifera Rudolfa, żeby nadać jej odpowiedni kształt, nim przedstawi ją na ilustracji.

To była jej najlepsza praca. Pamięta, z jakim namaszczeniem i pasją malowała kosz do noszenia dziecka. Spędziła nad tym wiele godzin, w końcu była to ostatnia ilustracja w książce, wiklinowy kosz, w którym umieszczono najwspanialszy prezent: nową siostrzyczkę Betsy i Toma, maleńką Ewę; nazwano ją tak, bo urodziła się w Wigilię, w dniu swoich imienin.

Kupa sentymentalnych bzdur, dochodzi do wniosku, ale książka sprzedała się w setkach tysięcy egzemplarzy. To właśnie tego wszyscy pragną, uświadamia sobie

i czuje, że skostniała już na tej sofie. Szczęśliwe zakończenie, myśli i podnosi się z trudem, nie chce zeszywnieć tu na amen.

Mogły być kolejne tomy, ale niestety, autorzy serii byli parą alkoholików, którzy straszliwie się kłócili. Felix i Yvonne Tripowie doprowadzili do upadku imperium Betsy i Toma, kiedy Felix próbował przejechać Yvonne ich nowym bentleyem. „Daily Mail” miał używanie, zamieścił zdjęcia nietrzeźwej autorki z podbitym okiem, wydzierającej się na męża na podjeździe ich wspaniałej wiktoriańskiej willi w Barnes.

„CAŁA PRAWDA O RODZICACH BETSY I TOMA” – głosił histeryczny nagłówek, i wydawcy, znani z poszanowania wartości chrześcijańskich (stąd w książkach tyle dziękczynienia za dobre zbiory i liczne sceny w kościołach), zerwali wszelkie kontakty z Tripami. W ten sposób Edwina po raz pierwszy od piętnastu lat została bez pracy.

Przykra sprawa. Dla niej oznaczało to tylko drobne kłopoty, ale dla Tripów był to koniec. Yvonne zmarła na marskość wątroby, zanim skończyła sześćdziesiąt lat, a oszalały z rozpaczy Felix wjechał bentleyem w ścianę. Wielką willę w Barnes przekształcono w dom spokojnej starości i pewna epoka dobiegła kresu.

Nawet gdyby Tripowie w idiotyczny sposób nie przyśpieszyli zmierni „ulubionych dziecięcych bohaterów” (o czym świadczyły przyznawane im co roku nagrody wydawców), pewnie i tak wszystko by się rozpadło.

Kończyły się lata osiemdziesiąte, dzieci się zmieniały, dojrzewały coraz szybciej i stawały się bardziej wyrafinowane. Betsy ze swoim koszyczkiem z przyborami do szycia i piegowaty łasuch Tom stali się relikami minionych, niewinnych czasów. Rodzina Love’ów nawet nie miała telewizora, a Betsy i Tom nie dbali o to ani trochę, bowiem woleli wymyślać własne gry lub bawili się na dworze!

Musieli odejść. Wśród ich przyjaciół nie było żadnego czarnoskórego. Prawdę mówiąc, kiedyś mieli nawet psa, który wabił się Murzyn, ale gdy Edwina próbowała umieścić jakieś kolorowe twarze wśród uczniów grających w szkolnych jasełkach, grzecznie ją poproszono, by z tego zrezygnowała, bo „to nie spodoba się naszym czytelnikom”.

Z jakiegoś powodu, zamiast uprzątnąć pracownię i bez żadnych sentymentów powyrzucać niepotrzebne szpargały (obiecowała sobie, że będzie tak postępować do czasu, aż sprzeda dom), zaczyna temperować wszystkie ołówki, a potem starannie ustawia je w stojakach. Teraz prężą się dumnie i wyciągają do góry zaostrzone grafity.

Pokusa jest zbyt silna. Ręka odruchowo sięga do szuflady, gdzie Edwina trzyma małe szkicowniki. Wyjmuje jeden – czysty biały papier wabi jak świeżo wyprane prześcieradło – i zaczyna rysować. Początkowo niepewnie, przypadkowe przedmioty, stare okulary w niemodnych oprawkach, z soczewkami, które nosiła przed operacją katarakty. Nie chce ułatwiać sobie pracy gumką.

„Musisz się udać za pierwszym razem”, słyszy głos dawnego nauczyciela. „Rysowanie należy do nauk ścisłych. Patrz, bez przerwy obserwuj. Rysuj to, co widzisz, a nie to, co ci się wydaje, że dostrzegasz”.

Rowena też próbowała, ale rezultaty były zaledwie poprawne, więc postanowiła nie zdawać egzaminów z rysunku w szkole średniej, wołała skupić się na bardziej

konkretnych przedmiotach. Edwina była rozczarowana, ale zarazem odczuła ulgę; ta decyzja oznaczała, że nie musiała już dłużej czujnie nadzorować wysiłków córki, powstrzymując się jednocześnie od słów krytyki. („Rozluźnij się, kochanie. Spróbuj rysować lewą ręką, daj się prowadzić kresce”).

Lucas z lekceważeniem wyrażał się o karierze Edwiny.

– Nie widzę sensu w kolorowankach – powiedział jej kiedyś. – To dziecinny zawód, a ty nie jesteś młodą kobietą. – Gdyby nie był dzieckiem, walnęłaby go.

Natomiast postępy Charliego śledziła gorliwie – od mrocznych, mętnych plam na kolorowym papierze, który przynosił z przedszkola, po późniejsze rysunki ze szkoły katedralnej, w których zaczynała dostrzegać obiecujący, choć nieco komiksowy styl. Gdyby tylko chciało mu się nad tym pracować.

Rzecz jasna w Glennings nie było konwencjonalnych lekcji rysunku, nie studiowano tam anatomii człowieka, chociaż czasem dzieci rozbierały się i szkicowały się nawzajem, nagie i roześmiane.

W szkole brakowało dyscypliny, ale za to dawała ona uczniom szansę na rozwój. Glennings była doskonale wyposażoną placówką i, co ważniejsze, pozwalała na eksperymenty. Nikomu nie mówiono, by „nie marnował” papieru lub „oszczędzał brokat”.

W rezultacie prace Charliego były dość ekstrawaganckie. Nie była pewna, czy są dobre. Jej zdaniem posługiwał się arsenałem tanich sztuczek: na przykład pokrywał wielkie płótna metalizowanym lakierem samochodowym. Z pewnością nie miał wybitnych zdolności, ale potrafił zabłysnąć.

Dostał najwyższą ocenę na egzaminie; Edwina była zachwycona, ale i lekko zdumiona. To była jedyna szóstka, jaką otrzymał, i stanowiła dla niego ważną wskazówkę. To wówczas Charlie postanowił, że pójdzie do szkoły plastycznej. W końcu mnóstwo gwiazd popu chodziło do takich uczelni, w ten sposób można było załapać się do zespołu. Tak, zostanie artystą albo gwiazdą pop. A pewnie jednym i drugim.

Edwina spogląda na swój rysunek. Fachowy, choć wykonany nieco chwiejną kreską, kolorowy szkic okularów leżących na biurku i rozrzuconych wokół nich rupieci: czaszki niewiadomego pochodzenia, być może małpiej, i staromodnej, szklanej śnieżnej kuli, której używała jako przycisku do papierów.

Ciężka szklana kula jest stara, pochodzi pewnie z lat trzydziestych, spoczywa na ceramicznej podstawie. Wewnątrz umieszczono maleńką wieżę Eiffla. Potrząsa nią, śnieg otacza budowlę, ale po kilku chwilach opada i wszystko się uspokaja.

– Zupełnie jak w życiu – mówi do siebie. – Kiedy myślisz, że nic złego już się nie wydarzy, rozpętuje się śnieżycy, która cię oślepia i zwała z nóg. Nigdy nie zauważałam, że nadciąga.

Edwina przechodzi z rozgardiaszu panującego w pracowni do w miarę uporządkowanej jadalni. Zamyka za sobą składane drzwi oddzielające te dwa pomieszczenia. Jak można spakować i zabrać ze sobą całe życie zawodowe?

Muszę ograniczyć się do niezbędnych rzeczy, decyduje, na pewno sztalugi i mały stołek. Teraz jednak nie będzie się tym zajmować. Ukryje się tu na chwilę i zbierze myśli.

Pewnie będzie mnóstwo papierkowej roboty, już teraz wzdraga się na myśl o tym, powinna odnaleźć akt notarialny, dowód, że dom jest jej własnością. To oczywiste, przecież ma na to dokumenty.

Najpierw musi zlokalizować klucz do biurka Dickiego.

Dlaczego mężczyźni wszystko chcą zamykać, zastanawia się, a jej myśli znów zaczynają krążyć wokół kufra na strychu. Być może są bardziej skryci niż kobiety – ale zaraz się poprawia: każdy jest skryty, kiedy ma jakieś tajemnice. Tak jak Rowena. Kiedy po raz pierwszy Edwina zaczęła podejrzewać, że dzieje się coś złego? Chyba wtedy, gdy córka skończyła piętnaście lat; siedziała właśnie tu, przy tym stole. Nagle uświadomiła sobie, że jej dziecko nie je w normalny sposób. Rozsmarowywała potrawy na talerzu, kroїła wszystko na drobniutkie kawałeczki i przeżuwała w nieskończoność. Tak naprawdę oszukiwała, udawała, że je, ale prawie nic nie przełykała.

To był początek. Potem Rowena znajdowała wymówki, żeby nie siadać do stołu razem z rodziną, pojawiły się kłamstwa o wielkich porcjach, jakie zjadała w szkolnej stołówce, zmyślone historyjki o obżeraniu się tostami po lekcjach.

Na początku starała się je ignorować, miała nadzieję, że to tylko stan przejściowy. A może Rowena naprawdę nie była głodna? W końcu tak dużo się uczyła, przygotowywała się do egzaminów na koniec szkoły. Chłopcy byli w internacie i może się nudziła, jedząc posiłki z dwojgiem dorosłych. Może nie odpowiadała jej sztywna atmosfera jadalni. Może powinni jadać w kuchni na dole, bez zbędnych ceregieli. Może byłoby inaczej, gdyby Dickie nie żądał posiłków o stałych porach, przygotowanych jak należy, z talerzami podgrzewanymi w piekarniku i odpowiednio nakrytym stołem.

Dickie uwielbiał jeść. Zawsze był lekko zawiedziony wieczornymi posiłkami: dla niego omlet nie stanowił pełnowartościowej kolacji. Kochał rytuały związane z jadalnią, aperitif przed jedzeniem, Edwinę ubraną w coś innego niż poplamiony farbami kitel, rozmowy o tym, jak minął dzień.

Bywały chwile, kiedy zastanawiała się, czy chciałby, aby ubierała się jak Penelope Keith, która grała w sitcomie *Pełna sielanka*.

Barbara lubiła tak się stroić. Bardzo się starała, ale mogła sobie pozwolić, żeby mieć głęboko w dupie wszystko, co nie wiązało się z jedzeniem i ubraniem. Nic dziwnego, że głupia krowa była tak zbzikowana. I oczywiście stosowała przeróżne diety.

– Większość kobiet to robi – mówił Dickie. – Nie martwiłbym się o Rowenę, to zupełnie normalne.

Ale mundurek szkolny wisiał na niej jak na wieszaku; najwyraźniej traciła na wadze. Edwina przypomina sobie dławiący strach, jednak Dickie w dalszym ciągu ją

uspokajał. Mówił, że dużo dziewcząt przechodzi przez dziwne fazy związane z jedzeniem. Przecież chrześniaczka Barbary, Elise, została odesłana z internatu do domu, ponieważ przestała jeść, rozwinął się u niej tak zwany jadłowstręt psychiczny, ale teraz, z tego, co wie, jest już z nią wszystko w porządku. Często gawędzi z jej ojcem w parlamencie. To Paul Landreth, bardzo miły gość.

Wtedy przestawała słuchać. Wszystko kręciło się wokół parlamentu. A co z naszym domem? – miała ochotę krzyknąć. Co ze sprawami, które dzieją się pod tym dachem? Nic mnie nie obchodzi ta cholerna Elise Landreth. Co powiesz na to, że twój syn mnie nienawidzi, a moja córka przestała jeść jak normalny człowiek, ukrywa potrawy w swoim pokoju i zwraca posiłki do toalety. Co ty na to?

Słyszałam, jak to robi, przyznaje się przed sobą Edwina. Słyszałam, jak wymiotuje, a Alicia znalazła w jej sypialni chusteczki pełne gnijącego jedzenia, upchnięte za kaloryferem, ślady po obżeraniu się czekoladą i puste opakowania po środkach przeczyszczających.

Alicia natychmiast powiadomiła ją o tych niepokojących odkryciach i Edwina zadzwoniła do szkoły Roweny, co skończyło się bolesnymi spotkaniami z terapeutami i lekarzami. Rowena była śmiertelnie blada i zakłopotana.

– Wydawało mi się, że to jedyna rzecz, nad którą mogę panować – powiedziała matce.

Edwina przytuliła córkę i obie się rozplakały. Jej plecy przypominały ksylofon, ale cieszyły się, że udało im się zdusić problem w zarodku.

Jednak nie doszła już w pełni do siebie. Nigdy nie zjadała całych porcji ani nie brała dokładek, nie uznawała deserów, chyba że była pijana, a kiedy ktoś przyłapał ją na podjadaniu sera, robiła taką minę, jakby popełniła jakiś straszny występki. Rowena zawsze rezygnowała z posiłku, kiedy była zdenerwowana lub zmartwiona, w przeciwieństwie do Lucasa, który w takich przypadkach od razu szukał pociechy w puszcze pełnej herbatników.

Byłoby miło, myśli Edwina, zjeść tu jeszcze raz. Gdybym mogła przygotować wszystko idealnie, porozstawiać tę piękną starą porcelanę, zapalić mnóstwo świec, udekorować stół cissusami i różami, wtedy moglibyśmy zasiąść tu jak normalna rodzina i byłibyśmy razem. Mogłabym namalować nazwy poszczególnych miejsc, tak jak robiłam, kiedy dzieci były małe. Po raz kolejny uświadamia sobie, jak bardzo ten dom potrzebuje rodziny. Jadalnia zasługuje na to, by rozszedł się w niej zapach ziemniaków polanych masłem, podłoga tęskni za okruszkami czekoladowych ciastek, powinna unosić się tu poobiednia woń starego porto i sera Stilton, a ze świec skapywać na obrus stearyna.

Oczywiście klucz do biurka schowany jest w lichterzu, który stoi po lewej stronie na gzymsie kominka, zawsze tam był. Jak mogła o tym zapomnieć? Jeśli znajdzie niezbędne dokumenty, będzie mogła uznać, że udało się jej coś dzisiaj zdziałać.

Wszystko trzeszczy, kiedy wstaje, i stół, i ona sama jęczą unisono, jakby współczuli sobie nawzajem.

– Wiem, to straszne – mówi do stołu. Jezu, zaczynam gadać do mebli, myśli. Czy ja już na dobre zaczęłam wariować?

Niewielki klucz jest mocno zaśnieżony. Chyba jest z mosiądzu, wisi na

postrzępionej, czerwonej wstążce; z trudem przekręca go w zamku i odsuwa roletę. Na szczęście pasuje też do trzech szuflad, ale zacznie od tego miejsca, gdzie Dickie napełniał wieczne pióro czarnym jak smoła atramentem z kałamarza, z powagą wyjmował z przegródki książeczkę czekową i opłacał domowe rachunki, wśród których najpoważniejszą pozycję zajmowały alimenty dla Barbary i chesne za szkoły dzieci.

Oczywiście nie dawał swoich pieniędzy na Rowenę i Charliego – ona sama płaciła za edukację bliźniąt, dzięki Bogu stać ją było na to. Dziwne, ale Dickie nie chciał, żeby w szkołach wiedziano o tym fakcie.

To nie było przyjęte. Żony i matki nie opłacały chesnego; zasiadały w komitetach, zajmowały się dobroczynnością i zbierały pieniądze dla biednych dzieci w Afryce. Przekazywały datki i ciastka na bożonarodzeniowe loterie, ale nie opłacały chesnego.

Wielokrotnie kłócili się z tego powodu; ona była nieugięta i co semestr przelewała ze swojego konta na jego rachunek odpowiednią sumę.

Powód był bardzo prosty: nie chciała, żeby Rowena albo Charlie czuli się uzależnieni od ojczyma. Miała nadzieję, że będą zadowoleni, iż próbuje zastąpić im zmarłego ojca i zapewnia ich matce tak potrzebne jej życie uczuciowe i towarzyskie (nikt nie lubi wdów), ale nie życzyła sobie, aby zawdzięczały mu wykształcenie.

To, czy zdadzą egzaminy, czy nie, miało zależeć wyłącznie od nich samych. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek usłyszy od Dickiego, że „tyle pieniędzy poszło na marne”. Nie wolno mu było wyrażać się tak o jej dzieciach – jeśli zmarnowałyby daną im szansę, to ona poniesie wszystkie koszty.

Dickie miał wielkie wymagania co do wyników w nauce, zwłaszcza w stosunku do własnego syna. Szczerze wierzył, że Lucas był nieodrodnym dzieckiem swoich rodziców. W końcu obaj uczyli się w Wyebourne, mieli to samo głęboko zakorzenione poczucie własnej wartości, wpajane im przez mężczyzn w czarnych togach i biretach. Potrafili dopiąć swego, przegrana nie wchodziła w grę. Nie wyrzuca się tylu pieniędzy na porażki.

Trudno obiektywnie spojrzeć na własne dzieci, myśli Edwina. Traktujemy je jak krusze, drogocenne bombki choinkowe, które błyszczą dla nas specjalnym blaskiem, więc obchodzimy się z nimi ostrożnie, żeby przypadkiem nic im się nie stało.

Dickie czuł się winny wobec Lucasa. Wiedział, jak bardzo syn przeżył rozwód rodziców, do tego dochodziły problemy z nadwagą, urojona astma i jąkanie (na szczęście szybko minęło), więc starał się mu to zrekompensować – został jego fanem, prawie tak zagorzałym jak matka.

Edwinie wydawało się, że on i Barbara współzawodniczą w tym, które z nich bardziej nadmucha i tak już wybuduje ego syna. Pewnego dnia eksploduje, myślała w głębi duszy.

Bywały chwile, najczęściej podczas niedzielnych obiadów w tym właśnie pokoju, kiedy Lucas perorował pompatycznym tonem na temat jakichś niewydarzonych teorii o imigracji albo o związkach zawodowych, a Edwina miała ochotę mu przerwać: Och, zamknij się już, ty rozkapryszony bachorze. Nie masz o niczym pojęcia, więc buzia na kłódkę i jedz więcej warzyw, to może zmądrzejesz.

Ale może wszystkie dzieci były rozpuszczone; ona na pewno rozpieszczała Charliego. Tylko Rowena wydawała się uodporniona na pochlebstwa i przewracała

oczami, kiedy matka mówiła jej, że ślicznie wygląda, była bezkompromisowa wobec własnych braków. Lucas natomiast bez przerwy potrzebował pochwał.

– Nie jest taki pewny siebie, na jakiego wygląda – wyjaśniał jego ojciec, a Edwina miała nadzieję, że to prawda. Być może nieznośna zarozumiałość była tylko maską, pod którą skrywał się kolejny młody człowiek, który nie wiedział, kim tak naprawdę jest.

Edwina opuszcza blat biurka i otwiera górną szufladę. Od razu rzuca się jej w oczy żółtobrazowy skoroszyt opatrzony napisem: „Lucas – świadectwa szkolne”.

Chłopak wkładał mnóstwo wysiłku w naukę, ale wyniki miał zaledwie przeciętne; jego ojciec nie mógł zrozumieć, dlaczego tak było. Lucas zawsze miał usprawiedliwienie: z powodu kumoterstwa nie mógł się dostać do pierwszej reprezentacji w żadnej dyscyplinie sportowej; za gorsze oceny odpowiadał pech; niezdiagnozowana mononukleozą spowodowała, że miał nie najlepsze świadectwo.

– Skąd wiesz, że miał mononukleozę? – spytała Dickiego.

– Ponieważ oceny, jakie otrzymał, wskazują, że coś z nim było nie tak. Dostateczny z historii? Musiał być chory – odparł Dickie, jak zwykle zaskoczony kiepskimi stopniami syna.

Szczerze mówiąc, powinna była odpowiedzieć, że może za mało się uczył.

Ale tego nie zrobiła. Dickie, podobnie jak Lucas, bardzo łatwo wpadał w zły nastrój.

Po tróci z historii Dickie nie chciał ryzykować i zapłacił za korepetycje. W końcu chodziło o to, żeby Lucas poprawił oceny z Wyebourne na tyle, aby dopuszczono go do egzaminów na Oksfordzie.

I tak Dickie zasiadał przy biurku i wypisywał kolejne czeki swoim pięknym charakterem pisma, opłacał nerwowego młodego człowieka, prymusa z kolegium Balliol, który podczas weekendów miał wtłaczać wiedzę do głowy Lucasa.

Niestety (dla Dickiego) syn większość wolnego czasu spędzał w Chelsea, gdzie Barbara zawsze skracala lekcje, żeby jej „przystojny książę” mógł zjeść porządny obiad.

List, który oznajmiał, że Oksford nie przyjmie Lucasa, musi leżeć w jednej z tych szufladek, chyba że jej mąż dokonał jego rytualnego spalania.

Pamięta, jak Dickie zażądał fizycznego dowodu, ponieważ kiedy syn przekazał mu tę wiadomość, uznał ją za kiepski dowcip. Już raz Lucas zażartował sobie w ten sposób, udając, że oblał egzamin na prawo jazdy.

Ale tym razem to nie był kawał. Po tych wszystkich wysiłkach i poniesionych wydatkach nie został przyjęty do macierzystego kolegium swojego ojca; Dickie spędził weekend w łóżku, wymawiając się migreną.

Kolejnego ataku dostał rok później, kiedy jego pasierbica dostała się do Hertford. Jak to możliwe, że Rowenie się udało, a Lucasowi nie?

– Och, Rowena... – mówi. Żal, że nie może pogłaskać córki i przytulić twarzy do jej szyi, jest nie do zniesienia.

Myliłam się, dochodzi do wniosku. Postępowałam źle, a mam coraz mniej czasu, by to naprawić. Zanim zmieni zdanie, sięga po plik niebieskich kopert adresowanych do niej i do Dickiego, listów, na które nigdy nie odpowiedziała. Ma nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

To chyba poniedziałek; Edwina nie jest pewna. Odkąd zdecydowała się sprzedać dom, straciła poczucie czasu. Tak dużo myśli o przeszłości, że chwilami doznaje szoku, kiedy okazuje się, że tkwi wciąż w teraźniejszości.

Jest na parterze, pije kawę, mleko chyba (ale nie na pewno) jest nieświeże. Może odrobinę, dochodzi do wniosku, ale nie odstawia filiżanki.

Przyszedł chłopak, chce jej pokazać fotografie domu, które pojawiają się na stronie internetowej agencji nieruchomości.

Lee (tak ma na imię, chociaż kiedy otworzyła mu drzwi, chyba nazwała go Lennym) krzywi się nad kubkiem herbaty. Na powierzchni brązowego płynu pływają białe grudki. Tak, mleko zdecydowanie jest nieświeże.

– Sądziłem, że będzie pani miała ochotę na nie zerknąć – mówi i wyciąga iPada. – Wystarczy przeciągnąć palcem.

Naprawdę? Chwilami naciska zbyt mocno, a wtedy zdjęcie znika i muszą zaczynać od nowa. Czuje, że cierpliwość Lee się wyczerpuje, za chwilę pęknie jak kruche francuskie ciasteczko, ale na razie chłopak stara się być miły.

– Powinna sobie pani taki sprawić – mówi, a ona zdusza ziewnięcie; jest tak potężne, że omal nie rozsadza jej czaszki.

Ale jest pod wrażeniem, jak efektownie wygląda dom na fotografiach. Oczywiście duża w tym zasługa odpowiedniego kadrowania, zbliżeń na georgiańskie detale. Nie widać, że schody są pochyłe, a tynki popękane; świetnie wykorzystano grę światłocieni, podkreślono subtelne kolory marmurów kominka, kunsztowne gzymsy i stylowe dębowe okiennice.

Edwina przebiega wzrokiem po tekście, który umieszczono obok zdjęć, i jest nieco zaskoczona, że dom porównano do „szykownej, dojrzałej damy z Kennington, z gracją zasiadającej pośród najwspanialszych georgiańskich rezydencji w Southwark, która posiada doskonale połączenia z West Endem i City. To wyjątkowa okazja, by zostać właścicielem nieco przebrzmiałej piękności z czterema sypialniami, mimo iż wymaga pewnych czułych zabiegów i lekkiej renowacji”.

Tak jak my wszyscy, myśli w zadumie Edwina, popijając kawę o dziwnym posmaku, ale widok ceny zapiera jej dech w piersiach. Dwa miliony funtów. Jej rudera w starej dzielnicy południowego Londynu warta jest dwa miliony funtów?

Pyta chłopaka, czy nie zaszła jakaś pomyłka, a on początkowo sądzi, że jest urażona wyceną.

– Nie ma pani garażu ani parkingu przy domu – duka.

– Nie mam też lądowiska dla helikopterów na dachu. Dwa miliony funtów! To niewiarygodne.

Co za absurd, być tak zamożną i jednocześnie za starą, by się z tego cieszyć.

Postanawia nie myśleć o pieniądzach. Poprzedniego dnia znalazła w biurku Dickiego nazwisko pewnego doświadczonego adwokata; on będzie umiał zająć się tą sprawą. Na chwilę zapomina, że sama też jest już bardzo doświadczona. Owszem, ale

w zupełnie inny sposób, odpowiada sobie.

Chłopak czuje się niezręcznie; musiała poruszać ustami. Tak to bywa przy częściowej głuchocie: nie słysząc, kiedy się mówi do samego siebie.

Lee podaje Edwinie długopis, a ona podpisuje papiery na kuchennym stole.

Wydaje się zadowolony.

– Zaczniemy umawiać zainteresowanych obejrzeniem domu od przyszłego tygodnia. Będę panią informował. Proszę nie wstawać, sam wyjdę.

Jest lekko oszołomiona; to takie niespodziewane. Mogłabym kupić łódź, myśli. Ollie zawsze chciał mieć jacht.

– Do widzenia, mój drogi. – Znów zapomniała, jak mu na imię. Powinien nosić plakietkę, jak sprzedawcy w pobliskim Tesco, co nasuwa jej myśl, że...

Mleko, potrzebuje mleka. Musi zrobić listę. Nadal trzyma w dłoni długopis, który pożyczył jej chłopak; zaraz się zastanowi, co musi kupić. Bierze kartkę i zaczyna pisać:

Kochana Alicio,

mam nadzieję, że dobrze się miewasz, wycinasz regularnie nagniotki, a reumatyzm nie daje Ci się we znaki. I nie zaprzętaj sobie głowy dietą. Nie możesz przecież pozbyć się swojego wspaniałego tyłeczka. Pamiętam, jak wypełniał połowę wagonika metra.

Tak czy inaczej, chodzi o to, że sprzedaję dom. Powinien znaleźć nowego, dobrego właściciela, który potrafi go okiełznać. Jest jak wielki pies, Alicio, nie dają już sobie z nim rady. Chciałabym, żebyś była tu ze mną i mogła mi pomóc. Trudno mi cokolwiek wyrzucić. Znalazłam jedenaście plastikowych pojemników, za pomocą których napelniałaś kiedyś wodą żelazko; nie mogłam się zdecydować, który z nich zachować, więc postanowiłam zatrzymać wszystkie.

Chyba wyjadę i zamieszkać w Kornwalii. Chciałabym umrzeć z pędzlem w dłoni, w chwili, kiedy maluję morze i błękitne niebo. Wszędzie natrafiam na Twoje ślady, Alicio. Piszę ten list w kuchni i widzę Twoje dłonie pokryte mąką, widzę, jak zakładasz śliniaczki maluchom, słyszę, jak śpiewasz, i czuję zapach słodkich ziemniaków, po które jeździłaś aż do Brixton, i pamiętam twarze dzieci, kiedy po raz pierwszy spróbowały mango. Ten dom nie byłby mój, gdyby nie Ty.

Niedługo znów napiszę.

Mleko, galaretka, dżem.

Nagle przypomina sobie, że Alicia nie żyje, umarła w zeszłym roku. Edwina chciała pojechać na pogrzeb, ale nim załatwiła sobie nowy paszport, było już za późno. Nie może tak postępować, nie wolno jej odkładać wszystkiego na ostatnią chwilę. Jest ktoś inny, do kogo musi napisać, ktoś, kogo powinna błagać o wybaczenie; i tak robi, powie, że przeprasza. Ale nie teraz. Jest taka zmęczona.

Edwina zasypia na sofie i śni, jak robi torty na przyjęcie urodzinowe bliźniąt. Mają

po trzy latka i Ollie jest z nimi. Nawet w snach wie, że on nie żyje, ale ma nadzieję, że jeśli nie będzie o tym mówić, to z nią zostanie. Dziś pomagają dzieciom rozpakować prezenty: plastikowy pojemnik do napełniania wodą żelazka, kilka długopisów i mango.

Dzieci się śmieją, ale Rowena nie chce jeść urodzinowego tortu. Podciąga koszulkę, ma kościste, kruche, białe ciało, wygląda jak mątwą. Ollie patrzy na nią, jest przerażony; Edwina wie, że go straciła. Znowu zniknął na zawsze.

Budzi się zalana łzami. Nawet we śnie urodziny bliźniąt są dla niej wzruszające; nigdy nie była w stanie zaśpiewać im *Happy Birthday*, nie dławiąc się od płaczu. Widzi ich twarzyczki oświetlone blaskiem świeczek na torcie, wydęli policzki, są gotowi, by je zdmuchnąć. Alicia wyciska sok z pomarańczy, przygotowuje stopy kanapek, wszyscy szykują się do gier i zabaw. Pewnego razu sporządziła mapę skarbów i rozdała wskazówki, które prowadziły gości po zakamarkach domu i ogrodu. Wszyscy przyszli przebrani za piratów, a Alicia upiekła tort w kształcie skrzyni pełnej kosztowności.

Siedem, chyba kończyli wtedy siedem lat; w słodkich dziecięcych buziach pojawiły się wielkie i krzywe stałe zęby. Przyszło mnóstwo kolegów i koleżanek ze szkoły, dziewczynki miały kucyki związane jedwabnymi wstążkami, płowowłosi chłopcy biegali i krzyczeli, popisywali się i siłowali, dziewczynki piszczały.

Przyjęcia urodzinowe bliźniąt zawsze były wielkim wydarzeniem, organizowali je z rozmachem. Edwina i Alicia starały się, jak mogły, chciały zrekompensować im brak ojca. Pamięta naturalnych rozmiarów kartonowego osła, którego zawiesiła na ścianie – dzieci z zawiązanymi oczami usiłowały przypiąć mu brakujący ogon z papieru – i gry w gorące krzesła. Pamięta swoją dłoń gotową w każdej chwili unieść igłę znad płyty gramofonowej – szybciej, szybciej, policz do dziesięciu i znowu ją opuść – jej ulubionym utworem była *Żółta łódź podwodna*. Prezenty na do widzenia, kawałki tortu w serwetkach, ołówki z gumkami w kształcie trolli, baloniki.

I ulga, kiedy wszystko się kończyło. „Pa, pa, dziękuję, że przyszliście”.

Matki, a czasem ojcowie, przyjeżdżają, żeby odebrać dzieci, rzucają zaciekawione spojrzenia, kiedy wchodzi do hallu. Kim jest ta wdowa z ciemnowłosymi bliźniakami? Podobno jest artystką. Spójrzcie na tę czarnoskórą gosposię.

Wszystkim zajmowały się wyłącznie we dwie, ona i Alicia. Szkoda, że Alicia nie potrafiła robić zdjęć, w tym była beznadziejna, więc Edwina sama musiała obsługiwać leicę. I dlatego na wszystkich fotografiach bliźnięta wyglądały, jakby nie miały ani ojca, ani matki.

Po paru latach zażądali, by wyprawiać im oddzielne przyjęcia; w końcu nie urodzili się tego samego dnia. Edwina przypomina sobie pełen napięcia weekend, w którym jeden dzień spędziła na malowaniu ceramiki z samymi dziewczynkami, koleżankami Roweny, a następny z kolegami Charliego, przy stole zabawnie udekorowanym rybami i frytkami.

Kiedy w ich życie oficjalnie wkroczył Dickie, szął z przyjęciami już osłabł. Rowena stała się dużo bardziej wybredna, wołała zabierać małą grupkę znajomych na wykwintne podwieczorki – na herbatę do Ritza, popołudniowy spektakl, kolację w obracającej się restauracji na szczycie Post Office Tower – a Charlie wybierał wypad do kina i pizzę.

Lucasowi przyjęcia wyprawiała Barbara; odbywały się na River Walk i nigdy nie

zapraszano na nie bliźniąt.

Dzień, w którym świętował dwudzieste pierwsze urodziny, był pełen napięcia. Rzecz jasna Edwina nie została zaproszona, ale Dickie musiał się pokazać; w końcu był ojcem. Trzeba było przestrzegać protokołu, srebrno-czarne zaproszenia opatrzone adnotacją: „Prosimy o potwierdzenie przybycia”.

Najpierw była kolacja w hotelu Claridge's, a potem zabawa w dyskotecce na West Endzie.

Bliźnięta też nie zostały zaproszone, zresztą i tak by nie poszły. Rowena miała zbyt wiele zajęć na uniwersytecie, a Charliemu byłoby żal pieniędzy na pociąg z Manchesteru (gdzie studiował w szkole plastycznej). Zresztą należało przyjąć pod krawatem, a Charlie, nie licząc wąskiego skórzanego śledzika, nigdy nie nosił czegoś takiego.

Edwina postanowiła być ponad tym. Namalowała pasierbowi banalny pejzaż i przypomniała swoim dzieciom, żeby wysłały kartki. Jak zwykle Rowena zastosowała się do jej prośby, a Charlie nie.

Dickie wrócił do domu o trzeciej nad ranem. Wszedł na górę z cygarem i szklaneczką whisky, był zawiany i bełkotał coś o przyjęciu.

Zdaje się, że spotkał wszystkich starych znajomych, szkolne koleżanki byłej żony i jej druhny, Minty i June.

– Postarzały się i przytyły – chichotał. – Ale nadal da się je rozpoznać. Oczywiście Minty wyszła za Paula Landretha. – Siedział na skraju łóżka i dopadła go czkawka. – To mój kumpel z kolegium. Też tam był, i jego córka, Elise, też. Całkiem ładna, jeśli ktoś lubi te postrzępione fryzury.

Usiłował zdjąć skarpetki, ale nadal głądził o tym, jak szczupło Lucas wyglądał w swoim smokingu, ilu przyszło ludzi z Uniwersytetu Warwick i jak wszyscy dobrze się bawili. Edwina leżała w łóżku, zagryzała wargi i myślała: Jak będzie chciał się ze mną kochać, to chyba go zabiję.

Dickie zasnął, zanim włożył spodnie od piżamy. Upewniła się, że cygaro jest zgaszone – wrzuciła je do whisky.

Wspomnienia z tej nocy są takie żywe; nadal czuje zapach cygara w szklaneczce glenfiddicha. To była cisza przed burzą.

Miały nastać dla nich dobre czasy. Dzieci były już prawie dorosłe: trzeba było jeszcze chwilę poczekać, aż bliźnięta skończą dwadzieścia jeden lat, a potem będą mogli pomyśleć o tym, co dalej.

Planowali, że Dickie przejdzie na emeryturę, stać ich na częste podróże do Francji i Włoch. Ona będzie przyjmowała zamówienia na portrety, może nawet klienci będą pozować u nich w domu. Wiek średni to coś dla nich: zaczną chodzić do teatru, na wystawy i do muzeów. Wyobrażała sobie, jak spacerują w słońcu i noszą słomkowe kapelusze. Przyszłość rysowała się w jasnych barwach, miała smak i zapach sera brie, dobrego wina i śródziemnomorskiej bryzy.

Jakże się myliła, jak bardzo się myliła. Los spletał im okrutnego figła. Kiedy myślała, że już im się poszczęściło, nagle cały ich świat legł w gruzach, a oni błędzili we mgle.

To się stało niecały rok później. Niczego się nie spodziewali, katastrofa nadciągnęła niepostrzeżenie, ale uderzyła z siłą huraganu.

Połowa marca 1981 roku. (Pozwala sobie tylko na miłe wspomnienia; powraca do nich, kiedy bezsenność i niepokój wirują po jej sypialni). Bliźnięta kończą dwadzieścia jeden lat, dwadzieścia jeden lat życia na tej planecie, i mają przyjechać do domu na weekend. Będzie uroczysty niedzielny obiad, na który przyjdzie nawet Lucas, szykuje się prawdziwa wystawna rodzinna feta.

Alicia upiekła tort czekoladowy, a Edwina wyciągnęła najlepszą porcelanę. Powietrze przepelnia zapach niebieskich i białych hiacyntów, które stoją w wazonie.

– To mój ulubiony zapach – szepcze Edwina.

Fotografie z tego dnia leżą w szufladzie kredensu, wyciągnięte z ramek, usunięte z gzymsu nad kominkiem i z blatu biurka. Prowokują za dużo pytań. Ten chłopiec po prawej nie jest podobny do pozostałej dwójki. Rety, ale ta dziewczyna jest chuda. A kim jest ten drugi chłopak? Kim jest ten chłopak z ciemnymi jak u Cygana oczami, dlaczego nosi damski naszyjnik?

Głos Dickiego:

– Charlie, bawisz się w pedała?

Chichot Lucasa, poirytowane westchnienie Roweny.

A Charlie po prostu dotyka naszyjnika i się uśmiecha, Edwina natychmiast czuje ulgę. Jest szczęśliwy, jest zakochany.

Pierwsza w domu zjawiała się Rowena. W końcu to jej urodziny wypadały w sobotę. Przyjechała z Oksfordu pociągiem i w porze lunchu była już w domu. Czuła się dużo lepiej, ale nadal musiała zmagać się z posiłkami: jadła bardzo powoli, kroić kanapkę z szynką (bez masła) na małe kawałeczki i po przełknięciu popijała je kilkoma łykami wody.

Zachowywała się, jakby odprawiała jakiś rytuał; Edwina wiedziała już z doświadczenia, że lepiej jej nie obserwować, więc zajęła się swoimi sprawami: odkurzała, czyściła świeczniki pastą do polerowania srebra, co chwila zaglądała do ogrodu, byle tylko nie patrzeć, jak córka je.

W lśniące lichtarze powtykała forsycje. Dickie pojechał do Twickenham na mecz rugby; cudownie było spędzić czas tylko z córką, pod nieobecność męża dużo łatwiej rozmawiało się z nią o Oksfordzie.

Rowena odnalazła się na studiach. Po raz pierwszy nie była jedynym dziwologiem w grupie, wreszcie pojawiły się wokół niej inne młode kobiety, którym bardziej zależało na książkach niż na nowych butach; Edwina poczuła ulgę, że jej córka jest szczęśliwa, ale nadal uważała, iż powinna bardziej o siebie dbać. Przyjechała do domu ubrana w szkaradny sweter przypominający wełnianą owsiankę i zupełnie nie przejmowała się swoją ziemistą cerą.

Rowena to nieodkryta piękność, stwierdziła. Gdyby tylko zechciała się ostrzyć; uczesanie na boba odmieniłoby ją, uwydatniło rysy, ale ona wołała chować twarz za

zasłoną rzadkich, prostych, mysich włosów. Charlie przejął wszystkie geny odpowiedzialne za loki, ale po skróceniu o kilka cali fryzura córki nabrałaby sprężystości. Edwina ledwo mogła się powstrzymać, by samej nie zabrać się do tego za pomocą kuchennych nożyczek.

Miała coś lepszego do roboty niż uganianie się za chłopakami. Rowena była bardzo dyskretna, jeśli chodziło o jej znajomych, i kiedy Edwina napomknęła coś na ten temat, odparła ze śmiechem, że jedyny mężczyzna, jaki ją interesuje, to Chaucer.

Wspominała ogólnikowo o znajomych, którzy mieszkali na jej pięttrze w akademiku, o sztukach, które widziała, i czwartkowych zajęciach plastycznych, na które chodziła („Tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy”).

Edwina pozwoliła sobie na przelotny uśmiech, który wyrażał zarówno dumę, jak i ulgę: jej mądra córka dorosła, jakoś poradziła sobie z anoreksją, miała hobby i wszystko było w porządku. Gdyby jeszcze nałożyła odrobinę szminki...

Charlie zjawił się w domu o piątej, pachniał jak gorzelnia, śmiał się i ścisnął „swoje dziewczyny”. Równie chudy jak siostra, od razu rzucił się na puszkę z ciastkami. Z markizą w jednej dłoni i skrętem w drugiej przystojny Charlie brylował, poklepywał matkę po głowie, drażnił się z siostrą. Zdjął koszulę i oddał ją Edwinie do prania; na żebrach widać było stare siniaki.

Potem zniknął, wziął kąpiel, w przelocie pomachał ręką na pożegnanie i wymknął się z domu.

– Dokąd idziesz?

Ale drzwi wyjściowe zdążyły się już za nim zatrzaskać.

Kiedy wieczorem razem z Roweną lukrowały tort, który upiekła Alicia, Edwina starała się przeboleć, że córka ani razu nie oblizwała noża, miski ani nawet palca po gęstej czekoladowej polewie.

Dickie wrócił do domu z policzkami zaróżowionymi od marcowego wiatru i rozpoczął wymuszoną rozmowę; jak to możliwe, że Rowena nie zna nikogo z oksfordzkiej osady wiosłarskiej?

– Wszyscy moi znajomi wiosłowali – parsknął.

– A moi znajomi tego nie robią – odparowała pasierbica.

Potem rozsiedli się przed telewizorem z lekką kolacją (jajecznica), którą zjedli, trzymając talerze na kolanach.

– Jutro będziemy mieli suty lunch – usprawiedliwiała się Edwina; nie potrafiła stawić czoła dodatkowym zadaniom kulinarnym podczas weekendu.

Dickie podniósł wzrok znad gazety i oznajmił, że dzwonił Lucas; powiedział, że przyjdzie około dwunastej trzydzieści.

– Mam nadzieję, że Charlie zdąży wrócić do tej pory – mruknęła ponuro Rowena.

Edwina spała niespokojnie. Wreszcie o drugiej usłyszała, jak Charlie powoli wchodzi po schodach, męcząc się na każdym stopniu, jakby wspinał się na Everest. W końcu wszystkie dzieci są bezpieczne w domu, pomyślała i z ulgą zapadła w sen.

Rano zapanował miły rozgardiasz, otwierali kartki z życzeniami i rozpakowywali prezenty. W typowy dla siebie nieegoistyczny sposób Rowena postanowiła zaczekać i świętowała urodziny razem z bratem.

Edwina zauważyła, że Charlie wypił cały karton soku pomarańczowego, nie skorzystał nawet ze szklanki, ale nie wyglądał najgorzej i była mu za to wdzięczna.

Bliźnięta wydawały się naprawdę zadowolone z prezentów. Dickie kupił im nowoczesne aparaty fotograficzne, a Edwina zamówiła u zaprzyjaźnionego jubilera srebrne spinki dla Charliego i kolczyki w podobnym stylu dla Roweny. Na jednym kolczyku i spince kazała wygrawerować datę urodzin córki, a na drugiej parze – syna. Każde z nich miało teraz w komplecie dwie odmienne daty: 14.03.60 i 15.03.60.

Lucas przyjechał dokładnie o wpół do pierwszej, bez kartek z życzeniami i bez prezentów, ale przyniósł butelkę dobrego szampana, schłodzoną w lodówce matki. Edwina była zaskoczona, że Barbarze nie udało się jej stłuc, ale trzymała buzię na kłódkę. Wszyscy już jesteśmy dorośli, upomniała się.

Alicia miała w ten weekend chrzciny bratanka i Edwina była zdana w kuchni na siebie. Ale dzięki pisemnej instrukcji, którą zostawiła jej Alicia, i pod nadzorem Roweny (była na diecie warzywnej i pilnowała, żeby do jej porcji nie dodawano masła) udało się jej przygotować ucztę w przepięknie udekorowanej jadalni (z niebieskiego wazonu pośrodku stołu wychylały się żółte żonkile z rozchylonymi w zachwycie kielichami).

Podawała ulubione danie Charliego, jagnięcinę w miętowym sosie z młodymi ziemniakami, groszkiem, kalaflorem i marchewką oraz mnóstwem roztopionego masła na dodatkowym półmisku. Wykrochmalone serwetki bliźniąt umieściła w srebrnych obrączkach, które dostały z okazji chrztu, a w chwili, w której je zauważyły, Edwina wydała niemy krzyk z tęsknoty za ich ojcem.

Było uroczno. Rowena podjęła herkulesowy wysiłek, by jeść normalnie, Charlie nie zapalił, dopóki nie pojawił się tort, a Lucas był tylko umiarkowanie upierdliwy. Zapuścił brodę, co wcale nie poprawiło jego wyglądu, i rozaczał plany dotyczące przejęcia Banku Anglii.

Charlie nie zdradził, gdzie był wieczorem, ale miał wilczy apetyt i chwalił wszystko z pełnymi ustami; stwierdził, że jedzenie jest lepsze nawet od pieczeni jego współlokatora Roba. Powiedział im, że Rob nauczył się gotować, ponieważ tylko dzięki temu udawało mu się zaciągać kobiety do łóżka.

Dużo się śmiali tamtego dnia.

Po lunchu Dickie nalegał, żeby zrobili pamiątkowe zdjęcia, i zaczął ustawiać trójkę dzieci w różnych pozach. Edwina chciała zapytać, dlaczego Lucas też ma zostać uwieczniony, skoro są to urodziny bliźniąt, ale starała się być miłą i nawet sama zrobiła kilka fotografii nowymi polaroidami.

Była odrobinę urażona, że prezenty Dickiego zrobiły taką furorę. Zwłaszcza Charlie był zachwycony nową, magiczną zabawką, cały promieniał, kiedy obserwował, jak kolejne obrazy materializują się na jego oczach.

– Rzecz jasna kasety do polaroida są bardzo kosztowne dla studenckiej kieszeni – zauważył Lucas, który rozkoszował się faktem, że w wieku dwudziestu dwóch lat ma już samochód i pracę.

Ale nie dziewczynę, pomyślała kwaśno Edwina.

I wtedy wszystko nagle się skończyło. Charlie pognął na dworzec, a Rowena wyszła wkrótce po nim – musiała dokończyć pisać esej. Dickie i Lucas zniknęli na piętrze,

by pogadać o swoich różnych nudnych sprawach, a Edwina została sama pośrodku pobojuwiska w jadalni; w dłoniach trzymała fotografię swoich dzieci.

Edwina gwałtownie zmusza się do powrotu do rzeczywistości. Polaroidowe zdjęcie zbladło, kolory zmieniły się w przywiędłe pastelowe cienie, kontury się rozmyły, ale w wyobraźni nadal widzi piegi na ich twarzach. Rowena i Charlie patrzą przez srebrne otwory obrączek do serwetek. Charlie ma przy mankietach nowe spinki, a Rowena kolczyki w uszach.

14.03.60 i 15.03.60.

To oczywiste: dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Przez tyle dni wpatrujesz się w rebus, szukasz właściwego rozwiązania i nagle znajdujesz odpowiedź, jakbyś dostała obuchem w głowę.

Wdrapuje się na najwyższe piętro. Postanowiła podjąć ryzyko, zbada zawartość skrzyni Charliego. Już wie, jaki jest szyfr do kłódki: jedyna kombinacja cyfr, którą potrafiłby zapamiętać, oprócz dnia, miesiąca i roku własnych narodzin, to data przyjścia na świat siostry. Po tylu latach nagle stało się to takie oczywiste.

Edwina odwraca do góry dnem stary kosz na bieliznę, siada na nim i ogląda wysłużony skórzany kufer. Ta skrzynia kryje tajemnice, być może takie, których wcale nie chce poznać, ale mogą być tam i skarby, a przynajmniej wskazówki, które podpowiedzą, dlaczego wszystko tak się skończyło.

Przypomina sobie tort w kształcie pirackiej skrzyni, który Alicia upiekła przed wieloma latami, był tak piękny, że początkowo nikt nie chciał go pokroić, choć oczywiście w końcu to zrobili.

Kłódka na szyfr jest zardzewiała. W kieszeni swetra ma tubkę balsamu do warg; smaruje nim zamek i wciera tłuszcz w zakamarki mechanizmu. Musi prawidłowo ustawić cztery cyfry. Próbuje kombinacji 1-4-0-3, ale kłódka nie puszcza, więc wybiera 1-4-6-0 i kiedy przekręca ostatni trybik, zamek od razu ustępuje. Udało się, kłódka jest otwarta.

Jednak po tylu latach skrzynia nadal stawia opór. Przez głowę przebiega jej myśli o grobie Tutanchamona: czy otwarcie tego kufra też przyniesie nieszczęście? Odgania od siebie idiotyczne starcze przesady, uchyla wieko, ostrożnie unosi każdy bok, milimetr po milimetrze, ciągnie z mozołem, pokrywa się unosi i wreszcie wewnątrz skrzyni staje przed nią otworem.

Przez chwilę obawia się, że wszystko zmieniło się w pył, ale kiedy strząsa coś, co przypomina gęste szare futro, od razu rzuca się jej w oczy wielka, zasuwana plastikowa koperta – teczka z pracami plastycznymi Charliego. Otwiera zamek błyskawiczny i ostrożnie przegląda zawartość. Edwina wstrzymuje oddech – syn nie pokazywał jej swoich prac, trzymał je w tajemnicy, a ona nie naciskała, była nawet wdzięczna, jakby się obawiała, że może uznać je za okropne.

Otwarta teczka ukazuje portret dziewczyny, wykonany czerwoną kredą na szarym papierze. Ten rysunek powstał ponad trzydzieści lat temu. Kimkolwiek była ta osoba, musi mieć teraz około pięćdziesiątki. Stoi w klasycznej pozie, jak modelka na zajęciach plastycznych, naga i piękna; jest w niej coś znajomego. Kim ona jest, gdzie mogła już ją widzieć?

Fern

Październik 1980 roku

Osiemnastoletnia Fern Woolbright, rudowłosa dziewczyna o alabastrowej skórze, dygocze w staniku i figach, zestawie, na który wydała mnóstwo pieniędzy w butik w bielizną Janet Reger w Guilford.

Satynowy biustonosz z miseczką 34B ozdobioną perłoworóżową koronką i pasujące majteczki w stylu retro (rozmiar dziesiątka). Aż do tego wieczoru jedynym mężczyzną, który ją w tym widział, był jej chłopak, ale teraz ma się pokazać grupie składającej się z dwudziestu studentów i studentek szkoły plastycznej. Całe ciało ma pokryte gęsią skórą.

Ustawili dla niej parawan, poobijany drewniany grat, a za nim plastikowe krzeselko i nędzny grzejnik elektryczny.

– Chodź tutaj, pokaż się nam.

Nauczycielką rysunku jest pięćdziesięcioletnia kobieta z siwymi włosami ostrzyżonymi na jeża – przypomina sznaucera po wizycie u psiego stylisty.

Fern wkłada szlafrok. Jest pikowany, nieco dziecinny, ale ciepły i zasłania całe ciało. Zawiązuje pasek, bierze głęboki oddech i wychodzi.

– W porządku, masz na imię Fern, tak? – Głos kobiety-psa przypomina szczeknięcie.

Fern kiwa głową.

– Zajmij miejsce.

Pani Sznaucer wskazuje na środek sali, gdzie samotny drewniany stół otaczają zastępy pobudzonych farbą sztalg. Fern przeciska się obok nich. To już teraz. O Boże, co powiedziałby tata?

Zrzuca szlafrok tak nonszalancko, jak tylko potrafi, i wciąga brzuch. Przez ostatni tydzień, w oczekiwaniu na tę chwilę, piła tylko niskokaloryczne dietetyczne zupki i jadła pomarańcze.

– Bardzo to ładne, moja droga, ale nasze modelki nie noszą bielizny. To nie jest sesja zdjęciowa do jakiegoś perwersyjnego pisma soft porno, tu chodzi o kości i mięśnie; zdejmij majtki i pokaż cycki.

Zamiast wrócić za parawan, Fern wchodzi w rolę aktorki, zapomina o otaczającej ją rzeczywistości i chichocie widzów. Z wdziękiem, jakby od niechcienia, zdejmuje luksusową bieliznę, zarówno stanik, jak i majteczki, wsuwa je do kieszeni szlafroka i czeka na dalsze instrukcje. Ma osiemnaście lat, jest naga i piękna. Ogniście ruda grzywa włosów świadczy o tym, że nie używa szamponu koloryzującego.

Gdyby tylko nie burczało jej tak w brzuchu, te odgłosy przypominają dźwięki starych pralek, do których wrzuca monety, kiedy robi niedzielne pranie. Niestety, dieta z zup i cytrusów spustoszyła jej układ trawienny i wśród głębokich westchnień studentów, szelestu papieru i skrzypienia węgla w całej sali słychać poirytowane burczenie wygłodniałego żołądka.

W połowie sesji ma przerwę, za parawanem pojawiają się wtedy filiżanka herbaty i dietetyczny herbatnik na talerzyku. Zjada go w nadziei, że uspokoi wzburzony przewód pokarmowy, i po kwadransie znów zostaje upozowana jak marionetka, tym razem na

brudnym aksamitnym szezlongu.

– Jest podobna do Lizzie Siddal – pomrukuje kobieta-pies i zaczyna zasypywać słuchaczy faktami z życia złotorudej wiktoriańskiej muzy. – Urodzona w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku, pozowała dla Millais i Rossettiego, rzecz jasna zmarła młodo. Dostała zapalenia płuc, kiedy leżała w zimnej wodzie, gdy Millais malował swoją słynną *Ofelię*; do tego dołączyła anoreksja, bo dziewczyny od wieków miały bzika na punkcie odchudzania; no i była uzależniona od laudanum i roztworu Fowlera, dziewiętnastowiecznego lekarstwa na trądzik, które robiono z rozcieńczonego arszeniku. Siddal była nie tylko mużką, sama malowała i pisywała poezje, ale słabe zdrowie i brak wiary we własne siły zahamowały dobrze zapowiadającą się karierę.

Nie mam trądziku, złości się w milczeniu Fern; jest wściekła, że porównali ją do jakiejś krościatej, rudej wiktoriańskiej wariatki.

A jednak przybiera zboląłą minę kobiety, która musi tłumić swoje możliwości; to chyba pasuje do tej nieszczęsnej Siddal.

– Wygląda, jakby cierpiała na zaparcie – komentuje nauczycielka, mijając jedną ze sztalug w pierwszym rzędzie.

Cała sala wybucha śmiechem i Fern czuje, jak na jej twarzy pojawiają się rumieńce. Bardzo łatwo się czerwieni; gdy czuje, że skóra przy nasadzie włosów zaczyna zmieniać barwę, z całych sił stara się to powstrzymać, ale bezskutecznie – jest bezradna jak kameleon, którego posadzono na wiśniowej poduszce. Okropne różowe plamy pojawiają się na całej twarzy, wędrują w dół na piersi i jeszcze dalej, aż w końcu czuje, że poczerwieniały jej nawet palce u stóp.

Jest pewna, że usłyszała, jak ktoś powiedział: „O rety”, jakby właśnie pokazała jakąś magiczną sztuczkę. Kurwa, już nie czuje się samotną, tragiczną postacią, jest jej niewygodnie, zdrętwiała i zmarzła. Czuje też, że za chwilę może puścić bąka. Co by to było, gdyby faktycznie pierdnęła przy wszystkich? Arszenik to nic, umarłaby po prostu ze wstydu.

Na szczęście reszta sesji przebiega bez wpadki i kiedy wreszcie jest po wszystkim, udaje się jej – pomimo mrowienia w stopach – przejść bez upadku i schować się za parawanem.

Kobieta-pies wciska jej dwa brudne banknoty pięciofuntowe.

– Byłabyś całkiem niezła, gdybyś się trochę rozluźniła. Wróc, jak nabierzesz obycia. Jesteś piękną dziewczyną, ale zbyt posągową. Łapiesz, o co mi chodzi?

– Nie do końca – odpowiada.

– Jesteś zimna, sztywna, jakby martwa. Wolimy, żeby modelki nie były takie idealne, lubimy obwisłe, wydatne brzuchy, koślawe paluchy czy coś w tym rodzaju. Nie mam nic przeciwko perfekcji, ale bywa odrobinę za nudna.

Fern znów zaczyna się rumienić, tym razem z gniewu. Miałaby ochotę podrzeć zatłuszczone banknoty i rzucić nimi w owłosioną twarz tej suki, jednak woli kupić sobie butelkę dobrego wina w drodze do domu.

Przybiera więc obojętny wyraz twarzy.

– Nie za bardzo mi się to podobało. Wynudziłam się, a prace, z tego co zauważyłam, były dość kiepskie.

Kobieta-pies wybuchła śmiechem.

– Więc spadaj.

Fern jest zawstydzona, ale jednocześnie kipi ze złości, wychodzi z budynku wydziału sztuki i rusza ulicą. Pada, w tym pierdolonym mieście bez przerwy leje. Co za zasrana dziura.

Mieszka w Manchesterze od dwóch tygodni. Powinna skakać z radości. W końcu część marzeń już się spełniła: dostała się do szkoły aktorskiej.

Czasami w nocy, kiedy nie może zasnąć z powodu samotności i tęsknoty za domem, myśli o monologu lady Makbet, który przygotowała na egzamin wstępny, ten fragment o zabiciu niemowlęcia: „Choćby z uśmiechem patrzyło mi w oczy, Sutkę wyrwałabym z dziąseł bezzębnych”². Była lekko zawstydzona, kiedy musiała wymówić słowo „sutkę”, ale pod koniec przeszarżowała – tak bardzo, że przeszła do krzyku i zgubiła rytm. Rumieni się na to wspomnienie.

Zaśpiewała piosenkę z musicalu *Słodka Charity*. Ma dobry głos i wykonała ją nieźle, a nawet zaryzykowała kilka sprośnych gestów – nic przesadnego, ale wystarczyło, żeby mężczyźni zasiadający w komisji egzaminacyjnej nieco się ożywili. Wyłożyła się na postaci, którą wybrała do scenki dramatycznej; nie była zbyt zabawna, a północny akcent, który próbowała naśladować, tu, w Manchesterze, brzmiał idiotycznie.

Kiedy rozpoczęła, jedna ze zdających razem z nią dziewczyn zaczęła przewracać oczami i zaśmiewała się, zasłaniając usta dłonią. Paskudna, tłusta krowa. Kazali im występować w obecności innych kandydatów; nie spodziewała się tego, inni chyba też nie. To był dzień zszarganych nerwów, spotniałych dłoni i wysuszonych ze zdenerwowania ust.

Co dziwne, z tego szkaradnego przesłuchania Fern zapamiętała tylko tę chichoczącą grubaskę – jest z nią teraz na pierwszym roku. Komisja egzaminacyjna musiała coś dostrzec w jej słoniowatych udach i kompletnym zmasakrowaniu słynnego standardu musicalowego *Send in the Clowns*. Zdaje się, że pochodzi z okolic Newcastle i nazywa się Jill Miller.

List oznajmiający, że Fern przyjęto, przyszedł po odrzuceniu jej kandydatury przez Królewską Akademię Teatralną; nadal ją to boli, bo właśnie tam chciała się dostać.

Gdyby dano jej szansę, zmieniłaby uczelnię w okamgnieniu. W Manchesterze jest zimno i wilgotno, pełno tu ludzi, którzy wyglądają, jakby zeszli z obrazów Lowry’ego, wałęsa się mnóstwo wychudłych psów i wszędzie spotyka się staruszków ćmiących papierosy. Fern nie widziała nigdzie tylu palaczy, nie licząc rzecz jasna Barcelony, którą zwiedziła z wycieczką szkolną.

Wreszcie podjeżdża autobus, którym może się dostać do swojego mieszkania. Fern wsiada i zajmuje miejsce obok dwóch kobiet z wałkami we włosach, ukrytymi pod szyfonowymi chustkami.

Moja matka prędzej by się zastrzeliła, niż wyszła z domu z czymś takim na głowie, myśli Fern. Rosemarie Woolbright co tydzień odwiedza salon fryzjerski w Godalming, chyba że jest akurat u siostry w Londynie, wtedy idzie do Vidal Sassoon.

Mama była lekko rozczarowana.

– Manchester jest tak daleko, kochanie, i jest tam tylko jeden sklep. Może napiszę

do Akademii i wyjaśnię, że chcesz być w Londynie, bo wtedy będziesz mogła zamieszkać z Elise?

Kuzynka Fern studiuje modę w Akademii Plastycznej St. Martin's; jest trochę od niej starsza i ekscentrycznie się ubiera. Jest pod wpływem stylu punk – tak określiła to matka Fern.

Garderoba Fern bardziej przypomina stroje projektowane przez Laure Ashley i rzeczy, jakie nosi księżna Diana, nie włożyłaby czarnych, posklejanych toreb na śmieci, chociaż od kiedy została studentką, eksperymentuje nieco śmieiej. W zeszłym tygodniu kupiła parę martensów i dzinsową kurtkę. Jej matka byłaby przerażona.

Autobus telepie się w południowe rejony miasta; z powodu zaparowanych szyb i powietrza gęstego od żółtego dymu tytoniowego trudno stwierdzić, gdzie dokładnie są.

W tym autobusie jest pewnie cieplej niż w jej mieszkaniu.

Fern z niechęcią myśli o powrocie do domu. Dzieli ze współlokatorkami poddasze w zniszczonym narożnym budynku z czerwonej cegły stojącym w samym sercu Didsbury.

Mieszka razem z Felicity, potężną lesbijką z zarostem na podbródku, i jej drobnutką przyjaciółką Dee, kobietą, którą z daleka można by wziąć za ośmiolatkę, ale z bliska widać, że dobiega trzydziestki.

Felicity i Fern uczą się w tej samej szkole aktorskiej (współlokatorka jest na trzecim roku). Fern nie ma pojęcia, czym się zajmuje Dee, oprócz tego, że siedzi w domu, farbuje włosy henną i stawia tarota. Fern uważa, że Dee nie powinna tu przebywać, mieszkanie jest dwuosobowe, a ta mała nie płaci czynszu (nie kupuje też mleka ani papieru toaletowego). Podejrzewa, że Felicity ukrywa ją, kiedy gospodarz przeprowadza niezapowiedzianą inspekcję, chowa ją szybko do szuflady albo przykrywa stosem płaszczy.

To nie jest także właściwe miejsce dla Fern. Miała otrzymać pokój daleko stąd, w miłym akademiku na dobrze oświetlonym kampusie, ale z powodu pomyłki administracyjnej wylądowała w żalosalnej, podupadłej wiktoriańskiej ruderze bez centralnego ogrzewania.

Rosemarie nie jest zadowolona z nowego adresu córki.

– Ostatnie piętro, kochanie? A czy tam są schody przeciwpożarowe?

Nie ma, ale za to jest mnóstwo śmieci.

Dee często źle się czuje i leży w łóżku. Fern zauważyła, że Felicity lubi, kiedy jej partnerka jest chora; wtedy może się nią opiekować. Powinna kupić sobie psa, myśli.

Ale nie wolno im trzymać psów ani kotów, a łazienka na półpiętrze, którą dzieli z starszym małżeństwem z piętra niżej, pełna jest plam, których pochodzenia lepiej sobie nie uzsławiać, i włosów łonowych obcych ludzi. Nikt tu nigdy porządnie nie sprząta. Gdyby tylko skarb mamy, pani Bibby, mogła wpaść do nich choć raz na tydzień i pozostawić po sobie zapach ajaxu i konwalii...

Fern tęskni za swoim kucykiem Brunonem i psami, Pippinem i Kleksem. Czasem czuje się tak samotna, zmarznięta i znużona, że płacze, by ukoić się do snu. Niedawno, chcąc zapomnieć o tym wszystkim, próbowała się masturbować, bardzo się starała, ale nic z tego nie wyszło. Skończyło się tym, że poczuła się jeszcze bardziej sfrustrowana i na

dodatek rozbolała ją wagina.

Fern ma wrażenie, że się zgubiła. Wreszcie wysiada z autobusu o dwa przystanki za daleko i zawraca, po drodze wstępuje do sklepu monopolowego. Pieprzyć to, kupi też sobie frytki. Do tej pory rzadko je jadła; mama nie pochwała takiego jedzenia. „Są potwornie tłuste, kochanie, a przecież nie chcemy się poplamić”, ale w Manchesterze frytki na wynos stały się dla Fern objawieniem, chociaż nie jest w stanie zrozumieć upodobania Felicity do sosu curry.

Felicity i Dee są kulinarnymi dzikuskami. Oraz strasznymi złodziejkami: jeśli Fern kupi sobie coś dobrego, ser brie albo pasztet, od razu dobierają się do tego swoimi brudnymi paluchami, a Fern ma okropne przecucie, że żadna z nich nie zawraca sobie głowy myciem rąk po skorzystaniu z toalety. Współlokatorki nie trzymają zbyt wysokich standardów higieny – kilka dni temu przyłapała Dee, jak sikała do zlewu, bo ubikacja była zajęta.

Pani Bibby zemdlałaby na samą myśl o czymś takim.

Z zawiniętą w gazetę porcją frytek w ręce i z butelką wina pod pachą Fern przekręca klucz w drzwiach domu pod numerem dwa na Old Lansdowne Road. Po raz pierwszy mieszkam w domu, który jest po prostu numerem, nie ma własnej nazwy, uświadamia sobie i dodaje w myślach: Gdybym musiała mu jakąś nadać, to nazwałabym go Zastraną Dziurą.

Chodnik na schodach śmierdzi, pod drzwiami walają się ulotki reklamowe i listy, które wyglądają jak urzędowe wezwania. Żarówki nie mają oprawek, a ściana obok automatu telefonicznego pokryta jest zapisanymi numerami i imionami.

Na poddaszu stwierdza z ulgą, że Felicity i Dee gdzieś wyszły. Bierze korkociąg, wyciąga z lodówki resztki pasztetu i idzie do sypialni.

Pięć minut później rozwieszona na krześle dzinsy suszą się przy grzejniku olejowym, Fern leży w łóżku i z zadowoleniem pociąga z butelki Fitou, smaruje pasztetem kawałki białego chleba, a w popielniczce na stoliku tli się papieros.

Pokój ma dziwny kształt, Fern bez przerwy się zastanawia, co mogłaby w nim powiesić na ścianach. Kim tak naprawdę jest, co lubi? Jesteś tu po to, żeby się o tym przekonać, stwierdza i odpędza myśl, żeby przyozdobić wnętrze fotografiami Brunona. W końcu nie jest już uczennicą i nie mieszka w internacie szkoły dla dziewcząt Tillinghurst.

Obskurna mieszanka – brudna bladoróżowa farba i niepasujące tu ciemnobrązowe powojenne meble. Jedyne kolorowe akcenty w sypialni to piękna narzuta w tureckie wzory, którą przywiozła z domu. Może gdyby kupiła trochę kwiatów i poustawiała je w wazonach, to pomieszczenie pojaśniałoby odrobinę. Ale wtedy Felicity i Dee zaczęłyby robić jakieś sarkastyczne uwagi, a ona byłaby skrępowana i zawstydzona. Chociaż i bez tego przez prawie cały czas czuje się tu nieswojo.

Fern rzadko się rozluźnia. Pedagodzy w szkole uważali, że jest „spięta”, a nauczyciel tańca, obrzydliwy nieogolony mężczyzna w poplamionym dresie i śmierdzącym podkoszulku z plamami potu pod pachami powiedział, że jest „sztywna,

jakby połknęła kij od szczotki”.

To dlatego postanowiła pozować w akademii, chciała udowodnić sobie i innym, że nie jest prowincjonalną gąską. Ale niestety, tak właśnie się czuje. W ciągu ostatnich kilku tygodni już wiele razy chciała się spakować, wrócić do domu (rezydencji Three Paddocks), powiedzieć rodzicom, że się pomyliła, że chce zrezygnować ze szkoły aktorskiej i pójść na kurs gotowania do Hintlesham Hall w Suffolk, gdzie mogłaby się nauczyć, jak się przyrządza bezy; tam nie musiałaby udawać, że jest kimś innym.

Fern przekonała się, że nauka aktorstwa wiąże się z wieloma upokorzeniami; mnóstwo czasu poświęca na to, żeby nie płakać. Czasem chowa się w damskiej toalecie w jednej ze śmierdzących drewnianych kabin ze ściankami działowymi przeżartymi przez korniki, zamyka drzwi i siedzi, zatykając nos chusteczką, którą codziennie rano spryskuje swoimi ulubionymi perfumami Anaïs Anaïs, które kocha tak bardzo, że gdyby Felicity ośmieliła się choćby tylko na nie zerknąć, zabiłaby ją za to.

Najbardziej bołą ją oskarżenia, że nie potrafi tańczyć. Co za cholerny policzek: w domu ma kolekcję nagród zdobytych w konkursach baletowych, za tańce jazzowe i stepowanie. Nauczyciel jest z pewnością patentowanym durniem, choć wśród innych uczniów uchodzi za najbardziej nowoczesnego i najoryginalniejszego wykładowcę w całej szkole.

Na początku semestru powiedział jej, że rusza się jak „dziewica”, i zademonstrował, co przez to rozumie: przeszedł przez całą salę drobnymi kroczkami ze ściśniętymi pośladkami. Wszyscy pokładali się ze śmiechu, więc i ona udawała, że ją to bawi, ale tak się tym przejęła, że w pubie naprzeciwko zamiast zjeść lunch, wypaliła pięć dunhilli i wypila pintę cydru. Później, po południu, o mało nie zwymiotowała do maski szermierczej.

Tak czy inaczej, nie jest już dziewicą. Miała stosunek – lub, jak to wszyscy mówią, „rznąła się”. Rznąła się już z dwoma mężczyznami, chociaż dopiero w sierpniu skończy dziewiętnaście lat.

Jej pierwszym kochankiem był brat francuskiej uczennicy, do której pojechała w ramach wymiany szkolnej. Véronique była nudną dziewczyną o ziemistej cerze, za to jej brat okazał się uosobieniem wszystkich najlepszych cech tej rodziny. Henri był rewelacyjny, w jego łóżku Fern nauczyła się doskonale konwersować po francusku, o wiele lepiej niż przez cały czas pobytu w szkole i w trakcie rozmów z małomówną Véronique.

Niestety, pomimo tych korepetycji na egzaminie końcowym w szkole średniej dostała tylko stopień dopuszczający.

Potem był James, ten jej niby oficjalny chłopak, który myślał, że Fern jest dziewicą, i dlatego w swoim małym alfa romeo starał się zrobić to jak najdelikatniej.

Potem powtarzał w kółko, że ma nadzieję, iż nie sprawił jej bólu, a ona cieszyła się, że było zbyt ciemno, by mógł dostrzec rozczarowanie malujące się na jej twarzy. Nie miała pojęcia, że mężczyźni mogą aż tak bardzo różnić się rozmiarem; w porównaniu z Jamesem Henri był jak słoń, penis nowego kochanka był równie nędzny jak jego pocałunki. Całował jak gryzoń.

Teraz James służy w wojsku, jest oficerem; jakaż przepaść oddziela go od

zwykłego żołnierza: nie musi przesiadywać na stacjach kolejowych w cuchnącym mundurze polowym i pić piwa skrzynkami.

James nosi elegancki mundur i ma wyglansowane buty. W zeszłym miesiącu towarzyszył na przyjęciu księżniczce Małgorzacie; najwyraźniej ktoś musiał przypalać jej papierosy. James miał zapalniczkę Cartiera ze szczerego złota, podarunek od dziadków na dwudzieste pierwsze urodziny.

Chłopak ma wszystko, co najlepsze: dobre pochodzenie, wygląd i pieniądze.

– Czego więcej może chcieć dziewczyna? – dopytuje jej matka.

Kiedy James przyjeżdża po nią do Three Paddocks, matka rumieni się i śmieje się z każdego jego słowa, a ojciec wstaje, pochyla się konfidencjonalnie i częstuje go kieliszkiem koniaku.

James powiedział jej, że jest piękna i wyjątkowa, i, co niewykluczone, utalentowana, ale musi ją ostrzec, że nie jest miłośnikiem teatru, woli rugby, więc mógłby przyjść i obejrzeć ją na scenie tylko wtedy, gdyby dostała ciekawą rolę, a nie jakiś ogon. Stwierdził też, że nie chciałby, żeby godziła się na pracę, w której musiałaby się „obnażać”.

James jest wysoki, przystojny, dzielny i silny, ale całuje jak chomik. Chociaż nigdy nie całowała się z chomikiem, myśli Fern, a potem zasypia i śni, że Jill, gruba dziewczyna z północy, obnaża przed Jamesem swe okazałe wdzięki, a on zapala papierosa złotą zapalniczką i przypadkowo podpala własną twarz. Wśród buchających płomieni prawa gałka oczna topi się jak kawałek czekolady i spływa mu po policzku.

Plamy po pasztecie

Fern czuje się trochę ociężała; nie jest przyzwyczajona do tego, że sama wypija butelkę wina. To nie było zbyt rozsądne, a na dodatek w czerwonym pudełku dunhilli zostały tylko cztery papierosy. Pełna petów popielniczka na stoliku przy łóżku stanowi smutne świadectwo wczorajszej bibki. Jeszcze ohydniejsze są podejrzane plamy po pasztecie na prześcieradle. Wygląda, jakby zrobiła kupę w łóżku – co by sobie pomyślała pani Bibby? Wpadłaby w furję.

Cóż, najwyraźniej szybko wchodzi w rolę studentki aktorstwa. W ciągu kilku tygodni zaliczyła striptiz, pijaństwo, palenie, obżarstwo i dietę. Przy odrobinie szczęścia te doświadczenia zapewnią jej odpowiedni warsztat sceniczny.

Przez chwilę czuje się jak lekkomyślna małolata. Jest już spóźniona i będzie musiała wyjść bez śniadania. Matka byłaby przerażona: „Zawsze musisz znaleźć na to czas, choćby na połówkę grejpfruta i jajko na miękko”.

Skręca ją na samą myśl o jajku. Naciąga sweter z dekoltem w serek i parę obcisłych czarnych spodni narciarskich z lat sześćdziesiątych, z elastycznymi strzemiączkami; kilka dni temu kupiła je w sklepie z używaną odzieżą. „Przecież masz doskonałe spodnie narciarskie”, znów słyszy głos matki. „Dlaczego nosisz takie paskudztwo?”

Szybko spryskuje pachy perfumami Anaïs Anaïs, wkłada martensy i wychodzi na schody, nie wiążąc sznurówek.

– Nie rozpoznałem cię w ubraniu.

Mężczyzna na korytarzu, w kufajce, nieogolony, niedbale opiera się o framugę drzwi frontowego pokoju na parterze.

Fern wzdryga się, zupełnie jak wtedy, gdy spacerowała po lesie w okolicach szkoły z Effie Hunter, córką dyplomaty, a zza drzewa wyłonił się mężczyzna z fiutem na wierzchu. Effie zaczęła uciekać i krzyczeć, zanim Fern zdążyła zauważyć jego fujarę. Cała Effie.

– Charlie – mówi mężczyzna i wyciąga zza ucha pogniecionego skręta.

Właściwie to nie mężczyzna, tylko chłopak: wysoki czarnowłosy chłopak, z oczami podmalowanymi konturówką, „zniewieściał”, jak określiliby go jej ojciec. Chude jak szczapy nogi w obcisłych czarnych dżinsach, na stopach spiczaste czarne buty z popękanymi noskami, do tego czerwone szelki i kraciasta koszula. Jest zaspany, bije od niego lekko kwaśny odór, na pewno dziś się nie mył.

– Byłem wczoraj na zajęciach. Mam twój portret, powieszę go w swojej mansardzie i nigdy się nie zestarzejesz.

Fern przerabiała w szkole *Portret Doriany Graya*, więc rozumie aluzję. Tani chwyt.

Z sypialni w głębi wynurza się dziewczyna i wpycha głowę pod ramię chłopaka. Ma ciemną karnację, pozlepiane, zaczesane do góry włosy ufarbowane na smolistą czerń i spękane wargi. Zatrzymuje się na chwilę, posyła Fern wrogie spojrzenie, a następnie szybko rusza w kierunku frontowych drzwi, wychodzi i zatrzaskuje je za sobą.

– No, no – mówi Charlie – zgotowała się w niej hiszpańska krew. Mówię ci, jest

jak imbryk z wrzątkiem. Wściekła suka. – Odpina jeden z rowerów stojących w hallu, wskazuje na niego i pyta: – Pewnie nie wiesz, do kogo należy?

– Najwyraźniej nie do ciebie. – Chce, żeby jej odpowiedź była prowokacyjna i zabawna, ale słyszy, że słowa brzmią, jakby wypowiadała je pięćdziesięcioletnia urzędniczka. Dobrze o tym wie, bo mówiła tonem, którego używa przyjaciółka matki, Brenda, która naprawdę jest pięćdziesięcioletnią urzędniczką.

– To mnie powieś. – Chłopak wybucha śmiechem, wyprowadza rower na zewnątrz, wskazuje na niego i rusza w pogoń za swoją wkurzoną przyjaciółką. Nawet nie raczył zamknąć drzwi.

– Co za pojeb! – rozlega się czyjś wrzask z głębi korytarza. – Przysięgam, że Charlie Treadaway jest najbardziej samolubnym dupkiem, jakiego znam. To prawdziwy kutas. A przy okazji, nazywam się Rob. Bez względu na to, co zrobi, nie idź z nim do łóżka.

Rob jest przeciwieństwem Charliego: jasnowłosa, krępy, typ rugbisty, ma owłosione ramiona i nosi brodę.

– Nie pójdę – odpowiada ze śmiechem Fern. – Poza tym, mam chłopaka.

Chłopaka, który nadal chodzi do fryzjera i strzyże się na krótko z tyłu i po bokach, chłopaka, któremu nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby zwędzić czyjś rower, chłopaka, który nigdy nie wyciąga pogniecionego skręta zza ucha jak jakiś zwariowany iluzjonista. Mam bardzo miłego i potwornie nudnego chłopaka.

Ten uporczywy głos w jej głowie.

– Och, jestem Fern – dodaje głośno.

To miłe, że wreszcie może poznać imiona anonimowych dotąd twarzy sąsiadów. W Godalming zapukaliby do jej drzwi i zaprosili na kieliszek sherry.

Fern idzie na uczelnię piechotą; boi się, że gdyby wsiadła do autobusu, mogłaby wymiotować. Czuje się słaba i musi uważać, żeby się nie potknąć o własne nogi.

Na światłach przy Barlow Moor Road dołącza do niej kolejna para stóp obuta w martensy. To ta okropna Jill, gruba, rozchichotana Jill.

– Jak się masz, Fern? – pyta wysokim głosem, idiotycznie naśladowując akcent wyższych sfer.

Fern ma ochotę odpowiedzieć jej równie złośliwie w dialekcie z Newcastle i rzucić od niechcenia: „Cześć, laluniu”, jednak gdy tylko otwiera usta, zaczyna wymiotować. Jill odskakuje z okrzykiem, ale jest już za późno, rzygowiny lądują na jej martensach. Wszystko wokół jest zachlapanie. Fern nie może się pohamować: zwraca na własne buty, do kosza na śmieci, a potem, zawstydzona znieśmaczonymi minami ludzi, którzy stoją na przystanku autobusowym, wpada na chwiejnych nogach do ogródka przed pobliskim domem i rzyga na skalniak.

– O kurczę – szepcze Jill. – Ale cię wzięło.

Fern nie przestaje wymiotować.

Wreszcie kończy, podnosi się z kolan, na spodniach ma zielone plamy po zgniecionej trawie.

– Czy zechciałabyś łaskawie poinformować ludzi na uczelni, że nie będę dziś na zajęciach? – mówi. – Chyba złapałam jakiegoś wirusa albo czymś się zatrulałam.

– Lepsze to niż ciąża – odpowiada wesoło Jill. – Jasne, powiem im.

Na podjeździe obcego domu Fern wydusza z siebie ostatnie resztki pasztetu i czerwonego wina, a potem zaczyna wlec się z powrotem do domu. Przez dobre sto metrów ma wrażenie, że słyszy, jak Jill zanosi się śmiechem.

Dwadzieścia minut później jest już w łóżku, ma dreszcze, jest jej niedobrze i, co dziwne, czuje też wilczy głód. Idzie do kuchni i uświadamia sobie, że jej zapasy są na wyczerpaniu. Ma paczkę wędzonych makreli – „Są takie dobre z chrzanem, kochanie, to pyszna, zdrowa kolacja” – główkę selera i zieloną paprykę. Na suszarce przy zlewie leży bochenek pokrojonego białego chleba, zawinięty w woskowany papier, a po dalszych oględzinach lodówki znajduje się masło i słoik dżemu malinowego, nie domowej roboty, ale taniego różowego świństwa, za którym przepada Dee. Fern nie może się powstrzymać, smaruje grubo złotawym tłuszczem cztery kromki chleba, nakłada mnóstwo dżemu i składa kromki. Zabiera swoje toporne kanapki i wraca do łóżka.

„Kochanie, wyglądałyby bardziej apetycznie, gdybyś odkroiła skórkę”, instruuje ją matka z dalekiego Godalming.

– Odpierdol się, mamusiu – burczy Fern.

Co za zaskakująca przemiana: dopiero dwa tygodnie temu opuściła dom rodzinny, a już mówi matce, żeby się odpierdoliła (co prawda z dość bezpiecznej odległości dwustu mil), rozbiera się publicznie, urzyna się tak, że rzyga i opuszcza zajęcia, a na dodatek kradnie jedzenie współlokatorom.

Nie szkodzi – w zamian mogą poczęstować się jej makrelą, selerem i papryką. Fern zaczyna czuć się jak człowiek, jest tylko bardzo zmęczona; zwija się pod kołdrą i zasypia głęboko.

Budzi się po dwóch godzinach, strasznie chce się jej sikać, w drodze do toalety zerka przez balustradę, żeby zobaczyć, czy ktoś jest na dole. Żółtego roweru, który zabrał Charlie, nadal nie ma, ale za to odwiedził ich listonosz. Fern przechyla się przez poręcz i rozpoznaje kremową kopertę z robionej na zamówienie papeterii matki, ozdobionej w prawym górnym rogu rysunkiem posiadłości Three Paddocks (pod spodem wytłoczono ich adres i numer telefonu).

Zalewa ją fala tęsknoty za domem; zbiega po list w samych majtkach i staniku. Kiedy jest w połowie schodów, frontowe drzwi otwierają się, to Charlie wprowadza do środka żółty rower.

– Czy ty czasami nosisz ubrania?

Hiszpanka za jego plecami trajkocze coś gniewnie w ojczystym języku. Fern bierze nogi za pas i ucieka na strych.

– To idiotyczne – szepcze, wkłada szlafrok, wychodzi na korytarz i czeka, aż teren będzie czysty.

Mija nerwowe dziesięć minut, a może kwadrans, Fern zbiega pędem na parter, chwytając list i ucieka na swoje poddasze.

Widok znajomego pisma matki ścisną jej gardło. Kiedy była w szkole, matka pisała do niej co tydzień, a ona odpowiadała w każdą niedzielę. Matka przechowuje ich korespondencję w specjalnej szkatułce. Rodzice bardzo kochają Fern, co za szczęście, że ma tak cudowną rodzinę. Matka robi nawet domowy dżem, prawdziwy dżem z truskawek,

które własnoręcznie zbiera w ogrodzie.

Fern otwiera kopertę. Fioletowy atrament jest częściowo rozmazany, a cała kartka usiana kleksami.

Kochana Fern,

placzę, pisząc te słowa, ale uznałam, że trzeba Cię powiadomić: wczoraj musieliśmy uśpić naszego najdroższego Kleksa. Nasz wierny mały piesek był bardzo dzielny, ale już nic nie dało się zrobić. Pochowamy go pod płaczącą wierzbą obok Tinkera i Buna. Tak mi przykro, Skarbie, wiem, jak bardzo go kochałaś.

O szóstej zadzwonił telefon na półpiętrze, odebrał go Rob, miłośnik rugby, który chyba dzielił z Charliem mieszkanie na parterze.

– Kapitan James Frobisher do panny Fern Woolbright – wrzeszczy i Fern, w szlafroku, z zaczerwienionymi oczami, przejmuje słuchawkę z jego mięsistej dłoni i przysiadła na brudnej wykładzinie, by jeszcze trochę popłakać.

James od razu przechodzi do rzeczy:

– Kochanie, dzwonił twój ojciec i przekazał mi złą nowinę. Tak bardzo mi przykro, to był wspaniały mały piesek. Pomyślałem, że powinienem sprawdzić, jak się czujesz. Posłuchaj, będę w Surrey za dwa tygodnie. Może wpadłabyś do domu? Moglibyśmy powspominać starego Kleksa. No już, dość płaczu, nie chcemy, żeby twoja śliczna twarzyczka była opuchnięta.

James nie lubi, gdy ona płacze. Kiedyś poszli do kina na *Sprawę Kramerów*, a Fern tak beczała, że nie chciał się z nią później wybrać na drinka, bo wyglądała brzydko.

Przypomina sobie o tym, kiedy w końcu odkłada słuchawkę i przegląda się w lustrze, które wisi na półpiętrze. Wygląda, jakby dostała w twarz twardą piłką i na dodatek była chora na różyczkę.

U siebie znów pada na łóżko; zanim ogarnął ją sen, zdążyła pomyśleć, że przynajmniej Charlie nie widział jej w takim stanie.

Kartka z martwymi pieskami

Kochana Mamusiu i kochany Tatusiu,

mam nadzieję, że macie się dobrze. Nadal nie mogę się pogodzić z myślą, że już nigdy nie zobaczę mojego kochanego Kleksa, ale przynajmniej mam tu w Manchesterze jego obrożę – to mnie pociesza, trzymam ją pod poduszką.

Prawdę mówiąc, kilka razy nosiła ją na szyi. Takie rzeczy są teraz bardzo modne.

Fern ma się teraz lepiej. Stwardniała, mocniej się maluje, potrafi w dwie minuty zrobić sobie makijaż w stylu Debbie Harry. Czasami tapiruje włosy i spryskuje je lakierem, wyglądają wtedy jak olbrzymia pomarańczowa chmura.

Jest bardzo atrakcyjną dziewczyną; nawet nauczyciel, który powiedział, że „rusza się jak dziewczica”, zauważył różnicę.

– Ktoś tu zjadł zakazany owoc – szepnął jej do ucha, kiedy wychodziła z zajęć, i przez krótką chwilę miała wrażenie, że nauczyciel ma ochotę złapać ją za lewy pośladek.

To dziwne. Nie sądzi, żeby wykładowcy mogli sobie pozwalać na coś takiego.

Kilka lat temu w szkole brata jej koleżanki, Victorii, był wychowawca, który „pomagał” chłopcom w ćwiczeniach gimnastycznych na koniu; w końcu jeden z uczniów się wygadał i rozpętało się piekło. Parę miesięcy później nauczyciel powiesił się w pobliskim lesie. „Cholerny zboczeniec”, piorunował ojciec Fern, „wyprułbym mu flaki”.

Pojechała na weekend do domu; było wspaniale, objadała się pysznym jedzeniem, a zwłaszcza wyśmienitymi warzywami z ogródka. Mama zrobiła jej ulubiony pudding chlebowy, ale nie dała jej dokładki, bo „nie chcemy, żebyś przytyła”.

No i świetnie było zobaczyć Jamesa; przyjechał na przepustkę do swoich rodziców, którzy obchodzili perłowe gody, co zachwycało jej matkę, ponieważ, jak stwierdziła, „to takie krzepiące, gdy młody człowiek ma solidne korzenie”. A tata zamruczał zza płachty „Telegrapha”, że „to dobrze wróży na przyszłość”.

Trochę dziwnie się czuła na rocznicowym przyjęciu, które okazało się przygnębiającą imprezą zorganizowaną w starym wiejskim zajeździe, położonym obok pola golfowego. Wprawdzie bażanty smakowały wyśmienicie, ale Fern wiedziała, że wszyscy ją obserwują, co nie było miłe.

Zwłaszcza babka Jamesa wpatrywała się w nią tak intensywnie, jakby chciała wypalić dziurę w jej sukni. Bez wątpienia starsza pani przeprowadzała oględziny łona Fern, świdrowała ją oczami emitującymi jakieś starodawne promienie prześwietlające – sprawdzała, czy ma zdrowe jajniki zdolne wyprodukować odpowiednią liczbę komórek rozrodczych.

Fern uważała, by nie przesadzić z winem, ponieważ, jak twierdził James, po alkoholu czerwieniały jej policzki.

– Chcę, żeby moja angielska róża była kremowa, a nie cynobrowa – powiedział i co chwila sprawdzał, czy nie trzeba dolać jej wody do kieliszka.

Starszy brat Jamesa, jego wierna kopia z nieco mniej wydatnym podbródkiem

i przerzedzonymi włosami, przyszedł razem ze swoją żoną Amanda, która miała dopiero dwadzieścia trzy lata, ale była już w ciąży i nie mogła pić.

– Podobno – powiedziała do Fern – najnowsze badania wykazują, że alkohol może spowodować uszkodzenie płodu. – Nie chciała ryzykować, że dziecko będzie brzydkie albo głupie.

Amanda przykleiła się do niej i o dziewiątej Fern była znudzona jak mops; co za pech, tym bardziej że Elise zaprosiła ją na imprezę do swojego domu w Londynie.

Typowe: zamiast szaleć w Pimlico, utknęła w jakimś zajeździe na głuchej prowincji, w towarzystwie mężczyzn z czerwonymi jak żurawina twarzami, którzy rozmawiali o golfie, i grubych kobiet w szkaradnych sukniach z tafty, przypominających opakowania cukierków Quality Street.

James podrzucił ją do domu, ale mieli czas tylko na szybki pocałunek, bo musiał jeszcze wrócić i odwiedzić do domu swoją babkę.

Nadal całował jak królik; w pewnej chwili, kiedy nieśmiało wsunął język w jej usta, miała ochotę go ugryźć, nagle owładnęło nią nieodparte pragnienie, by poczuć smak krwi.

W domu natychmiast podeszła do zdobionego mosiądzem barku z drewna orzechowego i pociągnęła po dużym łyku z każdej butelki: cherry brandy, amaretto, whisky i gin. Dopiero po zbyt okazałym haście amontillado poczuła, że jest już wystarczająco pijana, by się położyć do łóżka.

Rano nie poszła do kościoła, więc przy lunchu mama i tata byli nieco oziębli, mimo to zjedli razem wyśmienitą pieczeń wołową, ale bez puddingu z Yorkshire – „ponieważ ekstrakalorie są ci niepotrzebne, kochanie” – i nagle było po wszystkim.

W drodze na północ musiała przesiadać się trzy razy, ale na szczęście tata dał jej dość pieniędzy, żeby w Manchesterze mogła pojechać taksówką z dworca Piccadilly do Didsbury, dzielnicy, w której mieszkała. Mimo to dotarła do siebie dopiero o północy!

Fern miała wrażenie, jakby Manchester leżał o miliony kilometrów od Godalming. Ku swemu zaskoczeniu, pomimo ponurego, typowego dla tego miasta granatowego nieba, z którego jak zwykle lał się lodowaty deszcz, poczuła ulgę, że tu wróciła.

Doszła do wniosku, że chyba woli mieszkać z dala od domu rodzinnego (pominąwszy uciążliwości korzystania z pralki na monety i braku kogoś, kto po niej posprząta). Może robić to, co chce i kiedy chce, palić w łóżku i objadać się herbatnikami, nie musi spożywać solidnych, zdrowych posiłków. Jest zadowolona, że ludzie w szkole teatralnej zdołali wywęszyć, iż pochodzi z wyższych sfer, ale tak naprawdę nic o niej nie wiedzą. Jest tu obca; jest wolna.

Ale najmiłą rzeczą, jaka spotkała ją po powrocie z Godalming, był obrazek namalowany na kawałku brązowego kartonu, który ktoś wsunął pod jej drzwi, kiedy była u rodziców. Widnieją na nim rysunki psów, całe stado czworonogów baraszkujących w psim raju. Mają anielskie skrzydła i aureole nad łbami, są przeróżnych kształtów i rozmiarów. Żaden nie przypomina Kleksa, pomimo to wzruszyła się, ale zdołała się opanować i tylko jedna łza spłynęła jej po policzku; przejrzała się w lustrze i stwierdziła, że bardzo jej z nią do twarzy.

Ktokolwiek był autorem tego rysunku, nie podpisał się, nagryzmolił jedynie na odwrocie koślawymi literami: „Wszystkie zmarłe pieski dobrze się bawią”.

Nie sądzi, żeby zrobiła to któraś z jej współlokatorek. Widywała liściki, które sobie zostawiały, i to nie było pismo żadnej z nich. Może była od Roba? Zawołał ją do telefonu, kiedy James zadzwonił z wiadomością o Kleksie, więc wie, jak bardzo była przygnębiona, ale zdaje się, że on studiuje inżynierię, a zresztą ma zbyt tłuste paluchy, żeby namalować coś takiego. To piękny obrazek, najlepszy, jaki kiedykolwiek dostała.

Prawda jest taka: Fern pragnie, aby to Charlie okazał się autorem, żeby to ten cuchnący, kędzierzawy, czarnooki chłopak był tym, któremu na niej zależy, i to na tyle, by narysować dla niej te urocze, rajskie psiaki.

Schowała kartkę w szufladzie z bielizną, pod najlepszymi stanikami i majteczkami, i plastikowym pudełkiem z krążkiem antykoncepcyjnym, który niedawno odebrała z centrum zdrowia dla kobiet w Manchesterze. Tak na wszelki wypadek.

U siebie w Surrey nie mogłaby załatwić czegoś takiego. Lekarz rodzinny gra w squasha z jej ojcem, a kilka koleżanek matki jest wolontariuszkami w szpitalu położniczym w Godalming, więc lepiej było pójść do tutejszej kliniki.

Pielęgniarka, która pomogła jej dopasować krążek, powiedziała, że powinna od czasu do czasu go zakładać, żeby „nie wyjść z sprawy”, ale ona nie może nawet na niego spojrzeć. Trzyma go na wszelki wypadek, gdyby zgodnie ze swoją obietnicą odwiedził ją James. Powiedział, że zrobi to „przed Bożym Narodzeniem”.

Na razie krążek spoczywa w górnej szufladzie pomiędzy bielizną, pudełkiem obitym niebieskim aksamitem, w którym trzyma perły po zmarłej babci, i najcenniejszym przedmiotem, jaki posiada: kartką z martwymi pieskami.

Fern jest z siebie zadowolona. W końcu załatwiła z Felicity i Dee sprawę korzystania z jej rzeczy bez pozwolenia. Kłótnia wybuchła nagle i była tak gwałtowana, że Dee dostała napadu hiperwentylacji i musiała głęboko oddychać do papierowej torebki.

– Ty samolubna, rozpieszczona psycholko! – wrzeszczała Felicity, aż piegi poczerwieniały jej z wściekłości.

– A ty jesteś grubym krówskiem o lepkich palcach! – zrewanżowała się Fern.

Awantura skończyła się łzami i alkoholem, którym towarzyszyły przeprosiny i uściski. W pewien sposób oczyściło to atmosferę i stosunki między trzema dziewczynami znacznie się polepszyły. Od tamtej chwili już dwa razy zjadły wspólny obiad: raz Dee i Felicity przyrządziły posypyany tartym serem brązowy ryż z pomidorami z puszki i brokułami (był okropny, niemniej świadczył o dobrej woli), a Fern zrewanżowała się gulaszem, do którego dodała chyba za dużo mielonej papryki. Dee zaczęła kichać i przez cały posiłek miała oczy pełne łez, więc położyła przy talerzu rolkę papieru toaletowego i bez przerwy smarkała.

Na deser Fern podała współlokatorce domową szarlotkę i własnoręcznie przyrządzony budyń, na który Felicity odrobinę kręciła nosem – wołała ten z torebek.

W szkole też idzie jej lepiej. Została obsadzona w roli pianistki Maszy w *Trzech siostrach* Czechowa – wyróżnienie to zawdzięczała decyzji reżysera, który postanowił przenieść akcję w rodzinne strony sióstr Brontë i potrzebował aktorek mówiących z silnym akcentem z Yorkshire.

– Pieprzone pedalstwo! – przeklinała Fern.

Typowe: kiedy w końcu udało się jej zdobyć pełnokrwistą rolę, w której mogła popisać się pianistycznymi umiejętnościami (nie wspominając o tym, jak świetnie wyglądałyby jej włosy upięte w kok), wszystko zostało zmarnowane tymi idiotycznymi realiami z północy. Cóż, do premiery pozostały jeszcze dwa tygodnie, nie będzie się teraz tym przejmować.

Po naprawieniu stosunków z Felicity i Dee chadzają czasem we trójkę do The Railway, pobliskiego pubu, który przypominał wiktoriańskie pudełeczko na biżuterię: miał ławy wyściełane czerwonym aksamitem i lśniące mosiężne okucia. Na honorowym miejscu, na kontuarze przy kasie, ustawiono wielki słój z piklowanymi jajkami.

– Nie sądziłam, że piklowane jajka naprawdę istnieją, myślałam, że to coś w rodzaju jednorożców – zdumiała się Fern.

Często przyłącza się do nich zażywny Rob z parteru, a od czasu do czasu Charlie – a wtedy serce Fern drży jak koszyk pełen malutkich kotków. Czasem przychodzi z Fabianą, czasem sam, ze skrętem przyklepionym do wargi, chude, drżące dłonie przeczesują kędzierzawe włosy. Bywa, że tylko zajrzy na chwilę, rozgląda się, sprawdza, czy jest ktoś, do kogo warto się przysiąść, i wychodzi. Jeśli zostaje, pije czerwone wino, a wtedy Fern żałuje, że zamówiła piwo z limonką; wołałaby napić się czerwonego wina z Charliem.

– Jest w zespole, wiecie? Razem z kilkoma kumplami ze szkoły plastycznej –

informuje Rob i przewraca oczami. – To coś w rodzaju chóru punkowego. Brzmia okropnie, śpiewają hymny kościelne, ale w stylu punk. Niektóre wykonują chyba po łacinie.

Rob jest miłym niedźwiedzioватым niezgrabiaszem. Nosi koszulki do gry w rugby i kupuje torby chrupek, którymi wszystkich częstuje.

– Czuję do ciebie miętę – szepcze pewnego niedzielnego wieczoru maleńka Dee, kiedy Rob odchodzi do baru, żeby zamówić następną kolejkę.

– Nie bądź głupia – śmieje się Fern, ale sądzi, że koleżanka ma rację.

– Bardzo chciałbym zobaczyć cię w tej sztuce – mówi Rob, ochlapując stół piwem.

– Możesz załatwić mi parę biletów?

James też wspomniał, że może przyjedzie. Chwilami, kiedy Fern myśli o tym przedstawieniu, czuje, jakby w gardle stało jej piklowane jajko, którego nie może przełknąć. Matka na pewno się zjawi; zatelefonowała i poinformowała córkę o swoich planach:

– Chciałam zabrać Minty albo June, ale June czeka operacja usunięcia kamieni żółciowych, a Minty ma na głowie jakąś uroczystość partii torysów. Biedna Minty, zamartwia się o Elise: prowadzi tak wyczerpujący tryb życia, i mówi się, że niedawno wylądowała w szpitalu na płukaniu żołądka, ale zatrzymaj to dla siebie. Tak czy inaczej, kochanie, tatuś nie może przyjechać, bo ma sprawy w klubie. Myślę, że po spektaklu zatrzymam się w hotelu, chyba że masz wolny pokój?

– Nie mam wolnego pokoju – mówi Fern i czuje ulgę, że matka nie zobaczy nędznego mieszkanka na Old Lansdowne Road 2. Nie zrozumiałaby, dlaczego w korytarzu stoją rowery:

„Przecież mogliby je trzymać w garażu albo w przybudówce, kochanie; a przy okazji: gdzie się podziały klosze od żarówek?”, donośny głos Rosemarie rozbrzmiewa w głowie Fern.

Jill z północy gra drugą z siostr. Jest szczęśliwa, że może mówić z akcentem z Yorkshire, chociaż bez przerwy przypominają jej, żeby nie szarżowała.

– To nie kreskówka – powtarza reżyser (i zarazem choreograf), od niechcienia głaszcząc biodro Fern.

Martwi się swoim akcentem. Jill proponowała, że ją podszkoli, ale reżyser rzucił ostro:

– Powinnaś przede wszystkim nauczyć się tekstu.

Jill ma okropną skłonność do improwizowania, kiedy zapomina kwestii. Ostatnio, zamiast „do Moskwy”, powiedziała „musimy jechać do Macclesfield”.

Reżyser poprosił Fern, żeby została po próbie, bo chce zamienić z nią słówko. Fern zarumieniła się, zanim reszta studentów zdążyła opuścić salę.

Kiedy zostają sami, krytykuje ją, a ona płacze. Potem ją chwali, ale ona dalej szlocha, więc bierze ją w ramiona i gładzi po pośladkach, wsuwa dłoń pod koszulę, rozpina stanik – z taką łatwością, jakby sam nosił go na co dzień – i pieści jej piersi. „Jest piękną dziewczyną, najpiękniejszą w całej szkole”. Podchodzi do drzwi, przekręca klucz, przygasza światło i wraca do niej; penis sterczy mu z rozporka jak zwierzątko, które chce się wyrwać z klatki.

Jest zaszokowana, ale dziwnie bezwolna. Popycha ją na gumową matę przesiąkniętą smrodem niezliczonych stóp, po chwili klęczą naprzeciwko siebie. Całuje ją głęboko, ma delikatny, ale zręczny język. Jest lepszy niż James i wszystko wydaje się dość niewinne, dopóki nie wkłada w jej dłoń czegoś lepkiego.

To jak gra, którą organizowała mama podczas przyjęć z okazji jej urodzin: wszyscy mieli zawiązane oczy, a mama opowiadała historie o duchach i dotykała ich kośćmi kurczaka, udawała, że to palce nieboszczyków; na koniec zanurzała im dłonie w kubku z galaretką, a oni krzyczeli, ponieważ mieli wrażenie, że macają oczy zmarłych.

Tylko teraz to nie jest kubek z galaretką ani kość kurczaka, to penis jej nauczyciela – albo fiut, jak się obecnie mówi. Każe jej schylić głowę i mówi, żeby zaczęła ssać, i Fern ulega. Czas się w końcu nauczyć, myśli. Zabawne, takie robienie lodu nie ma nic wspólnego z deserem.

Ma na sobie obrożę Kleksa, wykładowca wsuwa pod nią palec i kieruje ruchami jej głowy. W górę i w dół, wchodzi coraz głębiej w jej gardło. Kiedy Fern czuje płyn, dziwi się, że jest tak gęsty i ciepły; łyka go, bo nie wie, co innego może zrobić, zresztą nic nie rozdrażnia mamy tak bardzo jak płucie.

– Dobra dziewczynka – mruczy nauczyciel i zlizuje jak pies resztki swojego nasienia z jej ust. – Bardzo dobra dziewczynka. Lepiej nie mówmy o tym nikomu; nie chcemy, żeby inne były zazdrosne i oskarżały cię, że flirtujesz ze mną, aby dostać dobre role. Nie możemy pozwolić, by ktoś uznał, że mam swoje ulubienice. Obiecujesz? Musisz pamiętać, Fern, to bardzo ważne, przecież wszystkich studentów traktuję jednakowo.

I dotrzymuje słowa: od tamtego czasu nie dotyka jej, traktuje ją ozięble. Wczoraj rzucił swoim egzemplarzem tekstu, kiedy zapomniała kwestii, ale na koniec próby poprosił je do siebie, wszystkie trzy Czechowowskie siostry, i powiedział, że akcent z Yorkshire się nie sprawdza, więc postanowił, że będą mówiły klasyczną angielszczyzną. Fern poróżwiała z zadowolenia; wiedziała, że zrobił to w podziękowaniu za lodu. Dociera do niej, że seks potrafi być potężną bronią, i zastanawia się, czy kiedy zobaczy się z Jamesem, on też będzie chciał, żeby mu obciągnęła.

W każdym razie dziś to Jill ma zostać po próbie, nie daje sobie rady z klasyczną wymową.

– Mogłabym jej pomóc – proponuje Fern.

– Lepiej nie wtykaj w to swojego arystokratycznego nochala – burczy nauczyciel.

Fern rumieni się gwałtownie, jej twarz natychmiast przybiera barwę ulubionego dżemu Dee; wychodzi z sali razem z Olgą (szarą myszką o imieniu Sandra) i Nataszą (miłą Szkotką, Luizą).

Pięć minut później przypomina sobie, że zapomniała swojego egzemplarza tekstu, i wraca. Drzwi do sali prób są zamknięte, chociaż w środku pali się jeszcze kilka lamp.

Cóż, obiecała dziewczynom, że przygotowuje lazanie na kolację.

– Sama, prawdziwą? – zdumiała się Dee. – Nie taką gotową, ze sklepu?

Dopiero kiedy płaci przy kasie za pół funta mielonego mięsa, uświadamia sobie, że Jill pewnie dostała takie same korepetycje jak ona trzy dni temu.

Już wie, na czym polega kłopot z mężczyznami: kiedy wydaje ci się, że przejmujesz kontrolę, kiedy sądzisz, że masz już ich w rękę, okazuje się, że wcale tak nie jest. Jest rok

1980, ale to oni nadal mają władzę. Fern rumieni się, ale tym razem ze złości, i wracając do domu z supermarketu, przysięga sobie, że już nigdy nie będzie taka głupia.

Zastanawia się poważnie, czy nie uciec. Próba kostiumowa wypadła okropnie, Fern męczyła się przez dwie godziny, halki aktorek zaczepiały o drzwi, a mężczyznom odklejały się sztuczne brody. Od samowara odpadła rączka, baron potknął się o swoją laskę, a pianino było tak rozstrojone, że uwertura grana przez Fern, zamiast wprowadzić widzów w odpowiedni nastrój, zabrzmiała jak przerywnik komediowego skeczu. Co za gówno, co za przerażające, potworne gówno.

– To szczęśliwy znak – próbowała żartować Jill. – Jeśli próba kostiumowa jest do dupy, to znaczy, że premiera wypadnie świetnie.

Od kiedy w zeszłym tygodniu Fern zastała zamknięte drzwi do sali prób, usiłowała się dowiedzieć, czy Jill zrobiła laskę panu Tate'owi, a raczej Dave'owi Tate'owi, bo reżyser woli, by właśnie tak się do niego zwracać:

– Jestem bardziej waszym kolegą niż nauczycielem. Mówicie mi Dave, Dave Tate.

Po Jill nic nie dało się poznać, a co do Dave'a, cóż, pan Tate odnosił się do obu dziewczyn z lekceważeniem, więc niczego nie można było wykluczyć. Może naprawdę udzielał jej korepetycji z artykulacji.

Jeśli tak, na niewiele się to zdało. Jill mówiła jak kelnerka podająca frytki gdzieś na północnym wybrzeżu, czym się niegdyś zajmowała.

– Dlatego muszę harować do upadłego – zwierzyła się Fern. – Nie chcę wracać do serwowania pieprzonych fish and chips z octem.

Gdybym mogła wybierać, myśli Fern, to, wyłączwszy podawanie frytek w Redcar, co przypominało zesłanie do ostatniego kręgu piekieł („W tych rybach roilo się od robaków, nawet sobie tego nie wyobrażasz”), wolałabym robić cokolwiek, byleby tylko nie musieć tu siedzieć i przygotowywać się do występu na scenie.

Nienawidzę, nie znoszę tego miejsca, wścieka się Fern. Mam dość Dave'a Tate'a. Chcę wrócić do domu i zostać florystką. Chciałabym mieć swoją kwaciarnię, to moje marzenie, wtedy każdego dnia mogłabym wdychać piękne zapachy.

Tymczasem prawdziwe życie przesiąknięte jest cuchnącym potem. Wszystkie aktorki grające główne role mają wspólną garderobę, a myszowata Sandra, którą obsadzono w roli najstarszej z sióstr Prozorowych, nie uznaje dezodorantu ani golenia pach.

Dobrze przynajmniej, że nosi suknię z rękawami, myśli Fern. Moja matka chyba zemdłałaby na widok kobiety, która pokazuje owłosione pachy! Nie uwierzyłaby własnym oczom, pomyślałaby, że Sandra trzyma tam myszoscoczki.

Fern tak trzęsą się ręce, że ledwo daje radę upiąć włosy w kok, chociaż ćwiczyła tę czynność o wiele częściej niż wkładanie krążka do pochwy.

Gorączkowo wbija szpilkę; no, prawie gotowe. Kilka luźnych kosmyków okala jej twarz, wygląda całkiem nieźle. Gdyby tylko przestały jej drzeć dłonie, choć na tyle, żeby mogła się umalować.

Wszystkie mają wyglądać podobnie – blade, z okrągłymi czerwonymi rumieńcami na policzkach (jak u kukielek) i karminowymi wargami. W zamyśle reżysera ma to

stworzyć wrażenie jednorodności, jakby naprawdę były siostrami – zabieg niewykonalny, bo mówią z odmiennymi akcentami, pochodzą z różnych części kraju, które łączy jedynie autostrada M4.

Zostawiła bilety dla matki i Roba w kasie, czyli na stoliku przyniesionym z jadalni, który ustawiono w korytarzu, przed wejściem do sali teatralnej. Fern jest wstyd. Gdyby to miejsce było odrobinę bardziej eleganckie, gdyby tu tak nie cuchnęło mięsem w cieście. Matka przeżyje wstrząs, kiedy zobaczy toalety: dopiero przed dwoma tygodniami Fern zdołała się przemóc, aby nie zawisać kilka centymetrów ponad zmurszałymi drewnianymi deskami klozetowymi. Czasem dziewczyna po prostu chce sobie przysiąść.

Wezwano studenta z trzeciego roku konserwatorium, który miał nastroić fortepian, ale przed spektaklem nie było czasu sprawdzić, jak instrument brzmi. Jeśli źle, to cały wieczór zamieni się w kiepską farsę w stylu Lesa Dawsona.

Fern czuje się tak, jakby jej ciałem zawładnęła jakaś obca istota. Prawdziwa Fern leży wygodnie skulona w swojej sypialni w domu rodzinnym i liczy plastikowe kucyki, które zbierała, gdy mieszkała w internacie i tęskniła za prawdziwymi końmi. Kolekcja składa się z czterdziestu siedmiu koników, każdy ma własne imię: Gwiazdka, Błażej, Monty, Suki, Księżyc, Złotko, Pyszałek, Joe... Kiedy przypomina sobie małych plastikowych przyjaciół, w tym samym czasie jakaś obca osoba z wielką białą twarzą maluje sobie w lustrze usta na ciemnoczerwony kolor.

Aksamitek, Kasztanek, Białasek, Gwiazdor.

Okrzyk zza drzwi przerywa malowanie warg:

– Zaczynamy za piętnaście minut! Wszyscy mają być gotowi za kwadrans.

Reszta studentów z roku – ci, którzy nie załapali się do obsady – pracuje jako inspicjenci. Ta sytuacja wywołuje różne napięcia i zazdrość, obsługa sceny pozostawia wiele do życzenia.

Fern wzdycha. Jill wciąga suknię przez głowę; ma szary stanik, zupełnie zwyczajny, czego nie można powiedzieć o jej piersiach – są niezwykle.

– Przedstawiam wam Jacka i Placka – chichocze Jill, poprawiając dekolt przed lustrem.

Ma to na końcu języka. Czy powinna to powiedzieć, spytać po prostu: Jill, obciągnęłaś Dave’owi Tate’owi?

Ale nie ma na to czasu. Na schodach rozlega się jakiś hałas i jedna z kobiet ze stołówki, ta, która nie ma kciuka, wpada do garderoby z potężnym bukietem kwiatów.

– Obsługuję bufet na dole, ale twoja matka wcisnęła mi je w rękę i spytała, czy ci ich nie zaniosę, sama bała się tych krętych korytarzy, kazała powiedzieć, że jest w pubie naprzeciwko razem z jakimś tam Jamesem.

– A niech mnie, co za bukiet! – Jill jest pod wrażeniem.

Fern zatapia twarz w dwunastu żółtych różach. Ich zapach zabija smród ciała Olgi.

Jest oszołomiona. James tu jest, pewnie przywiózł matkę do Manchesteru. Gdzie się zatrzymał? O Boże, nie zmieniła pościeli od czasu wypadku z pasztetem. Tylko tego jej brakuje przed wyjściem na scenę, cholerny James, że też musiał się zjawić. Kurwa mać! „Ależ kochanie, to takie miłe z jego strony, wspiera cię”, głos matki przypomina, że powinna być wdzięczna, na pewno nie będzie u niej nocował – Rosemarie by się wściekła.

Fern próbuje wziąć się w garść. Teraz nie może o tym myśleć, jest Maszą, rozczarowaną, zawziętą Rosjanką, ale ma sucho w ustach i przez kilka przerażających chwil nie może sobie przypomnieć ani jednej kwestii.

– Zaczynamy przedstawienie, zaczynamy przedstawienie. Na scenę proszone są: panna Woolbright, panna Jackson...

Dwie i pół godziny później jest po wszystkim. Siostry siedzą z powrotem w garderobie, ale Fern nadal ma wrażenie, że przebywa poza swoim ciałem.

Od razu po wejściu na scenę zauważyła matkę, która jako jedyna klaskała po krótkiej (na szczęście fortepian był dobrze nastrojony) uwerturze. Rosemarie siedziała w trzecim rzędzie, pomiędzy Jamesem i, o kurwa na wysokościach, Charliem. Udo matki w obcisłej sukni stykało się z dżinsami Charliego! Ożeż kurwa mać! Jak miała się skoncentrować na powrocie do Moskwy, kiedy marzyła tylko o tym, by ssać kutasa Charliego Treadawaya?

Od tej chwili zaczęła zwracać uwagę nawet na najdrobniejsze szczegóły. Kiedy była na scenie, nawet przez chwilę nie mogła się rozluźnić, przez cały czas pamiętała o rączce od samowara przyklejonej taśmą, widziała, jak zamek sukni Jill powoli się rozsuwa, liczyła każdą linijkę tekstu, która dzieliła ją od jej własnych kwestii.

I nagle było po wszystkim, kłaniała się, trzymając wilgotną dłoń Olgi. Przedstawienie się udało, nawet fortepian brzmiał jak należy, ale ona nie mogła dojść do siebie, nadal była dziewczyną, która udawała Maszę, czuła się jak oszustka.

W garderobie Jill nie przestaje trajkotać. Po zmyciu makijażu ma zaróżowione policzki; nawet jej dekolt płonie.

– Mówiłam ci! – piszczy do Fern. – Byłyśmy, kurwa, niesamowite, prawda? Do pubu, do pubu, do pubu...

Reszta zespołu podejmuje pieśń, Fern też się dołącza:

– Do pubu, do pubu, do pubu. – Stara się jak może, żeby nie wyglądać na przygnębioną.

Zanim zespół teatralny dotarł do leżącego naprzeciwko pubu Grapes, matka już usadowiła się przy narożnym stoliku, z jaskrawo kolorowym drinkiem.

– Gin z limonką, kochanie. James jest przy barze, weźmie dla ciebie cokolwiek, na co masz ochotę. Przywiózł mnie tu, prowadził sam taki kawał drogi i odwozi mnie z powrotem, więc nie będę musiała nocować w jakimś okropnym hotelu. Czyż nie jest wspaniały?

James macha do niej banknotem dziesięciofuntowym.

– Pintę piwa! – wrzeszczy do niego.

Twarz mu pochmurnieje, kąciki ust opadają.

– Dlaczego nie weźmiesz tego co matka?

Rosemarie obejmuje Fern, słyhać znajomy szelest jedwabiu i czuć zniewalający zapach Rive Gauche.

– Dobrze się spisałaś, kochanie, byłaś zdecydowanie najładniejsza. W twojej grupie są dziewczyny o bardzo dziwnych kształtach.

Fern czuje, jak ogarnia ją nagła i niespodziewana fala rozdrażnienia. Matka nigdy nie potrafi dostrzec niczego poza wyglądem: kobiety są albo ładne, albo brzydkie jak noc,

zwłaszcza te grube są do niczego.

– Ta brunetka ma pospolitą urodę, ale mogłaby wyglądać bardzo dobrze – kontynuuje matka – gdyby schudła kilka kilogramów...

– A jak sztuka? – przerywa jej Fern i rozgląda się po pubie. Gdzie jest Charlie? Czyżby tak bardzo mu się nie podobała, że wyszedł wcześniej?

– Och, wiesz, dość rozwlekła – odpowiada matka. – Przegadana. Trochę przesadzają, nie sądzisz? W pewnej chwili pomyślałam, że skoro tak bardzo tęsknisz za Moskwą, to dlaczego po prostu tam nie pojedziesz?

Na szczęście dla Rosemarie w tym momencie zjawia się James z drinkami.

– Świetnie wypadłaś, kochanie, nie mam pojęcia, jak zdołałaś zapamiętać tyle tekstu. Zdrówko. – Podaje jej gin z limonką, drink dobrany do tego, co pije jej matka, i dodaje: – Więc tak wygląda prawdziwy północny pub? Powinienem wam zamówić na zakąskę skwarki na zimno!

Matka wybucha śmiechem, prawie się dławi.

– Wyobrażasz to sobie? – Ociera łzę chusteczką ozdobioną koronką.

– Chciałam piwo, bo bardzo chce mi się pić – burczy Fern i żeby rozzłościć ich oboje, wychyla jednym haustem ogniście jaskrawy trunek i idzie do baru, żeby kupić sobie to cholerne piwo.

Gdzie on jest? Gdzie jest Charlie?

Kiedy przepycha się z heinekenem przez tłum widzów i aktorów, którzy przyszli tu po spektaklu, na drugim końcu sali zauważa Roba. Daje matce i Jamesowi znak, że zaraz do nich wróci, i przeciska się do miejsca, gdzie jej znajomy siedzi razem z Jill.

– Dobra robota – mówi Rob. – Uważam, że wszystkie byłyście świetne, naprawdę.

Nagle Fern czuje, że ktoś za nią stanął, położył jej dłoń na szyi i po kolei wyciąga z jej włosów długie metalowe szpilki. Kok rozpada się pod własnym ciężarem, włosy swobodnie opadają na ramiona, a ona słyszy głos szepeczący jej do ucha:

– Zatrzymam je, potrzebne mi twoje DNA.

Odwraca się, ale on już wychodzi. Salutuje przy drzwiach – jak śmie? Nabija się z jej chłopaka żołnierza, a mimo to Fern chce krzyknąć, żeby został. Chce, żeby się dowiedział, że James nie będzie nocował na Old Lansdowne Road. Chce, żeby wiedział, że jej łóżko należy do niego.

– Kim jest ten młody człowiek? – pyta matka. – Jest diabelsko przystojny, chociaż lekko niedomyty.

Fern chce coś odpowiedzieć, ale James jej przerywa:

– Skarbie, może pójdziesz się przeczesać do łazienki? Wyglądasz, jak by to ująć, jak strach na wróble.

Wreszcie zbliża się koniec semestru i Fern nie może się doczekać powrotu do Three Paddocks, gdzie Woolbrightowie obchodzą święta Bożego Narodzenia zgodnie z tradycją. Nie potrafi sobie wyobrazić, że mogłaby nie obudzić się tego dnia w swoim wąskim łóżku na poddaszu, przecież musi sprawdzić, jakie niespodzianki kryje leżąca na podłodze skarpetka.

– Co? Chcesz powiedzieć, że nadal dostajesz świąteczną skarpetę? – dziwi się Felicity. – W tym wieku to trochę dziwaczne. Jakby twoi rodzice chcieli, żebyś na zawsze pozostała małą dziewczynką.

– A kto by nie chciał być przez cały czas małą córeczką swojego tatusia i swojej mamusi? – pyta Fern, ale tak, żeby nikt nie usłyszał.

Chociaż może faktycznie jest to nieco dziwaczne i, szczerze mówiąc, większość prezentów w skarpecie to chłam. Może powinna powiedzieć matce, żeby nie kupowała tylu szmirowatych drobiazgów, a zamiast tego dała jej coś naprawdę dobrego, jeden porządny prezent, na przykład jakąś płytę.

Rosemarie Woolbright kocha święta. Uwielbia spryskiwać gałązki srebrną farbą w sprayu (jest po tym lekko oszołomiona) i przygotowuje ozdoby, które ustawia na stoliku z telefonem w hallu. Matka potrafi być całkiem pomysłowa, jeśli chce; lubi, jak dom pachnie cynamonem, i własnoręcznie przygotowuje poncz.

U Woolbrightów obowiązują pewne świąteczne zasady, którym wszyscy muszą się podporządkować: msza w kościele w Wigilię, wędzony łosoś i jajecznicza na świąteczne śniadanie, po którym rozdaje się prezenty wokół choinki, a potem miły orzeźwiający spacer z pieskami do stajni i obiad około piątej. Tylko ich troje i babcia, matka Gordona, która, według mamy Fern, jest „w świetnej formie jak na swój wiek, chociaż bywa odrobinę uciążliwa”.

W puddingu zawsze można znaleźć srebrne sześciopensówki i starą trzypensówkę. Gordon polewa go alkoholem, podpala i przynosi z kuchni do jadalni, i wszyscy muszą wiwatować na widok falujących błękitnych płomieni.

Drugiego dnia świąt składają wizyty, dzielą się radością z sąsiadami i wtedy Fern, przy odrobinie szczęścia, będzie mogła spotkać się z Elise. Nie może się doczekać, kiedy zobaczy swoją frywolną kuzynkę, która zna wszystkie najpikantniejsze plotki.

Felicity i Dee nie wybierają się do swoich domów na święta Bożego Narodzenia. Felicity nie lubi swoich rodziców, ponieważ nie akceptują jej seksualności: ojciec nie jest w stanie nawet wypowiedzieć słowa „lesbijka”, a matka otwarcie stwierdza, że styl życia córki „przyprawia ją o mdłości”.

Dee niewiele mówi o swojej rodzinie, ale także nigdzie się nie wybiera. Jednak obie pomagają Fern, kiedy ta postanawia przerobić stojącą w kuchni jukę na prowizoryczną choinkę. W trójkę przystrajają roślinę klipsami, sznurami plastikowych koralików i kilkoma nieforemnymi kształtami ze zgniecionej srebrnej folii, którą wyciągnęły z pudełek po papierosach.

Radio Fern (w jakiś dziwny sposób zawędrowało z jej sypialni do kuchni i teraz

wszystkie z niego korzystają) nastawione jest na stację z kolędami. W obskurnym wnętrzu zapanowała świąteczna atmosfera i Fern po raz pierwszy od wielu tygodni jest podekscytowana.

Od czasu przedstawienia czuła się, jakby ktoś spuścił z niej powietrze. Mama zadzwoniła następnego dnia i zachwycała się, jaki James był wspaniały; odwiózł ją na południe w rekordowo krótkim czasie, to prawdziwy rycerz w lśniącej zbroi, prawda?

– Tak – zgadza się bez przekonania Fern.

Rzadko widuje Charliego. Fabiana jakby wyczuła, że nie można im ufać, stale jest czujna. Rob mówi, że wytatuowała sobie imię Charliego na udzie. Zrobiła to sama za pomocą cyrkla i tuszu kreślarskiego, który należał do jej chłopaka; zdaje się, że dostała zakażenia i Charlie opiekował się nią przez tydzień, pilnował, żeby brała antybiotyki, które przepisano jej w szpitalu.

Fern ma sen, że w ranę Fabiany wdała się gangrena, konieczna była amputacja i dziewczyna musiała tańczyć, skacząc na jednej nodze. Po przebudzeniu jest rozczarowana, że ten scenariusz to fikcja. Cholerna Fabiana.

Wszyscy są odprężeni. W piątek, przed powszechnym eksodusem studentów do rozrzuconych po całym kraju rodzin w maleńkim pubie na rogu jest tak tłoczno, że nie dałoby się nigdzie wetknąć nawet szpilki. Fern siedzi ściśnięta na ławie pod ścianą, obok Roba, który trzyma na kolanach Jill. Wszyscy piją, oprócz Roba i Jill, którzy bez przerwy się całują. Dobrze się dobrali, myśli Fern. Jill ma na sobie jedną ze sportowych koszulek Roba; ciemnoczerwone, szerokie pasy podkreślają jej obfity biust i Rob nie może oderwać od niego wzroku.

Charlie siedzi przy barze razem z Fabianą; wcisnęła mu głowę pod ramię, wygląda jak jakaś paskudna narośl. Obrzek węzłów chłonnych, Fern przypomina sobie lekcję historii o czarnej śmierci w trzeciej klasie szkoły średniej i czuje się, jakby znów otaczały ją dziewczyny w fioletowych fartuszkach z Tillinghurst.

Tak bardzo chce zwrócić na siebie jego uwagę, że śmieje się na cały głos z byle czego. Kiedy wreszcie ją zauważy? Kiedy wreszcie wszystko zrozumie, rzuci Fabianę i zerznie ją, Fern?

Charlie i jego narośl zniknęli. Rob mówi jej, że Charlie daje dziś koncert, a potem jedzie do Londynu, do rodziny. Aby to powiedzieć, wyciąga na chwilę język z ust Jill, a potem wsuwa go z powrotem, zupełnie jakby przepychał rury.

Aha, więc jest z Londynu. No jasne. Przez chwilę żałuje, że i ona nie mieszka w stolicy. Three Paddocks jest w porządku, można siedzieć przy kuchence AGA, przygotowywać grzane wino w specjalnym miedzianym rondlu mamusi, ale nie jest to szczególnie ekscytujące miejsce. W sumie jest tam dość nudno. Chryste, po raz pierwszy w swym osiemnastoletnim życiu Fern nagle czuje, że nie cieszy jej perspektywa spędzenia świąt Bożego Narodzenia w domu, z cholernymi rodzicami.

Zmywają się z pubu około jedenastej, Fern wlecze się do mieszkania razem z Jill, Robem, Felicity i Dee. Czuje się, jakby robiła za przyzwoitkę, to okropne.

Pamiętaj, że masz Jamesa, upomina się. Poczciwy James, ma tyle seksapilu co myszokoczek. Ciekawe, jaki prezent kupił mi na święta; lepiej, żeby się postarał.

– Wesołych świąt, Jill, wesołych świąt, Rob, nie róbcie niczego, czego i ja bym nie

zrobiła!

Ha, ha, pomarzyć dobra rzecz.

Ktoś znów wsunął coś pod drzwi; kolejny rysunek tuszem, świąteczna kartka przedstawiająca nagiego anioła na czubku jodły. Anioł ma rude włosy. To Fern, doskonale ją uchwycił, nawet jej jasnoróżowe sutki.

Och, Charlie, cudowny, seksowny londyński chłopak. Fern leży sama w łóżku, a jej dłoń wędruje w kierunku łona, gdzie, po chwilowym poszukiwaniu, odnajduje to, czego szukała. Łechtaczka, teraz już wie, że nigdy nie będzie miała problemu, by ją odnaleźć. Rytmicznie pieści i drażni miejsce, gdzie umiejscowiony jest milion zakończeń nerwów, zatracą się, zanurza palce w przejmującej wilgoci i nagle dzieje się coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Hahahaha.

Kiedy jest już po wszystkim, stara się oddychać spokojniej i gratuluje sobie w myślach: Dobra robota, Fern, to była udana masturbacja, brawo. I zasypia, nie zważając na postękiwania dobiegające z pokoju obok i z parteru. Dziś w nocy wszyscy to robią.

Rzecz jasna miło być w domu – Fern bez przerwy otwiera lodówkę, żeby napawać się wspaniałymi świątecznymi smakołykami – ale mamę chwilami trudno jest znieść.

Rosemarie najwyraźniej przechodzi *tę zmianę*. Następnego dnia po przyjeździe córki nagle stała się płaczliwa i oskarżała wszystkich, „że nikt nie przykłada się do pracy” i sama musi się zajmować „tą gównianą robotą”, co w tej właśnie chwili oznaczało malowanie orzechów włoskich złotą farbą.

– Żadne z was nawet nie kiwnie palcem! – grzmiąca, a pędzelek dygotał w jej zadbanej dłoni.

Oczywiście im bardziej mama histeryzowała, tym dokładniej tata chował się za gazetą albo znikał w pubie, „by spotkać się z pewnym człowiekiem w sprawie psa”, na co mama kilka razy rzuciła: „sukinsyn” i dalej przygotowywała ciasto francuskie do jakichś „pieprzonych domowych babeczek z bakaliąmi”.

Fern naprawdę się starała. Spróbowała nawet porozmawiać z Rosemarie jak kobieta z kobietą, zwierzyła się jej, że ona też była zakładniczką swoich hormonów, cierpiała na napięcia przedmiesiączkowe (nie wspominając o potwornie bolesnych okresach), ale matka odparła, że nie zamierza wysłuchiwać takich wulgarnych bzdur, bo podobne sprawy kobieta może omawiać jedynie ze swoim lekarzem.

– Więc idź do doktora – warknęła Fern, na co Rosemarie wrzuciła wszystkie złote orzechy do „pierdolonego kosza na śmieci”.

To były trudne chwile.

Ale pomijając kilka drobnych utarczek i fakt, że mama traktowała ją jak dziewięciolatkę, naprawdę miło było być w domu, chociaż nieco się nudziła i zabroniono jej trzymać popielniczkę w sypialni. „Kochanie, palenie w łóżku to wstrętny nawyk”, co było idiotycznym stwierdzeniem, bo każdy, kto pali, wie, że najlepiej smakuje ostatni papieros przed snem, kiedy człowiek zaciąga się dymem w ciemności, leży nagi pod kołdrą i popija z kieliszka jakiś ciemnoczerwony płyn. Fern przemyciła do pokoju butelkę tarninówki i ukryła ją w jednym z butów do jazdy konnej.

Cóż, to tylko kilka głupich zakazów, czy poza tym ktoś mógłby wyobrazić sobie lepsze miejsce do życia?

Fern wyciąga się na swoim panińskim łóżku i domyśla się, że matka nocą wślizgnęła się do pokoju i zostawiła jej skarpetę. Ma nadzieję, że Rosemarie nie zauważyła na stoliku nocnym pełnego niedopałków kieliszka do jajek, ale teraz znowu zasypia. Skarpeta może poczekać, i tak na pewno pełno w niej badziewia.

Dwie godziny później, kiedy już wypatroszyła swoją skarpetę, Fern siedzi pod choinką i odpakuje prawdziwe prezenty. Matka podarowała jej parę jednopalcowych rękawiczek z owczej skóry – według Rosemarie idealnie sprawdzą się w „tym paskudnym, wilgotnym Manchesterze” – i Fern, która nagle czuje przyływ ciepłych uczuć do swojego nowego domu na północy, musi przełknąć tę gorzką uwagę i udawać, że podobają się jej te szkaradne, pieprzone rękawiczki. Dlaczego rodzice zawsze tak beznadziejnie się myślą? Każdy prezent kupują, jakby myśleli o jakiejś innej Fern,

wyimaginowanej córce, która przepada za pachnącym papierem do wykładania szuflad i zaczytuje się *Podręcznikiem wzorowej gospodyni*. Para ażurowych rajstop byłaby świetna, ale niestety, są beżowe; brązowa skórzana torebka jest droga, ale banalna, a kraciasty szkocki beret nawet z chęcią by nosiła, gdyby nie był za mały.

Po tradycyjnej przechadzce do stajni, gdzie stary kucyk Bruno ledwie ją rozpoznaje (jego błękitne oczy są zmętniałe, cierpi na zaćmę), Fern wraca do swojego pokoju, popija tarninówkę i objada się czekoladą. Czuje się senna i znudzona, rozpaczliwie pragnie porozmawiać z kimś w swoim wieku.

Ubiera się starannie, niżby miała ochotę, uważa, żeby nie zdenerwować matki, która jest bliska wybuchu, od kiedy rozpakowała kaszmirowy sweter, prezent od Gordona. Niestety, był jasnofioletowy, a nie w kolorze czarnej porzeczki, chociaż właśnie o taki prosiła.

Fern słyszy, jak matka mamrocze: „pierdolony idiota” i wrzuca ozdobny papier do kominka. W tym momencie Gordon zauważa, że w ogniu lądują też skarpetki, które kupiła mu Fern, a Rosemarie próbuje wyciągnąć je pogrzebaczem. Po chwili na żółtym dywanie, w miejscu, gdzie wylądował tłący się prezent, pojawia się zwęglona plama.

Fern postanawia nie zakładać opaski na włosy, chociaż matka lubi, jak ją nosi. Zaczyna boleć ją głowa, a ma przed sobą jeszcze świąteczny obiad z babcią.

Wkłada kremową jedwabną koszulę z koronkowym żabotem i zieloną aksamitną spódnicę. Wciąga beżowe rajstopy, a długie, wąskie stopy wsuwa w parę czarnych zamszowych mokasynów od Russella i Bromleya, które leżały na dnie szafy od czasu, gdy wyjechała do Manchesteru, bo mama stwierdziła, że „zamsz i północ nie pasują do siebie, kochanie”.

Babcia P. zestarzała się i Fern nie lubi obserwować jej przy posiłku. Niedowidzi jak biedny Bruno, myli biały pieprz z solą i w rezultacie kicha przy stole przez dziesięć minut. Rzucane przez Rosemarie życzenia: „na zdrowie” stają się coraz bardziej nerwowe, za chwilę matka może wybuchnąć.

Kiedy Fern i babcia ciągną za dwa końce bożonarodzeniowej zabawki z niespodzianką, wnuczka jest przerażona kruchością tej starej kobiety. Jeśli nie będzie uważać, wyrwie wiekowe ramię ze stawów (zwłaszcza że babka nie zamierza się poddać). Wreszcie osiemdziesięciolatka zwycięża i wygrywa żółty plastikowy gwizdek, chociaż podczas tej zabawy o mało nie spada z krzesła.

Nadziewany indyk przypomina babcię: szare mięso, ścięgni i kości; jest niedopieczony i gdzieś widać cienkie strużki krwi.

Gordon jest bardzo miły dla matki, za to Rosemarie opryskliwa i wszyscy czują ulgę, kiedy Babcia P. prosi, żeby odwieźć ją do domu opieki, woli towarzystwo swoich koleżanek niż synowej.

– Będziemy śpiewać kolędy w świetlicy – mówi Babcia P. i całuje Fern. Czuć od niej zapach zjedzonego drobiu.

Fern czuje się nie najlepiej. Nie chce się zestarzeć. Pomaga matce posprzątać ze stołu i wychyla kieliszek szampana, którego nie wypiła babcia.

Wieczorem folgują sobie i łasuchują. Dzwoni James i Fern siada w pełnym przeciągów hallu (matka udekorowała balustradę bluszczem i ustawiła na stoliku

z telefonem misę świątecznych cukierków Quality Street). Fern wkłada do ust toffi i kiedy zaczyna je przeżuwać, okazuje się, że nie może mówić, bo usta wypełnia jej ślina. Robi różne miny przed lustrem, gęsta masa zmieszana ze śliną spływa z kącików jej ust, a James nadal gędzi.

Jutro wieczorem zabierze ją na kolację.

– To miła perspektywa – mówi matka, która przez cały dzień nie zabrała jasnofioletowego swetra spod choinki. – Nie zapomnij, że najpierw idziemy na przyjęcie z winem i przekąskami u Harrisonów.

Wszyscy kładą się dość wcześnie spać. W końcu za rok też będzie Boże Narodzenie, myśli Fern i wzdryga się nerwowo.

Dziesięć minut po przybyciu na przyjęcie z winem i przekąskami u Harrisonów Fern uświadamia sobie, jak wielkimi snobami są jej rodzice, jak bardzo nadęci i nudni są ich znajomi i jak bardzo narcystyczne są ich kurewsko paskudne dzieci. Nawet te w jej wieku, z którymi bawiła się, kiedy była mała, dziewczyny z Klubu Kucyków, ze zdrową wiejską cerą, kręconymi włosami i dyskretnymi perłami w uszach.

Wszyscy starsi panowie są odrażający, mają pełne włosów nozdrza, śmierdzi im z ust, a ich nieskazitelnie ubrane żony wyglądają, jakby nie wiedziały, czy mają się śmiać, czy płakać.

W zależności od płci znajomi rodziców albo piszczą, albo ryczą na widok Fern, a wszyscy bez wyjątku sądzą, że kariera, którą wybrała, to świetny powód do żartów.

– Oto ona, odpowiedź Godamling na Glendę Jackson – parska jakiś grubas otoczony kłębem dymu z cygara.

– Ha, ha, ha – śmieje się konwulsyjnie jego chuda jak szczapa żona.

Dzięki ci, Boże, za Elise. Gdy tylko przyjaciółki dostrzegają się nawzajem pośród krążących tac z pasztecikami z ciasta francuskiego, wymykają się przez oszkloną werandę do składziku, gdzie siadają na podłodze wśród psich misek i gumiaków.

Elise zaczęła mówić cockneyem, ma w zapasie mnóstwo plotek i butelkę cinzano, którą zwinęła z barku Harrisonów.

Od razu mówi, jak cholernie źle jej się wiodło od czasu, kiedy miała aborcję. Głupia wpadka, ale niedoszły ojciec był nigeryjskim bokserem (marzył o karierze zawodowej) z okolic Stepney Green, który dał nogę, jak tylko oznajmiła, że spóźnia się jej okres. Po zabiegu (był niczym w porównaniu z usunięciem zębów mądrości) mama posłała ją do psychiatry, ale on przyjmuje w cholernym Chiswick, a nie ma mowy, żeby z Pimlico miała zasuwac do zachodniego Londynu! Zresztą tata fundnął jej dwutygodniowy wyjazd na narty; wyjeżdża po Nowym Roku i sądzi, że Val d'Isère zrobi jej o wiele lepiej niż jakiś smętny terapeuta ze szkoły Junga, który gapiłby się na nią przez dwie godziny w każdy piątkowy ranek.

Fern chce, żeby Elise skołowała też trochę lemoniady do popicia lepkiego cinzano, ale na razie na przemian pociągają prosto z butelki.

Elise ma na szyi wyblakłe żółte siniaki, typowe dla młodych kobiet z wyższych sfer kołnierzyk z kryzą nie jest w stanie ich zasłonić.

– Staram się być grzeczna – mówi i zaciąga się głęboko mentolowym papierosem.

– Ale to takie nudne. – Chichocze, nie może się opanować, śmieje się i krztusi, odrobina cinzano cieknie jej z nosa. – Kurwa mać, czuję się jak kawał gówna – przyznaje, kiedy dochodzi do siebie. – Pewnie nie masz przy sobie żadnej piguły, niczego na poprawienie nastroju?

Fern nie wie, o czym mówi Elise. Jedyne lekarstwo na poprawienie nastroju, jakie zna, to syrop, który lekarz rodzinny od czasu do czasu przepisuje matce.

– Próbowalaś tabletek drożdżowych? – pyta, na co Elise znów wybucha śmiechem.

Dziwne, im donośniej Elise się śmieje, tym bardziej wygląda, jakby chciała się

rozpląkać. Uspokaja się, dopiero kiedy pojawia się wściekła ciotka Minty.

– Wszędzie cię szukam. Co wy wyprawiacie? Chowacie się jak para sześciolletnich dziewczynek. Naprawdę, Elise, po tym wszystkim, co przeszliśmy, mogłabyś się trochę postarać, do cholery. Czekamy na ciebie w samochodzie.

Po tych słowach ciotka kopie stojącą obok psią miskę (która przelatuje nad brukowaną posadzką) i wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Tata musi z okazji świąt uściskać wiele dłoni – oznajmia Elise, wstaje niepewnie i naciąga na ramiona nowiutką skórzaną śliwkową kurtkę od Miss Selfridge. – Odwiedza go mnóstwo wyborców. – Ziewa, nie zasłaniając ust dłonią, i w tej króciutkiej chwili Fern dostrzega, w jak fatalnym stanie są zęby kuzynki.

Wymieniają uściski; Elise jest bardzo chuda. Beztrosko wpycha butelkę cinzano do torby, puszcza oko do Fern i podąża za matką, która idzie wzburzona przez trawnik na tyłach domu. Fern woła na pożegnanie do oddalających się postaci:

– Dzięki za płyn do kąpielii!

Ciotka Minty, na znak, że słyszała, unosi dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce. Pewnie spotkają się znowu na Wielkanoc.

Fern przez jakiś czas siedzi sama w składziku i myśli o Charliem. Jak obchodzi Boże Narodzenie? Gdzie mieszka? Zastanawia się, czy nie w jednej z tych rezydencji, o których mówią w wiadomościach. Boże, a może gnieździ się w jakimś mieszkaniu komunalnym? Rob wspominał, że ma ojczyma, a to oznacza, że pochodzi z rozbitej rodziny. Biedny Charlie, tylko ona jest w stanie go ocalić. Nagle przypomina sobie, że od siedzenia na zimnych posadzkach można złapać wilka, więc wstaje i niechętnie wraca na przyjęcie. Salon przypomina klatkę z wrzeszczącymi papugami, ale przynajmniej paszteciki wyglądają apetycznie.

W drodze do domu pachnąca ginem Rosemarie zauważa, że jej siostra wyglądała na wycieńczoną, na co Gordon mówi:

– Cóż, Elise zawsze była krnąbrna. Myślę, że oni oboje są zbyt zajęci, aby jej dopilnować.

– Tak, zdaje się, że pani Thatcher uwielbia Paula – odpowiada znaczącym tonem Rosemarie, doskonale zdając sobie sprawę, że te słowa zirytują męża.

Fern siedzi z tyłu i widzi, jak kark ojca nabiega krwią i przybiera purpurową barwę, ale klótni, która właśnie ma wybuchnąć, zapobiega młoda sarenka, stojąca jak sparaliżowana na środku drogi. W świetle reflektorów samochodu widać jej wielkie, nieruchome oczy.

– Kurwa mać, Chryste! – bluzga Gordon i skręca gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia ze zwierzęciem; w obliczu niebezpieczeństwa zapominają o Minty, Paulu i Elise.

– Mogliśmy się zabić – szepcze Rosemarie i zaciska dłoń na szyi; po tonie jej głosu Fern zgaduje, że wybaczyła już mężowi jasnofioletowy sweter. W końcu, po co robić szum wokół źle dobranego koloru, kiedy mogli zginąć w rowie?

James przyjeżdża po nią wieczorem drugiego dnia świąt i zabiera ją na kolację do tego samego hotelu, w którym jego rodzice obchodzili rocznicę ślubu. Są o pięćdziesiąt lat młodszy od pozostałych gości w restauracji, ale Jamesowi to nie przeszkadza. Właściwie

zdaje się napawać smętną, choć wykwintną atmosferą, jaka panuje w sali z grubymi dywanami i ciężkimi zasłonami. Docenia, że ktoś cicho gra na fortepianie; podoba mu się sposób, w jaki uniżony kelner podaje mu kartę win i czeka, aż „Szanowny Pan raczy coś wybrać”; i jest przekonany, że oświetlona płomieniami świec dziewczyna, która siedzi naprzeciwko niego, „jest najbardziej uroczą osobą w całym Godalming”.

Fern czuje jeszcze tartinki, które zjadła u Harrisonów, ale stara się okazać dobrą wolę. James zamawia wątróbkę, co wydaje się dość dziwną potrawą w święta Bożego Narodzenia, a ona sarninę, ale z trudem zmusza się, żeby coś przełknąć. To mięso przypomina jej o sarence, której o mało co nie przejechali po południu, sarence, która miała takie same szkliste oczy jak Elise.

Jak mogłaby zjeść coś, co ma identyczne oczy jak jej kuzynka?

James nie wspomina o wizycie na przedstawieniu. Wygląda na to, że w ogóle nie interesują go jej studia aktorskie. Fern jest nieco urażona, ale czuje się jeszcze bardziej zirytowana, kiedy on oznajmia, że nie znosi widoku kobiet pijących piwo.

– Ale właśnie to piją moje współlokatorki – mówi.

– No tak, ale one pochodzą przecież z wyspy Lesbos, prawda? – odpowiada James z kamienną twarzą.

Dopiero po chwili dociera do Fern, iż w ten sposób chciał powiedzieć, że Felicity i Dee są lesbijkami. Dobry Boże!

Pomiędzy deserem a kawą daje jej świąteczny prezent. Odkłada łyżeczkę na talerzyk po tiramisù, odchrząkuje kilka razy, sięga do kieszeni marynarki i wyciąga kwadratowe, profesjonalnie zapakowane pudełeczko. Fern rozpoznaje papier ze złotymi i srebrnymi paskami i ogromną jaskrawoczerwoną wstążkę jubilera z High Street.

Kiedy rozdziera opakowanie, widzi ciemnoniebieskie aksamitne pudełko; początkowo nie radzi sobie z zamkiem, ale w końcu udaje jej się go otworzyć i na karmazynowej satynowej poduszeczce ukazuje się delikatny srebrny naszyjnik w kształcie liścia paproci.

Jest przepiękny. Naprawdę, to coś w jej stylu, wie, że będzie nosić go codziennie, jest dziewczyną, która ma nieprawdopodobne szczęście, ale kiedy jego dłonie zapinają zatrzask na jej szyi, znów nachodzi ją ta dziwna ochota, by się odwrócić i go ugryźć.

Może powinna napisać do rubryki z poradami w piśmie „Woman’s Own”:

Kochana Mary,

mam najlepszego chłopaka na świecie, jest przystojny i miły, ale z jakiegoś powodu mam ochotę zadać mu fizyczny ból. Przede wszystkim marzę, by zanurzyć zęby w jego ciele. Jak powinnam postąpić?

Zmartwiona Niebieskooka z Godalming

Właśnie udało mu się zapinąć naszyjnik, gdy pianista zaczął grać *If You were the Only Girl in the World*; kilkoro starych ludzi z serwetkami założonymi pod brodami zaczęło klaskać, a Fern starała się nie umrzeć ze wstydu.

James jutro wraca do koszar, przez pewien czas nie będą się widywać.

– Tak mi przykro – mówi, kiedy parkuje przed Three Paddocks, i raczy ją wyjątkowo długim pocałunkiem; jak królik, który przeżuwa sałatę.

Czuję się, jakbym siedziała z nim w klatce, myśli Fern. Stara się wepchnąć język jak najgłębiej w jego usta, zachęca go, by zrobił to samo, ale kiedy James przekręca się i sięga do jej piersi, w oknie kuchni zapala się światło, a wtedy on odsuwa się od niej, jakby była zarażona.

– Nie chcę martwić twoich rodziców – mówi, chichocząc, i Fern wysiada z samochodu.

Fern wróciła na północ o trzy dni wcześniej, niż planowała. Kolejna noc pod jednym dachem z matką i podpałiłyby dom.

Sprzeczkę pomiędzy matką a córką dotyczą głównie tego, że Fern przez cały dzień wyleguje się w łóżku. Wielka rzecz. Koleżanki ze szkoły ją nudzą, jej ulubiony piesek nie żyje, ukochany Bruno jest nie tylko ślepy, ale i kulawy, a jakby tego było mało, pani Bibby, sprzątaczką, poskarżyła się na niedopałki w sypialni i odstawiła na miejsce schowaną w bucie butelkę tarninówki. Suka.

Tata powinien przynajmniej zafundować mi wyjazd na narty, myśli ze złością, kiedy pociąg wjeżdża wreszcie na bezśnieżny, zalany deszczem peron dworca Piccadilly. Gdyby tylko mogła wybrać się do Val d'Isère razem z Elise... Niestety, nikt jej tego nie zaproponował. Tak jakby ojciec nie chciał, żeby spędzała czas z kuzynką.

Więc po najnudniejszym w życiu sylwestrze, podczas którego rozwiązywała szarady razem z Evelyn i Glenem, sąsiadami rodziców, wróciła do Manchesteru, stoi w kolejce do taksówki i bezskutecznie stara się ogrzać dłonie, ale jest szczęśliwa, że wróciła, o wiele bardziej, niż się spodziewała. Żałuje tylko, że nie zabrała z domu tych cholernych rękawiczek z owczej skóry.

Dom pod numerem dwa na Old Lansdowne Road wydaje się jeszcze bardziej zapuszczony niż zwykle. Za drzwiami piętrzy się stos brązowych kopert; nikt nie raczył ich pozbierać. To nie moja rzecz, myśli Fern i wdrapuje się z bagażami po schodach.

Kiedy znika za zakrętem schodów, wychyla się przez poręcz i sprawdza, czy na parterze są jakieś oznaki życia. Jak zwykle pod ścianą stoi kilka rowerów, ale Charlie przeważnie bierze pierwszy z brzegu, więc Fern nie wie, który należy do niego.

Cóż, przynajmniej Felicity i Dee powinny być w domu. Nawet stąd wyczuwa kadzidełka Dee, chociaż może to wcale nie kadzidełka. Zapach jest słodki, intensywny i chyba wydobywa się z pokoju Charliego. Nagle słyszy trzask i wybuch gromkiego śmiechu, ta wstrętna Fabiana najwyraźniej tu jest; Fern zastanawia się, czy Charlie kupił jej coś na gwiazdkę. Sądząc po jej wyglądzie, najlepsza byłaby szczotka do wyczesywania wszy.

Na poddaszu Felicity i Dee zostawiły kartkę: poszły do miasta na wyprzedaż i życzą jej szczęśliwego Nowego Roku. Juka nadal jest ozdobiona świątecznymi gadżetami, ale wyschła na amen; wygląda jak zamożna pensjonariuszka domu starców, która zmarła i wszyscy o niej zapomnieli.

Fern nagle czuje się straszliwie samotna. Wyrosła ze swojego życia w domu rodzinnym, wydaje się jej ono małe i ciasne jak stary sweter, który skurczył się w praniu i już nie da się go nosić, ale jeszcze nie znalazła nowego, które by do niej pasowało.

Życie studentki na północy jest zimne i niewygodne, Fern chce się poddać i położyć do łóżka z gorącym termoforem i babeczkami z bakaliami, które upiekła mama (choć tym razem nie wyszły jej tak dobre jak zwykle), gdy słyszy pukanie do drzwi.

Do pokoju zagląda Jill, ma okrągłą i zaróżowioną twarz.

– Cześć, Rob i ja przygotowujemy chili con carne. Pewnie wpadną Charlie

i Fabiana, ale jedzenia jest dużo i mamy wino. Jak masz ochotę, to za dziesięć minut wszystko będzie gotowe.

– Mam, dzięki – mówi Fern i czuje, jak do oczu napływają jej łzy wdzięczności. Kto by pomyślał, że tak ucieszy się na widok Jill?

Dziesięć minut później, po nałożeniu starannego makijażu, zabiera puszkę z babeczkami od mamy i idzie na dół.

– Mam coś na deser – oznajmia.

Fabiany nie ma. Fern na wszelki wypadek sprawdza jeszcze w kuchni – nie zdziwiłaby się, gdyby ta szalona Hiszpanka ukryła się gdzieś w kącie albo pod stołem.

Rob ma na sobie wielki, wytarty plastikowy fartuch z nadrukiem butelki sosu worcester, bożonarodzeniowy prezent od Jill!

Boże, ale to szybko poszło, są już na etapie kupowania sobie prezentów, a ponieważ nie za bardzo wie, co ma zrobić, pokazuje Jill naszyjnik, który dostała od Jamesa.

– Bardzo ładny. A jak się ma kapitan Frobisher?

Fern nie ma czasu odpowiedzieć, ponieważ właśnie wchodzi Charlie. Ma na szyi odrobinę zniszczony papierowy łańcuch, kopię takiego, jaki noszą burmistrzowie.

– Jedna gęba mniej do wykarmienia, Rob. Senioricie poplątały się kastaniety, wkurzyła się i pojechała do siebie. Ma okres albo coś ją ugryzło. O, Lizzy Siddal, cześć – zwraca się do Fern, która pokrywa się jasnoczerwonym rumieńcem, jakby dostała gorączki (nadal trzyma w dłoniach puszkę z babeczkami, z podobizną Królowej Matki na wieczku).

Nie wie, jak Jill sobie z tym radzi. Jest bez wątpienia zadurzona w Robie, ale potrafi jeść z apetytem, podczas gdy Fern z trudem przelęka po kilka ziarenek ryżu. Jej wagina pulsuje, zupełnie jakby miała tam dodatkowe serce.

To moje pierwsze w dorosłym życiu przyjęcie z kolacją, na które przyszedłam bez rodziców, myśli i natychmiast przypomina sobie uroczyste imprezy, które matka wydawała w Surrey: długie dni przygotowań, rytualne czyszczenie sreber, ustawianie kwiatów („Jestem w tym bardzo dobra, kochanie – kiedyś zdobyłam nagrodę za wiosenną aranżację forsycji, byłam wtedy w ostatniej klasie szkoły średniej”).

Kuchnia Roba i Charliego jest przesiąknięta zapachem czosnku, wszyscy siedzą wokół małego czerwonego laminowanego stołu, na którym w centralnym miejscu stoi popielniczka. Fern pije czerwone wino z brązowego fajansowego kubka (bez ucha) i powoli zaczyna się odprężyć.

Rozmawiają swobodnie, przekomarzają się, opowiadają historie o świętach spędzonych w domach rodzinnych. Tylko Fern jest jedynaczką.

– To dlatego jesteś taka rozpieszczona? – pyta Jill.

– Pewnie tak – odpowiada Fern. – No i dlatego, że moi rodzice są dość zamożni.

Na te słowa Charlie wybuchają śmiechem, który brzmi jak skowyt zwierzęcia dobiegający zza chmury tytoniowego dymu. Ma drobne żółte zęby, spiczaste jak lis; nie wiem, dlaczego wydaje mi się przystojny, myśli Fern, on ma okropne zęby.

– Charlie jest bliźniakiem – mówi Rob.

– O kurczę – dziwi się Fern, chociaż wolałaby ugryźć się w język. – Więc jest was dwóch? – Niech Fabiana weźmie sobie tego drugiego, decyduje w myślach. – Jak ma na

imię?

– Rowena – odpowiada Charlie.

– Jesteście identyczni?

– Jak mogą być identyczni, odbiło ci? – szydzi Jill. – Rowena to dziewczyna, a Charlie to chłopak. Różnią się, choćby genitaliami.

Fern znów się rumieni. Edukacja seksualna w szkole dla dziewcząt Tillinghurst ograniczała się do kwiatowych pyłków i pręcików.

Jill ma o wiele większą wiedzę – jej matka uczy biologii w North Shields – i na kawałku papieru, razem z Charliem, demonstrują, dlaczego niektóre bliźnięta są identyczne.

– Komórka jajowa dzieli się na pół – wyjaśnia Jill, a Charlie rysuje podobne do siebie niemowlęta, które wypadają z jednego jajeczka, i mówi, że niektóre bliźnięta są dwujajowe. – Tak się dzieje, kiedy dwa jajeczka zapładniane są przez różne plemniki – dodaje Jill, a tymczasem Charlie szkicuje dwa kółeczka, z których machają niepodobne do siebie małe istotki. „Jestem chłopcem”, pisze w dymku nad głową jednej z nich, „A ja dziewczynką”, dopisuje nad drugą.

Tak, to na pewno on narysował kartkę z pieskami, myśli uszczęśliwiona Fern. Dowody leżą przed nią na stole, to jego styl.

– Zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy – mówi dalej Jill. – Kobieta może zajść w ciążę dwa razy w tym samym miesiącu i mieć dzieci, które faktycznie nie są bliźniakami.

– Czy to oznacza, że mogą, teoretycznie, mieć dwóch ojców? – pyta Rob.

Jill wybucha śmiechem.

– Jeśli kobieta się puszcza i pieprzy z dwoma facetami, a przy okazji jest wyjątkowo płodna, wtedy tak, teoretycznie jest to możliwe. Jest jeszcze jedna dziwaczna rzecz, nazywa się to zespołem znikającego bliźniaka: kobieta jest w podwójnej ciąży, jedno z bliźniąt umiera, a drugie wchłania martwe tkanki do swoich komórek!

Charlie stara się narysować ten fenomen medyczny, ale po chwili rezygnuje.

– To trochę niesamowite. Myślicie, że bliźniak, który przeżył, ma w sobie część duszy i umysłu tego drugiego? – dopytuje Rob i otwiera puszkę skondensowanego mleka, idealnego dodatku do babeczek Rosemarie.

– Chciałbym wchłonać trochę mózgu mojej siostry – stwierdza Charlie. – Jest piekielnie mądra, studiuje w Oksfordzie.

Fern czuje ukłucie zawiści na myśl o mądrej siostrze Charliego, choć to głupie, przecież są rodzeństwem, ale jest zazdrosna o sposób, w jaki o niej opowiada – nie da się ukryć, że ją kocha. Chciałaby zachować rysunki Charliego; chciałaby spać, mając pod poduszką ołówek, który trzymał w dłoni. Jest urzeczona.

Babeczki mu smakują, ale nie tak jak te, które piecze jego niania.

– Właściwie już nie jest moją nianią – poprawia się Charlie. – Dziś jest kimś w rodzaju pomocy domowej. Alicia pochodzi z Jamajki i dodaje do nich mnóstwo rumu.

Fern i Jill słuchają go z rozdziawionymi ustami. Kim jest Charlie Treadaway, jak to możliwe, że ma czarną nianię i siostrę bliźniaczkę? Jest pełen niespodzianek.

Nagle płyta w adapterze zwalnia i kiedy głos Briana Ferry’ego milknie, gaśnie

światło.

– Cholera jasna, czy ktoś ma pięćdziesiąt pensów?! – krzyczy Jill, ale kiedy Fern sięga po portmonetkę, czuje, że ktoś bierze ją za rękę i prowadzi przez egipskie ciemności kuchni do legowiska Charliego Treadawaya. Kiedy znów włączają światło, jest całkiem naga. To najlepsza magiczna sztuczka, jaką widziała od czasu, gdy była na przyjęciu z okazji dziesiątych urodzin swojej kuzynki Elise.

Felicity i Dee są złe na Fern.

– On ma dziewczynę, gdzie twoja siostrzana solidarność? – upomina ją Felicity.

– Jestem jedynaczką, co ma do tego jakaś siostra? – odgryza się Fern, ale Felicity znów ją ruga:

– Potrafisz być naprawdę kurewsko tępą, Fern.

Dee w tym czasie obgryza skórki przy paznokciach.

Nie robią tego ciągle, jedynie wtedy, gdy nie ma Fabiany i nic im nie grozi. Czasem dzieje się to w jego pokoju, który przypomina obskurną jaskinię piratów – po podłodze walają się dzinsy, śmierdzi tam winem, papierosami i trawką.

Nie pozwala mu palić „tego świństwa” w swojej sypialni; odrzuca ją ten zapach, na dodatek to go rozleniwia, kiedy jest ujarany, nawet nie chce mu się myć poźółkłych zębów. Kupiła mu zapasową szczoteczkę, którą postawiła przy zlewie w kuchni, i wyjaśniła, jak ważna jest higiena jamy ustnej.

Śmieje się z niej i nazywa swoją piękną syreną. Napisał piórem na jej ciele: „Zabawna, mała, niegrzeczna Fern, dobra dziewczynka, która zeszła na złą drogę, moja seksowna syrenka Fern”. Wpadła w panikę, bała się, że atrament nie zejdzie, James to zobaczy – i co wtedy powie?

Charlie kpi z niej i dopisuje na mleczonej skórze w zagłębieniu brzucha: „Pani Frobisher, żona majora”.

Fern woli, kiedy śpią w jej łóżku: ma czystsza pościel i porządniejszą kołdrę. Charlie wypytuje ją o imiona jej zwierząt i rewanżuje się opowieściami ze swojego dzieciństwa.

Kawałek po kawałku Fern składa elementy tej rodzinnej układanki. Charlie ma mądrą siostrę, utalentowaną mamę, Alicję (rodzinny skarb), zmarłego ojca, nadętego, ale w sumie niezłego ojczyma i przybranego brata, którego uważa za kutasa. Rzadko wspomina jego imię – chyba nazywa się Luke – jest zarozumiałym pedziem, onanistą. Potem opowiada, jak był członkiem chóru kościelnego, i śpiewa jej ponuro do ucha po łacinie *Pie Iesu*.

W domu wszyscy o nich wiedzą, ale poza nim – nikt. Nie chce, żeby była jego dziewczyną, traktuje ją jak cudowne urozmaicenie, wyjaśnia, że gdyby zostali zwykłą parą, szybko miałyby dość jego niepunktualności, palenia trawki, niechlujstwa, tego, że czasem lubi siedzieć do piątej rano, słuchać muzyki i gryzmolić. Jego dziewczyną jest Fabiana, to ona ma zrządzić i mu pochlebiać. Fern odgrywa rolę kurtyzany, jasnoskórej piękności, przypominającej niedojrzały melon.

Jill odnosi się do nich życzliwie, ale uważa, że ten związek nie ma przyszłości. Mówi, że Charlie jest nieobliczalny, i jednocześnie jest pełna ufności, że jej Rob jest zupełnie inny.

Rob szybko zmienił się w wiernego labradora i chociaż cierpi na chroniczną grzybicę stóp, Jill kocha go równie mocno jak on ją. To stateczna, solidna miłość, taka, w której można swobodnie powiedzieć: Teraz twoja kolej na zakupy, nie zapomnij o rolce

papieru toaletowego, kochanie. Charlie nigdy nie kupuje papieru toaletowego; Rob opowiedział Fern, że jego kumpel podciera sobie tyłek bibułkami do skrętów, ale nawet to jej nie zniechęca.

Kiedy nie pieprzy się z Charliem ani nie marzy o tym, żeby go zobaczyć, poczuć i całować, normalne życie toczy się dalej. Coraz lepiej radzi sobie na studiach, bo jest odprężona i pewna siebie, a pod koniec stycznia znakomicie wypada w roli pięknej Tytanii w *Śnie nocy letniej* Szekspira. Niestety, rodzice nie mogli jej zobaczyć, bo obchodzili w tym czasie w Paryżu dwudziestą piątą rocznicę ślubu.

Ale zjawia się James, a skoro nie ma Rosemarie (której mogłoby się to nie spodobać), zatrzymuje się na Old Lansdowne Road (jego wyglansowane buty zupełnie tu nie pasują) i upiera się, żeby spali przy otwartym oknie, ponieważ, według niego, „w mieszkaniu jest bardzo duszno”.

Przez całą noc gdzieś w ciemnościach Manchesteru słychać było zawodzenie lisicy i kiedy James kochał się z nią (jak zwykle nieśmiało i nieporadnie), Fern bezdźwięcznie przyłączyła się do tego rozpaczliwego wycia.

Charlie podczas tego weekendu nocował u Fabiany w Fallowfield.

Fern nie znosi, kiedy on spędza czas w mieszkaniu Fabiany. Zawsze wraca stamtąd w okropnym stanie. Ich związek jest chory: czasem kaleczą się nawzajem, na ich ciałach widać ślady po brzytwie, wąskie nacięcia pokryte ciemnoczerwoną zakrzepłą krwią.

Rob stara się ją pocieszać, mówi, że tylko się popisują, że to takie sztuczki punków i zawsze powinna pamiętać o tym, iż Charlie to w głębi duszy dobrze wychowany chłopak z klasy średniej.

– Jego mama to znana ilustratorka – oznajmia Rob. – To ona tworzy te książeczki o Betsy i Tomie, wiesz, te z ciasteczkami i czerwonymi bucikami.

Jasne, że zna Betsy i Toma; to były powiastki, które w dzieciństwie czytano jej przed snem. W tajemnicy kupuje nowy bestseller, *Najszcześniejsze święta Betsy i Toma*, i na każdej stronie poszukuje śladów Charliego. Na okładce widnieje rysunek przedstawiający wąski georgiański dom z ogródkiem otoczonym ogrodzeniem z prętów. Każde okno zakryte jest kartonową okiennicą, którą można otworzyć, jak w kalendarzu adwentowym, i obejrzeć ukrytą za nią scenkę. W środkowym oknie drugiego piętra widać lśniąca choinkę. Instykt podpowiada jej, że to dom Charliego w Londynie.

Ale nie mówi mu o swoim odkryciu. Nie chce zachowywać się jak Fabiana, szpiegować go i podejrzewać.

Ukrywa książeczkę w szufladzie z innymi rzeczami Charliego: kartką, którą dla niej narysował, puklem włosów, który obcięła mu po kryjomu nożyczkami do paznokci, kiedy w niedzielny poranek odsypiał u niej kaca. W świetle zimnego, szarego styczniowego dnia obserwowała jego poplamione winem wargi; miały śliwkowy kolor, a strużki śliny zabrudziły poduszkę. Jest naprawdę strasznym flejtuchem.

Chociaż Charlie jest zbyt niezdarzy, by uznać go za doskonałego kochanka, jest zarazem bardzo śmiały i niezwykle romantyczny. Pewnej nocy zapukał do jej drzwi o pierwszej, zawiązał jej oczy i poprowadził do łazienki, gdzie pozapalał mnóstwo świeczek najprzeróżniejszej wielkości i kształtów (wetknął nawet taką maleńką, urodzinową, w kawałek mydła) i przygotował kąpiel z płatkami róż.

Płatki były wyschnięte i brązowe, a woda zbyt chłodna, by można było długo wysiedzieć w wannie, ale nikt wcześniej nie zrobił dla niej czegoś takiego.

Gdyby tylko pomyślał, że należy po tym posprzątać, ale w typowy dla siebie sposób „zapomniał” i romantyczny gest nie do końca się udał, bo reszta domowników była potwornie wkurzona na bałagan w łazience.

Jamesowi może brakuje wyobraźni, ale jest konsekwentny i można na nim polegać. Dzwoni w każdą niedzielę wieczorem, nigdy o tym nie zapomina. Automat wisi na półpiętrze i Charlie uwielbia odbierać telefon, zanim Fern zdąży zbiec z poddasza. To nie w porządku, Charlie pozbawia ją prywatności, kiedy ona stara się porozmawiać z Jamesem. Krąży wokół niej po brudnej wykładzinie, udaje, że jest kotem, liże ją po kostkach, a raz przez dwadzieścia minut robił jej palcówkę, przez cały czas, kiedy rozmawiała ze swoim żołnierzem. Jest niemożliwy.

Kocha go.

Ale wie, że lepiej mu tego nie mówić. Stara się udawać niedostępną, nie chce, żeby uważał ją za łatwą dziewczynę. Pewnej nocy odmawia mu, bo farbuję włosy henną, którą pożyczyła od Dee. On też chce, żeby ufarbowała mu fryzurę, ale ona się nie zgadza, uwielbia jego czarne loki.

– Mówiłem ci kiedyś, że wywodzę się od irlandzkich Cyganów? – mówi, nieudolnie naśladowując ich akcent, i zaczyna tanecznie podskakiwać. – To hańba i przekleństwo, rzecz jasna. Ach, co za straszny los czeka pierworodnych synów Treadawayów. Niektórzy toną, inni płoną w rozbitych samochodach, nie jest nam pisany długi żywot. O, nie. No dobra, idę po fajki.

Znika na pięć godzin i Fern wpada w histerię, myśli, że przekleństwo jest prawdą, wtedy on wraca, zaśmiewa się i całuje jej opuchniętą, zapłakaną twarz.

– Musiałem się przewietrzyć – wyjaśnia, a jego ciemne, wielkie oczy świecą jaśniej niż zwykle.

Zbliżają się walentynki. Rob w tajemnicy pyta Fern, co powinien zrobić dla Jill, i oboje obmyślają plan: przygotuje jej ulubioną potrawę, ziemniaki zapiekane w cieście i czerwoną kapustę, dodatek znany na północy, o którym Rob nie ma pojęcia, bo pochodzi z Kettering.

– W ten sposób pokażesz, że naprawdę ci na niej zależy – nalega Fern. – No i oczywiście kup kwiaty.

Rob wpada w panikę.

– Jakie kwiaty?

– Róże, rzecz jasna – odburkuje, przecież nie będzie wyręczała go we wszystkim.

Rob odchodzi i mruczy do siebie:

– Róże i czerwona kapusta.

Fern siedzi jak na szpilkach, nie wie, kogo Charlie wybierze na swoją walentynkę, ją czy Fabianę.

– Jesteś pewna, że w ogóle pamięta o czymś takim? – pyta Jill, która zamierza kupić Robowi porsche (resoraka), a sobie elegancki stanik i majteczki.

– Spójrzmy prawdzie w oczy. – Jill wzdycha z zadowoleniem. – Nie może się oderwać od moich wielkich cycków, będzie zachwycony nowym opakowaniem.

Fern zastanawia się, czy na Jamesa i Charliego też działa ładna bielizna. James pewnie uważa, że wszystko, co ma związek z pończochami i podwiązkami, jest odrobinę kurewskie, a Charliego chyba nic to nie obchodzi. Najbardziej lubi jej skórę o cudownej, bladej karnacji, tak odmienną od muskularnego, oliwkowego ciała Fabiany.

Nie rozumie, jak mogą podobać mu się obie.

– Homar i stek – wyjaśnia Charlie ze śmiechem. – Masz delikatne, białe mięsko, ją trudniej schrupać.

– Jak zjełczały kebab – mówi szyderczo Fern, a on znów wybucha śmiechem.

– Och, teraz bardziej przypominasz kraba niż homara. Schowaj kleszcze.

Fabiana uczy się tańca – to kolejna rzecz, której Fern nie może znieść. Podobno w Hiszpanii chodziła do szkoły baletowej, ale za bardzo urosły jej piersi i tutaj przerzuciła się na taniec nowoczesny. Niezdarnie sama wytatuowała sobie imię Charliego na udzie, ale ma też piękny rysunek skorpiona na lewej łopacie.

Fern ciągle brzęczą w głowie słowa matki: „Tylko robotnicy, Cyganie i chińscy handlarze narkotykami mają tatuaże, kochanie”, ale pierwszy raz w życiu zastanawia się nad wyborem jakiegoś wzorku dla siebie. Może serce przebite sztyletem?

– Nawet się nie waż! – wrzeszczy Jill. – Jesteś aktorką. Wyobraź sobie, że grasz w sztuce Szekspira albo w czymś z epoki Stuartów; nie możesz mieć jakiegoś cholernego tatuażu.

– Nie pomyślałam o tym – zgadza się Fern. Ten chłopak doprowadza ją do szaleństwa.

W piątek wieczorem, trzynastego lutego, Charlie gdzieś czmycha. Fern wygląda właśnie przez okno sypialni i widzi go znikającego za rogiem niczym umykający kot,

czuje, jak ziemia usuwa się jej spod nóg. Na dole Rob przygotowuje ciasto na zapiekanekę dla Jill.

Dlaczego jej życie uczuciowe musi być tak skomplikowane? Dlaczego nie mogła się zakochać w kimś takim jak Rob? Ale natychmiast uświadamia sobie przyczynę: widziała stopy Roba, podobne kończyny musi mieć yeti.

Przynajmniej moi faceci są przystojni, pociesza się. James to klasyczny dżentelmen: wysoki, szeroki w ramionach i wąski w biodrach, bo dużo ćwiczy. Charlie jest strasznie chudy, ale ma małą oponkę od picia wina i zaokrąglone ramiona; w ogóle ma okropną sylwetkę i brak mu jakichkolwiek zahamowań – to współczesny lord Byron, chociaż z pożółkłymi zębami.

– To od amfy – wyjaśnia jej Jill. – Okropnie działa na zęby.

Fern nie jest pewna, czym jest amfa, ale jeśli od tego żółkną zęby, to na pewno nie dla niej. Musi mieć skonsternowaną minę, bo Jill dodaje:

– To dlatego czasem nie śpi przez całą noc, chrypi, jakby stale był przeziębiony, łązi po jakichś podejrzanym spelunkach, spotyka się z typami spod ciemnej gwiazdy i nigdy nie ma pieniędzy. Amfa to nielegalny proszek, który wciąga się do nosa przez zwinięty banknot dziesięciofuntowy.

– Nie bądź niemądra – odpowiada Fern. – Charlie nigdy nie ma banknotów dziesięciofuntowych.

Jill potrząsa głową.

– Nie słuchasz, co mówię. W każdym razie sama nie próbuj, to uzależnia. Ja wolę trzymać się od tego z daleka. Mam dość kłopotów z kiszoną czerwoną kapustą.

W walentynki Fern znajduje za drzwiami dużą czerwoną kopertę ze stemplem pocztowym z Aldershot. W środku jest kartka z rysunkiem przedstawiającym pluszowego misia, który trzyma w wyciągniętej łapce czerwone serduszko. W życiu nie widziała niczego równie szkaradnego. Parę godzin później doręczyciel przynosi jej dwanaście długich czerwonych róż; Fern nawet nie ma zamiaru wstawiać ich do wazonu. Zostawia je w kuchni i wraca do łóżka. Jest sobota, nie ma zajęć na uczelni. W pokoju po drugiej stronie korytarza Dee i Felicity głośno uprawiają seks; sądząc po piskach i dziwnym brzęczeniu, jakie dobiega zza zamkniętych drzwi, podarowały sobie na walentynki wielki i hałaśliwy vibrator.

Fern spędza cały dzień skulona pod kołdrą. Śpi niespokojnie, śni się jej, że Dee i Felicity zostawiły vibrator w kuchennym zlewie obok innych utensyliów, których nigdy nie raczą pozmywać.

Wieczorem nasycone seksem i wysztafirowane współlokatorki wybierają się do dyskoteki w mieście na gejowsko-lesbijski bal przebierańców. Felicity przebrała się za Ala Capone, a Dee za dziewczynę gangstera.

– Zastanawialiśmy się, czy nie przebrać jej za Foczkę albo za ciastko z dziurką. Rozumiesz.

– Bawcie się dobrze. – Fern macha im ze schodów na pożegnanie.

Czuje zapach romantycznej kolacji dla dwojga, którą przygotował Rob; dobiegająca z kuchni na parterze silna woń mięsa i ziemniaków powoduje, że chce jej się płakać. Późnym wieczorem Jill zakrada się na górę i zostawia przed drzwiami sypialni

Fern talerz z gorącym daniem i kieliszek czerwonego wina; chociaż jest zbyt przygnębiona, żeby odczuwać głód, Fern szybko wszystko zjada. Pierdolić go. Pierdolić Charliego Treadawaya.

W niedzielę wieczorem puka do jej drzwi. Fern uchyla je tylko odrobinę. Wygląda, jakby był zawstydzony, pod przekrwionymi oczami ma fioletowe sińce. Mówi mu, żeby sobie poszedł. Cuchnie Fabianą, piżmem, potem i marihuaną, oddala się chyłkiem jak bezpański, pohańbiony kot.

Kiedy w poniedziałek wieczorem Fern wraca z uczelni, widzi, że ktoś wsunął pod jej drzwi nowy rysunek. Kolejny szkic piórkiem: tym razem przedstawia ją samą, trzymającą w dłoniach złamane serce Charliego. Czuje zarazem wściekłość i radosne uniesienie, ale żeby go ukarać, następnego dnia rano wychodzi z domu, głośno trzaskając drzwiami; idzie na spotkanie z Jill, mają obejrzeć w kinie Scala *Xanadu* z Olivią Newton-John, chociaż obie uważają, że to okropna aktorka.

– Chcę pracować nad rolami komediowymi i charakterystycznymi – zwierza się Jill, kiedy wracają pieszo do domu i wstępują po drodze na pieczonego kurczaka na Burton Road. – Po studiach fajnie byłoby też spróbować teatru dla młodzieży. Wiesz, stworzyć mały zespół, kupić starą furgonetkę, jeździć po szkołach i wystawiać sztuki z ważnym przesłaniem.

Fern kiwa głową ze zrozumieniem, chociaż w głębi duszy nie wyobraża sobie nic gorszego niż podróże w śmierdzącej, starej ciężarówce i granie dla bandy odrażających dzieciaków. Obrzydlistwo.

– A ty o czym myślisz? – pyta Jill, a Fern nie ma pojęcia, co odpowiedzieć. Jasne, że wolałaby zaangażować się gdzieś na East Endzie, bo tam są najlepsze sklepy i najprzyzwoitsze restauracje, ale poza marzeniami, że wywoływana wychodzi przed kurtynę, ściskając w ramionach wielkie bukiety kwiatów, nie za bardzo wyobraża sobie przyszłość.

– Poprosimy dwie kanapki z kurczakiem.

– I frytki – dodaje Jill, która ostatnio bardzo przytyła. Usprawiedliwia się słowami Roba, który twierdzi, że kochanego ciała nigdy za wiele.

Charlie czeka za frontowymi drzwiami. Siedzi na schodach, przeciera oczy, jest bardzo wychudzony.

Jill znika taktownie w sypialni Roba, skąd natychmiast dobiegają wybuchy śmiechu.

My z niczego nie śmiejemy się tak jak oni, myśli Fern, przełamuje resztę kanapki na pół i podaje jeden kawałek Charliemu, który wstaje i idzie za nią po schodach.

Przynajmniej się umył. Ma podrapane plecy i jakby ślady ugryzień w okolicach bioder – no nie, co się dzieje z tą Fabianą? Charlie zjada kanapkę w łóżku. Wyciera zatłuszczone palce w jej piękną koldrę z delikatnej wełny i uśmiecha się; kawałki burgera weszły mu pomiędzy zęby, ale zamiast pójść i je wyszczotkować, wyciąga się na poduszkach i beka trzy razy.

Nim Fern kończy swoje ablucje w łazience – to znaczy znajduje i zakłada krążek (który z jakichś powodów stawia dziś dziwny opór), myje zęby i posypuje piersi talkiem – Charlie już śpi i lekko pochrapuje. Ma twarz cherubina; otrzymał przebaczenie

i uśmiecha się przez sen. Naga kładzie się obok niego. Będzie teraz pachniał nią; pokaże Fabianie, kto tu rządzi.

Trwa zawieszenie broni. Rano Charlie przynosi jej herbatę: Fern lubi earl greya z cytryną; dolał mleka, ale ona i tak jest wzruszona i wdzięczna. Leżą ściśnięci na wąskim łóżku, piją herbatę, on mówi, że jest miło, na co ona odpowiada, że oczywiście; czuje jego fiuta nacierającego na jej udo i chociaż mają mało czasu, bo zaraz trzeba wychodzić na uczelnię (dobrze, że przynajmniej założyła krążek), to się pieprzą, i kiedy on szczytuje, jęczy z ustami w jej włosach:

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – a ona czuje się jak zwyciężczyni i stara się nie krzyknąć: Pierdol się, Fabiana, on jest mój, tylko mój!

Oczywiście, jak tylko kończą, Charlie znów zaczyna zachowywać się dziwnie i oziębłe. Podskakuje, próbuje włożyć dżinsy, przewraca toaletkę i omal nie zrywa zasłony razem z karniszem. Jest taki niezdarny; Fern przez chwilę sądzi, że zwariował, ale kiedy sama chce wyjść z łóżka, przewraca ją, zawija w kołdrę (Fern wygląda teraz jak hot dog, w którym zamiast parówki umieszczono człowieka), całuje ją w nos i mówi:

– Zostań w tym kokonie, dopóki nie wrócę, jesteś moim najpiękniejszym motylem.

Potem słychać trzaśnięcie wyjściowych drzwi i krzyk Roba:

– Znów to zrobił! Ten dupek zwędził mój pieprzony rower!

A Fern, owinięta w kołdrę, chichocze.

Ich związek staje się silniejszy, jednak Charlie nadal nie może wybrać pomiędzy Fabianą a nią. Czasami Fern udaje, że nic ją to nie obchodzi, a czasami zasypia we łzach.

Fabiana rzadko przychodzi teraz do Didsbury, ale kiedy się zjawia, szpieg Fern, który tymczasowo przebywa na parterze, składa jej raporty.

Według Jill Fabiana słabo mówi po angielsku i prawie nic nie je.

– Tylko pali i pije – szepcze do koleżanki. – Ale potrafi zrobić szpagat bez rozgrzewki, a ostatnio weszła po schodach na rękach.

Mam nadzieję, że spadnie i skręci kark, myśli Fern i zastanawia się, co powiedziała jej matka, gdyby wiedziała, co się dzieje pod kołdrą od Petera Jonesa, którą kupiła specjalnie dla córki. Rosemarie byłaby zaszokowana, użyłaby słów „splugawiona” i „zbrukana”. Ojciec po prostu by w to nie uwierzył; przypuszcza, że Fern zachowa dziewictwo do ślubu, a przynajmniej do zaręczyn.

Życie było o wiele prostsze przed tą rozwiątlą epoką, dochodzi do wniosku Fern. Swoboda seksualna mąci wszystkim w głowach. Gdyby zachowywała się właściwie, to znaczy w taki sposób, jaki ojciec uważa za słuszny, nie miałyby wątpliwości co do Jamesa, bo nie zdawałaby sobie sprawy z tego, jak kiepsko się pieprzy. Odkryłaby to dopiero w noc poślubną, a i wtedy (gdyby naprawdę się pilnowała) nie wiedziałaby, że są mężczyźni obdarzeni większymi fiutami (choćby Henri) i tacy, którzy potrafią sprawić, że omdlewa podczas pocałunków (Charlie).

– Nie wiesz, czy pociąga cię diabeł, czy głębokie morze – mówi Jill, która lubi przytaczać bezsensowne powiedzonka.

– Co to, na Boga, ma znaczyć? – pyta Fern.

– No, nie wiem. Pewnie to, że wylądujesz w piekle albo utoniesz. Myślisz, że

grzybica stóp jest zaraźliwa?

James nadal dzwoni w każdą niedzielę wieczorem i od czasu do czasu przysyła listy. W ostatnim poinformował ją, że w przyszłym tygodniu będzie miał urlop i bardzo chciałby przyjechać w trzecią sobotę marca; będzie musiał wyjechać wcześniej rano w niedzielę, bo gra w meczu rugby w Birmingham (dochód z biletów przeznaczony jest na cele dobroczynne).

Fern nie podziela jego entuzjazmu związanego z wizytą, ponieważ oznacza ona dwa weekendy bez Charliego: tydzień przed przyjazdem Jamesa Charlie jedzie do Londynu na swoje dwudzieste pierwsze urodziny, które obchodzi razem z siostrą.

– Mama rzadko się przy czymś upiera – mówi. – Ale tym razem nalega. Przysłała mi nawet pieniądze na bilet. Muszę pojechać.

Trudno, przynajmniej teraz wiadomo, kiedy Charlie ma urodziny. Jest zodiakalną Rybą, wszystko zgadza się idealnie: dlatego pływa to tu, to tam, i dlatego uważa, że potrzebuje zarówno Fern, jak i tej wygimnastykowanej hiszpańskiej wiedźmy.

– Ja pierdolę! – mówi Jill.

Wpadły na lunch do pubu naprzeciwko uczelni i piją w pośpiechu małe piwa z cytryną, a ze stojącego w kącie telewizora (z nieco rozmytym obrazem) dobiega wiadomość, że księżę Karol ma poślubić lady Dianę Spencer, sarniooką dziewiętnastoletnią przedszkolankę z Kensington, tę z grzywką.

– Kurczę, ona jest w moim wieku – zauważa Fern. – Skąd może wiedzieć, że nie popełnia błędów?

– Pierdolone zidiociale królewiatka – syczy Jill. – Niech no tylko przyjdzie rewolucja, zatknijemy ich głowy na pikach.

Fern przez sekundę myśli, że przyjaciółka żartuje. W całym swoim życiu nie słyszała nikogo, kto powiedziałby coś przeciwko rodzinie królewskiej. Ale w oczach Jill nadal widać gniewne błyski.

– Ta dziewczyna to durna, popieprzona kretynka, oni potrzebują tylko maszynki do rodzenia dzieci. Biedna suka, żal mi jej. To wszystko źle się skończy, zapamiętaj moje słowa, ten związek naznaczony jest nieszczęściem.

Fern nie jest pewna, czy się z tym zgadza. W końcu pierścionek zaręczynowy z ogromnymi szafirami i brylantami ofiarowany przez księcia, który (choć nie jest już najmłodszy) wybrał cię na swoją oblubienicę spośród wszystkich dziewczec tego kraju, to raczej coś przyjemnego.

Jej matka zawsze pokładała spore nadzieje w Fern i księciu Andrzeju.

– Jestem pewna, że gdybyście przypadkiem się poznali... wyobrażam sobie rudowłosą księżniczkę kroczącą środkiem Westminster Abbey.

Nie wspomina o tym, Jill byłaby zaszokowana.

– Nie rozumiem, po co kobiety wciąż wychodzą za mąż – wścieka się przyjaciółka. – To przecież barbarzyństwo, prowadzą cię do ołtarza jak zwierzę ofiarne, twoją rękę oddaje ojciec, jakbyś była jakimś sprzętem. Do kurwy nędzy, mamy dwudziesty wiek!

– Nigdy nie będziesz chciała się ustatkować i mieć dzieci? – dopytuje Fern.

– Nie trzeba wychodzić za mąż, żeby mieć dzieci. Szczerze mówiąc, tak, chcę mieć dzieci, ale nie z kimś, kto chce mnie zaobrączkować jak jakąś krowę na bydłowym targu.

– Nie myślałam o tym w ten sposób – przyznaje potulnie Fern i przypomina sobie długie godziny, jakie spędziła w dzieciństwie ze swoją kuzynką na rysowaniu sukien ślubnych. Co jej przypomina, że musi skontaktować się z Elise. Ona może nawet zna tę dziewczynę, Dianę! W końcu w Londynie obraca się w różnych kręgach, zna zarówno punków, jak i ludzi z wyższych sfer.

Ale ważniejszy od kupna „Daily Mail”, obejrzenia zdjęć pierścionka zaręczynowego i rozważań, czy powinna się ostrzec jak lady Diana i złamać serce matce – „Twoje włosy to twój największy skarb, kochanie” – jest fakt, że Charlie kończy dwadzieścia jeden lat. Co, u licha, powinna kupić mu na urodziny?

Nigdy wcześniej nie wybierała prezentu dla chłopaka czy mężczyzny. Nie licząc oczywiście ojca, ale w tym przypadku zawsze wchodziły w grę krawaty, skarpetki, ekskluzywne mydło i chusteczki do nosa.

Musi sprawić Charliemu coś naprawdę niepowtarzalnego i osobistego, coś, co zawsze będzie kojarzyło mu się tylko z nią.

W poszukiwaniu czegoś wyjątkowego myszkowała po Didsbury w sklepach z używanymi rzeczami. Przecież Charlie ma w sobie coś z dandysa. Przez chwilę chciała kupić mu tabakierkę, ale w końcu doszła do wniosku, że i tak już za dużo kicha.

Znalazła też spinę do krawata w kształcie lisa, z lśniącymi rubinowymi oczami, ale na to nie było jej stać. Podobnie jak na złoty zegarek kieszonkowy i na laskę z gałką z kości słoniowej.

– Laska z gałką z kości słoniowej? – roześmiała się Jill. – On nie jest stepującym tancerzem. Będzie szczęśliwy, jak dostanie butelkę czerwonego wina i paczkę tytoniu Old Holborn.

Biedna Fern, waha się, przejmując głupstwami i ciągle o tym gada, aż w końcu Dee i Felicity mówią jej prosto w oczy, że staje się nudna, a co z tą suką Thatcher i likwidacją dwóch milionów miejsc pracy w przemyśle?

Dlatego Fern postanawia trzymać gębę na kłódkę. Wygląda na to, że jest jedyną osobą, która nie ma prawa do wolności słowa. To świetnie, że Jill, Felicity i Dee wsiadają na wysokiego konia i gadają o rodzinie królewskiej, Thatcher i feminizmie (chyba powinny się cieszyć, że krajem rządzi kobieta), ale szczerze mówiąc, Fern nie zgadza się z rodziną królewską jedynie w kwestii psów. Spośród tylu ras na świecie tylko ktoś chory na umyśle mógłby wybrać corgi. Ja zdecydowałabym się na charta afgańskiego, myśli.

Nie wyraża opinii o likwidacji miejsc pracy w przemyśle, bo nie ma o tym zielonego pojęcia. Jill ma: jej tata kiedyś pracował w fabryce, ale teraz już tego nie robi.

Fern coraz częściej odkrywa, że życie nie zawsze jest sprawiedliwe.

W końcu kupuje cynową piersiówkę i zanoszą ją do grawera, który urzęduje w dziwnym małym sklepiku na Lapwing Lane. Charlie ma urodziny w niedzielę, ale jedzie do Londynu już w sobotę.

– Proszę, zostań ze mną w piątek wieczorem – błaga go. – Chcę dać ci prezent.

Zgadza się pod warunkiem, że obudzi go wcześniej rano, bo nie chce spóźnić się na pociąg.

W piątek po południu, na dwa dni przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami Charliego Treadawaya, Fern słucha wykładu o poprawnym używaniu diafragmy i nie

może pohamować śmiechu.

– Bo diafragma, czyli krążek antykoncepcyjny, i diafragma, czyli przepona oddzielająca klatkę piersiową od jamy brzusznej, to dwie całkiem różne rzeczy – tłumaczy się zdziwionej Jill.

– Bardzo proszę o ciszę – wybucha prowadzący zajęcia wykładowca.

Po wykładzie Fern pędzi do grawera. Nie może się zdecydować, czy ma iść pieszo, czy jechać autobusem. W końcu robi jedno i drugie: wsiada do pojazdu, a potem wyskakuje, kiedy stają w korku, ale to na nic, bo gdy dociera na miejsce, sklepik jest już zamknięty i Fern czuje się, jakby dostała w twarz. Co za okropna historia, nie tak chciała uczcić urodziny Charliego.

Jego oczywiście nic to nie obchodzi. Nie potrzebuje prezentów, wyjaśnia, jedną ręką miętosi jej pośladki, a drugą skręca papierosa. Ma ochotę iść na piwo.

W pubie Fern ma wrażenie, że wszyscy się na nią gapią, bo chcąc zrobić wrażenie na Charliem, wystroiła się przesadnie i wśród innych dziewcząt, w większości ubranych we flanelowe koszule, wygląda jak idiotka.

Charlie znika na chwilę w męskiej toalecie, a ona siedzi nieszczęśliwa ze szklanką rumu z colą; wraca uśmiechnięty, ale wygląda na to, że łapie go przeziębienie. Fern pyta, czy Charlie chce wracać do domu, czy nie jest chory. Odpowiada, że czuje się świetnie, i dołączają do tłumu ludzi, z których ona tak naprawdę nikogo nie zna, bo zapomniał ją przedstawić. Fern ogarnia zmęczenie i robi się trochę głodna. Myślała, że przynajmniej coś zjedzą.

Do domu wracają prawie o północy. Felicity i Dee nie zostawiły nawet okruszyny chleba, więc Fern musi zadowolić się stęchłymi płatkami i mlekiem w proszku. Nie tak wyobrażała sobie ten wieczór.

Charlie jest tak pijany, że ledwie stoi na nogach.

– To moje urodziny – czka, patrzy na zegarek i się poprawia: – Nie, to dopiero jutro, ale dziś są urodziny mojej siostry bliźniaczki.

Jak to możliwe? – zastanawia się Fern.

Jill opisała jej najróżniejsze rodzaje bliźniąt, ale nie wspominała o takich, które nie urodziły się tego samego dnia. Charlie dostrzega zdziwienie na jej twarzy i wyjaśnia, bełkocząc:

– Dziesięć minut różnicy, ale ona przyszła na świat tuż przed północą czternastego, a ja trochę później, piętnastego, i dlatego nigdy nie mogę za nią nadążyć.

Potem pada twarzą na łóżko i zasypia. Udaje się jej ściągnąć mu płaszcz i buty. Wściekła, kładzie się pod kocem na podłodze. Ma go dość, jednak w środku nocy wślizguje się do niego, przytula i wdycha zapach brudnych włosów i potu.

Rano Charlie ma kaca, ale jest uroczy. Trąca ją nosem i mówi, że chciałby spakować jej piersi do plecaka, żeby móc pobawić się nimi podczas nudnej podróży; każdy mężczyzna w pociągu by mu zazdrościł.

I chociaż na myśl o piersiach wyciąganych z plecaka robi się jej niedobrze, zdejmuje naszyjnik z wisiorkiem w kształcie liścia paproci i zakłada mu go na szyję.

– Weź, będzie ci o mnie przypominał. Za każdym razem, kiedy go dotkniesz, będziesz dotykał i mnie – mówi nieco teatralnym głosem.

On na pewno nie ma pojęcia, że to podarunek od Jamesa. Gdyby wiedział, pewnie połamałby go i wyrzucił przez okno. Musiała mu coś dać, ale przecież nie perły po babci – wyglądałby w nich idiotycznie – za to wisiołek w kształcie liścia paproci pasuje do niego. Jest kobiecy, ale nie przesadnie. Prezent bardzo mu się podoba. Obsypuje ją pocałunkami (kwaśno pachnie mu z ust) i przeprosza, że zostawia ją w ten sposób, a potem wychodzi – nawet nie pomyślał o kąpieli – jedzie do Londynu, aby świętować swe bliźniacze, choć oddzielne urodziny razem ze swoją mądrą siostrą, utalentowaną matką, sztywnym, ale w sumie przyzwoitym ojczymem i tym fiutem, przybranym bratem.

Kiedy znika, Fern wyjmuje z tajnej szuflady książeczkę o Tomie i Betsy i znów wpatruje się w rysunek wysokiego, wąskiego domu, który – jest tego pewna – przedstawia dom rodzinny Charliego. Co robi za tymi drzwiami? Jak się tam zachowuje? Jakiego Charliego zna jego rodzina?

Nudzi się bez niego. Wszyscy, nawet nierzucające się w oczy stare małżeństwo na środkowym piętrze, którego nikt nigdy nie widuje, kogoś mają. Felicity ma Dee, Rob – Jill, tylko Fern nie ma z kim spędzać czasu. Próbuje zadzwonić do kuzynki, ma nadzieję, że Elise zaprosi ją do Londynu na przyjęcie, i fantazjuje, że wróci do Manchesteru tym samym pociągiem co Charlie. Wpadną na siebie na dworcu Euston; on będzie ze swoją matką i siostrą, wszystkie kobiety od razu zapałają do siebie sympatią, a w drodze powrotnej ona i Charlie będą popijać „szczeniaczki” i całować się bez końca.

Elise nie ma w domu. Telefon (numer dostała od kuzynki drugiego dnia świąt) odbiera ktoś mówiący mocnym akcentem z Kolumbii i stwierdza, że nigdy nie słyszał o żadnej Eliisi. Inny głos w tle dodaje, że Eliisia się wyprowadziła, „krzyżyk na drogę”.

Fern zastanawia się, czy zadzwonić do mamy, ale nie ma tylu drobnych, a zresztą, myśli, jeśli powie Rosemarie, że Elise dała nogę, matka zatelefonuje do ciotki Minty i bez potrzeby rozdmucha całą sprawę. Później skontaktuje się z rodzicami kuzynki, ona na pewno jest teraz u nich, nie bez przyczyny nazywa dom rodzinny swoją najlepszą kryjówką.

Fern siada na stopniach schodów. Na parterze coś pichcą, chyba jakąś smaženinę; na górze Felicity i Dee napełniły zlew wodą i płuczą w środku odkażającym swoją pokązną kolekcję gadżetów erotycznych. Dee ostatnio miewa kłopoty z pleśniawkami, wyjaśniła Felicity.

Fern postanawia zanieść pościel do pralni i dokończyć lekturę *Ptaków ciernistych krzewów*. Czyta bez pośpiechu, woli przeglądać magazyny modowe, które przemyca do swojego pokoju i ukrywa pod łóżkiem, bo Felicity wścieka się, gdy je widzi.

Nawet Jill je potępia, chociaż Fern nie wie dlaczego. Co może być złego w oglądaniu zdjęć makijażu i getrów? Pieprzyć *Ptaki ciernistych krzewów*, niby przypadkiem, ale tak naprawdę celowo zostawia książkę w domu, zanosí pościel do pralni za rogiem i kartkując „Cosmopolitan”, przez dwie godziny wpatruje się, jak wszystko wokół wiruje (dosłownie).

Kilka razy ktoś próbuje nawiązać z nią rozmowę. Kudłaty chłopak z koszykiem wypełnionym brudnymi spodenkami gimnastycznymi ma ochotę poflirtować, ale Fern posyła mu lodowate spojrzenie. Życie jest wystarczająco skomplikowane z dwoma mężczyznami, nie potrzebuje trzeciego.

Jeden z artykułów w magazynie zatytułowany jest: *Czy mogłabyś wejść do rodziny królewskiej?*

Fern uważa, że tak. Jest dobrze wychowana i nieźle się prezentuje, potrafi dobrać kapelusz na każdą okazję i umie dygać (zawdzięcza to zajęciom baletowym dla dzieci, prowadzonym przez pannę Collette, na które chodziła, kiedy skończyła trzy lata). Ma też doświadczenia z pozowaniem, udowodniła, że potrafi godzinami siedzieć bez ruchu i, co najważniejsze, zajęcia w szkole aktorskiej nauczyły ją, jak udawać zainteresowanie rozmówcą. Więc tak, ma wszelkie kwalifikacje, by wejść do rodziny królewskiej. Co za szkoda, że Charlie nie jest księciem.

Wreszcie pościel przestaje cuchnąć jak psie posłanie i Fern wraca do domu pod numerem dwa na Old Lansdowne Road; udaje się jej namierzyć Elise w mieszkaniu rodziców, poplotkować z nią intensywnie (musiała wrzucić do automatu dwadzieścia pensów), a potem ogląda w kuchni czarno-biały film na starym telewizorze, do którego Felicity zamontowała prowizoryczną antenę z wieszaka.

Kiedy Bette Davis ślepie w *Mrocznym zwycięstwie*, Fern płacze, a w tym samym czasie jej współlokatorki obwąchują, otrząsają i wycierają do sucha swoje zabawki erotyczne.

Wieczór zapada nagle, jak zwykle w Manchesterze. Wpół do piątej robi się już ciemno, powietrze staje się wilgotne, więc Fern otula się męską kraciastą koszulą, którą kupiła w tym samym sklepie ze starzyzną... Cholera, zapomniała odebrać piersiówkę Charliego. Pędzi na złamanie karku w strugach siekącego deszczu i wpada do sklepu tuż przed zamknięciem.

Przygląda się dokładnie, ale nie jest pewna, czy grawer dobrze wykonał swoją robotę. Właściwie wygląda to tak, jakby jakiś lekko wkurzony dentysta wyrył na flaszce niezdarne litery. C jest wyraźnie mniejsze od T, no cóż, trudno. W domu zjada trochę prażonej kaszy jaglanej z orzechami Dee (dodaje ketchup i łyżkę twarogu, żeby potrawa nie była taka sucha); nie ma ochoty spędzić reszty wieczoru na słuchaniu, jak jej współlokatorki wypróbują świeżo wyszorowane przybory erotyczne, więc wychodzi do pubu razem z Jill i Robem.

Spotyka sporo znajomych ze szkoły teatralnej, czas mija przyjemnie w oparach alkoholu i dymie papierosowym. To tylko jeden weekend, mówi sobie. Charlie powinien być teraz w drodze do Manchesteru, a może nawet jest już w mieszkaniu. Jednak nie, czas wlecze się niemiłosiernie, a ona na przemian to opiera się o balustradę schodów, to wygląda przez okno sypialni i wpatruje się w rozmyte sylwetki przemykające pomiędzy żółtymi światłami ulicznych latarni; wreszcie słyszy zgrzyt otwieranej furtki do ogrodu.

Wrócił, jej chłopak wrócił, jest już z powrotem, podróż pociągiem była okropna, umiera z głodu, dobrze, że Jill zrobiła naleśniki. Chyba się wyspał, wykapał i zmienił ubranie. Czy to nowa koszula?

– Tak, to prezent od siostry, ma naprawdę dobry gust. Miło z jej strony, zważywszy, że ja nic jej nie dałem. Chciałem kupić jej chomika, ale mama nie pozwoliła. Tak, było bardzo miło. Po co tyle pytań? Dlaczego tak cię to obchodzi? Po prostu zwykły rodzinny obiad. – Śmieje się i dotyka srebrnego listka na szyi. – No tak, ojczym pytał, dlaczego noszę damski naszyjnik. – Znow się śmieje i całuje ją w nos. – Ale najlepsze jest to – mówi. Otwiera plecak i wyciąga aparat. – To polaroid, ojczym podarował taki sam Rowenie. Na pewno to pomysł mamy, on sam nigdy nie wpadłby na coś takiego. Dostałem także spinki do mankietów, ale mama nie pozwoliła mi ich zabrać, bała się, że je zgubię; mam też trochę pieniędzy, odrobinę gotówki na drobne przyjemności.

Chciałaby, aby w tym tygodniu zaprosił ją na kolację i wynagrodził jej te okropne walentynki. Nie miałaby nic przeciwko temu, żeby w kącie siedział stary pianista, który odgrywałby jakieś okropne kawałki, mogłyby nawet stać tam sztuczne kwiaty; chce usiąść z Charliem przy stole zasłanym białym obrusem, patrzeć mu w oczy, trzymać go za rękę (tak, by wszyscy ich widzieli). Puszczą wodze fantazji i wyobraża sobie, jak obok

restauracji przechodzi wściekła Fabiana i kopniakiem próbuje zbić frontową szybę.

Dziesięć minut później, kiedy Charlie zjadł już wszystkie naleśniki i udaje, że dostał po nich wzvodu, co nawet byłoby zabawne, gdyby nie zaczął przyciskać swojej wymaginowanej erekcji do tyłka Jill, są już w jego sypialni.

Wolałaby, żeby poszli do jej pokoju, zasłała łóżko świeżo wypraną pościelą. Charlie nie ma prześcieradeł, tylko materac i poplamioną, niepowleczoną kołdrę. Nazywa to Gniazdkiem Charliego. Rozentuzjasmowany prezentem urodzinowym zakłada do aparatu nowy film.

– Tylko kilka zdjęć – mówi. – No dalej, zdejmuj ubranie.

Rano wymusza na nim obietnicę, że nikomu ich nie pokaże. On nie rozumie, o co tyle hałasu: w końcu zarabiała na życie jako modelka.

– Fotografia ma w sobie coś trwałego – mówi Fern. – No i niektóre są naprawdę ostre.

On się śmieje i stwierdza, że zdjęcia polaroidem blakną. Za jakiś czas nikt nie będzie w stanie zobaczyć, co robiła z szeroko rozłożonymi, białymi jak lilie nogami.

– Gdybym tylko nie miała tak ogniście rudych włosów łonowych – martwi się Fern.

– Na niektórych ujęciach za bardzo rzucają się w oczy.

– Ach, te płonące krzaki – śmieje się Charlie, zachwycony swoją nową zabawką.

Fern śpieszy się na uczelnię. Pracują nad pewnymi aspektami komedii epoki angielskiej restauracji, uczą się etykiety, ukłonów, dygania, tańców barokowych i posługiwania się wachlarzami.

Po lunchu, kiedy nakłada makijaż i maluje twarz na biało, widzi, że ma prawie tak samo żółte zęby jak jej kochanek. Mój kochanek Charlie, szepcze do siebie i rysuje czarne serce pod lewym okiem, łzę błazna.

Kiedy wraca do domu, Charliego już nie ma. Rob jej unika, zmyka truchtem do kuchni jak karaluch; instynkt podpowiada Fern, że Charlie poszedł zobaczyć się z Fabianą.

Nie dała mu jeszcze prezentu urodzinowego. Był zbyt podniecony tym głupim aparatem, a jej udzielił się jego nastrój i zgodziła się na te świńskie zdjęcia. Co się z nią, do cholery, dzieje? Dlaczego durzy się w tym głupim chłopaku, marnuje pieniądze na idiotyczne prezenty, a on potrafi tylko pieprzyć ją po kątach i nastawiać przeciwko tej wygimnastykowanej kretynce?

Najgorsze jest to, że będzie ją rznął, mając na szyi srebrny łańcuszek od Fern. Jej naszyjnik może właśnie w tej chwili dotyka oleistej, żółtawej skóry Fabiany. Co za syf.

Jest wściekła, chce odzyskać polaroidowe zdjęcia, natychmiast, ale pokój jest zamknięty i Fern traci mnóstwo czasu na przekonanie Roba, żeby zdradził, gdzie Charlie trzyma swój klucz. Wie, że nie zabiera go ze sobą, na pewno by go zgubił. W końcu przełamuje opór Roba, który otwiera szafkę pod schodami: na skrzynce z bezpiecznikami leży mosiężny klucz. Ma przyczepiony breloczek, drewnianego Pinokia – jasne, kurwa, to zupełnie w jego stylu.

Rob nerwowo drepcze przy drzwiach sypialni Charliego, a ona szuka fotografii. Rano rozłożył je na poduszce (najpierw te, które najbardziej mu się podobały), ale teraz nigdzie ich nie ma. Kiedy Fern zaczyna wyciągać szuflady na chybił trafił, Rob interweniuje.

– Nie, tak nie można. Nie wolno ci grzebać w jego rzeczach, przestań.

Pobladła Jill przyznaje mu rację, chociaż potem stwierdza, że całkowicie popiera to, co robi Fern.

Pat w sypialni zostaje przerwany przez dźwięk telefonu. To James, „tylko dzwoni”, chce jej przypomnieć, że przyjeżdża w najbliższy weekend, powinien zjawić się w sobotę koło południa. Mówi, żeby nie przejmowała się jedzeniem, bo zabierze ją na lunch i, oczywiście, na kolację. Musi tylko się zastanowić, gdzie pójda i jak ma się ubrać: w końcu nie co dzień widuje swoją uroczą dziewczynę z Godalming, czas zaszaleć.

Z ulgą wsłuchuje się w jego głos, zbiera się jej na płacz. Wydaje się taki opanowany. Przyjedzie samochodem, bo jest mężczyzną, uświadamia sobie. Potrafi skakać ze spadochronem, dowodzić czołgiem, czyścić buty i stać na baczność z wyprostowanymi ramionami. Charlie nagle ukazuje się jej w nowym, złym świetle. To mazgaj, tchórz, idiota z pożółkłymi zębami, nie znosi jego popierdolonego charakteru.

Ulżyło jej, czuje się lepiej. Jutro nie pójdzie na uczelnię, wyskoczy do miasta i kupi

jakiś specjalny ciuch na sobotnią noc. Może coś *vintage*, ale przypomina sobie, że James nie lubi tego stylu, twierdzi, że ubrania ze sklepów ze starzyzną śmierdzą jak domy starych ludzi; woli, kiedy zakłada coś nowego i ładnego.

Następnego dnia Fern szaleje w sklepie Miss Selfridge. Kupuje czarną, wąską i długą spódnicę, która opina jej biodra i ma wysokie rozcięcie z boku, białą jedwabną koszulę w grochy, z wysokim kołnierzykiem i szeroki na dziesięć centymetrów jasnoczerwony lakierowany skórzany pasek.

Cały strój jest lekko wampowaty, więc Fern zaopatruje się też w karminową szminkę do ust, czerwono-czarną bieliznę i, na wszelki wypadek, kabaretki z pasem do pończoch. Niewiele brakowało, a odniosłaby z powrotem ten ostatni zakup. James nie grzeszy zbyt dużą śmiałością w łóżku, bielizna jest w stylu fotografii Charliego; znów wścieka się na niego za bezczelność, z jaką ją potraktował, i za to, co kazał jej robić. Nie chodzi tylko o zdjęcia, kazał się jej też masturbować, uwielbia również, i bardzo go to bawi, jak wytwornym tonem uczennicy ze szkoły dla dziewcząt Tillinghurst Fern błaga go, żeby ją zerznął.

Nie ma zamiaru dłużej myśleć o tym padalcu, idzie na lunch do winiarni. Czuje się bardzo dorosła, kiedy w południe zamawia kieliszek *frascati*, kawałek *quiche* i sałatę, niemal jak jej własna matka, która uwielbia wypadki na zakupy i lunche w mieście z siostrą.

Fern siedzi przy oknie i rozkoszuje się sytuacją, jest szczęśliwa, że nie musi jeść kotletów mielonych z frytkami w uczelnianej stołówce. Ma nadzieję, że Jill nie martwi się o nią, to prawda, że z powodu Charliego Fern jest przybita, ale nie ma zamiaru rzucić się do Kanału Manchesterskiego ani... już dość, lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Odkłada widelec i zastanawia się, czy postać, która chwiejnym krokiem wychodzi z sali bilardowej naprzeciwko, to Charlie Treadaway.

Czarne loki – zgadza się, za duży szynel ze sklepu ze starzyzną – zgadza się, zaokrąglone ramiona – zgadza się; pali, mimo że idzie pod wiatr – zgadza się. Dlaczego, na Boga, nie jest na uczelni?

Fern przynajmniej ma powód do wagarów – musi ładnie wyglądać dla swojego przystojnego żołnierza, który przyjeżdża na weekend – i kiedy odsuwa talerz z resztką sałaty i *quiche* postanawia, że Charlie zupełnie się dla niej nie liczy, a ona teraz wróci do Dolcis, by obejrzyć te czarne lakierowane szpilki.

Przecież jeśli ma zamiar oczarować Jamesa elegancją i wyrafinowaniem, nie może włożyć martensów. Gnana dumą i oburzeniem Fern idzie do centrum handlowego Arnadle i kupuje błyszczące czarne szpilki, które mają umocnić ją w nowym życiowym credo: jestem kobietą, jestem silna, nie będę słuchać żadnych pieprzonych bzdur.

Potem wraca na przystanek autobusowy i przyłapuje się na tym, że podśpiewuje starą piosenkę Helen Reddy, tę samą, którą matka bez przerwy puszczała na adapterze (ojciec pewnego dnia nie wytrzymał i zakazał jej tego).

– „Jestem kobietą, usłyszcie mój krzyk”. – Porusza ustami, w uszach wyraźnie słyszy melodię i niemal widzi, jak wiruje czarna płyta. – „Jestem silna, jestem

niezwyciężona, jestem kobietą”. – Melodia pulsuje jej w głowie, ale gdy Fern siada na górnej platformie autobusu, zaczyna płakać i szlocha przez całą drogę do Didsbury.

Felicity, Dee i Jill martwią się o nią. Jill przynosi na poddasze zupę pomidorową w puszcze i wszystkie siadają na jej łóżku niczym zatroskane szekspirowskie wiedźmy.

– To nie jest chłopak dla ciebie... Jest nieodpowiedzialny... Nigdy się nie zmieni... Chyba ma coś nie tak z głową... Stać cię na kogoś lepszego.

Kiedy padają te frazesy, Fern przeżuwa trójkątne tosty z masłem i udaje, że słucha, a tak naprawdę nadstawia ucha: czy ktoś nie otwiera frontowych drzwi? Gdzie on jest?

– Rob powiedział mu, żeby na razie nie wracał – mówi jej w końcu Jill. – Przez kilka nocy, żebyś mogła trochę odetchnąć. W sobotę przyjeżdża James, myśl teraz o nim.

– Tak, ja i Felicity będziemy przez weekend zachowywać się jak należy – dodaje Dee.

– Będziemy uprzejme i miłe – przytakuje Felicity. – Może nawet usmażyć bekon, jeśli użyje twojej patelni. Chcemy, żebyście miło spędzili czas.

– Przyjdź jutro na zajęcia – nalega Jill. – Weź pizamę, szczoteczkę do zębów i przenocuj u mnie, tak dla odmiany, a potem będzie już weekend i poczujesz się lepiej. To ciężka nauzka, ale wszystkie zakochujemy się w nieodpowiednich partnerach, przynajmniej raz w życiu.

– Dee miała kiedyś dziewczynę o imieniu Mavis – chichocze Felicity.

– A Felicity pieprzyła się kiedyś z kierowcą autobusu, który nazywał się Alan – odparowuje Dee.

Zasypia głęboko, nic jej się nie śni i rano pakuje do plecaka zmianę bielizny i szczoteczkę do zębów. Zachowuje się jak automat, będzie robiła to, co jej każą.

Na uczelni podczas zajęć z improwizacji jest odważniejsza niż zwykle, bo po prostu nic jej już nie obchodzi. Trudno odczuwać wstyd, kiedy jest się wypraną z wszelkich emocji. Na koniec dnia razem z Jill wypijają po kuflu piwa w pobliskim pubie i przyjaciółka stara się jej uświadomić, że życie nie zaczęło się ani nie skończy na Old Lansdowne Road. Są na świecie inne miejsca i inni ludzie, z którymi może się spotykać.

Jill dzieli małe mieszkanie z dziewczyną, która studiuje projektowanie ubioru na politechnice, w budynku, który wszyscy nazywają Stojakiem na Grzanki. Belinda przygotowuje teraz nowy strój przypominający fioletowy kombinezon roboczy z ogromnymi poduszkami wszytymi w ramiona. Jest podekscytowana wizytą Fern.

– Mogłabyś wystąpić na moim pokazie na koniec semestru! – woła radośnie. – Na tobie nawet najgorsze szmaty będą wyglądać szalowo. – Fern patrzy z powątpiewaniem na nierówne szwy śliwkowego kombinezonu, ale udaje, że to świetny pomysł.

Jill przyrządza kurczaka *cacciatore*, ale bez czerwonego wina; wszystkie trzy uznały, że szkoda tak marnować dobry trunek, więc same osuszają butelkę; kiedy kurczak się dusi, Belinda szyje. Nastrój jest spokojny, a ponieważ Belinda studiuje modę, wolno jej przynosić do mieszkania pisma kobiece, i gdy lokatorki kładą się do łóżek, Fern przygotowuje sobie w miarę wygodne posłanie na dwuosobowej sofie, czyta „Vogue’a”, a potem zasypia.

Śni jej się Charlie, ubrany tylko w idiotyczne getry. Całe ciało ma pokryte ranami – Fabiana strasznie go pogryzła.

Fern budzi się rano, kości po wczorajszym kurczaku nadal leżą na kuchennym stole; na ich widok Fern zaczyna odczuwać niepokój.

Nie ma ochoty na spotkanie z nim, ale chciałaby wiedzieć, że nic mu się nie stało.

Jill mówi, że może zostać u niej aż do weekendu, ale Fern woli wrócić do siebie. Musi posprzątać pokój na przyjazd Jamesa, ogolić nogi i wyskubać brwi. Zresztą mieszkanko Jill i Belindy jest malutkie i nijakie. Właściciel pokrył każdy cal mdłymi kremowymi tapetami i zabronił wieszania plakatów.

Dziwne, kiedy Fern pół roku temu wprowadziła się do swojego pokoju na poddaszu, szczerze go nie znosiła, ale później bardzo polubiła urok tej walącej się rudery, spadzisty dach i malinowe ściany kuchni, zawieszoną w przedpokoju pozłacaną ptasią klatkę wypełnioną sztucznymi kwiatami oraz kolekcję oprawionych pocztówek z artystkami rewiowymi (własność Felicity i Dee).

Kiedy wraca, jest już ciemno; na szczęście w oknie Charliego nie pali się żadne złowieszcze światło. Chyłkiem wchodzi po schodach; nawet jeśli on jest u siebie, ona nie ma ochoty go spotkać.

W czwartki wieczorem jej współlokatorki chodzą do dzielnicowego ośrodka kultury na lekcje hiszpańskiego – rezerwowany plan Felicity (na wypadek, jeśli nie robi kariery jako aktorka) zakłada, że spieprzą do Hiszpanii i otworzą tam bar dla gejów i lesbijek.

– Z przekąskami wegetariańskimi – dodaje Dee. – Takimi jak orzechy, chrupki ziemniaczane i oliwki.

Fern jest zadowolona, że ma całe mieszkanie do swojej dyspozycji. Co więcej, łazienka też jest pusta i na dodatek z kranu leci ciepła woda. Bierze kąpiel, goli nogi i smaruje je kremem, wyskubuje brwi, szcnotkuje włosy, nakłada na twarz maseczkę Anne French i obcina skórki przy paznokciach. Wie, że James nie lubi, jak maluje paznokcie, jednak nie może oprzeć się pokusie: do czerwonego paska od pończoch będą pasować tylko karminowe pazury; na koniec postanawia pociągnąć lakierem także paznokcie u stóp.

– W końcu jestem szkarłatną kobietą – szepcze do siebie.

Decyduje się (wyjątkowo) na wieczór bez alkoholu, siada przy stole w kuchni i spisuje rzeczy, które musi kupić w supermarkecie. Masło (James nie znosi margaryny), rogaliki na wykwinne niedzielne śniadanie, a także jajka, bekon i chleb, gdyby miał ochotę na coś smażonego. Po szybkim przeglądzie kuchennych przypraw stwierdza, że brakuje ketchupu i sosu barbecue. Dopisuje te rzeczy do listy razem z herbatą earl grey.

Spis jest rzeczowy, ale charakter pisma sprawia, że wygląda na dzieło małej dziewczynki, która bawi się w dom. Drze kartkę, długopisem pisze na wierzchu dłoni „gin i tonik”, a potem kładzie się do łóżka z butelką, w której chlupoczą resztki zmętniałego czerwonego wina.

Godzinę później rozlega się trzask frontowych drzwi. Czuje, jak drętwieją jej wszystkie mięśnie – czy to może być on? Ale ciężki tupot Felicity i piskliwe zdania z podręcznika do hiszpańskiego zdradzają współlokatorki.

– Fajnie, że wróciłaś, *amigo!* – krzyczy Felicity przez kuchenną ścianę.

– ¡*Arriba, Arriba!* – odkrzykuje Fern, naśladując myszkę z kreskówki *Speedy*

Gonzales, i zaczyna zasypiać, ukojona zapachem przypiekanej grzanki.

To najbardziej pokrzepiająca woń na świecie, myśli i przypomina sobie dzieciństwo. Chyba że zapomną zgasić kuchenkę, patelnia się zapali i wszystkie zginą w płomieniach; jej matka miała rację, bez cholernych schodów przeciwpożarowych to mieszkanie jest śmiertelną pułapką.

Pierdolić to. Jeśli spłonie w łóżku, Charlie będzie zrozpaczony i spędzi resztę życia, bolejąc nad tym, że ją utracił. Pokrzepiona tą myślą, zasypia.

To już czwarty dzień.

Piątego dnia budzi się z uczuciem, jakby coś zgubiła, ale nie może sobie przypomnieć, co to było.

Przynajmniej mieszkanie nie spłonęło w nocy. Wszystkie żyją, chociaż Fern ma ochotę zabić Felicity za to, że wyjadła resztki marmite'a. Wzdycha głęboko i smaruje grzankę masłem orzechowym. Jest dobrze, wszystko będzie w porządku, powtarza sobie w myślach. Nawet pogoda jej sprzyja, jakby chciała wszystko ułatwić. Białe słońce prześwituje pomiędzy szczelinami w ołowianych chmurach, które zwykle szczelnie zasłaniają niebo; wreszcie odrobina optymistycznego błękitu wśród ponurych szarości.

– Wiosna – oznajmia Fern samej sobie.

W Three Paddocks pewnie pojawiło się mnóstwo żółtych żonkili. Przyroda ożywa, wkrótce wszystko zakwitnie i urodzą się małe owieczki. Musi pojechać do domu, już niedługo Wielkanoc. Matka nadal kupuje jej olbrzymie jajko z czekolady.

Ogarnia ją tęsknota za domem, postanawia wyjść wcześniej i pójść pieszo na uczelnię. Ma dość chandry, nie chce już więcej budzić się przy popielniczce pełnej petów i kieliszku z resztką zmętniałego czerwonego wina. Ma po dziurki w nosie obolałych płuc i lekkich kaców. Jak to dobrze, że rzuciła Charliego Treadawaya, był kolejnym złym nałogiem, niebezpiecznym dla zdrowia, myśli i rusza zdecydowanym krokiem, nie zważając na zdradliwy, przenikliwy mroźny wiatr.

Kiedy dociera na uczelnię, ma oczy pełne łez, ale tym razem może obwiniać za to tylko pogodę.

Zajęcia zdecydowanie poprawiają jej nastrój. Dostaje pochwałę za wyjątkowo agresywną postawę na lekcji szermierki, a kiedy znajomi pytają ją o plany na weekend, odpowiada:

– Mój chłopak do mnie przyjeżdża, nie mogę się doczekać. Jest oficerem.

Fern uświadamia sobie, że studenci aktorstwa dziwnie reagują na fakt, że James służy w wojsku. Są zdziwieni, nie pochwalają tego.

W toalecie Jill wyjaśnia, dlaczego tak się dzieje:

– Cóż, to dość szczególne zajęcie: jeździsz po całym świecie i zabijasz ludzi.

– Nie sądzę, żeby James kogoś zabił – śmieje się Fern, ale tak naprawdę nie jest tego pewna. Był w Irlandii Północnej, a tam bez przerwy dzieją się okropne rzeczy.

Nagle przypomina sobie zamach bombowy na jacht lorda Mountbattena, wśród ofiar był jeden z jego wnuków, czternastoletni chłopak, który też był bliźniakiem, tak jak Charlie. Jej ojciec popijał whisky i wściekle krzyczał, nazwał członków IRA „plugawymi szumowinami”, matka oglądała wiadomości i powtarzała bez przerwy: „Biedny chłopak, to straszne stracić brata bliźniaka”.

Wszyscy przygotowują się na piątkowy wieczór: w Rusholme jest impreza, na którą wybiera się połowa jej roku. Nawet Fern chciałaby na nią pójść. Do cholery, przecież ostatnio nigdzie nie bywała, od wieków już nie tańczyła. Nagle zdaje sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty na wizytę Jamesa, chce iść na tańce do miasta. Chce się wyluzować w klubie Old Conti i całować się z jakimś nieznanym chłopakiem gdzieś

w kącie, na zalanym piwem parkiecie. Jednak po zajęciach wraca do domu i sprząta mieszkanie, raptem uświadamia sobie, jak potwornie brudna jest toaleta i że po raz pierwszy w życiu pomyślała o dotknięciu szczotki do czyszczenia muszli klozetowej.

Szczotka jest prawie całkowicie wyliniała, nie nadaje się do niczego, wanna potrzebuje nowej emalii, a umywalka pokryta jest grubą warstwą śliny zmieszanej z pastą do zębów. Nagle niebo rozjaśnia błyskawica i słychać dobiegający z oddali grzmot. W szyby zaczyna bębnić deszcz; wydaje się, że Manchester odrzucił wiosnę.

Wraca do kuchni, przetrząsa lodówkę i z przegródki na warzywa usuwa jakieś resztki, które na pewno nie są podobne do niczego jadalnego. Pozostaje po nich mnóstwo mazi, kilka razy musi powstrzymać odruchy wymiotne. Jak pani Bibby może codziennie wykonywać taką robotę? Fern nagle przypomina sobie, że pani Bibby zakłada do pracy gumowe rękawice. No jasne. Chryste, zapomniała o pierwszej zasadzie sprzątania. Bóg wie, jakie piekielne zarazki mogła złapać w tej śmierdzącej toalecie. Zagotowuje wodę w czajniku i na wszelki wypadek zanurza dłonie w prawie wrzącej wodzie, ale nie może przestać myśleć o sikach i kupach obcych ludzi.

Uspokaja żołądek ginem z tonikiem (tylko jednym) z zapasów, które kupiła dla Jamesa, i przygotowuje sobie małego tosta z serem. Jill i Rob poszli na imprezę w Rusholme, a Dee zabrała Felicity do miasta na curry, co oznacza, że starannie wyczyszczona toaleta rano znów będzie odrażająca. Bo Felicity, jak sama mówi, „kocha curry, ale bez wzajemności”. Na myśl, że James zapozna się z fizjologią jej współlokatorki, czuje się upokorzona, więc nalewa sobie kolejny gin z tonikiem i przegląda okolice zlewu w poszukiwaniu zapomnianych sztucznych penisów.

Pije trzeci gin, kiedy trzaskają frontowe drzwi i słychać, jak ktoś biegnie po schodach. Rozlega się pukanie i do mieszkania wpada Charlie; dygocze, cały przemokł na deszczu.

– Przepraszam – mówi. – Wiem, że byłem dupkiem, ale chcę, żebyś wiedziała, że to już koniec, nie spotkam się więcej z Fabianą. Trochę to trwało, zanim się wyplątałem, bo ta kobieta ma macki jak wielka kałamarnica. To nie było miłe, chyba zachowałem się okropnie i trochę się martwię, że może zrobić jakieś głupstwo.

Fern instynktownie czuje, że Fabiana niczego takiego nie zrobi, a jeśli nawet, to przeżyje – ta kobieta to kot. W milczeniu nalewa mu drinka, którego Charlie wypija jednym haustem, a potem kolejnego.

– Trzeba cię wysuszyć – mówi jak matka do dziecka, zapala wszystkie palniki na kuchence gazowej, żeby ogrzać pomieszczenie, i przynosi mu ręcznik z sypialni.

Nie dotknęła go, nadal nie jest niczego pewna. On przypala papierosa od płonącego gazu; natychmiast rozlega się trzask i czuć woń spalonych włosów. Jest niebezpieczny, nawet dla siebie. Fern wyłącza gaz i mówi mu, że idzie do łóżka.

– Ja też mogę? – pyta Charlie.

Fern kiwa głową, a on idzie za nią do sypialni, pod jedną pachą trzyma butelkę ginu, pod drugą tonik, w jednej dłoni niesie szklanki, w drugiej wymiętego skręta, a paczkę tytoniu i bibułki zaciska pomiędzy drobnymi zębami w kolorze musztardy.

Pieprzą się i piją, piją i się pieprzą, a o piątej Charlie pędzi w podskokach do kibelka i nagle przypomina sobie, że musi spakować się o świcie, bo jedzie do Oksfordu

na studencką imprezę swojej siostry.

Zaprasza ją, mówi, żeby jechała razem z nim, będzie świetna zabawa. Po drodze zahacza o Londyn, chce się tam spotkać po południu ze znajomymi, a potem ruszą do Oksfordu. Opowiada, że to dość odjechane miejsce, jego siostra mieszka w zabytkowym budynku, który przypomina klasztor. Gada jak najęty, że Rowena zna sporo dziwnych ludzi – niemieckich hrabiów, perskich księżniczek, a nawet walijskiego olbrzyma – wszyscy są bardzo mądrzy, chociaż niektórych trudno o to podejrzewać. Opisuje odźwiernych w melonikach, którzy pilnują wielkich drewnianych drzwi uniwersytetu.

– Są tam spuszczone kraty w bramach, jak w zamkach, brakuje tylko fosy – opowiada i dodaje, że Rowena chciałaby ją poznać.

– Słyszała o mnie? – przerywa mu Fern.

Charlie przez chwilę wygląda na zaskoczonego.

– Wydaje mi się, że wspomniałem o tobie podczas ostatniego weekendu – mówi niezbyt przekonująco.

– Gdzie miałabym spać?

– Nie spałabyś, głuptasie, to impreza. Będziemy się bawić przez całą noc, a potem wrócimy pociągiem.

– Nie mam zamiaru jechać w obie strony pociągiem do Oksfordu – śmieje się, ale nagle uzmysławia sobie, że nie może urwać się z Charliem, bo czeka na Jamesa.

Będzie spał w tym łóżku cuchnącym ginem i tanim tytoniem, i – co najgorsze – spermą innego mężczyzny. Przerażona i zaszokowana tym, co zrobiła, nie może zmrużyć oka; Charlie (nadal ma na sobie srebrny naszyjnik) chrapie przeraźliwie z głową na jej piersiach.

Wstaje z łóżka o ósmej; pociąg z dworca Piccadilly odjeżdża o dziewiątej.

– Nie zdążysz – mówi zrzędliwym tonem Fern i zastanawia się, czy on zawsze musi pędzić jak do pożaru i wiecznie się spóźniać.

– Zdązę, urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą – rzuca przez ramię. – Mam w sobie irlandzką krew.

Zbiega po schodach i po chwili słyhać trzaśnięcie frontowych drzwi. Co za egoista, nie pomyśli, że inni mają ochotę jeszcze pospać, przecież jest tak wcześnie rano. Patrzy przez okno, jak pędzi po ulicy; cały dobytek ma zapakowany w plastikową reklamówkę.

Chce przewietrzyć sypialnię przed wizytą kolejnego kochanka, więc zostawia okno otwarte. Poranne powietrze jest jak policzek wymierzony zimną dłonią rzeczywistości. Co ona sobie, do cholery, wyobrażała?

Kilka godzin później, kiedy czeka zdenerwowana na Jamesa, odkrywa, że Charlie zwędził jej gin, i nie wie, czy się śmiać, czy płakać.

Wizyta Jamesa

James zjawia się z szampanem – dwiema schłodzonymi butelkami – wędzonym łososiem i pumperniklem. No jasne, niedawno był w Berlinie. Jest taki europejski i dorosły.

– Pomyślałem, że gdzieś wyjdziemy albo zrobimy sobie piknik – mówi.

Oboje są skrepowani, unikają trudnych tematów.

Fern jest spanikowana. Dręczą ją kac i chandra po wypitym ginie, weekend ciągnie się w nieskończoność, a ona niczego nie zaplanowała. Może powinna zabrać go na wystawę do galerii sztuki albo do kina. Czego on oczekuje? Znow zaczyna padać.

– Chodźmy do łóżka – proponuje Fern. – Zrobmy sobie tam piknik. – Stara się powiedzieć to niskim, namiętym tonem, ale nerwy biorą górę, jej głos brzmi piskliwie i drżąco.

Nie włożyła pończoch i paska. Może zrobi to wieczorem – na razie seks i łosoś powinny wystarczyć.

W sypialni chwali ją za to, że otworzyła okno.

– Mówiłem ci ostatnio, że to bardzo zdrowe – mówi i całuje ją jak stara panna, która podskubuje kanapkę z ogórkiem.

Skończyli się kochać późnym popołudniem; Fern czuje się obolała. Kiedy pieprzy się z Jamesem, z jakiejś dziwnej przyczyny łóżko zaczyna przypominać piaskownicę, staje się suche i niewygodne, a jej wagina zmienia się w ostrygę, do której dostało się ziarnko piasku – może pewnego dnia znajdzie w niej perłę? O Boże, zanim on dochodzi, mija wieczność.

James wreszcie szczytuje, a gdy po pierwszej butelce szampana zasypia, Fern wymyka się do łazienki i przetrząsa kosmetyczkę w poszukiwaniu paracetamolu. Głowa jej pęka.

Jak tylko zatrzaskuje za sobą drzwi ubikacji, czuje, że Felicity musiała niedawno zrobić wyjątkowo siarczystą kupę; smród aż zatyka.

– Boże, ta kobieta naprawdę ma trzewia jak kierowca ciężarówki – mamrocze.

Przeszukuje ładną saszetkę w szkocką kratę, którą w zeszłym roku dostała od mamy na urodziny. Ma szczęście: pod tubką klejowatej mazi, którą zamierzała nasmarować krążek... Jak to się nazywa? Środek plemnikobójczy, coś, co wyjąławia spermę, zamienia waginę w pole śmierci dla męskiego nasienia, tysiące plemników giną od trucizny; zastanawia się, czy to ten zapach je zabija, czy padają jak po ataku gazów bojowych, czy krzyczą przed śmiercią?

Ułamek sekundy później uświadamia sobie, że nie założyła krążka. Chryste, wstyd i poczucie winy prawie zwalają ją z nóg. Kurwa, kurwa, kurwa.

W porządku... Weźmie kąpiel, przynajmniej wypłucze trochę spermy. Jeśli da się ją zagazować, to można i utopić. Napełnia wannę po brzegi, nie zwracając uwagi na pukanie do drzwi. Musi zabić mnóstwo plemników, całe stada, te Charliego i te Jamesa.

Kwadrans później, po dokładnym myciu, wyciska na palce dużą porcję środka plemnikobójczego i wciera go w ściany pochwy – tak na wszelki wypadek, jeśli zostały

tam jeszcze jakieś maleńkie kijanki. Wraca do łóżka; jest trochę wkurzona, ale udaje, że wszystko w porządku. Żadne zajęcia w szkole aktorskiej nie przygotowałyby ją na coś takiego.

James się ubiera.

– No cóż, moja frywolna panno – mówi wesoło. – To było niespodziewane i przemiłe powitanie. Co ty na to, żebyśmy zaczerpnęli świeżego powietrza, odświeżyli ciało i umysł?

Proponuje spacer! Nie ma pojęcia, gdzie go zabrać. Dlaczego, na Boga, miałyby tu chodzić na spacer? Na przechadzki chodzi się na wsi, z pasami i w kaloszach. Jest załamana, ale udaje, że to świetny pomysł, na chybił trafił wyciąga z szafy jakieś ciuchy, które mają stanowić zestaw „do spacerów po Didsbury”.

James krzywi się na widok wielkiego, pomarańczowego moherowego swetra w czarne pasy.

– O rany, dość to krzykliwe – zauważa, a Fern udaje, że chciała tylko zażartować, że to wcale nie jest jej ulubiony ciuch, i zamiast niego wkłada prosty, obcisły sweter z dekoltem w szpic, który najwyraźniej mu się podoba, bo przesuwa językiem po wąskich wargach i niezdarnie usiłuje gwizdnąć z podziwem.

Chęć, żeby odgryźć mu całą twarz, jest obezwładniająca; aby jej nie ulec, Fern musi się skoncentrować na zamkach błyskawicznych przy butach.

Z braku atrakcyjnych miejsc do zwiedzania idą w kierunku uczelni. James trzyma ją za rękę, Fern czuje się, jakby założono jej kajdanki, pocą się jej dłonie; ma wrażenie, że za chwilę dostanie ataku klaustrofobii.

Kiedy dochodzą do budynku szkoły aktorskiej, deszcz zaczyna siec ich po twarzach, więc wchodzą do pubu na drinka.

Miejscowi bywalcy prezentują się ordynarnie. Jakaś gruba kobieta z rozkraczonymi nogami odsłania skraj pończoch. Jej mąż siedzi obok, ma zabandażowaną prawą dłoń i podbite oko. Próbuje skrócić papierosa, jego żona gapi się bezmyślnie przed siebie, a buldog, który leży przy ich stopach, wylizuje sobie szwy na groźnie wyglądającej ranie na brzuchu.

– Obrazek godny Hieronima Boscha – szepcze James, ale nie dość cicho. W końcu nie na darmo jest oficerem.

Nie kończą drinków i wychodzą; przez całą drogę do domu nawet na chwilę nie puszcza jej dłoni.

Gdy wracają na Old Lansdowne Road, Rob i Jill zapraszają ich na herbatę i chociaż Fern zdaje sobie sprawę, że robią to tylko z czystego wścibstwa, ma ochotę ucałować swoją najlepszą, zabawną, wielkoduszną, pulchną przyjaciółkę.

Jill podtrzymuje rozmowę, udaje się jej nawet rozśmieszyć Jamesa, a potem Rob wciąga go w męską dyskusję o rugby, potwornie nudną, ale przynajmniej dziewczyny mogą odetchnąć przez dziesięć minut.

Czas wlecze się niemiłosiernie, a Fern jest w stanie myśleć jedynie o tym, że siedzi w tej samej kuchni, w której Charlie przygotowuje sobie poranną filiżankę kawy i skręca pierwszego papierosa. Gdzie on teraz jest? Czy nadal siedzi w Oksfordzie? Tym niewyobrażalnym, baśniowym mieście, gdzie wszystkie kobiety są mądre i piękne?

I natychmiast wyobraża sobie królestwo pełne spiczastych wież, zamieszkane przez piękności odziane w aksamitne togi, cudowne uniwersyteckie syreny; wszystkie one przywołują Charliego, chyba mówią w starożytnej grece.

– Fern! – James prawie krzyczy, a Jill kopie ją delikatnie pod stołem i ściąga na ziemię. – Mówiłem, że chyba już najwyższy czas, abyśmy poszli i dali odpocząć tym miłym ludziom.

Do kurwy nędzy, gada jak mój ojciec, myśli Fern, ale uśmiecha się pogodnie, sprawiając wrażenie, że cieszy się na uroczą kolację we dwoje, choć tak naprawdę ma ochotę położyć się do łóżka i czekać, aż Charlie wróci do domu.

James znów sięga po jej dłoń, ale ona udaje, że tego nie zauważa, i idzie na górę krokiem poruszanej sznurkami marionetki. Jak to było do przewidzenia, na półpiętrze wpadają na Felicity i Dee. Fern wie, że to spotkanie będzie dość kłopotliwe. James stara się jak umie, ale można się domyślić, że wszystkie włosy na ciele jeżą mu się z obrzydzenia. Pyta, jak się mają, i oznajmia głośnymi, prostymi słowami, że „na dworze pada”, jakby były cudzoziemkami lub miały kłopoty z logicznym rozumowaniem, a nie skłonność do tej samej płci.

Na szczęście właśnie wychodzą.

– Wieczór na lesbijskim bingo – żartuje Felicity, więc, dzięki Bogu, rozmowa jest krótka.

Kiedy współlokatorki schodzą z tupotem ze schodów, Fern jest przekonana, że słyszy, jak mówią: „Co za kretyn” i wybuchają śmiechem.

James niczego nie dostrzega.

– Cóż, nie było tak źle – zauważa złośliwie. – O ile nie będą chciały wciągnąć cię w swoje sprawy, chyba jakoś z nimi wytrzymam.

Fern nie zwraca uwagi na jego słowa. Rozpaczliwie próbuje wypełnić czymś czas przed kolacją i puszcza kilka płyt. Niestety, okazuje się, że ona i James mają zupełnie odmienne gusty muzyczne i kiedy on nazywa Elvisa Costella „małym, dziwacznym okularnikiem”, ma ochotę go zabić.

– Więc czego słuchasz? – pyta, a on odpowiada, że jego ulubionym nagraniem jest płyta z przemówieniem Winstona Churchilla, w którym padają słynne słowa: „Będziemy walczyć na plażach”; to bardzo inspirujące.

Jeśli chodzi o muzykę pop, to nie licząc kilku utworów Dire Straits, James nie jest jej wielkim fanem. Fern czuje się przybita i zdołowana. Charlie kocha muzykę, bez przerwy zmusza ją do słuchania jakichś dziwnych kawałków francuskiego punka albo okropnych syntezatorów, więc żeby wkurzyć Jamesa, Fern puszcza na cały regulator *Fashion* Davida Bowiego; jest tak głośno, że ściany zaczynają drżeć. W końcu zdaje sobie sprawę, że jest śmieszna, i unosi igłę znad czarnego krążka.

Co za szkoda, że Charlie świsnął ten gin.

Godzinę później, kiedy mają już wyjść na kolację, Fern otwiera nową czerwoną szminkę i nachyla się nad lustrem w sypialni, żeby umalować usta, i wtedy zza jej pleców pojawia się męska dłoń i konfiskuje pomadkę.

– Nie potrzebujesz tego – mówi James.

Ma rację, bez szminki jest piękna, a jeśli ją nałoży, będzie wyglądała

provokacyjnie. Czuje, jak ogarnia ją szaleństwo, kipi z wściekłości.

James podczas tej wieczornej randki zachowuje się niezwykle szarmancko. Po drodze do bistra zabiera z samochodu parasol i trzyma go troskliwie nad jej głową, nawet kiedy chodnik się zwęża i musi zejść do zalanego deszczem rynsztoka.

Gdy wchodzi do restauracji, głowy wszystkich gości odwracają się jak słoneczniki, które poszukują źródła światła: każdy chce podziwiać tę piękną dziewczynę. Sam właściciel zdejmuje z niej płaszczyk w szkocką kratę (kupiony w sklepie ze starzyzną), jakby były to norki, kierownik sali w ukłonach prowadzi ich do stolika.

Byłby świetny w sztuce z epoki restauracji, myśli Fern, zadowolona z zamieszania, jakie wywołała. Czuje się jak Grace Kelly. Dużo łatwiej grać zakochaną dziewczynę, kiedy ma się publiczność.

Bez reszty wciela się w rolę. Przez następne dwie godziny trzepocze rzęsami, skubie uroczo chleb, dyskretnie i elegancko wypluwa w dłoń pestki oliwek i często się śmieje, wygina białą, łabędią szyję przy każdej dowcipnej uwadze. Pozwala nawet, żeby partner karmił ją przez stół kawałeczkami swoich potraw. Na przystawkę zamówił *foie gras*, a na główne danie wątróbkę. Dziwne, ma bzika na punkcie wątróbki. Ona zdecydowała się na wędzonego łososia i małże duszone w białym winie. Pomiędzy jednym papierosem a drugim bawi się muszlami. Nie jest głodna, ale teatralność sytuacji wciąga, Fern wygląda szałowo, wino rozgrzewa krew, przegania wszelką niechęć i chłód. Gdy są już przy brandy, przepełnia ją czułość i sympatia do tego człowieka, który obchodzi się z nią tak delikatnie, jakby była figurką z chińskiej porcelany, i dopiero kiedy wstają, Fern uświadamia sobie, że jest pijana jak bela, a na obrusie walają się muszle po małżach, które zmieniła w jednorazowe popielniczki.

Kiedy James podaje jej ramię, chwytą je z wdzięcznością. Nie ma pojęcia, jakim cudem docierają do domu.

Już się nie pieprzą. Fern wymiotuje, raz na żywopłot, raz w łazience. James jest bardzo wyrozumiały, oskarża się, że pozwolił jej zamówić małże.

Rano przynosi herbatę i sucharki, świeżo wykąpany jest uosobieniem zdrowia i siły, na jego widok robi się jej słabo. Jest taki prostoliniorny, taki bezbarwny. Siada na krawędzi łóżka i szuka na dywanie swoich przemoczonych w rynsztoku butów. Nowa bluzka leży rzucona na podłodze; wyznacza, tak jak i reszta ubrań, szlak prowadzący do łóżka. James kończy zawiązywać sznurówki i spogląda jej prosto w oczy.

– Chciałem cię zapytać...

O Boże, zaraz znów będzie wymiotować.

– Chciałem cię o coś zapytać i musisz mi szczerze odpowiedzieć: gdzie jest twój naszyjnik, ten, który dałem ci na Boże Narodzenie?

Kłamie mu prosto w twarz. Jest tak przekonująca, że niemal sama wierzy w to, co mówi.

– O Boże, James, tak mi przykro. Noszę go codziennie, ale w piątek mieliśmy na uczelni zajęcia ze sztuki walki i na wszelki wypadek schowałam go do szafki w garderobie, przepraszam, zapomniałam go zabrać, nadal tam leży! Co za idiotka ze mnie, ale chciałam zdążyć kupić ci rogaliki na śniadanie, śpieszyłam się, bałam się, że zamkną sklepy.

James promienieje na myśl o rogalikach, więc Fern zmusza się, by wstać i zrobić mu śniadanie, jednak w kuchni natyka się na Felicity i Dee, które zdążyły już spałaszować croissanty, siedzą z ustami oblepionymi okruszkami i wyglądają jak para niesfornych szczeniaków.

James wkrótce potem wychodzi, ale wcześniej zabiera butelkę szampana ze wspólnej lodówki i stawia ją na szafie w sypialni Fern.

– Zachowajmy ją na kolejną okazję, kiedy znów przyjadę. Nie chcę, żeby te łakome stare lesby wszystko wytrąbiły – mówi wesoło, głaszcze ją po brudnych włosach i całuje w usta, mimo że oddech Fern nadal cuchnie niestrawionymi małżami.

Niedziela jest ponura. Manchester wygląda posępnie pod ciężkimi czarnymi chmurami. Fern dostosowuje się do melancholijnego nastroju miasta i spędza dzień, wylegając się w łóżku. W pewnej chwili ma nawet zamiar wyjść do sklepu, ale udaje się jej przekupić Felicity, która przynosi jej fajki.

W powietrzu wisi coś niepokojącego. Kiedy on wróci? Fern ma złowróżbny sen o bystrej, wygłodniałej erotycznie Roszpuncie, która rozpuszcza długie złote włosy, aby namiętny Charlie mógł się po nich wspiąć.

Jill zaprasza ją na obiad – upiekła kurczaka – jednak Fern odmawia (żołądek jeszcze daje o sobie znać), ale kiedy z parteru dobiega mocny zapach nadzienia i sosu, żałuje swojej decyzji.

Może postanowił spędzić jeszcze jeden dzień z siostrą. To, że nie spotyka się już z Fabianą, nie oznacza, że automatycznie stał się jej, Fern, własnością. Jest dorosły, może robić, co zechce.

– Jednak proszę, Charlie – szepcze cichutko – wróć do domu, błagam.

Przez całą noc jest wyjątkowo czujna, reaguje na każdy dźwięk, aż wreszcie, o północy, słyszy delikatne skrzypienie frontowych drzwi i jej serce zaczyna bić jak szalone. Czy przyjdzie do niej na górę? A może to ona powinna zejść do niego? Nawet nie dała mu jeszcze prezentu urodzinowego, no i musi odzyskać swój naszyjnik, zanim Charlie go zgubi. Tak, naszyjnik to najlepsza wymówka. Piersiówkę da mu przy innej okazji.

Bierze ukrytą na szafie butelkę szampana, schodzi na palcach w starannie wybranym wiktoriańskim plisowanym szlafrocisku – wie, że wygląda w nim jednocześnie dziewiczo i lubieżnie – i wślizguje się do jego pokoju, cicho jak złodziej. Charlie siedzi w ciemnościach, jest na wpół rozebrany. Zasłony są rozsunięte i słaba poświata księżycy oświetla mu twarz. Wygląda tragicznie, prawie nie reaguje na jej widok.

– Jesteś wykończony – mówi nieśmiało.

Uśmiecha się lekko.

– Delikatnie powiedziane. – Znużony opada na łóżko. – Czy możemy po prostu zasnąć? – pyta, a ona kładzie się na brudnym pościeliu; czuje się teraz jak wiktoriańska gospodyni, a nie seksowna pokojówka.

Śpiący Charlie wygląda, jakby był nieprzytomny. Fern stara się nie wiercić, ale łóżko jest niewygodne, a szlafrok przekrzywił się i podwinął. Kiedy budzik wskazuje pierwszą w nocy, słyszy, jak na półpiętrze dzwoni telefon, uporczywie i przeszywająco, jak kapryśne dziecko, które chce zwrócić na siebie uwagę. Kto, na Boga, może dzwonić tak późno? Podejrzewa, że to Fabiana, i czuje, jak wstrząsa nią dreszcz absurdu i zazdrości. W końcu, po kolejnej serii wściekłych dzwonek, zapada cisza. Oddech Charliego jest bardzo płytki, prawie niesłyszalny. Fern nie może zmrużyć oka, jest dziwnie niespokojna i żeby czymś się zająć, zdejmuje liść paproci z szyi Charliego, który porusza gwałtownie grdyką, jakby chciał zaprotestować, ale na szczęście się nie budzi i Fern delikatnie odkłada srebrny wisiołek na stolik przy łóżku; pośród walających się tam

śmiesi wydaje się taki czysty i lśniący. W końcu, gdy księżyc chowa się za zasłonę czarnych chmur, Fern zasypia.

Budzi się gwałtownie, kiedy milknie kolejna seria dzwonek telefonu. Jest siódma rano. Chwilę później słycać walenie do frontowych drzwi i hałas w korytarzu, krzyk Jill, a potem są już w pokoju, dwóch policjantów w mundurach i cywil, trzymający w dłoni jakieś urzędowe pismo.

Przyszli po niego. Chcą zabrać go na przesłuchanie. Na razie go nie aresztują, ale musi pójść z nimi. Charlie siada na łóżku i mruga, zdziwiony – o co im chodzi? Fern prozona jest o opuszczenie pokoju, to nie ma z nią nic wspólnego. Charlie ma wstać i się ubrać. Jest zdezorientowany, nie wie, co się dzieje, ma jasnoniebieskie, dziurawe majtki, drżą mu nogi. Fern pozwala wyprowadzić się z pokoju, siada na schodach i patrzy, jak wyprowadzają Charliego z domu i pakują go do radiowozu.

– Kurwa – mówi Jill. – Co jest, do cholery?

Fern jest odrętwiała. Czuje, jakby głęboko w niej coś się przestawiło, i instynktownie rozumie, że nie ma już odwrotu, kości zostały rzucone, a jej życie zmieniło się na zawsze. Ciszę na korytarzu znów przerywa natarczywy dźwięk szarego automatu telefonicznego. Fern ma najbliżej. Wstaje i kiedy tylko podnosi słuchawkę (nawet nie zdążyła przyłożyć jej do ucha), słyszy głos matki, histeryczny, szlochający, prawie niezrozumiały.

– Mamo?

– Och, Fern, to ty! Dzięki Bogu! Kochanie, tak mi przykro, ale stało się coś strasznego.

Cholera, myśli Fern, byle nie Pippin.

– Chodzi o Elise. Nie żyje. Och, Fern, moja biedna kochana siostra jest w okropnym stanie.

Fern (nadal ma na sobie tę upiorną białą koszulę nocną) opiera się o ścianę, a potem osuwa na brudną wykładzinę, siada na stopniu, stara się zrozumieć urywane słowa matki. Obraz wydarzeń jest fragmentaryczny, Rosemarie nie jest pewna, co się właściwie stało.

– Mogła się udusić... była na przyjęciu, u znajomej swojej koleżanki. Zdaje się, że w Oksfordzie. Och, kochanie, twoja urocza kuzynka.

Fern pozwala matce wylewać żale przez telefon, w końcu siły Rosemarie się wyczerpują i może odłożyć słuchawkę i powiedzieć Robowi i Jill, co się stało.

To Jill natychmiast łączy oba wydarzenia.

– Twoja kuzynka pojechała na przyjęcie do Oksfordu. Czy to nie tam była impreza siostry Charliego? Nie sądzisz, że...

Nie, niczego nie sądzi. Nie chce myśleć o niczym. Za dużo tych zbiegów okoliczności.

– Nie chcę o tym rozmawiać – mówi Fern. – Chcę, żeby wszystko znów było normalne. Muszę iść na zajęcia i proszę, Jill, nie mów o tym nikomu.

Ale w porze lunchu wiadomość rozchodzi się jak potężna fala, krzyczą o tym telewizja, radio i wieczorne gazety – CÓRKA MINISTRA NIE ŻYJE! Fern zamyka się w toalecie, w tej samej drewnianej kabinie, w której ukrywała się na początku studiów, i wyje.

Wieczorem Jill pomaga jej się spakować. Rano Fern złapie pociąg do Godalming. Charlie nie dał znaku życia.

– Tak sobie myślę – mówi do przyjaciółki, wkłada i wyjmuję z torby moherowy sweter w pasy, nie może się zdecydować, czy zabrać go ze sobą. – Może policja chce przesłuchać Charliego w sprawie kradzieży rowerów.

Jill milczy.

Elise robi furorę po śmierci. Przez resztę tygodnia jest na okładkach wszystkich gazet, wydyma wargi, mizdrzy się, wystawia język, pokazuje palcami znak wiktorii i śmieje się wprost do obiektywu. To niepojęte – jest martwa, a tak pełna życia.

ALKOHOL I NARKOTYKI NA SZALONEJ IMPREZIE ZABIŁY DWUDZIESTOLETNIĄ PIĘKNOŚĆ – krzyczą nagłówki.

Wstępne dochodzenie wykazało, że Elise zadławiła się własnymi wymiocinami i dostała ataku serca w następstwie przedawkowania alkoholu i narkotyków.

Świadkowie twierdzą, że panna Landreth była w doskonałym nastroju... owej fatalnej nocy... śmiertelna mieszanka szampana, heroiny, amfetaminy, marihuany i piwa. Ciało dziewczyny znaleziono... rozpaczliwie usiłowano reanimować córkę ministra... napływają kondolencje... Margaret Thatcher jest głęboko poruszona.

Powoli, fragment po fragmencie, fakty układają się w całość. Zza szaleństwa tabloidów wyłania się klarowny obraz: przyjęcie, na którym była panna Landreth, odbyło się w pewnym kolegium w Oksfordzie, miano świętować dwudzieste pierwsze urodziny kilkorga studentów i ostatnie dni wolności przed nadchodzącą sesją egzaminacyjną.

Elise Landreth nie była studentką tego kolegium, ale tak się złożyło, że przed trzema dekadami jej ojciec uczęszczał do Hertford. Została zaproszona na imprezę przez bliskiego znajomego. Córka ministra, która wcześniej studiowała modę w Akademii Plastycznej St. Martin's, przyjechała z Londynu samochodem. Impreza rozpoczęła się wcześniej i przeciągnęła do późnej nocy. Kiedy ciemnowłosa Elise „padła”, pozwolono jej przespać się w sypialni niemieckiego hrabiego, którego nie było w Oksfordzie podczas owego fatalnego weekendu (uczestniczył w pogrzebie swojego dziadka w Hanowerze). Po imprezie, w niedzielę rano, przyjaciel, z którym przyjechała, wrócił do Londynu bez niej. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewała – była bardzo popularną i towarzyską dziewczyną.

– Chcą powiedzieć, że była zdzirą – mruczy ojciec Fern znad szklaneczki glenfiddicha. – Chryste, co za bagno.

W następnym tygodniu doniesienia są bardziej stonowane. Jest mniej hysterii, a więcej pogłębionych (choć i tak banalnych) analiz na temat ekscesów warstw uprzywilejowanych. „Przekleństwo tych, którzy rozmieniają na drobne rodowe srebra”, głosi artykuł w „Sunday Times Magazine”, opatrzone ziarnistymi fotografiami Elise, która na przyjęciu z okazji swoich dziesiątych urodzin stoi w towarzystwie kuzynki Fern Woolbright i Lucasa Spinnera, syna swojej matki chrzestnej, Barbary Spinner (to właśnie ten młody człowiek zawiózł ją do Oksfordu).

Fern z uwagą wpatruje się w fotografię. Lucas ma bladą, ziemistą cerę, ledwo przypomina sobie tego chłopaka, którego spotkała, gdy sama była anemiczną dziesięcioletką o chorowitej cerze. Barbara i ciotka Minty były ze sobą bardzo blisko, ale matka Fern, Rosemarie, nigdy szczególnie nie przepadała za „tą Spinner”, uważała, że jest apodyktyczna i zadufana. „Za bardzo londyńska”, skrytykowała ją kiedyś, i dlatego rzadko się widywały. Woolbrightowie nie są tacy „przerafinowani”.

Według autora artykułu Lucas zawiózł „nieszczęsną pannę Landreth” z Londynu do Oksfordu i wrócił następnego dnia już bez niej; nie wiedział, co się z nią stało.

Charlie jak na razie pozostawał bezimiennym dwudziestojednolatkiem, który pomaga policji w dochodzeniu.

Prasa ujawniła jego tożsamość, gdy postawiono mu zarzuty. Charles Sebastian Treadaway, student Akademii Sztuk Pięknych w Manchesterze, bliźniaczy brat jednej z organizatorek imprezy, Roweny Treadaway, studentki trzeciego roku anglistyki w kolegium Hertford, został zwolniony za kaucją i oczekuje na proces.

– Nie mieli pojęcia, że zażywa heroinę – zwierzyła się Rosemarie. Wcześniej odwiedziła siostrę w mieszkaniu Paula w Westminsterze. – To jak obłączenie – opowiada. – Dziennikarze biegają po całym budynku, jak szczury. Chcą zrobić z niej nałogową narkomankę. Chciałabym dostać w swoje ręce tego chłopaka, diler. Minty nic nie je od czasu tego wypadku, straciła Bóg wie ile kilogramów. Mówię ci, kilogramów!

Jedzą jagnięcinę i przysmażaną fasolkę, którą Rosemarie wygrzebała z zamrażalnika. Zupełnie nie ma głowy do gotowania, ale muszą coś jeść.

– Proszę, Fern, chociaż odrobinę.

Nie jest w stanie nic przełknąć, mdli ją.

– Student sztuk pięknych z Manchesteru, uwierzyłabyś? Wiedziałam, że nie powinnaś była tam jechać. Najwyraźniej to miejsce pełne narkomanów, a według oficera łącznikowego policji ten chłopak został aresztowany w Didsbury. Przecież ty też tam mieszkasz, Fern! Wyobraź to sobie, mogłaś nawet spotkać go kiedyś na ulicy.

– Wątpię. – Fern się krztusi, udaje się jej jeszcze wydusić, że przeprosza, po czym pędzi po schodach na górę do wyczyszczonej na połysk przez panią Bibby łazienki i wymiotuje. Jest gorzej niż po małżach, myśli, a nawet się nie napiłam.

Przed Świętami Wielkanocnymi jedzie jeszcze raz do Manchesteru. Do pogrzebu Elise pozostały dwa dni, musi zabrać buty i perły po babci. Jak należy się ubrać na taką okazję? Nigdy wcześniej nie była na żadnym pogrzebie.

Matka chce jej towarzyszyć, ale Fern stawia na swoim i wyrusza sama. Tylko na jedną noc, obiecuje. Chce zobaczyć się z Jill i porozmawiać z Robem – może wie, czy Charlie się odezwał.

Przed podróżą matka pyta ją, czy zgubiła ten piękny naszyjnik, który podarował jej James. Jeśli tak, to może warto by go dyskretnie podmienić.

– Wiem, gdzie jest – burczy Fern i na chwilę znów znajduje się w łóżku Charliego.

Naszyjnik leży na stosie drobnych (miedziaków i pięćdziesięciopensówek), pomiętej paczce owocowej gumy do żucia, bibulek do skręcania papierosów i kawałków podartej tektury. Wszystko pokrywa gruba warstwa popiołu, jakby Charlie był małym przenośnym wulkanem.

Po powrocie dom wydaje się jej upiornie opustoszały. Fern napełnia przywiezioną ze sobą walizkę ubraniami, które może włożyć na pogrzeb, zastanawia się przez chwilę, czy czarna spódnica z rozcięciem będzie odpowiednia. Elise byłaby zachwycona, ale na pewno zgorszyłoby to żałobników.

Zamiast niej pakuje praktyczną czarną spódnicę, część jej uczelnianej garderoby – nadaje się do ról subretek, sztuk historycznych i – jak się okazuje – na rodzinne

uroczystości pogrzebowe. Czuje się tak, jakby przez te ostatnie pół roku postarzała się o dziesięć lat. Zabiera też czarne szpilki i sweter z wycięciem w serek. W kościołach często bywa zimno, ale jeśli będzie ładna pogoda, ma czarną jedwabną koszulę, będzie pasowała na tę okazję. Nie może uwierzyć, że myśli o pogrzebie Elise i zastanawia się, jaka będzie pogoda, jakby chodziło o rozgrywki w Wimbledonie. Wrzuca do walizki inne rzeczy, które mogą się jej przydać w czasie świąt. W domu wspomina o rejsie, mogliby uciec od tego wszystkiego, ale niczego jeszcze nie postanowiono. Możliwe, że rozprawa odbędzie się dopiero za kilka miesięcy.

Wyczerpana grozą tego wszystkiego, siada na podłodze przed rozklekotaną komodą i stara się otworzyć szufladę, w której schowała tajne pamiątki po Charliem. Tylko książkę, powtarza sobie, weź tylko książkę, ale nie może się powstrzymać i pomiędzy kartki z pięknymi ilustracjami wsuwa otrzymane od niego rysunki oraz kopertę z jego włosami.

Zamyka szufladę i kładzie się na łóżku; ma dziwne wrażenie, że zerwała wszystkie więzi z tutejszym życiem. Jakby ktoś narysował niewidzialną linię, której nie może przekroczyć.

Zawsze już będzie przedtem i potem: zanim policja przyszła po Charliego; nim odebrała telefon od matki; kiedy Elise jeszcze żyła, i to, co wydarzyło się później.

Czuje pulsującą w szyi tętnicę. Zastanawia się, czy wzrost ciśnienia spowodowany jest zdenerwowaniem, i przypomina sobie, że musi zabrać naszyjnik. Jeśli pokój Charliego jest zamknięty, przynajmniej wie, gdzie jest klucz. Skrada się na dół, upewnia, że nikogo nie ma, zabiera spod schodów klucz z breloczkiem Pinokia i szybko wchodzi do nory Charliego. Zastony są nadal do połowy zaciągnięte, pokój wygląda na opuszczony. Siada na łóżku i wacha poduszkę. Wyczuwa wyraźnie zapach Charliego, swój także, choć jest dużo słabszy. Naszyjnik leży tam, gdzie go odłożyła. Kiedy sięga po niego, słyszy, jak otwierają się frontowe drzwi i w hallu rozlega się głos Roba:

– Pokój Charliego jest tu, po lewej stronie. Wezmę tylko klucze.

Nie ma takiej potrzeby, Fern zostawiła drzwi szeroko otwarte.

Do środka zdecydowanym krokiem wchodzi niewysoka kobieta w średnim wieku. W jej postawie jest coś szczególnego, jest imponująca, myśli Fern, tylko takim słowem potrafi ją określić. Kobieta ma na szyi marokańską chustę, niesamowicie gęste, kręcone włosy ze srebrnymi pasemkami podkreślają wystające kości policzkowe twarzy. Tuż za nią stoi dziewczyna. Ona także ma szczupłą twarz, jest dużo chudsza od matki, właściwie wygląda jak szkielet. Ma duży haczykowaty nos i jest wymizerowana, trudno nazwać ją atrakcyjną. Wygląda, jakby niedawno ścięła włosy: jej grzywka jest krótka i postrzępiona. Fern od razu wie, że to Rowena. Rowena i jej matka. Matka Charliego, Edwina Treadaway.

Fern wpada w panikę, czuje, jakby w gardle szamotał się jej mały ptaszek, odruchowo chce uciekać, ale nie może, te kobiety blokują wyjście.

Wciela się w rolę i zaczyna mamrotać:

– No tak, przepraszam, chciałam tylko to zabrać, coś tu przypadkiem zostawiłam.

Kiedy to mówi, naszyjnik wyslizguje się jej z dłoni; starsza pani jest szybsza.

– Proszę, kochanie.

Fern chwyta wisiołek i ucieka bez słowa, jej twarz i szyja wyglądają, jakby oblane je ukropem. Rumieni się tak mocno, że chyba zaraz stanie w płomieniach. Nie ogląda się, przeskakuje po dwa schodki naraz, wbiega na poddasze, wpada do pokoju, zamyka za sobą drzwi, pada na podłogę i dyszy na dywanie.

Wreszcie uspokaja się trochę i zapina naszyjnik na właściwym miejscu – na swojej szyi.

Dwa piętra niżej nadal słyszy stłumione głosy. Matka i siostra Charliego. Podchodzi do okna. Przed domem stoi duże szare kombi, pewnie volvo albo volkswagen. Tylne siedzenia są złożone, Rowena pakuje torby do bagażnika. Zabierają kolejne części Charliego, znika stąd, ulatnia się z każdą kolejną torbą. Zapada ciemność i samochód odjeżdża, w tym czasie Fern zdążyła puścić pięć razy z rzędu piosenkę Rolling Stonesów *Emotional Rescue*.

Jill zastaje ją jak skamieniałą.

– Rob powiedział, że przyjechałaś. – Siada na łóżku, a Fern mości się obok niej, kładzie głowę na jej kolanach i szlocha. Przyjaciółka gładzi ją po włosach i mówi: – Już dobrze, wszystko będzie dobrze.

Fern gotowa jest w to uwierzyć.

Kolację (dania na wynos) jedzą w kuchni na parterze. Rob przyniósł zimnego dorsza w occie i rozmokłe frytki z baru na rogu, piją piwo z wielkich puszek i wieczór przypomina połączenie święta, ostatniej wieczery i stypy.

Rob zdaje relację z tego, czego dowiedział się od Edwiny o „sytuacji”: zwolnienie Charliego za kaucją wiąże się z tym, że do czasu rozprawy – która pewnie odbędzie się we wrześniu – musi mieszkać razem z matką i ojczymem. Wyrzucono go ze szkoły plastycznej, a właściciel mieszkania powiedział, że jeśli nie zabierze swoich rzeczy, to przyjdzie i własnoręcznie je spali.

W tym momencie wtrąca się Jill:

– Postanowiliśmy, że ja i Belinda wprowadzimy się tu po Świętach Wielkanocnych. Zamieszkam z Robem, a Belinda zajmie pokój Charliego: jest tam mnóstwo miejsca dla jej maszyny i innych gratów. – Jill wydaje się zawstydzona. – Nie twierdzą, że mnie to cieszy, mówię tylko, jak to rozwiązaliśmy.

Fern potakuje. Piwo szumi jej w głowie, w tej chwili alkohol nie działa na nią zbyt dobrze. I nawet nie wie, po co zapaliła tego papierosa, którego trzyma w dłoni, jest obrzydliwy. Przy kawie dołączają do nich Felicity i Dee, piją kolejne piwa, Fern całym sercem pragnie, żeby wszystko było inaczej, żeby był tu Charlie. Dee nie traci nadziei, uważa, że na pewno cieszyłby się tym wieczorem. Wyobraża go tu sobie: siedzi pochylony, skręca papierosa i uśmiecha się jak lis.

– Matka i siostra wydają się bardzo miłe.

Rob wykrzywia twarz w uśmiechu.

– To prawda. Są w strzępach, wątpię, żeby siostra coś zjadła od czasu tego zdarzenia. Szczerze mówiąc, wygląda, jakby ją nieźle pierdolnęło. Podejrzewam, że widziała ciało, to okropne.

Kiedy dociera do nich znaczenie jego słów, zapada milczenie; na szczęście Felicity wyciąga z torebki talię kart i do drugiej w nocy grają w remika.

Fern leży w łóżku, w którym pieprzyła się i z Charliem, i z Jamesem (a Bóg jeden wie, ile par robiło to tu wcześniej), chciałyby zostać w Manchesterze do końca tygodnia. W powietrzu czuć koniec semestru. Brakuje jej tego życia, uczelni i mieszkania, tęskni za przyjaciółmi. Ale nie może zostać, musi być na pogrzebie Elise. Jak, do cholery, przez to przejdzie? Wstaje z łóżka, znajduje piersiówkę, którą miała dać Charliemu na urodziny, otwiera walizkę i wsuwa prezent pod ubrania, na samo dno.

Jutro znowu będzie dzień, myśli.

– Zobaczymy się po Świątach Wielkanocnych – mówi do Dee i Felicity, które nabałagały w całej kuchni (usiłują przygotować sobie francuskie tosty), i zbiega na dół, żeby powiedzieć to samo Robowi i Jill.

Jill ją obejmuje. Kto by pomyślał?

– Na początku sądziłam, że zostaniemy śmiertelnymi wrogami – mruczy Fern z twarzą wtuloną we włosy przyjaciółki.

– Nigdy – stwierdza Jill i nakazuje Fern, żeby na siebie „uważała”.

Rob oferuje pomoc w zniesieniu walizki z góry, a kiedy idą do jej pokoju, wsuwa jej w dłoń kawałek papieru.

– To londyński numer Charliego, na wszelki wypadek.

Fern chowa go do kieszeni.

– Nigdy nic nie wiadomo – dodaje Rob.

Ale ona wie. Wie, że już nigdy z nim nie porozmawia, a kiedy zamyka drzwi domu pod numerem dwa i widzi, jak Jill i Rob machają do niej przez okno sypialni na parterze, a Dee i Felicity z ostatniego piętra, uświadamia sobie, że ten rozdział w jej życiu jest już zamknięty i że odchodzi od czegoś, czego wcale nie ma ochoty porzucać.

Jak można się było spodziewać, pogrzeb Elise jest okropny. Fern nigdy nie widziała tyłu szlochających dorosłych, trudny do zniesienia jest zwłaszcza widok płaczących mężczyzn w średnim wieku.

Kochany wujek Paul łka bezgłośnie, ma mokrą, przepętnioną cierpieniem twarz. Ciotka Minty na pewno musiała coś zażyć, bo porusza się jak spowita w czerni mumia z zastygłymi oczyma i ustami; wydaje się, jakby skurczyła się pod wpływem cierpienia.

Fern otaczają rodzice. Matka ściska w dłoni przemoczoną koronkową chusteczkę, ojciec zagryza z wściekłością wargi, ale podczas mowy pogrzebowej zaczyna drgać mu dolna szczęka i w końcu poddaje się, pochyla głowę i na czarne spodnie kapią łzy.

Fern jest w szoku. Trumna ją przeraża. To się nie wydarzyło, jej kuzynka nie może leżeć w tej skrzyni. Ogarnia ją uczucie klaustrofobii, ze wszystkich sił stara się nie zemdleć.

– Ubóstwiana jedynaczka, wszyscy ją kochali, a teraz spoczywa w objęciach Pana, Baranka Bożego.

Fern przestaje słuchać kazania. Przez cały czas myśli o Elise, przypomina sobie, kiedy widziała ją po raz ostatni, w sieni domu Harrisonów, dokąd przeszmygłowały butelkę cinzano; miała wtedy na szyi niezły wianuszek z malinek po pocałunkach. Szalona, zabawna, zwariowana Elise. Fern słyszy dziwny szum w uszach, nagły hałas, który atakuje ją ze wszystkich stron.

Matka podsuwa jej pod nos buteleczkę wody kolońskiej.

– Myślałam, że stracisz przytomność, kochanie, jesteś potwornie blada.

Najgorsze jest to, że wszystko tak długo trwa. Najpierw nabożeństwo w kościele w Chelsea, potem kremacja w Mortlake i w końcu „wspomnienie” krótkiego życia kuzynki, stypa w hotelu Cadogan.

To ten sam słynny hotel, w którym aresztowano Oscara Wilde’a. Fern zdaje sobie sprawę, że bierze udział w przedstawieniu, niczym członek rodziny Kennedych po zabójstwie prezydenta. Musi być wytworna, szlachetna i przynieść chlubę swoim krewnym. Zna niektórych żałobników: jest kilka dziewcząt, które przypomina sobie mgliście z imprez Elise, teraz są starsze, niektóre wyglądają jak matrony i mają na palcach pierścionki zaręczynowe.

– Minty musiała uważać, żeby nie zjawiły się tu niepożądane indywidua – szepcze w pewnej chwili matka. – Kilku studentom i studentkom ze szkoły plastycznej dano jasno do zrozumienia, że nie będą tu mile widziani.

W tylnych ławkach w kościele pojawiło się kilka takich osób, ale w hotelu wynajęto ochronę i nie wpuszczono najbardziej barwnych znajomych kuzynki. Są tu tylko jej rumiane koleżanki z Chelsea i Westminsteru w opaskach na włosach i różne Dorotki i Agnieszki, przyjaciółki z dzieciństwa.

W pewnej chwili rozchodzi się wiadomość, że przyjechała Margaret Thatcher. To nieprawda, ale przysłała wieniec. Atmosfera jest napięta, wszyscy mówią ściszone głosem. Świadome bolesnych okoliczności markotne kelnerki krążą z tacami kanapek

i pokrojonego tortu biszkoptowego. Podano herbatę i różowego szampana dla tych, którzy nie mogą obyć się bez alkoholu.

Fern sączy earl greya z filiżanki, kiedy nagle podchodzi do niej młody człowiek. Nie jest gruby, ale jego ciało ma nieforemny kształt. Garnitur leży na nim jak narzuta na sofie. Ma dziwnie pomiętą twarz, przypominającą jedwabny szal, z którego ktoś próbował złożyć białego gołębia.

– Jestem Lucas Spinner – oznajmia, a ona od razu czuje, że go nie lubi. – Zdaje się, że bywaliśmy kiedyś na tych samych imprezach – mówi – ale niestety, nie ostatnio. – Coś w jej oczach musiało mu uświadomić, że jego słowa zabrzmiały bardzo nie na miejscu. – O Boże, chodzi mi o to, że to dobrze... że nie było cię w Oksfordzie, co za straszna historia, biedna Elise. – Wyciera nos w okropną chusteczkę, która pasowałaby raczej do mężczyzny w średnim wieku, i próbuje ponownie: – Wiesz, była chrześniaczką mojej matki.

Fern kiwa głową, wie, kim jest Barbara Spinner, chodziła do szkoły razem z ciotką Minty. Lucas rozgląda się po sali.

– Tam stoi.

Fern dostrzega postawną kobietę z wyjątkowo bujnymi włosami. Ma w sobie coś z drag queen: gigantyczny biust, a jednocześnie bardzo kruche i zgrabne pęciny.

– Biedna mamusia, to było dla niej piekło, no i wszystko straszliwie skomplikował fakt, że... no cóż, sama rozumiesz...

Nagle zjawia się przy nich Barbara. Jak na tak dużą kobietę, potrafi poruszać się wyjątkowo szybko. Jeszcze przed chwilą była w drugim końcu sali, a teraz stoi tutaj i nachyla się nad Fern jak olbrzymi boa dusiciel.

– Na pewno umniejsza swoją rolę – odzywa się chrapliwym głosem.

– Słucham? – pyta Fern. Naprawdę nie ma pojęcia, o czym mówi ta przesadnie wyperfumowana kobieta.

– To dzięki Lucasowi zamknęli tego człowieka. Oczywiście nie wróci to życia biednej Elise, ale zawsze to jakaś, choć niewielka, pociecha dla Paula i Minty. Przynajmniej będą wiedzieć, że ten potwór, który zabił ich córkę, skończy za kratkami.

Fern czuje dziwny smak w ustach, słyszy huk, jakby ryk wzburzonego morza, ma wrażenie, że wchodzi do wnętrza ciemnej pieczary i pada na nowiutki dywan (z wzorem lilii) w głównej sali bankietowej hotelu Cadogan.

Widok pięknej rudowłosej dziewczyny osuwającej się na podłogę jak w filmie puszczonej w zwolnionym tempie stanowi łakome urozmaicenie stypy.

– Proszę się cofnąć, potrzebuje powietrza.

Ojciec wynosi ją z sali, jak wtedy, gdy była mała, i zanosz do łóżka w pokoju; poleży tam, dopóki rodzice nie uznają, że jest już na tyle silna, by mogli zawieźć ją do domu.

– W przyszłym tygodniu musimy chyba wezwać doktora Leonarda, żeby cię obejrzał – mówi Rosemarie. Siedzi zdenerwowana przy posłaniu córki. – Ostatnio strasznie blado wyglądasz. Chyba potrzebne ci jakieś lekarstwo, coś na wzmocnienie.

Coś na wzmocnienie, dobre.

Fern odwraca się twarzą do ściany i szlocha.

Fern nie ma pojęcia jakim cudem, ale matka domyśliła się wszystkiego, zanim lekarz w ogóle zasugerował taką możliwość.

Doktor Leonard wygląda na zawstydzonego, gdy daje do zrozumienia, że ta dziewczyna, która siedzi naprzeciwko niego, którą zna, od kiedy w dzieciństwie zachorowała na ospę wietrzną, „może być ... hm, jak by to określić... w grę wchodzi dziecko”.

Fern rozgląda się po gabinecie. O co mu chodzi, jakie „dziecko”? Tu nie ma żadnych dzieci. Przyszła sama, na polecenie matki, by porozmawiać o tym, że czuje się wyczerpana, ma mdłości, a czasem, co jej się wcześniej nie zdarzało, nie jest w stanie przełknąć pewnych potraw. Co on rozumie przez „dziecko”?

Kiedy wreszcie dociera do niej, o czym mówi doktor, mimowolnie wybucha śmiechem.

– Chodzi panu o to, że jestem w ciąży? Nie, oczywiście, że nie. To niemożliwe.

– Więc bierzesz pigułki?

– Nie, nie pigułki, ale mam... hm... kapturek, na wszelki wypadek.

– I jesteś ostrożna?

Zastanawia się odrobinę za długo. Lekarz mówi dalej:

– Takie metody zapobiegania ciąży są skuteczne jedynie wtedy, gdy pedantycznie przestrzega się pewnych zasad; to... hm... urządzenie musi być na miejscu, aby można było mówić o antykoncepcji.

Fern czuje, jak czerwieni się po same uszy. Doktor starannie wpisuje coś do jej karty i proponuje badanie krwi, przecież trzeba się upewnić.

Jest w ciąży, to jasne. Ma dziewiętnaście lat i zmarnowała sobie życie.

Matka jest blada, ale opanowana.

– To nie koniec świata, Fern. Koniec świata to coś, co spotkało Paula i Minty, ale w twoim przypadku po prostu musimy się z tym uporać.

Fern przez chwilę sądzi, że matka zaproponuje aborcję. Cudownie byłoby zasnąć i obudzić się bez tego kłopotu, jak po operacji migdałków, kiedy miała dziewięć lat.

Ale aborcja to ostatnia rzecz, o której myślałaby Rosemarie i właściwie Fern jest jej za to wdzięczna, bo gdyby matka zasugerowała coś takiego, nie potrafiłaby podjąć decyzji. Czasami lepiej nie mieć wyboru.

Jednak Rosemarie ma pewien plan; w znacznym stopniu dotyczy on też Jamesa.

– Bardzo mnie rozczarował – stwierdza – ale nie wątpię, że przyjmie na siebie konsekwencje swojego postępowania.

Matka informuje ojca o zaistniałej sytuacji, gdy Fern wychodzi z domu.

– Daj mi kilka godzin – ostrzega ją. – Zanim wrócisz, najgorsze będzie już za nami.

Ojciec ma gwałtowny temperament, ciężko znieść wybuchy jego gniewu, ale na szczęście szybko mijają. Gdy Fern wraca do domu, zastaje go w gabinecie. Siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Bardzo mnie zawiodłaś – mówi – ale dzięki Bogu, że to James jest ojcem.

Nic na to nie mówi, nie może przecież odpowiedzieć: Nie wiem. Może to ten chłopak, Charlie Treadaway, o którym pewnie czytałeś w gazetach, ten sam, który być może dał śmiertelną dawkę narkotyków mojej kuzynce.

Nic dziwnego, że ciągle ją mdli.

Rozmowa z Jamesem jest okropna. Na początku wydaje się kompletnie zaszokowany.

– Myślałem, że przyjeżdżam tylko na niedzielny obiad – duka, a potem robi coś niewyobrażalnie dziwnego: klęka i prosi ją o rękę.

Przez okno widzi, jak matka ścina tulipany, ustawi je w wazonie na stole. Nie może zniszczyć wszystkim życia, spieprzyła już swoje, ale...

– Mam dopiero dziewiętnaście lat – szepcze.

– Tyle samo co lady Diana, kochanie – odpowiada James.

I niespodziewanie, w chwili, kiedy ścinane są żółte tulipany, a na stole stoi tego samego koloru drżąca galaretka owocowa (specjalność domu), Fern zgadza się zostać panią Frobisher.

Uprzątnięto już brudne naczynia, teraz piją herbatę na oszklonej werandzie i rozważają odpowiednie daty.

– Powinniście pobrać się w czerwcu – postanawia matka. – Oczywiście to pozostawia nam niewiele czasu, ale nie możemy pozwolić sobie na zwłokę. Szkoda, że trzeba będzie to zrobić w urzędzie stanu cywilnego, ale w tych okolicznościach...

– A co z moimi studiami? – pyta Fern.

– No cóż, wielka szkoda – odpowiada lodowato matka – ale nie widzę sensu, żebyś kończyła semestr, skoro i tak nie wrócisz we wrześniu. Ojciec napisze list.

– Ale mieszkanie i moje rzeczy...

– Na twoim miejscu nie martwiłabym się podobnymi głupstwami – mówi matka. – Niestety, ciąża ma to do siebie, że trudno zmieścić się w zwykłe ubrania. Przywiozłaś wystarczającą ilość rzeczy, wystarczy ci na Wielkanoc, a potem kupimy coś odpowiedniego dla przyszłej matki.

Fern ma ochotę krzyczeć, ale wie, że nie może tego zrobić. Wszystko mogło skończyć się o wiele gorzej, a tak przynajmniej są mili, chociaż przejęli kontrolę nad całym jej życiem.

– Chciałbym kupić ci pierścionek zaręczynowy – wtrąca się James z wymuszonym uśmiechem; wygląda, jakby ćwiczył go przez cały dzień, a i tak sobie nie radzi.

Na chwilę zapada milczenie, które przerywa Rosemarie:

– Dzięki Bogu James stacjonuje w Aldershot, to tylko pół godziny drogi samochodem. Zaopiekujemy się tu tobą do ślubu, będzie mógł przyjeżdżać, kiedy tylko zechce. James, oczywiście powiadomisz rodziców; byłoby miło, gdyby wpadli za tydzień lub dwa na kieliszek sherry. Daj numer naszego telefonu swojej matce.

Fern odprowadza Jamesa do samochodu.

– Przepraszam – wzdycha, a James odpowiada, że nie powinna tak mówić. Za kilka lat pewnie i tak by się to stało.

– Tylko odrobinę przyśpieszyliśmy bieg wypadków – dodaje.

Nie dotknął jej, od kiedy mu powiedziała, ale zanim wsiada do samochodu, całuje

ją niezdarnie w policzek, a potem szybko odjeżdża.

Jest piękny wieczór, jeszcze nie za późno na konną przejażdżkę. Idzie do stajni, w której wynajmują boks dla Brunona (ślepy konik właśnie pałaszuje jabłko), i prosi pracującą tam dziewczynę, by pożyczyła jej „normalnego wierzchowca”. Stajenna siodła rozbrykaną gniadą klacz, która, jak mówi, ma na imię Bunty. Fern wskakuje na siodło i wyprowadza kobyłkę na drogę.

Przy pierwszej okazji zbacza ze ścieżki, kieruje klacz na otwarte pola, puszcza się galopem i przeskakuje nad bramami i żywopłotami. Gdyby tylko udało się wytrząsnąć to dziecko, gdyby spadła i na zawsze straciła przytomność. W końcu Bunty odmawia kolejnego skoku. Jest zmęczona. Fern nie ma wyjścia, odprowadza ją do miłej, czystej stajni.

– Przepraszam – mówi, płacząc z twarzą wtuloną w wilgotną, gorącą szyję klaczy. Koń spływa potem, piana wokół pyska ma zielonkawą barwę. – Przepraszam – powtarza. Ale, podobnie jak ojciec, klacz nie chce na nią spojrzeć.

– Chyba nie powinnaś więcej jeździć – stwierdza matka, kiedy Fern wraca do domu. – A jeśli będziesz, sprzedam Brunona rzeźnikowi, rozumiesz?

James spotyka się z nią w środę w mieście; ma kupić jej pierścionek. Jeśli się pośpieszą, zdążą zjeść uroczysty lunch, zanim będzie musiał wrócić do jednostki. Fern decyduje się na prosty, pojedynczy diament; jubiler jest bardziej podekscytowany tym wyborem niż ona.

– Bardzo ładny kamień – powtarza bez przerwy. – Dobra decyzja.

Przy lunchu James porusza sprawę podróży poślubnej.

– Skoro ślub będzie taki skromny, to postaram się przynajmniej ofiarować ci dwa tygodnie w jakimś romantycznym, słonecznym miejscu.

Fern po raz pierwszy czuje drobny powiew optymizmu. Wakacje, chociaż tyle będzie z tego mieć. Mdłości jakby minęły, a spaghetti carbonara jest wyśmienite.

– Może Grecja lub Włochy, a może nawet południe Francji?

– Nie będę mogła nosić bikini – mówi, jednak on nie rozumie, że Fern próbuje żartować, i zamiast się roześmiać, klepie ją po dłoni, usiłując pocieszyć.

– Nic nie szkodzi.

Ale przed wakacjami, a raczej podróżą poślubną (musi oswoić się z tą nazwą), będzie ślub, a przed ślubem musi poznać jego rodziców. Taki jest porządek rzeczy.

Woolbrightowie organizują w Three Paddocks – tak szybko, jak to możliwe – małe przyjęcie dla przyszłych teściów, które przebiega w dość napiętej atmosferze, z trudem maskowanej dobrymi manierami i dużą ilością sherry.

Fern przez cały wieczór straszliwie się męczy. James nie mógł przyjechać, więc w konfrontacji z rozczarowanym małżeństwem w średnim wieku jest zdana na własne siły i czuje się jak samotny rozbitek na pełnym morzu.

Glenys i Andrew Frobisherowie wydają się lekko oszołomieni tak szybkim rozwojem wypadków. Ich starszy syn ożenił się dopiero rok temu, oczekują wnuka, a teraz...

– Teraz będziecie mieć parkę – grucha Rosemarie. – Pomyślcie tylko, będą się razem bawić. Kuzyni i kuzynki są tak... – Głos zamiera jej w gardle. Nie jest w stanie bez wzruszenia wymówić słowa „kuzynka”, jakby w pokoju pojawił się duch Elise.

Nic dziwnego, że Frobisherowie są nieco przerażeni. Z pewnością zastanawiają się, co to za rodzina, z którą zadaje się James. W końcu minęło dopiero kilka tygodni od wstępnego dochodzenia w sprawie śmierci Elise i orzeczenia, że nastąpiła na skutek zatrzymania akcji serca po zażyciu śmiertelnej mieszanki składającej się z heroiny i szampana.

Fern ma przemożną ochotę się napić, ale jej matka przestrzega surowych zasad co do alkoholu i ciąży, więc Fern siedzi i powoli sączy gazowany pomarańczowy bitvic, a w tym czasie ci dorośli ludzie planują jej przyszłe życie.

Postanawiają, że młoda para po skromnej uroczystości w urzędzie stanu cywilnego zje miły lunch.

– Ale nie w klubie golfowym – nalega Andrew Frobisher. – Ponieważ... cóż...

Fern zdążyła ugryźć się w język, już miała ochotę powiedzieć: Ponieważ nie

chcecie, żeby wszyscy wasi pierdoleni znajomi zobaczyli, jak wasz syn bierze ślub pod przymusem!

Rosemarie szybko rzuca nazwę jakiejś włoskiej restauracji, która ma na zapleczu dyskretną werandę, bez trudu pomieści się tam dwadzieścia osób. Nie sądzi, żeby potrzebowali więcej miejsca.

Fern wspomina, jak razem z Elise wyobrażały sobie swoje przyszłe śluby z czternastoma druhnami.

– Chciałabym zaprosić swoje współlokatorki – wtrąca, ale milknie natychmiast, gdy lewa brew matki unosi się aż do linii włosów nad czołem. Rzecz jasna lesbijki przyniosłyby jeszcze więcej wstydu. – W takim razie tylko Jill. Proszę, czy mogę zaprosić Jill? Potrzebuję jakiejś druhny.

Rosemarie słyszy w głosie córki histeryczne nuty, obawia się sceny, więc szybko zgadza się na Jill, ale tylko na nią, poza tym będzie jedynie najbliższa rodzina.

– W końcu bardzo niedawno straciliśmy bliską nam osobę – szepcze Rosemarie, a Glenys skwapliwie potakuje.

To oczywiście najlepsza wymówka. Tak właśnie odpowie przyjaciółom, jeśli zaczną zadawać trudne pytania: Cichy, kameralny ślub ze względu na niedawną tragiczną śmierć w rodzinie, a potem podróż poślubna na Cap Ferrat.

– A więc wszystko ustalone – szczebiocze Rosemarie.

Matka zaczyna dochodzić do siebie. Górę bierze instynkt przyszłej babci, dziecko to dar, zadośćuczynienie za menopauzę, za zbliżającą się starość, za niechęć do uprawiania seksu z mężem. Wnuk lub wnuczka będzie rekompensatą za to całe gówno, które się na nią zwaliło.

Fern idzie do łóżka, jest wykończona. Dwadzieścia minut później matka przynosi jej gorące mleko i jajecznicę na toście.

– Może nie masz apetytu – mówi do córki – ale dziecko musi jeść.

Już prawie po świętach. Gordon napisał do uczelni i poinformował, że Fern nie wróci na następny semestr i rezygnuje też z dalszych studiów. Nie podał przyczyny – dlaczego miałby to robić? To nikogo nie powinno obchodzić.

Na kilka dni przed rozpoczęciem zajęć dzwoni Jill i pyta, czy Fern ma ochotę zobaczyć przedstawienie w Londynie. Z okazji urodzin dostała od ciotki bilety na *Evitę*; to spektakl popołudniowy, Jill przyjedzie rannym pociągiem i zjedzą lunch, obejrzą musical, a potem wrócą do domu.

– Jesteśmy umówione – mówi Fern.

Postanawiają spotkać się w Pizza Express, niedaleko Leicester Square.

Jill jest tak zaszokowana, że ledwie może przełknąć margheritę. Bez przerwy powtarza:

– Kurwa, nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę już za późno, żeby się tego pozbyć? Nie brałaś pigułki? Chryste, tak mi było żal tej biednej suki, Diany, a teraz ty wykręcasz taki numer.

Później, kiedy siedzą w ciemnościach i czekają na początek przedstawienia, Fern nachyla się i szepcze do ucha przyjaciółki:

– Zostaniesz moją druhną?

Obie wybuchają histerycznym śmiechem; trwa to dość długo i widzowie z sąsiednich miejsc muszą je uciszać sykaniem.

Fern odprowadza przyjaciółkę na stację King's Cross; nim Jill wsiądzie do pociągu, wymieniają uciski, obejmują się i mocno przytulają do siebie.

– Będę twoją druzną, tylko nie każ mi się stroić jak jakiejś idiotce.

Kiedy pociąg odjeżdża, Fern jest bliska płaczu. Powrót do Godalming zajmuje mnóstwo czasu. Fern bierze z dworca taksówkę; w domu zastaje matkę w kuchni. Rosemarie jest blada ze zdenerwowania.

– Nie podobają mi się te wypadki do Londynu, zwłaszcza w twoim stanie – mówi gniewnie, a Fern po raz kolejny myśli, że nie może się już doczekać ślubu. Chce się wynieść z tego miejsca.

Narasta histeria wokół ślubu następcy tronu i jego oblubienicy, nowej księżnej, a i przygotowania do wesela Fern także nabierają tempa. Do wybranych gości zostały wysłane bardzo eleganckie zaproszenia, szesnaście osób odpowiedziało i potwierdziło swoje przybycie.

Minty i Paul będą „niestety” za granicą. Kuzyn Gordona i jego małżonka po prostu nie odpowiedzieli, ale obie babki ze strony ojca chętnie się zjawiają, a pan i pani Bibby, których Rosemarie także zaprosiła (w pewnym momencie zanosilo się bowiem na to, że nikt nie przyjdzie), „są autentycznie zachwyceni i z niecierpliwością oczekują na to wydarzenie”.

Postanowiono, że Fern będzie miała na sobie pastelowy kostium, chociaż na razie zupełnie nie widać, że jest w ciąży. Odrobinę przytyła, ma pełne piersi i zaokrągliła się jej twarz. Z pomocą Rosemarie wybrała jasnoniebieską jedwabną spódnicę i gustowny żakiet, tak zręcznie skrojony, że ukryje nawet najmniejszą wypukłość, do tego mały toczek z krótkim welonem.

– Zupełnie w stylu Diany – zaszczebiotała sprzedawczyni.

Jill może przyjechać wcześniej i przed ślubem przenocować u nich. Rosemarie poprosiła o jej wymiary i kupiła luźną łososiową sukienkę z obniżoną talią i dużym białym marynarskim kołnierzem.

– Nie przypominam sobie, żebyś poznała tę dziewczynę – zaklina się. – Coś mi świta, że widziałam ją w tej sztuce, w której grałaś, ale przypomnij mi jeszcze raz, skąd ona pochodzi?

Jill przyjeżdża w porze kolacji.

– Nigdy wcześniej nie jadłam przepiórek.

– Słucham? – pyta Gordon.

Oboje z Rosemarie z trudem rozumieją akcent Jill, a im bardziej przyjaciółka Fern czuje się skrępowana, tym wyraźniej jej angielszczyzna zbliża się do dialektu z okolic Newcastle. Ostatecznie udział Jill w konwersacji przy stole ogranicza się do serii samogłosek wypowiedzianych podekscytowanym tonem.

Dopiero później, w sypialni Fern, mogą się wreszcie porządnie nagadać.

– Jesteś pewna? – pyta Jill. – Jesteś przekonana, że chcesz to ciągnąć? Bo jeszcze masz czas, żeby uciec. Wiem, gdzie twój ojciec odłożył kluczyki do samochodu, możemy po prostu stąd odjechać.

Ale Fern pogodziła się już ze swoją przyszłością.

– Może przyzwyczałam się do tego pomysłu, może mam ochotę na wakacje. Pieprzyć to, Jill, jutro o tej porze będę w drodze na Cap Ferrat. Nie mówmy już o tym. Opowiedz mi, co na uczelni, u Roba i w naszym domu pod numerem dwa.

I Jill zabawia Fern plotkami z życia akademii teatralnej, wiadomościami o Felicity i Dee, opowiada, że Belinda zajęła dawny pokój Charliego – Fern wzdryga się na dźwięk jego imienia i Jill już o nim nie wspomina. A zresztą rozmowę przerywa Rosemarie, która zjawia się w sypialni i mówi, że panna młoda powinna dobrze się wyspać, „bo jutro musi

pięknie wyglądać”.

Rosemarie jest otulona karmelowym jedwabnym szlafrokiem, na twarzy i szyi ma grubą warstwę kremu i pomimo domowych pantofli na wypielęgnowanych stopach roztacza wokół siebie aurę, którą można by określić słowami: „lepiej ze mną nie zadzieraj”. Jill potulnie idzie za nią do pokoju gościnnego.

O czwartej rano Fern schodzi po cichu na dół do barku z alkoholami rodziców i napełnia wódką piersiówkę, którą kiedyś chciała podarować Charliemu. Tylko na wszelki wypadek, obiecuje sobie. Profilaktycznie, gdyby naprawdę nie mogła tego znieść. Potem wraca do łóżka i śni o swoim zdechłym psie Kleksie. Kiedy ponownie się budzi, poduszka jest mokra od łez.

Ślub wyznaczono na jedenastą trzydzieści. Osobliwie podniosłą uroczystość celebryje znudzony i mamroczący urzędnik stanu cywilnego.

James wygląda bardzo przystojnie, ale Fern za Boga nie może zrozumieć, dlaczego on i jego drużba są w mundurach. Wyglądają, jakby wyskoczyli z szafki z zabawkami, myśli i zaczyna wpadać w lekką histerię, być może dlatego, że od śniadania cichaczem pociąga z piersiówki.

Wszystko przebiega błyskawicznie. Nie pojawiają się żadne prawne przeszkody, nikt nie zgubił obrączek, nie ma żadnych niespodzianek. Fern tak mocno ściska bukietik kremowych róż, że z kwiatów zaczynają odpadać płatki.

– Tak, chcę.

Urząd stanu cywilnego przypomina o przepisach dotyczących konfetti. Jest bezwzględnie zabronione, ale pani Bibby przechytryła urzędników i kiedy świeżo poślubieni państwo Frobisherowie opuszczają ratusz w Godalming, na Fern spadają garście sypkiego ryżu „na szczęście”.

Nim siadają w restauracji, prawie osusza piersiówkę z wódką, co nieco łagodzi jej gniew na matkę, która odsuwa od niej kieliszek szampana i mówi:

– Wypijesz odrobinę, kiedy wzniesiemy toast.

Fern jest na tyle wstawiona, że nie rozumie, o czym Rosemarie mówi. „Toast? Dlaczego mamy wznosić toast?” Już dawno wybrali menu, podają wędzonego łososia i jagnięcinę. Nikt nic nie wspominał o toaście.

Na szczęście wystąpienia są krótkie. Ojciec mówi niewyraźnie, drużba bardzo cicho, a James konkretnie.

Kiedy wszyscy są gotowi wnieść kieliszki, Jill dzwoni łyżeczką i wstaje.

– No cóż – zaczyna. – Zawsze się zastanawiałam, dlaczego panna młoda nic nie mówi przy tej okazji, ale jako jej najlepsza przyjaciółka i drużna chcę oznajmić, że kurewsko lubię tę kobietę, więc James, lepiej dbaj o nią, bo będziesz miał ze mną do czynienia, a pochodzę z Gateshead. – Kilka osób śmieje się uprzejmie, Jill się rumieni i siada.

Fern nagle czuje się wyczerpana. Jej nowy szwagier i szwagierka przyszli z niedawno narodzonym dzieckiem, paskudnie śmierdzącym goblinem owiniętym w cytrynowy kocyk przesiąknięty wymiocinami.

Po powrocie do Three Paddocks Jill ukradkiem wciska jej dwie tabletki paracetamolu i odjeżdża taksówką na dworzec. Zrzuciła strój drużny i z radością

wskoczyła w studenckie ciuchy – wraca do prawdziwego życia. Czarne dżinsy opinają szerokie pośladki, a Fern przytula się do niej, chociaż taksówkarz już trąbi przed domem.

– Chyba najwyższy czas, żebyś postawiła Fern z powrotem na ziemię – mówi Rosemarie i Jill wychodzi. Nie ogląda się za siebie, a Fern wie, że to z powodu łez.

Panna młoda przebiera się w strój podróżny, siada na łóżku, marzy tylko o tym, by wpełznąć pod kołdrę i zasnąć. Wyjmuje piersiówkę z torebki, podnosi do ust i wypija ostatnie krople wódki.

– Cholera, co ja zrobiłam? – szepcze i wychodzi z sypialni, w której dawno temu, w dzieciństwie, czytywała książki o kucykach i baletnicach.

Cap Ferrat jest piękny i nowożeńcy przez tydzień wygrzewają się na słońcu, niczym w bańce przepelnionej oparami optymizmu. Małżeństwo nie jest złe, gdy w grę wchodzi świeże rogaliki z masłem i olbrzymie porcje różnokolorowych lodów. Może to jedzenie, a może ciąża – gdy nadchodzi czas powrotu, Fern jest wyraźnie grubsza.

Podczas podróży poślubnej James jest uosobieniem dżentelmena, zamawia przekąski ze świeżego melona, naciera kremem przeciwsłonecznym porcelanową skórę jej pleców i ramion, ale nie dotyka brzucha; w ogóle nie wspominają o dziecku.

Kiedy, myśli Fern, kiedy w końcu porozmawiamy o przyszłości?

Wreszcie, podczas ostatniego wieczoru, przy wysmienitym chateaubriandzie, ośmielony doskonałą butelką czerwonego bordeaux, porusza temat „gdzie wspólnie zamieszkamy?”.

– Twoja matka chce, żebyś została w Three Paddocks do czasu narodzin dziecka. Sądzi, że ktoś powinien nad tobą czuwać i dopilnować, żebyś regularnie chodziła do lekarza.

Fern kiwa głową. To dość sensowne.

– Następnie, po Bożym Narodzeniu – mówi dalej James – zostaną przeniesiony. Jestem prawie pewien, że do Niemiec, więc wprowadzimy się do kwatery dla małżeństw. Pewnie w Paderborn albo w Bielefeld.

Fern się krztusi.

– Niemcy? A nie mają czegoś we Francji, nad morzem?

James wybucha śmiechem i mówi:

– To tak nie funkcjonuje.

W trakcie lotu do domu Fern zaczyna krwawić, na początku to tylko kilka kropel, ale na lotnisku Heathrow majtki i tył spódnicy są już jedną wielką, czerwoną plamą. Dzięki Bogu, że przynajmniej spódnica jest granatowa. Dopiero w kolejce do odprawy paszportowej mówi mężowi, że czuje się słabo, że dzieje się coś złego.

Odzyskuje przytomność w szpitalu St. Thomas. Leży w łóżku w osobnym pokoju, z okna ma widok na brunatną Tamizę i szare niebo.

Lekarz stara się wytłumaczyć jej, co się stało.

– Chociaż nauka nie potrafi wszystkiego wyjaśnić, pani Frobisher...

Pani Frobisher? Fern rozgląda się po izolatce, szuka matki Jamesa; no tak, przecież to ona jest teraz panią Frobisher. Fern Frobisher, co za idiotyczne nazwisko.

– Z tego, co udało się nam ustalić, straciła pani dziecko, a jednak, ponieważ nadal możemy wyczuć bicie serca, musiała pani nosić bliźnięta. Czasami w przypadku bliźniąt dwujajowych...

Znowu jest w kuchni Charliego i Roba. Przygląda się rysunkowi dwóch jajeczek i parze niepodobnych do siebie niemowląt; z jakiejś przyczyny jedno wydaje się jej podobne do Jamesa, a drugie do złudzenia przypomina Charliego.

– Fern, słuchaj, co mówi lekarz – strofuje ją James.

Chce krzyknąć, że nie jest już dzieckiem, ale wie, że on ma rację, to ważne.

– Kiedy dwa jajeczka zostały zapłodnione i rozwijają się niezależnie w macicy, może dojść do takiego poronienia, w którym traci się tylko jedno dziecko. Zazwyczaj to oczywiste, co dzieje się z martwym płodem, ale zdarza się, że zdrowy embriion po prostu wchłania niezdolny do życia płód...

James wygląda, jakby zbierało mu się na mdłości.

– Zespół znikającego bliźniaka – szepcze Fern.

– Tak – potwierdza lekarz. – Tak to bywa nazywane. Pani ciało to niezwykley organizm, potrafi sprawić, że coś się pojawia i znika. – Doktor strzela palcami i się uśmiecha. – To jak magia.

Fern spędza resztę lata w wytworzonym przez matkę symbolicznym kokonie, i – poza tym dziwnym sterczącym wybrzuszeniem – te tygodnie właściwie niczym się nie różnią od wakacyjnej rekonwalescencji po mononukleozie, na którą zachorowała, gdy miała szesnaście lat.

Nadal nie pozwalają jej na konną jazdę – Rosemarie ma nawet zastrzeżenia co do kilkukilometrowych przejażdżek rowerowych do miasta – ale czas mija dość znośnie. Chodzi na badania, kupuje ubrania ciążowe i od czasu do czasu widuje się z mężem.

Udaje się jej nawet spotkać z kilkoma koleżankami z internatu, które są zafascynowane makabrycznymi przeżyciami Fern: śmiercią Elise, poronieniem i dzieckiem, które przeżyło.

– Czy możemy dotknąć brzucha? – pytają chórem. Jedna nawet przyznaje, że jej zazdrości.

– Marzę o tym, żeby wyjść za mąż i mieć dzieci – stwierdza z westchnieniem Lydia Metcalf i pociera swój długi, wąski nos, który uważa za jedyną przeszkodę na drodze do wiecznego szczęścia.

W sierpniowy weekend (James ma akurat przepustkę) jadą do Manchesteru i zabierają resztę rzeczy z mieszkania na Old Lansdowne Road.

Uczelnia zażądała, aby Fern zwolniła pokój dla nowej studentki pierwszego roku. W końcu życie toczy się dalej.

Chociaż ma klucze, czuje się jak włamywaczka. Otwiera drzwi i od razu uderza ją znajomy, zatykający dech w piersiach zapach wilgoci i brudu. Kiedy wchodzi na górę po schodach (James kroczy tuż za nią), każdy kolejny stopień nasuwa skojarzenia: Tu siedziałam i płakałam po śmierci Kleksa, tu Charlie ściągnął mi majtki, kiedy rozmawiałam z Jamesem, tu Dee wymiotowała po wieczorze zakrapianym sangrią, tu brakuje fragmentu balustrady, ten stopień skrzypi.

W swoim dawnym pokoju ma wrażenie, że znalazła się w miejscu, którego nie widziała od lat, cieszy się, że lustro pokrywa gruba warstwa kurzu i nie może zobaczyć własnej miny.

James natychmiast przeistacza się w pana Niezbędnego, oficera wysłanego z misją uprzątnięcia wszelkich śladów, które mogłyby wskazywać, że kiedykolwiek żyła, oddychała czy pieprzyła się w tym pokoju.

Metodycznie pakuje ubrania do wielkiej walizki i kilku podróźnych toreb, chociaż Fern nie wyobraża sobie, że mogłaby jeszcze kiedyś je włożyć. W pewnej chwili niebieski plastikowy pojemnik z krążkiem antykoncepcyjnym spada na podłogę i wtacza się pod

łóżko. Nie ma sensu się po niego schylać.

Zostawia adapter i radio dla Dee i Felicity, dołącza kartkę, na której pisze tylko „Cześć” i „Do widzenia”.

Na szczęście dom jest pusty, nie licząc niewidzialnego małżeństwa na środkowym piętrze. Jak zwykle są nieuchwytni, słychać tylko dźwięki ich telewizora.

– Żegnaj, domku – szepcze, ukradkiem całuje klucze i wrzuca je przez otwór na listy, tak jak życzył sobie tego zarządca.

W drodze do domu James przez cały czas słucha w radiu transmisji z meczu reprezentacji w krykieta. Fern jest z tego zadowolona, może myśleć z nienawiścią o swoim nowym życiu, a on nie jest w stanie niczego zauważyć.

We wrześniu, kiedy brzuch Fern przypomina dobrze nadmuchany balon, Rosemarie odbiera telefon od Minty. Rozprawa wstępna mająca ustalić przyczynę zgonu Elise odbędzie się w październiku.

– Przyjadę – obiecuje Rosemarie. Jest przecież starszą siostrą Minty.

Gdy zbliża się wyznaczony dzień, media znów zaczynają poświęcać czołówki na plotki i pogłoski związane z tą sprawą. Teraz już więcej wiadomo o Charliem Treadawayu, przekopano się przez jego niewinną młodość, pojawia się pierwsze z wielu zdjęć wyglądającego jak anioł chłopca w szatach chóru kościelnego. Są też fotografie jego matki, znanej ilustratorki książek dla dzieci, Edwiny Treadaway, po mężu Spinner, która młodo owdowiała, a później poślubiła autora politycznych przemówień, Dickiego Spinnera.

Prasa przedrukowuje ilustracje z książeczek o Betsy i Tomie, opatrując je złośliwymi komentarzami na temat przepaści pomiędzy przytulnym światem bajek a plugawą rzeczywistością. Dziennikarze grzebią w burzliwych szkolnych losach Charliego. „Arystokratyczna” szkoła Wyebourne College odmawia komentarzy na temat byłego ucznia; rzecznik koedukacyjnej szkoły w Glennings, do której następnie uczęszczał Charlie, stwierdza: „Jak wszyscy nasi uczniowie pozostaje drogim nam członkiem rodziny Glennings. Niestety, narkotyki są współczesną plagą i mało komu udaje się wyjść bez szwanku z kontaktu z tymi używkami”.

Niewiele uwagi poświęca się Rowenie, siostrze bliźniacze Charliego Treadawaya, współgospodyni feralnej imprezy, choć kilka gazet informuje, że dwudziestojednolatka przerwała chwilowo studia; zamieszczają też fotografie ubranej na czarno chudej dziewczyny w okularach przeciwsłonecznych.

Dużo więcej miejsca zajmują doniesienia o ekstrawaganckiej towarzysze nieobecnego na imprezie niemieckiego hrabiego, w którego pokoju znaleziono Elise. Przyjaciółka arystokraty wyraziła się dość niezręcznie, co podchwyciła prasa: „Zobaczyłam ją w jego łóżku i pomyślałam, że on mnie zdradza. Gdyby już nie była martwa, pewnie bym ją zabiła”. Najwyraźniej to Rosjanka, co łatwo poznać po kozackiej czapce, w której wchodzi na salę rozpraw.

Fern wolałaby trzymać się z daleka od procesu, ale rodzice uważają, że powinna okazać wsparcie, więc posłusznie zjawia się na miejscu; otoczona przez ojca i matkę czuje się jak więzień.

Sporo faktów jest już powszechnie znanych: Elise zakrzusiła się podczas snu, a potem doszło do zatrzymania akcji serca, alarm wszczęła rozhisteryzowana Kasia Bogonavitch, która znalazła ciało w łóżku swojego nieobecnego chłopaka.

Tu następuje upiorny opis wysiłków podjętych w ramach reanimacji Elise: Rowena cichym, ale opanowanym głosem opowiada, jak ratowała dziewczynę metodą usta-usta i wkładała jej palce do gardła w celu sprowokowania wymiotów. Rowena wzdycha głęboko i stwierdza na zakończenie, że na nic się to nie zdało i że „miała sine usta”.

Następnie na świadka zostaje wezwany Lucas Spinner. Fern wzdryga się na jego

widok. Co za pierdolony gnojek.

Lucas opowiada sędziemu, jak feralnego dnia podwiózł Elise z Londynu do Oksfordu. Opisuje, że spotkał ją rano i zaprosił na imprezę; postanowili, że pojedą razem. Nie zabrała ciężkich bagaży, miała tylko skórzaną torbę na ramię i nie była pewna, czy także wróci z Lucasem. Cytuje jej słowa: „Może mi się poszczęści”.

– Co chciała przez to powiedzieć?

– Że kogoś spotka.

– I oczywiście spotkała, a ten ktoś dał jej nielegalną substancję lub substancje, w tym śmiertelną dawkę heroiny. – Znad okularów w złotych oprawkach sędzia spogląda na salę. – Panie Spinner, czy mógłby pan opisać wieczorne przyjęcie?

Lucas poprawia krawat i kontynuuje:

– Odbywało się przy schodach na tyłach kolegium. Goście praktycznie wchodzili do każdego pokoju, który nie miał zamkniętych drzwi. To była... impreza otwarta.

– Więc znajdowali się tam młodzi ludzie, którzy pili i palili. Widział pan kogoś, kto zażywał narkotyki?

– Niektórzy palili trawkę, wysoki sędzie, ale większość tylko piła.

– Skoro panowało tam takie zamieszanie, skąd może być pan pewien, że to pan Charles Treadaway dał Elise narkotyki, które ją zabiły?

Lucas patrzy prosto w twarz sędziego.

– Ponieważ siedziałem we wnęce, gdzie zostawiła torebkę. Widziałem, jak podchodzi, zabiera torebkę, a potem idzie do pana Treadaway, który stał w przeciwległym kącie pokoju. Słyszałem, jak się śmieją.

– Jak może być pan pewien, że osobą, która przekazała narkotyki pani Landreth, był faktycznie Charles Treadaway?

Lucas bierze głęboki oddech i odpowiada głośno i wyraźnie:

– Ponieważ jest moim przybranym bratem, poznałem go, kiedy miałem jedenaście lat.

W sali sądowej rozlega się szmer, nie wszyscy wiedzieli o tym fakcie związanym ze sprawą Elise Landreth.

Przed przerwą zostaje wezwany jeszcze jeden świadek. To Barbara Spinner, matka Lucasa; Fern instynktownie wyczuwa, że ta kobieta rozkoszuje się teraz każdą chwilą, to jej wielki dzień. Fryzura Barbary zaprzecza prawu ciężenia, a zeznania wydają się wyuczone; na pewno spędziła wiele popołudni na oglądaniu serialu *Sąd koronny*.

Według Barbary Lucas przyjechał do domu w niedzielę, kiedy była na proszonym lunchu. Zobaczyła jego samochód na podjeździe, ale uznała, że mało spał tej nocy i pewnie jest zmęczony podróżą. Za pięć siódma została poinformowana przez swoją najdroższą przyjaciółkę i druhnę, Aramintę Landreth, o tragicznym wydarzeniu: Elise nie żyła, w grę mogły wchodzić narkotyki.

– Kiedy przekazałam tę straszną nowinę mojemu synowi, zbladł jak ściana i przyznał, że widział, jak Elise kupiła za gotówkę pewne substancje odurzające od jakiegoś młodego człowieka. – Robi przerwę na nabranie tchu. – Tym młodym człowiekiem był Charlie Treadaway.

– Co pani wtedy zrobiła, pani Spinner?

– Wezwałam policję.

W tym momencie Barbara unosi głowę. Gdyby zapiąta jak wielki kogut, Fern nie zdziwiłaby się ani trochę.

Adwokat Charliego zabiera głos w imieniu swojego klienta:

– Pan Treadaway, który cieszy się nienaganną opinią, postanawia skorzystać z przysługującego mu prawa i zachować milczenie do czasu przesłuchania w trakcie właściwego procesu.

Wszystkie oczy zwracają się na chłopaka z zapadłymi policzkami, który siedzi wyprostowany jak struna w białej koszuli i błękitnej marynarce. Jego ciemne kędzierzawe włosy są krótko ostrzyżone, wygląda na załamane. Płacze, a serce Fern przeszywa ostry ból, przez chwilę boi się, że umrze. Tak bardzo ją pociąga, działa na nią jak magnes, z całych sił stara się powstrzymać, by nie wykrzyknąć jego imienia. Gdyby tylko mogła go dotknąć, ucałować jego twarz. Dla własnego dobra odwraca wzrok, ale czyni to dopiero po tym, gdy ich spojrzenia się spotkały. I w tym momencie, bezgłośnie, próbuje przekazać mu słowa „kocham cię”, pomimo straszliwej przepaści, jaka ich rozdziela.

Na zakończenie dochodzenia Charles Treadaway zostaje oficjalnie oskarżony o posiadanie amfetaminy i dostarczenie heroiny Elise Landreth; zostanie postawiony przed sądem przysięgłych dziewiętnastego grudnia 1981 roku.

– To dobrze, wszystko powinno skończyć się przed Bożym Narodzeniem – mówi Gordon, kiedy wychodzą z sądu w słoneczny, jesienny dzień.

Tłum rozchodzi się po chodniku. Fern boi się, że zostanie rozpoznana przez matkę Charliego. Pośpiesznie zakrywa dłonią naszyjnik i spuszcza głowę. Chce jak najszybciej wydostać się z tego miejsca.

James wreszcie dowiaduje się o swoim nowym przydziale. Od stycznia spędzi trzy miesiące w Irlandii Północnej.

– Nie możesz się z kimś zamienić? – pyta Fern.

– Ty i dziecko nigdzie nie pojedziecie, to postanowione – decyduje matka, a ojciec się z nią zgadza. – Straciliśmy już Elise, nie chcemy, żeby tobie coś się stało.

– A co, myślicie, że dam się wysadzić? – śmieje się Fern.

Rodzice histeryzują, ale dzięki temu życie staje się prostsze: jeśli tu zostanie, matka pomoże jej zająć się dzieckiem.

Tak, odzywa się głos w jej głowie (słyszy go coraz częściej), i nigdy nie opuścisz domu, utkniesz tu na resztę życia i w końcu niepostrzeżenie zwariujesz.

Przynajmniej na Boże Narodzenie James ma tydzień wolnego.

– Oboje będziecie mieli czas, żeby poznać swoje dziecko. Możecie zająć gościnną sypialnię nad jadalnią, stoją tam dwa pojedyncze łóżka, ale to chyba nie stanowi problemu – mówi jego matka, a Fern milczy.

Może po świętach, kiedy James pojedzie do Irlandii Północnej, zostawi niemowlę pod opieką swojej mamy i pani Bibby, wróci na studia, będzie pić piwo w pubie z Jill i Robem, wracać wkurzona do domu i zjadać okropne (i słynne) „resztki” przygotowanego przez Felicity makaronu z serem. Jest tak paskudny, że zawsze coś zostaje.

– Dlaczego się śmiejesz? – pyta matka. – Może doktor powinien ci zmierzyć ciśnienie?

Na choince wiszą już złote orzechy i bombki, Rosemarie porozstawiała w domu miski ze słodyczami. Wszędzie pachnie Gwiazdką.

Minty dzwoni do Rosemarie i mówi, że nie będzie jej na procesie. Chybaby tego nie zniosła, stwierdza, zresztą lekarz też radził, by została w domu. Nic już nie wróci im Elise. Wyjeżdżają z Paulem dwudziestego drugiego, spędzą Boże Narodzenie w Egipcie. Ich adwokat jest przekonany, że do tego czasu wyrok już zapadnie, ale jeśli nawet nie, to i tak wyjadą. Nie daliby rady znieść widoku szczęścia innych ludzi, poza tym przyznaje, że „nie zdołalaby przełknąć nawet kawałeczka indyka”.

Rosemarie odczuwa ulgę przemieszaną z poczuciem winy – nie zobaczy zastygłej w rozpaczę twarzy swojej siostry. Minty zawsze była szczupła, ale w ostatnich dniach strasznie schudła, rozmyśla Rosemarie, próbując babeczek z kruchego ciasta z bakaliami (udały się lepiej niż rok temu).

Gordon zaoferował pomoc – będzie wspierał szwagra podczas procesu, a żona zostanie w domu razem z Fern. W końcu to może zdarzyć się w każdej chwili, zbliża się wyznaczona data; Rosemarie jednak stale powtarza, że „pierwsze dziecko lubi się spóźniać”. Mimo to przez cały czas ma przy sobie kluczyki do samochodu, a mini clubman jest zawsze zatankowany do pełna. Jest gotowa odstawić Fern do szpitala przy pierwszych skurczach. Torba z niezbędnymi rzeczami stoi w pogotowiu przy wejściowych drzwiach, spakowała do niej kilka koszul nocnych, okazałą liczbę podpasek

i wkładki do stanika dla karmiących matek.

Rosemarie wybucha nieprzyjemnym śmiechem, kiedy Fern wkłada do torby ostatni numer „Vogue’a”.

– Naprawdę nie masz o niczym pojęcia.

Siedemnastego grudnia gazeciarz dostarcza Woolbrightom „Telegrapha”. To pierwszy dzień procesu Charliego i prasa znów bombarduje czytelników informacjami o tragicznie zmarłej Elise Landreth i dziwnym Charliem. Dokopali się do albumów rodzinnych i Fern wydaje cichy jęk, gdy dostrzega zdjęcie piętnastoletniego panicza Treadawaya w cylindrze i surducie.

– To pewnie skurcze Braxtona-Hicksa – mówi matka. – Dziecko już niedługo przyjdzie na świat. – Jest tak zadowolona, jakby skończyła przyrządzać biszkopty, które po wyjęciu z piekarnika okazały się sprężyste i pięknie przyrumienione.

W porze lunchu dzwoni Gordon i mówi, że sprawy układają się dla Charliego jak najgorzej. Świadkowie potwierdzili, że był na imprezie i zachowywał się podejrzanie, niektórzy studenci przysięgali na Biblię, że oferował im narkotyki, a Lucas ponownie zeznawał znakomicie i wiarygodnie.

Gordon zatrzymał się u Minty i Paula.

– Nie mieli nawet głowy do tego, żeby kupić choinkę – szepcze do Rosemarie, która nie może oderwać wzroku od swojego przybranego na złoto sosnowego drzewka. – To nie potrwa już długo – ciągnie dalej Gordon. – Jest już ugotowany. Ten mały gówniarz dostanie za swoje, możesz mi wierzyć.

Późnym rankiem osiemnastego grudnia przysięgli wychodzą na naradę. Zbliża się Boże Narodzenie, wielu z nich planuje jeszcze świąteczne zakupy – po co zwlekać?

Wyrok uzgadniają przed lunchem. Charles Treadaway jest winny i zostaje skazany (ze skutkiem natychmiastowym) na cztery lata pozbawienia wolności.

– Wyprowadzić go.

Fern siedzi na sofie i ogląda telewizję śniadaniową, kiedy prowadzący podaje najnowszą wiadomość:

– Syn znanej ilustratorki książek dla dzieci, Edwiny Spinner, został uznany za winnego dostarczenia śmiertelnej dawki narkotyków córce ministra i skazany na cztery lata więzienia.

Fern jest w szoku, chociaż spodziewała się takiego obrotu sprawy.

– Lunch! – woła z kuchni matka.

Zrobiła zupę. Fern czuje zapach ciepłego, pokrzepiającego posiłku. Pewnie jest z marchewki i kolendry albo z porów i ziemniaków.

Wstaje z sofy i kiedy się prostuje, siusia w majtki. Coś takiego nie zdarzyło się jej od pierwszej klasy, co jest, do cholery? Oszołomiona stoi w kałuży kwaskowatego płynu, aż nagle uświadamia sobie, co się dzieje.

– Zaczynam rodzić! – krzyczy.

Rosemarie zdejmuje garnek z zupą z kuchenki.

To prawda.

Będzie albo córka, albo syn.

Charliego albo Jamesa.

Lucas

Londyn, 2015

Lucas budzi się zdezorientowany, mdli go. Czuje się zaniepokojony, niepewny, gdzie jest i jak się tu znalazł – to skutki długiej podróży samolotem.

Chce zapobiec zbliżającemu się atakowi paniki, powoli wciąga powietrze nosem, wydmuchuje je ustami i przypomina sobie, co się dzieje.

Ma pięćdziesiąt sześć lat, a jego ukochana matka, Barbara, umiera. Dlatego przed trzydziestoma godzinami opuścił Karolinę Północną i nie wróci do domu, dopóki nie uporządkuje tu wszystkiego. Dosłownie – będzie przecież musiał zrobić coś z prochami matki.

Zresztą, gdzie jest jego dom? Teraz, kiedy wrócił do Londynu, życie w Stanach wydaje mu się niedorzeczne, jak sen. Czy naprawdę tam mieszka?

Zawsze traktował amerykańską wersję siebie jak wyciętą z kartonu figurę lub postać z kreskówki, nad którą nie ma żadnej kontroli. Wskutek tego ożenił się nieszczęśliwie z nadmuchaną, kiepsko farbowaną blondynką, która miała piersi twarde jak kamienie.

Dawno temu żył sobie prawdziwy Lucas, który miał zupełnie odmienne plany na przyszłość, ale okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu, nie potrafił uporać się z losem i stał się kimś innym; a teraz wszystko obróciło się wniwecz.

Pozwoli sobie na krótką chwilę słabości, porozczuła się nad sobą. Jego matka, jedyna kobieta, która naprawdę go kochała, umiera, a jego nierealna amerykańska żona uważa, że jest fizycznie odpychający. To nie do końca wina Denise, myśli Lucas, masuje fałdy brzucha i sięga niżej, między nogi, gdzie drzemie jego penis. Czasami, kiedy żona ćwiczy w sypialni na mechanicznej bieżni, wyciąga się na łóżku w koszuli i bokserkach i zjada całe wiaderko lodów. Im głośniejsza mlaska, tym szybciej ona biegnie. Pewnego dnia, przy odrobinie szczęścia, padnie na tej maszynie.

Penis Lucasa pogrążony jest w głębokim śnie.

Nie przyjechałaby tu z nim, nawet gdyby ją błagał.

– To twoja mama, Lucas, nigdy nie spotkałam tej kobiety. Gównem ją obchodzę.

Lucas odczuwa ulgę, że tak jest naprawdę. Co pomyślałaby Barbara na widok żółtych, zlepionych w strąki włosów Denise, jej chudego, wytatuowanego tyłka i szorstkiej od solarium skóry?

O czym on, na Boga, myśli? Przecież to nieważne, że nie chce z nim uprawiać seksu: obecnie stosunek z żoną przypominałby pieprzenie skórzanego pantofla.

Lucasowi żołądek podchodzi do gardła, ma ochotę zwymiotować, a jednocześnie czuje głód. Nie zna dobrze rozkładu mieszkania matki i nie jest pewien, gdzie znajduje się łazienka. Nawet mając tyle lat, żałuje, że nie może włożyć klucza do zamka żółtych frontowych drzwi na River Walk i wdychać zapachu wypolerowanej posadzki w hallu, a potem wbiec po schodach do swojej starej sypialni i dotykać zabawek: moje lego, moje meccano, moje misie, moje samochodziki, moje książki.

Czuje, że dopada go atak klaustrofobii. To ciasne mieszkanko z dwiema

sypialniami na czwartym piętrze sześciokondygnacyjnego budynku pod prestiżowym adresem, ale bez balkonu ani dostępu do ogrodu. Bartholomew Lodge przypomina labirynt drogich króliczych nerek.

Przyzwyczał się do amerykańskich domów, ciągnących się kilometrami minirezydencji Kenów i Barbie, zaprojektowanych przez kiepskich architektów, ale zawsze otoczonych wielkimi trawnikami (ze sztucznej murawy) i podwójnymi garażami.

Przez chwilę przypomina sobie własny drewniany dom, zbudowany w latach osiemdziesiątych w holenderskim stylu kolonialnym, ogrodzony płotem ze sztachet i z rozsuwaną automatycznie bramą. To ukoronowanie kariery zawodowej Lucasa: przez ostatnie dziesięć lat pracował dla tej samej firmy inwestycyjnej.

Ale to już przeszłość, myśli. Spójrzmy realnie na fakty, dobrze, Lucas? Matka umiera, żona cię nienawidzi i straciłeś pracę.

Jeszcze nikomu o tym nie powiedział. Ukrywa tę wiadomość, jakby była jakimś straszliwym pasożytem, robalem, który zagnieździł się w żołądku i powoduje rozwolnienie. Konsekwencje będą straszliwe: firma zabierze mu dom, a żona od niego odejdzie. To zresztą najmniejsze zmartwienie. W przyszłym miesiącu są jej urodziny, może wtedy jej powie. I tak nie zdoła okazać żadnych emocji – Denise miała już tyle zastrzyków z botoksu, że nie potrafi zmienić wyrazu twarzy. Będzie wyglądać jak zawsze, jak naćpany chihuahua. Ich małżeństwo dobiegło końca. Od początku było błędem, a bez spoiwa w postaci domu i samochodów nie da się go skleić.

– Chciałbym mieć dzieci – mówi bezgłośnie Lucas, ale jego żona miała problemy z zajściem w ciążę, głównie dlatego, że była o dziesięć lat starsza, niż się przyznawała, i na dodatek cierpiała na manię odchudzania.

Denise tak bardzo boi się utyć, że śpi w osobnym pokoju; obawia się, że mogłaby przez osmozę zarazić się od Lucasa jego problemami z nadwagą. Jemu to nie przeszkadza, kilka lat temu odkrył, że ciasteczka Oreo są świetnym substytutem seksu.

Na samą myśl o słodyczach burczy mu w brzuchu.

Ostatnio jadł w samolocie, dostał tacę jak dla lalki, jakieś miniaturowe torebeczki z preclami i orzeszkami. Żałuje, że nie zachował jednej na później, przydałaby się teraz, o trzeciej nad ranem.

Szuka po omacku przycisku na stoliku obok łóżka matki i po chwili pokój oświetla blask sączący się spod zielonego atłasowego abażuru umieszczonego na onyksowej podstawie. Lucas nagle uświadamia sobie, jak wiele miejsca zajmuje na łóżku. Zaczął silnie przybierać na wadze, kiedy dowiedział się o zwolnieniu; żeby poprawić sobie nastrój, podjadał w samochodzie, w jadłodajniach przy bocznych uliczkach, na meksykańskich straganach i u obwoźnych sprzedawców pączków. Ameryka to kiepskie miejsce dla łakomego, nieszczęśliwego człowieka. Węglowodany i cukry zawsze były zgubą Lucasa. Odziedziczył skłonność do słodyczy po matce, która przepadała za popołudniową herbatą, tacami serników i napoleonek, srebrnymi widelczykami do ciast, bitą śmietaną na końcu jego nosa; uwielbiała zwilżać śliną chusteczki, by otrzeć mu lepkie usta.

W tym łóżku, otoczony szczątkami życia Barbary, czuje się jak Edyp. Pudełko kremu na zmarszczki stoi tuż obok obitego zielonym aksamitem pudełka z żółtymi

chustkami. Matka miała swoje ulubione kolory; mnóstwo tu zieleni i złota.

Przyjechał wczoraj wieczorem i pomimo uprzejmych słów, jakie na powitanie rzucił mu konsjerż – „Proszę mi mówić Hastings, sir” – czuł się jak intruz, niezdarny włamywacz, który przetrząsa rzeczy swojej matki w poszukiwaniu... czego?

To było żenujące doświadczenie. Ta dziwna mieszanina porządku i chaosu w zagraconym mieszkaniu jest najlepszym dowodem demencji Barbary.

W szufladzie, pomiędzy woreczkami z lawendą, leżą w idealnym porządku chusteczki do nosa (opatrzone monogramami, świeżo wyprane, idealnie uprasowane i starannie złożone). Ale na dnie szafy Lucas znajduje trzydzieści puszek z tuńczykiem; są ukryte niczym świąteczne prezenty.

Peszy go, że rzeczy z epoki River Walk znajdują się obok zupełnie nowych, nieznanych przedmiotów, jakby ktoś obcy poszedł na wyprzedaż garażową, gdzie udało mu się kupić trochę rzeczy Barbary. Stojak na czasopisma i chiński barek, marmurowe szachy (nienaturalnie porozstawiane, jakby imitowały jakąś fikcyjną, przerwana w połowie partię), srebrna papierośnica (pusta) i kolekcja kolorowych ptaków z miśnieńskiej porcelany – to wszystko należy do zamierzchłej epoki, ale brzydki rozkładany fotel w bawialni i poręcz w łazience pochodzą z nowszych czasów, z okresu zniedołężnienia; Lucas czuje przygnębienie i, jak zawsze w takich wypadkach, robi się głodny.

Jezus Maria, jest tak głodny, że mógłby zjeść... Co? W mieszkaniu nic nie ma, kredens jest pusty, nie licząc kilku ubrań.

Lucas nie może już tego znieść, wstaje i przekłada do miseczki tuńczyka z puszek. W zakamarkach kredensu, obok stosu starych książek telefonicznych, znajduje słoik korniszonów. Mieszkanie stoi puste od trzech lat, ale marynowane ogórki nigdy się nie psują, więc siada w obcej kuchni, gdzie każde miejsce skrywa osobliwe przedmioty (zalotki do podkręcania rzęs w tacy na sztuce, szmatki do ścierania kurzu w przegródce na sałatę w lodówce), i pałaszuje swoją osobliwą potrawę. Smakuje zarazem paskudnie i wyśmienicie.

Z palącą zgarą wraca do łóżka i znów bezskutecznie stara się usnąć. Musi być jutro silny, za kilka godzin odwiedzi matkę. Dobry Boże, żeby chociaż na chwilę, kurwa, zasnąć.

Wstaje zdesperowany i idzie do zielono-złotej bawialni, gdzie szpera po półkach z książkami w poszukiwaniu czegoś kojącego. Barbara ma sporą kolekcję kryminałów Agathy Christie, wydania z lat siedemdziesiątych z krzykliwymi okładkami.

W historiach Agathy Christie jest coś krzepiącego, myśli Lucas. Na koniec winni zawsze okazują się winnymi, nie ma miejsca na wątpliwości, tak jak w prawdziwym życiu. Wybiera *Rosemary znaczy pamięć* i niezdarnie wraca do łóżka. Gdyby matka tu była, przyniosłaby mu gorące mleko, zawsze dobrze go usypiało, gorące mleko z miodem.

Opiera się o stos poduszek i zastanawia się, kiedy ostatnio czytał coś, co ma prawdziwe stronice; nagle z książki wypada list, pojedyncza kartka zapisana fiołkowym atramentem. Lucas mruży oczy i rozpoznaje pismo, które kojarzy mu się z dawnymi czasami, z urodzinowymi karteczkami dołączanymi do talonów na książki; niedbałe, pochyle litery, podobne, chociaż bardziej nieregularne niż te, które stawiała jego matka.

List jest od ciotki Minty – nie była prawdziwą krewną (tych było niewiele), ale jedną z najdroższych koleżanek mamy ze szkoły średniej – utalentowanej i pięknej Araminty Landreth, nazywanej w późniejszym okresie „biedną Minty”.

Kochana Barbaro.

Dziecko przyszło już na świat. Fern urodziła dwa tygodnie temu córeczkę, ma na imię Sophie. Nigdy nie będę prawdziwą babcią, ale przynajmniej zostałam cioteczną. Babcia Rosemarie zwariowała na jej punkcie, córka i wnuczka mieszkają u niej w Three Paddocks, bo mąż Fern służy w Irlandii Północnej. Fern powiedziała, że to takie wyczerpujące, a ja, niestety, ofuknęłam ją. Cóż, jest zupełnie pozbawiona taktu.

Ciągle wydaje mi się, że zobaczę Elise. Każdego dnia budzę się i myślę, że pewnie dziś znów ją spotkam – mogłybyśmy napić się kawy – a kiedy zdaję sobie sprawę, że to nigdy nie nastąpi, ból przeszywa mi serce.

Kochanie, znów się pakujemy, spędzimy dwa tygodnie w Verbier. Ani ja, ani Paul nie możemy wysiedzieć długo w jednym miejscu. Jeśli zostalibyśmy gdzieś na dłużej, rozpacz zmieniałaby nas w kamienie. Tylko ruch utrzymuje nas przy życiu.

List jest ze stycznia 1982 roku.

Lucas zamiera. Tydzień po rozprawie. Znów jest w sądzie, w Londynie, w garniturze kupionym specjalnie na tę okazję.

– W końcu, kochanie, wszystkie spojrzenia będą zwrócone na ciebie, jesteś gwiazdą wśród świadków. – W oczach matki żarzą się mściwość i jad.

Ostatni dzień procesu, kulminacja długiego wyczekiwania i ciągnących się tygodniami przesłuchań, w śnieżny piątek tuż przed Bożym Narodzeniem rozwlekła procedura nagle przyśpiesza (jak longplay, przypadkowo puszczonej na czterdzieści pięć obrotów) i jeszcze przed lunchem zapada wyrok; z karminowych warg matki wyrzywa się krótki okrzyk zadowolenia. Po kilku sekundach Charlie znika, jakby w podłodze sali sądowej otworzyła się ukryta zapadnia. Ojciec Lucasa ukrywa twarz w dłoniach, macocha i przybrana siostra zastygają, zdumione i przerażone.

Matka zabiera go na lunch.

– Chodź, kochanie, musimy to uczcić, sprawiedliwości stało się zadość. Zabiorę cię do cudownego lokalu.

Zamawia nawet szampana, są jedynymi gośćmi w restauracji na Knightsbridge. Ciężkie białe obrusy, wąskie, wysokie kieliszki i delikatne kawałki doskonałej cielęciny, które Lucas długo przeżuwa, ale nie jest w stanie ich przełknąć.

Boli go brzuch i wie, że zaraz zwymiotuje. Za dużo tego: lot, matka, wspomnienia. Kiedy mieszanina tuńczyka i korniszonów ląduje w bordowej muszli klozetowej, Lucas stwierdza, że nigdy już nie tknie ryby z puszki, podobnie jak giczy cielęcej.

Pięć godzin po niefortunnym wypadku z tuńczykiem Lucas funduje sobie prawdziwe śniadanie w kawiarni w Pimlico. Próbuje powstrzymać się przed zamówieniem przysmażonego chleba, ale ulega i zanurza wysmienite kruszaki w złotawym żółtku jajka, a potem zamawia kolejną porcję, żeby wyczyścić do czysta talerz z fasoli w sosie pomidorowym.

Musi napęlić żołądek, nabrać sił. Dziś odwiedza matkę w domu opieki, który pożera jego spadek szybciej niż on swoje klasyczne angielskie śniadanie.

To kolejna rzecz, którą ukrywał przed Denise: fakt, że płaci za wikt i opierunek matki i w tym celu zaciągnął dług na hipotecę mieszkania.

Lucas ociera usta – nie chce, żeby matka dostrzegła resztki sosu pomidorowego wokół warg – zostawia spory amerykański napiwek, wychodzi na ulicę i zatrzymuje na rogu taksówkę. Kiedy zobaczy się z kochaną mamą, kupi sobie kartę miejską i przestanie być tak rozrzutny, ale teraz najważniejsza jest Barbara.

Avondale House – budynek z czerwonej cegły z labiryntem paskudnych nowych przybudówek na zapleczu – leży nieopodal Holland Park.

Lucas już wcześniej zapowiedział swoją wizytę. Personel w kolorowych nylonowych kitlach uwija się jak w ukropie, trudno rozpoznać, kto tu jest najważniejszy, wszyscy się uśmiechają, stąpają cicho w butach na gumowych podszewkach, sprawdzają, czy goście wpisali się do książki odwiedzin i czy drzwi wejściowe są dobrze zamknięte.

– Nie możemy pozwolić sobie na utratę żadnego z naszych drogich klientów – śmieje się drobna Hinduska prowadząca go przez zasłaną dywanem poczekalnię w której stoją akwarium i stolik zarzucony numerami „People’s Friend”.

Zatrzymuje się, by wystukać kod na zamku przy metalowych drzwiach, a następnie rusza w kierunku windy chłodnym korytarzem wyłożonym linoleum. Im dalej idą, tym bardziej szpital zaczyna przypominać dom. Zmienia się nawet zapach.

Nic nie mogło przygotować Lucasa na ten widok. Przez chwilę myśli, że pomylili pokoje. Na mosiężnej tabliczce widnieje napis „Pani Barbara Spinner”, ale w łóżku leży jakaś oszustka. To nie może być jego matka.

Ostrzeżono go, że matka nie wstaje, jest na wpół przytomna i nie będzie wiedziała, kim on jest, ale nie spodziewał się, że i on jej nie rozpozna.

Matka kuli się pod białym prześcieradłem jak łysiejący orzeł, dłonie niczym szpony zaciska na niebieskim, obszytym atlasem pledzie.

Najgorsze jest to, co stało się z jej włosami, Lucas nie może tego przeboleć. Miała takie bujne i gęste, czarne i lśniące włosy, całkiem jak Elizabeth Taylor; szczyciła się zakręcaną na elektryczne wałki długą grzywą, którą podcinał i lakierował Terence, mały człowieczek z zakładu na Eaton Square. Dawno temu Barbara Spinner była zjawiskową kobietą, przechadzała się po Chelsea w oryginalnych czółenkach od Bally’ego, często zaglądała do domu towarowego Petera Jonesa i zamawiała artykuły spożywcze u Harrodsa.

Oszołomiony, siada na krześle obok łóżka.

– Cześć, mamusiu, to ja, Lucas.

Nic, żadnego znaku, że go poznaje. Nie wie, kim jest – on, jej najlepszy, ukochany synek. Nie odzywa się, ma zmętniałe oczy. Kiedyś były błyszczące i tak ciemne, że wydawały się nieomal czarne. Ale chyba go widzi.

Lucas rozgląda się po małym, praktycznie urządzonej pokoju. Rozmieszczono tu ze smakiem kilka osobistych drobiazgów, które nadają pomieszczeniu domowy charakter: niewielki turecki dywanik, kilka szklanych bibelotów, a na parapecie oprawioną w ramkę fotografię Barbary z czasów jej świetności.

Zdjęcie na pewno zrobiono na jakimś przyjęciu. Barbara ma na sobie turkusową suknię z tafty, obok niej siedzi Terence (z muszką na szyi), jej wierny fryzjer i późniejszy towarzysz życia; to, co początkowo zanosilo się na katastrofę, obojgu wyszło na dobre, bo matka zyskała opiekę i mogła czesać się w domu, a splukany Terence – dach nad głową.

To na pewno on był odpowiedzialny za fryzurę matki na zdjęciu: wielką konstrukcję z poskręcane go czarnego nylonu, w którą starannie wpleciono rzednące, farbowane loki Barbary. W jej mieszkaniu w łazience nadal stoi pojemnik Raven Black firmy Wella.

Terence umarł, zanim Barbara zamieszkała w domu opieki. Po jego ostatnim, śmiertelnym udarze matka się załamała, zaczęła się włóczyć po ulicach Chelsea o trzeciej nad ranem, waliła w drzwi domu towarowego Petera Jonesa i żądała, żeby wpuścili ją do środka.

– Muszę kupić tasiemkę do obszywania i sodę oczyszczoną – tłumaczyła sympatycznemu policjantowi.

A teraz nie może już chodzić, ma założoną pieluchę i cewnik. Ile to jeszcze potrwa? – zastanawia się Lucas. Jak długo będzie tkwić zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią?

Matka oddycha samodzielnie, ale to jedyne, co jest w stanie zrobić. Do pokoju puka i wchodzi młoda Czeszka. Przyniosła tacę.

– Jestem Katya – oznajmia i zaczyna zrećnie poić i karmić matkę zielonkawo-szarą zupą i maciupeńkami tostami z masłem.

Lucas czuje, jak w piersiach wzbiera mu gniew połączony ze smutkiem. To wszystko nie tak. Dawno temu Barbara jadła takie dziecinne posiłki jedynie wtedy, gdy zbyt często bywała na proszonych kolacjach i chciała spędzić ranek przed telewizorem z aspiryną i jajkiem na miękko.

Matka krztusi się i ślini, Lucas czuje, że robi mu się niedobrze i ma ochotę krzyczeć.

– Na deser jest galaretka – mówi Katya. – Pani Spinner lubi galaretkę. Czerwona galaretka, jej ulubiona.

Skąd wiesz?! – chce wrzasnąć Lucas. Skąd wiesz, co ona lubi? Kurwa, jest jak pusta skorupa. Mogłabyś równie dobrze karmić łyżeczką pustą skrzynkę na listy. Powiem ci, co lubiła moja matka: uwielbiała waniliową panna cottę w Daphne i tartę z jabłkami w Le Caprice. Uważała, że galaretki są dla dzieci, ty pierdolona idiotko!

Ale oczywiście nic takiego nie mówi. Opiekunowie są niesamowici, pokój jest wygodny, ten dom jest lepszy od większości podobnych instytucji. I powinien być – za

taką cholerną cenę.

Lucas nie może w to uwierzyć. Pieniądze płyną jak woda każdego dnia – i na co? Równie dobrze można by wydać fortunę na opiekę nad gnijącymi resztkami w lodówce. Jego matka jest zupełnie zdzienniała. Kto by pomyślał, że umysł Barbary rozplynie się bezpowrotnie jak ulotna mgła.

Katya wkrapla odrobinę jakiegoś płynu do gardła matki, zabiera tacę i wychodzi.

Po kilku minutach Barbara – a właściwie jej skóra i kości – zasypia. Lucas podejrzewa, że dali jej środek nasenny, ale czy można mieć o to pretensję? Lepiej wyłączyć resztki świadomości, będzie mniej cierpieć. Jej mózg przypomina płytę główną komputera, która przestała funkcjonować jak należy. Zawiesza się; będzie się to zdarzać coraz częściej, aż pewnego dnia matka zapomni, jak się oddycha, i umrze. Przełożona pielęgniarek wyjaśniła mu to dwa tygodnie temu w rozmowie telefonicznej. Nie potrafił tylko spytać, kiedy to się stanie.

Lucas siedzi, czeka i żałuje, że nie zabrał książki; z braku lepszego zajęcia zagląda do szafki przy łóżku, gdzie znajduje przypadkowy zestaw fotografii umieszczonych w zadziwiająco tandetnym albumie oprawionym w imitację skóry. Przeglądając zdjęcia, uświadamia sobie, że Barbara mogła wybrać te fotografie, aby przypominać sobie o najważniejszych wydarzeniach ze swojego życia, życia przyjaciół i rodziny. Wszystkie są podpisane, pismo matki wydaje mu się bardziej chwiejne niż to, które zapamiętał. Musiała przygotować ten zestaw jako swego rodzaju memorandum, kronikę przeszłości; to niewyobrażalnie smutne.

Na pierwszym, czarno-białym zdjęciu z lat pięćdziesiątych Barbara stoi w otoczeniu swoich przyjaciółek, Minty i June, na letnim balu debutantek. Nikogo nie udają, są sobą, trzema młodymi dziewczynami z wyższych sfer, które piją szampana. Podpis informuje: „Moje kochane dziewczyny, Minty i June, najlepsze przyjaciółki z Mont B.”. To ostatnie, jak się domyśla Lucas, odnosi się do szkoły średniej, gdzie trzy młode damy uczyły się korzystać z miseczek do obmywania palców.

Ta sama trójka uwieczniona jest na kolejnym zdjęciu: mają tapirowane włosy i suknie w stylu empire. Pod tą fotografią Barbara napisała: „Panna młoda i jej drużny”. Chyba nie są już dziewczynami; jego matka wygląda, jakby nie mogła się doczekać miodowego miesiąca. Nie ma zdjęć pana młodego, więc musiała być jeszcze w pełni władz umysłowych, kiedy przygotowywała ten album, wiedziała, że odszedł dawno temu.

Tak jak można się było spodziewać, Lucas pojawia się tu dość często, najpierw na czarno-białej fotografii, jako niemowlę po opuszczeniu szpitala Royal Brompton. „Lucas Peter, urodzony 16 maja 1959 roku”. Wielka biała kokarda we włosach matki, pełny makijaż i jasne pantofelki z kokardką pasującą do tej na głowie. Typowe dla Barbary: od miesięcy planowała, jak ma wyglądać po wyjściu ze szpitala. Jest jak Priscilla Presley pozująca do okładki „Najlepszej pani domu”.

Kilka kolejnych stron poświęconych jest domowi na River Walk („Mój ukochany dom wśród róż”), pudlowi („kochany Trigger”), którego Lucas nie pamięta, i samochodowi, który natychmiast rozpoznaje (jaguar Mark 2).

To zdjęcie jest jaskrawokolorowe. Ojciec musiał być dumny z wozu; matka opiera się o maskę, ma na sobie kwiecistą, barwną spódnicę i białą bluzkę, która podkreśla

smukłą talię. Chusta na głowie i okulary w stylu gwiazdy filmowej świadczą o tym, że przywołuje ducha patronującej jej Sophii Loren. Już nigdy nie będzie taka piękna i dobrze o tym wie.

Lucas upuszcza album (jest niezdarny, niewyspanie daje o sobie znać) i kiedy schyla się po niego, odnajduje fotografię matki i Landrethów na meczu polo. Urządzili sobie piknik, na bagażniku jaguara wujka Paula stoją butelki Dom Perignon i wiklinowy kosz z jedzeniem. Barbara śmieje się nieco histerycznie i je jajko na miękko; wszyscy wyglądają na takich szczęśliwych. Tablica rejestracyjna kończy się na W, co wskazuje na rok 1980. Oczywiście, to dlatego wszyscy są uśmiechnięci: to ostatni rok przed tym, kiedy wszystko się popsuło.

Nagle znowu dopada go zmęczenie wywołane zmianą strefy czasowej, głowa opada mu na piersi i po raz trzeci od przylotu Lucas zasypia. Śni, że znajduje się w łódce, która wywróciła się na jeziorze, i jest całkowicie pewien, że utonie. Nie ma nikogo, kto mógłby go uratować.

Kilka godzin później budzi go Czeszka Katya, która przyniosła herbatę na tacy.

– Czas karmienia zwierząt – żartuje Lucas.

Pielęgniarka nie uśmiecha się, chyba poczuła się obrażona.

– Tak się tylko mówi – próbuje wyjaśnić, ale ona zdaje się nie słuchać.

Lucas zabiera marynarkę, wkłada pod ramię album z fotografiami i zapewnia Barbarę, że wróci. Nie całuje jej. Matka cuchnie rozkładem, a on nie może tego znieść.

Lucas wraca do Chelsea taksówką, nieopodal Bartholomew Lodge robi w kiosku podstawowe zakupy. Później przyjdzie czas na porządne sprawunki, na razie bierze herbatę, kawę, mleko, cukier, herbatniki, płatki i puszkę puddingu ryżowego, na którego widok poczuł gwałtowny przyływ soków żołądkowych. Jednak są pewne rzeczy, których Amerykanie nie potrafią wyprodukować – jedną z nich jest pudding ryżowy w puszcze.

W mieszkaniu matki przygotowuje sobie filiżankę kawy i wraz z albumem fotograficznym niesie ją do bawialni. Próbuje odpowiednio ustawić szeszląg – fotel może i jest brzydki, ale niesamowicie wygodny – i kiedy znajduje właściwe położenie pomiędzy pionem a poziomem, otwiera album i zaczyna uważnie oglądać fotografie domu, w którym dorastał.

Ładny biały bliźniak z lat trzydziestych, położony przy spokojnej uliczce w Chelsea, o rzut kamieniem od rzeki. Frontowe drzwi są żółte i przysłonięte gęstymi krzakami kremowych róż. Lucas nagle przypomina sobie pszczoły: w ogrodzie zawsze były pszczoły i przez dłuższy czas ich żądła stanowiły jedyne niebezpieczeństwo, jakie mu zagrażało.

Za żółtymi drzwiami był bezpieczny, matka układała kwiaty w kuchni, ojciec palił fajkę w salonie. Czy tak było? Czy jego ojciec naprawdę palił fajkę, czy wszystko mu się miesza?

Nieważne, byłem uprzywilejowanym chłopcem, stwierdza Lucas i przypomina sobie, jak jeździł na rowerze po nadbrzeżu i pływał łódką w parku Battersea. Wysila pamięć i przypomina sobie: jest bardzo mały, idzie pomiędzy matką i ojcem, którzy trzymają go za ręce i huśtają, raz, dwa, trzy i do góry. Wtedy życie było pasmem przyjemności: gier planszowych, kubków kakao, siedzenia w piżamie przed telewizorem i oglądania *Doktora Who*.

Kiedy skończył dziesięć lat, wszystko się oczywiście popsło i ojciec na dobre wyprowadził się z River Walk. Lucas znał innych chłopców w szkole, których rodzice się rozwiedli, ale nie spodziewał się, że i jemu przydarzy się coś takiego. Niemal pół wieku później, kiedy słyszy lub musi wymówić słowo „rozwód”, czuje, że bardzo chce mu się sikać.

Ojciec oznajmił mu tę wiadomość w samochodzie. Odebrał go ze szkoły i podczas długiej drogi powrotnej powiedział, że przerwę semestralną Lucas jak zwykle spędzi w domu, ale jego ojca już tam nie będzie.

To była poważna rozmowa pomiędzy dwoma mężczyznami i Lucas nie ośmielił się powiedzieć, że powinni stanąć na siusiu. Wytrzymał i kiedy podjechali pod dom na River Walk, wyskoczył bez pożegnania i próbował schronić się za żółtymi drzwiami. Z palcem na dzwonku, drugą dłonią ściskając przód spodenek, podskakiwał na frontowych schodkach, dopóki służąca go nie wpuściła. Zanim wyszedł z toalety, stary czarny bristol ojca odjechał. Lucas nie zdążył nawet umyć rąk, a jego ojciec już zniknął.

Matka leżała w łóżku. Spędziła tam większość ferii, podczas gdy Lucas czytał komiksy i bawił się zestawem małego naukowca, co głównie sprowadzało się do

obserwowania pod mikroskopem własnych wydzielin – smarował szkiełka moczem, kupą i smarkami.

Matka zwlekała się z posłania, tylko kiedy zjawiały się przyjaciółki. Przypomina sobie jej białą, pokrytą zbyt grubą warstwą pudru twarz, krwistą szminkę wypełniającą drobne zmarszczki wokół warg, niedopałki papierosów ze złotymi ustnikami wetknięte w doniczki z geranium i stopy śmierdzących petów tłących się w popielniczkach, drinki po południu i rozhisteryzowany, współczujący jazgot Minty i June, podczas gdy on u siebie na górze oglądał powiększone własne łzy.

Pod koniec tygodnia ojciec przyjechał, by odwiedzić go z powrotem do szkoły. Nie wszedł do środka, zatrąbił tylko, a służąca wyprowadziła Lucasa. Matka nawet nie pomachała przez okno sypialni, ale wiedział, że tam jest. Słyszał, jak płacze.

To w trakcie tej podróży ojciec powiedział mu, że zostawił matkę dla innej kobiety; nazywa się Edwina. Twarz ojca zmieniła się, kiedy wymówił to imię, jakby nie mógł nasycić się dźwiękiem tego słowa. Nigdy nie mówił o Barbarze, używając jej imienia, zawsze nazywał ją „twoją matką” i kiedy to wypowiadał, wyglądał, jakby cierpiał na migrenę.

– Lucas, zakochałem się w kobiecie, która ma na imię Edwina, i jestem pewien, że ty też ją pokochasz.

Jak? Niby dlaczego?

W szkole udawał, że nic się nie stało, ale przez resztę semestru miał problemy z żołądkiem, odczuwał ćmiący ból i czczość, łagodzoną jedynie przez parzone biszkopty z kremem budyniowym, które czasami podawano po lunchu.

Przed Bożym Narodzeniem, kiedy szkołę zamknięto na święta, matka poprosiła rodziców jakiegoś starszego chłopca, żeby przywieźli go do Chelsea. Podczas podróży Lucas był sparaliżowany ze wstydu, starszy kolega nie zamierzał mu pomóc, siedział na przednim fotelu obok ojca, rozmawiał o ekscytujących planach świątecznych i kompletnie ignorował chłopca na tylnym siedzeniu.

– Pozdrów matkę – powiedział mężczyzna i pomachał mu przez okno samochodu dłonią w skórzanej rękawiczce.

Nie dało się już wyczuć zapachu ojca. Po tylu latach Lucas przypomina sobie, że żółte drzwi wyglądały tak samo, ale wewnątrz coś się zmieniło. Woń ojca zniknęła, tak jak każdy ślad jego obecności, począwszy od szczoteczki do zębów w łazience.

Kilka dni później gospodyni, pani Glynne, wzięła doroczny urlop. Zawsze w czasie świąt jeździła na dwa tygodnie do Irlandii (to była już tradycja), tym razem przed wyjazdem wręczyła Lucasowi klucz do drzwi wejściowych – na wszelki wypadek.

– Nie sądzę, aby był ci potrzebny – powiedziała.

Któregoś dnia miał mu się jednak przydać.

Mglisto przypomina sobie, jak tego dnia wybrał się z przyjaciółmi do Science Museum, ale szczegóły się zatarły. Wie na pewno, że kiedy wrócił, parter domu pogrążony był w ciemnościach i Lucas od razu doszedł do wniosku, że matka wyszła kupować prezenty pod choinkę. Pamięta, jak znalazł klucz w kieszeni płaszcza, i wrażenie, że jest zupełnie dorosły, kiedy otworzył drzwi i wszedł do środka. Tak właśnie musi czuć się prawdziwy mężczyzna: wraca do własnego domu, w kuchni gotuje się

obiad, a jego kapcie leżą przed rozpalonym kominkiem.

W hallu było zimno. Matka nie rozstawiła jeszcze świątecznych dekoracji, chociaż w innych domach już dawno to zrobiono. Wdrapał się na górę po schodach, starając się opanować strach.

Ktoś zostawił zapalone światło w łazience. Lucas pchnął drzwi i w pierwszej chwili pomyślał, że matka marynuje się w czerwonym winie. Tyle razy widział taki obrazek w kuchni – *coq au vin* było jednym z ulubionych dań ojca. Tyle że w wannie nie dostrzegł cebuli ani marchewki, a matka leżała naga i nieprzytomna.

Lucas zadzwonił na policję; powiedzieli mu, że jest bardzo mądrym i dzielnym chłopcem. Sąsiad został z nim do czasu przyjazdu ojca.

– Już w porządku – powiedział Dickie. – Jestem przy tobie, wszystkim się zajmę.

Lucas pamięta, jak bardzo w tych strasznych chwilach ucieszył się z powrotu ojca do domu. Ale Dickie nie miał zamiaru zostać.

– Pod tym cholernym dachem? Chyba to rozumiesz, synu, prawda? Twoja matka sprawiła, że to wykluczone. Weź walizkę, piżamę, trochę ubrań i bierzemy nogi za pas.

Kiedy Lucas się pakował, ojciec starał się wyszorować wannę. Gdy wychodzili, była nadal różowa, a na wykładzinie w korytarzu i na schodach widać było krople krwi.

– Cholerna Barbara – mamrotał bez przerwy ojciec.

Kiedy dotarli na Kennington, zrobiło się już zupełnie ciemno. Otoczony metalową balustradą dom był wysoki i brązowy; przy drzwiach czekała kobieta.

– To Edwina – powiedział ojciec.

Chciała uściskać Lucasa, ale się jej wymknął.

Tej nocy spał z ojcem w dziwnym podwójnym drewnianym łóżku, które przypominało łódkę, a rano odwieziono go z powrotem do Chelsea – przyjaciółka matki, ciotka June, przejęła stery na River Walk.

– Posłuchaj, Lucas – powiedział stanowczo ojciec. – Najlepiej będzie, jak nie powiesz matce, że byliśmy wczoraj wieczorem na Kennington. Udawajmy, że zanocowałem tutaj. Nie ma co rozdmuchiwać tej sprawy.

Oczywiście to nie był ostatni raz, kiedy Lucas wyprawiał się za rzekę. W końcu ojciec miał swoje prawa.

– Nie możesz mi zabronić widywać się z nim, Barbaro, jestem jego ojcem. – Z jadalni dobiegały podniesione głosy.

I tak to się zaczęło. Przez następne osiem lat Lucas nie miał prawie żadnej kontroli nad tym, gdzie i z kim ma być, więc wszędzie czuł się obco.

Nie wiedział, co było gorsze: siedzenie w domu ze zwariowaną i smutną matką czy spędzanie czasu z przybraną rodziną i patrzenie, jak ojciec wpatrywał się maślanym wzrokiem w „tę kobietę”. Już lepiej było w szkole, tam przynajmniej wszyscy zachowywali się tak samo okropnie i każdy wiedział, czego może się spodziewać.

– Kennington – syczała matka. – Kto mieszka w Kennington?

Na pewno nikt, kogo znał Lucas. Został wychowany, by bawić się na zielonych trawnikach Kensington Gardens i Hyde Parku. Według matki w Kennington znajdowały się jedynie budynki komunalne i salony bingo. Lucas wolał nie wspominać o Imperial War Museum (dziesięć minut pieszo od nowego domu). Podkreślanie takich zalet byłoby

nielojalne, więc trzymał buzię na kłódkę.

No i te dzieci: syn i córka Edwiny, bliźnięta, zarazem tak do siebie podobne i tak różne, dziewczyna w okularach i z rzadkimi włosami (dostrzegał białą skórę na jej czaszce) i chłopak – no cóż, Lucas nie potrafi przypomnieć sobie dziecinnej twarzy Charliego, wykrzywiała się i zmieniała w zależności od nastroju, chwilami była szczerą, a czasem skrytą, przystojną lub złą i poirytowaną. Jakby należała do wielu osób – w zależności od kąta, pod jakim się na nią patrzyło. Tylko włosy zawsze takie same: niesforna grzywa czarnych kędziorów.

Lucas był starszy prawie o rok, ale oni niewiele sobie z tego robili, nie interesowało ich, co myślał lub mówił. Dziewczyna całymi dniami czytała książki, a chłopak rysował, oboje wymyślali sobie różne zabawy, z których Lucas już wyrósł. Wkurzali go, a najgorsze było to, że Edwina go wyśmiewała. Uważała, że jest komiczny, choć nawet nie próbował być zabawny; kiedy z niego kpiła, miał ochotę ją kopnąć.

– Co za śmieszny, zarozumiały malec – powiedziała kiedyś, a on na złość im wszystkim roztrzaskał idiotyczny model, nad którego budową ten dureń Charlie spędził cały weekend (wykrzywiając przy tym swoją małpią twarz).

Ojciec krzyczał, gdy odwoził go do domu:

– To nie do zaakceptowania, Lucas! Tak nie można się zachowywać, synu.

Kłopot z ojcem polegał na tym, że nie lubił, jak ludzie się kłócili. Był miłym, uprzejmym człowiekiem. Opuszczenie żony było najgorszym uczynkiem, jakiego się dopuścił, i Lucas w głębi duszy wiedział, że nigdy by tak nie postąpił, gdyby nie zakochał się szaleńczo w Edwinie. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego tak się stało. Jego matka przypominała damy z okładek czasopism lub uczestniczki konkursu Eurowizji, a Edwina wyglądała jak kobiety z łodzi mieszkalnych cumujących nad rzeką. Nosila dzinsy i buty na płaskim obcasie, wiązała włosy w koński ogon i rzadko się malowała.

Lucas dziwił się, że ojciec się jej nie wstydzi, i z ulgą przyjął wiadomość, że nie będzie mogła przychodzić na uroczystości w jego szkole. Prawie wszystkie matki jego kolegów przypominały Barbarę. Niektóre wydawały się niższe, inne chudsze, a niektóre identyczne, choć były blondynkami. Wszystkie były kojąco eleganckie i zadbane, oprócz matki Milesa Gordona Russella, która wyglądała jak prostytutka.

Barbara stwierdziła – a Minty i June się z nią zgodziły – że najbardziej skandaliczne w tej historii było to, iż Dickie od razu wprowadził się do tej kobiety!

Można było się spodziewać, że wynajmie sobie mieszkanie, dopóki wszystko nie zostanie odpowiednio załatwione.

– Co to za przykład dla chłopca?

– Słyszałam, że jest wdową. One są najgorsze, rzecz jasna, uganiają się za każdym, kto nosi spodnie.

Jedyną rzeczą, którą pamięta z tych świąt, to prezent, jaki kupiła mu matka – astronautę G.I. Joe i kapsułę kosmiczną. Nigdy nie dostał niczego wspanialszego.

Lucas ustawia fotel w pozycji do spania. Nie jest pewien, czy złe samopoczucie z powodu różnicy między strefami czasowymi jest natury fizycznej, czy emocjonalnej.

Jest już ciemno, kiedy Lucas się budzi. Czuje się zdezorientowany, nie ma siły wyjść do miasta na kolację, więc dzwoni do portiera i prosi o telefon do pizzerii. Hastings jest nad wyraz uczynny.

– Oczywiście, panie Spinner, mogę też służyć pomocą w zamówieniu innych usług, za których jakość ręczę.

Lucas jest zdumiony. Czy Hastings proponuje mu kobiety do towarzystwa? Szczerze mówiąc, zdecydowanie woli trzydziestocentymetrową capricciosę.

Lucas czeka na zamówioną ucztę z sera i szynki (oraz czosnkowego pieczywa) i znów wraca myślami do przeszłości. Album z fotografiami działa jak magiczny portal: w jednej chwili Lucas jest nagim brzdącem, który baraszkuje w brodziku ustawionym w zalanym słońcem ogrodzie, a za moment ma na głowie kominiarkę i siedzi na kolanach Świętego Mikołaja w pieczarze, którą Harrods przygotował dla dzieci na święta w połowie lat sześćdziesiątych. Nawet ze szczerbą między przednimi zębami, chory na ospę wietrzną, jest bez wątpienia oczkiem w głowie mamy, jej „ukochanym, najlepszym synkiem”. Ubóstwianym jedynakiem, który, patrząc z perspektywy czasu, był zupełnie nieprzygotowany na to, co miało nastąpić.

Jego jedyną rywalką do uczuć Barbary jest jej chrześniaczka. Elise pojawia się po raz pierwszy w albumie na czarno-białej fotografii z uroczystości jej chrztu. Matka trzyma opatulone niemowlę i wygląda jak stewardesa linii Pan Am; obok niej stoją Minty i June. Zdjęcie ma ozdobne żąbkowane obramowanie i jest podpisane: „Matka chrzestna kochanej Elise. Chrzest w kościele Najświętszego Zbawiciela w Chelsea”.

Z tego, co można dostrzec na fotografii, Elise jako niemowlę przypominała wściekłą rzepę z kępką czarnych włosów. Na pewno nie była ładnym dzieckiem z różowymi policzkami, jakie pokazują w reklamach mydła Pears, ale mimo to matka była nią oczarowana – „córka, której nigdy nie miałam” – i Elise regularnie pojawia się w albumie.

Tu jako brzdąc o gniewnym spojrzeniu („panna Despotka”), a tu na kucyku („Elise na Reksie”). Lucas czuje nagłe ukłucie zazdrości i chce się upewnić co do matczynych uczuć wobec niego, przyglądając się zdjęciu, na którym zajada się porcją lodów bananowych z bitą śmietaną na tle włoskich jezior („Uroczy Lucas i jego ulubiony deser, jezioro Como, 1964 rok”).

Co dziwne, na zdjęciu, które sprawia mu największy ból, Elise jest zupełnie do siebie niepodobna. To szkolna fotografia na jasnoniebieskim tle, chrześniaczka matki musi mieć około ośmiu lat, jej niesforne loki ściągnięto w dwa grube warkocze, stałe zęby zastąpiły już mleczne, ale nadal są nieco krzywe, mimo to Elise się uśmiecha, a duże brązowe oczy patrzą przyjaźnie na świat. Wygląda jak zwykła mała dziewczynka, którą jest.

Zza tego zdjęcia Lucas wyjmuje złożoną kartkę, stronę wydartą z jakiegoś czasopisma. Jest błyszcząca i gładka i zanim ją rozłoży, przeczuwa, co to jest.

Instynkt go nie zawodzi: „Panna Elise Landreth obchodzi swoje dziesiąte urodziny

w hotelu Park Lane Hilton w Mayfair”. Wiele razy widział tę fotografię przedrukowywaną w czarno-białych gazetach, ale ta pochodzi z kolorowego wydania „Tatlera”. Dobrej jakości papier zachował połysk.

Elise ma na sobie żółtą sukienkę bez rękawów. Przed nią stoi tort, wspaniałe czekoladowe arcydzieło, w które wetknięto zapalone zimne ognie. Pośrodku umieszczono dziesięć świeczek, a Elise przygotowuje się, żeby je zdmuchnąć. Za chwilę to zrobi i wszyscy będą klaskać, ale na razie dopiero wciąga powietrze do płuc.

Po jej bokach siedzi dwoje dzieci – dwunastoletni chłopiec szeroko otwartymi oczami wpatruje się w tort, młodsza dziewczynka jest ubrana w ciemnozieloną aksamitną sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem. Ma twarz, jaką łatwo znaleźć na każdym obrazie od czasów Tycjana aż po epokę Rossettiego – aniołka zwisającego z chmury, ładniutkiej służącej lub rozpieszczonej małej arystokratki. Jest rudowłosa i patrzy z podziwem na solenizantkę.

Elise, Lucas i Fern.

Jeśli przyjrzeć się uważnie, w rogu fotografii można dostrzec koniuszek gołębiego skrzydła. Lucas składa kartkę i starannie wsuwa ją w plastikową okładkę.

Jest mu gorąco i niewygodnie, jakby przeszłość zaczepiła palcem o jego kołnierzyk i wciągała go w otchłań.

Rok 1971, ostatni semestr nauki w Witterings, jego ojciec żeni się z „tą kobietą”. Matka przez cały dzień strzyka jadem, a w nocy rozkleja się i szlocha.

Lucas nie może tam być, to jasne, zresztą wcale nie ma na to ochoty. To przecież nie jest prawdziwy ślub, nie taki, jakie opisują w czasopismach, które czyta matka, śluby ludzi z najlepszego towarzystwa, odprawiane w wiejskich kościółkach, z eleganckimi oblubienicami i przystojnymi panami młodymi.

– Brudna, ukradkowa schadzka w urzędzie stanu cywilnego – sarka matka. Barbara została oficjalną rozwódką, ale zatrzymała nazwisko byłego męża. – Zawsze będę prawdziwą panią Spinner. Twój ojciec będzie tego żałował, zapamiętaj moje słowa.

Czy tak było? – zastanawia się Lucas. Czy w życiu ojca były chwile, kiedy żałował swojej decyzji, kiedy ubolewał, że nie został z Barbarą i Lucasem w słonecznych ogrodach River Walk?

Ślub zaplanowano na sobotę w maju.

– W czasie kwitnienia wiśni – entuzjasmowała się Edwina. – Może wepnę sobie kwiaty we włosy.

Była naprawdę groteskowa.

Panny młode nie zrywają kwiatów z drzew, żeby wpinać je we włosy – noszą koki, welony i tiary. Ta kobieta naprawdę nie miała o niczym pojęcia.

Dickie bardzo chciał, żeby pozwolono Lucasowi przyjść, i to sprowokowało wybuch wściekłości Barbary.

– Po moim trupie! – grzmiała, zaciskając dłoń na jedwabnej chustce wokół szyi. Wystarczyła najmniejsza wzmianka o Edwinie, by od razu dostała wypieków, na jej skórze pojawiały się złowrogie czerwone plamy.

Bliźnięta miały jedenaście lat (Lucas niedawno skończył dwanaście) i chociaż nie było mowy o uroczystości w kościele, Edwina powiedziała, że Rowena założy strój

druhny, a Charlie przebierze się za pazia (który podczas normalnego ślubu podtrzymywałby welon panny młodej).

– Druhna nie może nosić okularów – oznajmił Lucas Rowenie, która nie raczyła zaszczyć go spojrzeniem.

– Mogę robić, co zechcę, Lucas.

Charlie zachowywał się jeszcze gorzej: jego matka zdobyła dla niego buty ze sprzączkami, jakie widuje się na scenie podczas przedstawień dla dzieci. Do tego postanowił włożyć aksamitną kamizelkę i fular.

– Przydałby się też kapelusz – stwierdził.

Lucas nie rozumiał, dlaczego tak przerażają go te idiotyczne plany, przecież i tak nie wybierał się na ślub.

Traf chciał, że Lucas dostał wcześniej zaproszenie na przyjęcie urodzinowe Elise, chrześnicy swojej matki, córki cioci Minty i wujka Paula, który był ministrem w gabinecie torysów, a więc kimś naprawdę ważnym.

Barbara coraz bardziej zazdrościła Minty: jej mąż budował swoją karierę polityczną z dużo większym zaangażowaniem niż Dickie. No i proszę – został wpływowym mężczyzną, a Minty zawsze miała najnowsze modele kapeluszy od Harrodsa. Udawała, że te wszystkie obowiązki, którym musi podołać w związku z funkcją swojego przystojnego i mądrego męża, są jak cierń w boku, ale Barbara nawet przez chwilę nie dawała się zwieść jej słowom, bo przecież nikt nie narzeka na śniadanka w rezydencji premiera w pałacu Chequers.

Lucasa zalewają wspomnienia, potrzebuje jakiegoś psychicznego odpowiednika zapory na Tamizie, żeby powstrzymać tę powódź.

Matka zamówiła taksówkę, włożyła różowy kapelusz, ozdobiony czymś, co przypominało płatki kwiatów, wyglądała pięknie, ale oczy miała podkrążone; on niósł zawiniętą w ozdobny papier paczkę przewiazaną wstążką.

– Chyba nie jest jeszcze za dorosła na lalki – powiedziała matka. Była zaniepokojona i przez całą drogę na Park Lane nerwowo trajkotała. – To przyjęcie urodzinowe mojej chrześnicy – oznajmiła szoferowi. – W Hiltonie.

Lucas nie przypomina sobie odpowiedzi kierowcy, ale zdaje się, że rzucił coś w stylu: „więcej pieniędzy niż rozsądku”.

Był chyba zakłopotany. Doszło do drobnej sprzeczki z matką, czy może włożyć długie spodnie, ale Barbara ich nie akceptowała: najpierw powinien skończyć Witterings i pójść do Wyebourne.

– Dopiero wtedy będziesz mógł nosić takie spodnie – warknęła.

Szorty były odrobinę za ciasne i za krótkie, nad szarymi długimi skarpetami sterczały różowe kolana. Miał też na sobie białą koszulę i krawat, który sam zawiązał – musiał, bo przecież ojciec brał ślub z tą kobietą i nie mógł pomóc synowi.

Recepcjonista wskazał im drogę do wynajętych apartamentów, gdzie znajdowała się też garderoba do wyłącznego użytku gości panny Elise, a w długim korytarzu stał stół, na którym można było zostawić prezenty dla jubilatki.

Większość szczegółów z tego dnia z czasem się rozmyła. Lucas mgliście przypomina sobie grający na żywo zespół i jakieś gry towarzyskie, nieco idiotyczne,

i swoje zawstydzenie, kiedy wciągnięto go do zabawy w gorące krzesła. Ale herbata i przekąski były doskonałe, a wszyscy rodzice trzymali się z daleka, popijali drinki, palili i jedli kanapki.

Po herbacie, ale przed tortem, mistrz ceremonii, ubrany w czerwony surdut jak konferansjer w cyrku, zapowiedział występ magika i nagle zapaliły się różnokolorowe światła. Zespół muzyczny wykonał dramatyczną uwerturę i w kłębach zielonego dymu na scenie pojawił się mężczyzna w cylindrze; kiedy wypuszczał gołębie z rękawów i wyciągał królika z kapelusza, nawet rodzice odstawili campari i odłożyli papierosy.

Miał włoski akcent i Lucas wiedział, że to właśnie jego iluzjonista wybierze, czuł na sobie jego przeszywający wzrok.

– To wybitny członek Stowarzyszenia Magików – szepnął ktoś.

– Weź kartę, jakkolwiek – polecił mu iluzjonista.

Lucas wyciągnął szóstkę trefl i napisał mazakiem na odwrocie swoje imię. Pięć minut później, zwinięta w rulonik, znalazła się wewnątrz piłki tenisowej. Długo przechowywał tę kartę. Rowena i Charlie mogli sobie być na tym głupim ślubie jego taty i macochy, objadać się lodami z bitą śmietaną i owocami, ale on miał szóstkę trefl z własnym imieniem, a zresztą tu też podano lody i olbrzymi tort z wetkniętymi sztucznymi ogniami; tort był tak wielki, że trzeba go było wieźć na wózku, wszyscy śpiewali: „Sto lat, Elise”, a profesjonalny fotograf (bardzo znany, robił zdjęcia podczas ważnych wydarzeń towarzyskich, takich jak wyścigi w Ascot) uwiecznił tę chwilę swoim ogromnym czarnym aparatem z fleszem.

Trzask! Siedzi obok dziewczynki, która obchodzi urodziny i przygotowuje się do zdmuchnięcia świeczek. Trzask! Jedzą tort i się śmieją.

– Uśmiech do kamery, poproszę – mówi fotograf.

Trzask! Siedzą we trójkę: Lucas, Elise i jej kuzynka z jasnorudymi włosami.

Nazywa się Fern i ma dziewięć lat.

Po torcie była dyskoteka i niektórzy rodzice przyłączyli się do tańców. Jeden z gołębi magika uciekł, przestraszył się i zaczął atakować mieniającą się kurtynę, srał na parkiet, wszystkie kobiety przykrywały głowy, krzyczały i uciekały.

Wtedy Lucas ponownie dostrzegł małą rudą dziewczynkę. Tkwiła nieruchomo pośrodku sali tanecznej i płakała, więc wziął ją za rękę, drobną jak ramię rozgwiazdy, i wyprowadził stamtąd, a kiedy to zrobił, po raz pierwszy w życiu poczuł się dzielny i dobry jak superbohater.

– Było mi przykro, bo ptaszek tak się wystraszył, myślałam, że umrze – powiedziała, a jej niebieskie oczy nadal wypełnione były łzami.

Dał jej chusteczkę, żeby mogła je otrzeć.

Ta historia najbardziej zainteresowała bliźnięta, kiedy Lucas opowiadał im o przyjęciu urodzinowym. Przez cały weekend odgrywali scenę z ptakiem srającym na gości, wymieniali się rolą wielkiego, skrzeczącego latającego potwora, skakali z mebli i udawali, że oddają kał na skulonych gości, aż w końcu przestało to być zabawne i nawet Edwina powiedziała im, żeby dali spokój. Na palcu miała nową złotą obrączkę, bardzo świecąca; Lucas nie mógł znieść jej widoku.

Jego matka nadal nosiła swoją.

– Lepiej traktują cię w sklepach, kiedy widzą, że jesteś mężatką – wyjaśniła. – Ludzie współczują starym pannom, ponieważ najczęściej są bez grosza, a rozwódkom nikt nie ufa.

Edwina i Dickie nie pojechali w podróż poślubną.

– To dziwne – skomentowała Barbara. – Mnie zabrał na Capri.

Dzwonek do drzwi przerywa wspomnienia. Pizza Lucasa już jest – to dobrze. Na deser zje pudding ryżowy z puszki.

Kolacja była wyśmienita i Lucas postanawia, że jeśli kiedykolwiek znajdzie się w celi śmierci, zażąda, by na ostatni posiłek podano mu pizzę i pudding ryżowy z puszki. Objedzony, sadowi się ponownie w rozkładanym fotelu i powraca do kroniki życia matki.

Fotografie ułożone są najczęściej chronologicznie, ale na niektórych stronicach Barbara stworzyła zestawy tematyczne, na przykład letnie wakacje – Lucas natrafia niespodziewanie na pomieszane zdjęcia z urlopów (od lat pięćdziesiątych do osiemdziesiątych) i jest nieco poruszony, kiedy dostrzega, że matka wyglądała zadziwiająco seksownie w białym bikini („Saint-Tropez, 1966 rok”). Zawstydzony, szybko przewraca kartki, aż znowu natrafia na swoją podobiznę – z fotografii spogląda na niego tłusty chłopak w szarych, prążkowanych długich spodniach z podwiniętymi nogawkami. Lucas wyraźnie widzi zagięcie i szew po skróceniu, niemal czuje na skórze nóg szorstką mieszankę wełny i poliestru.

Spodnie były za długie o dobre dwadzieścia centymetrów. Musiał stanąć na krześle, a pani Glynne, gospodyni, krążyła wokół na kolanach i podwijała mu nogawki. Ostatnimi czasy mocno przytył, wydawał się szerszy niż wyższy.

W oczach chłopca na fotografii widać podniecenie, zdenerwowanie i przestrach: skończył naukę w Witterings, we wrześniu pójdzie do Wyebourne, starej szkoły ojca, w której Dickie miał doskonałe stopnie, a potem został przyjęty do kolegium Brasenose w Oksfordzie.

– No to wpadłeś – szepcze Lucas, czując nagły przyptyw sympatii do chłopca na krześle, który niedługo miał zaznać goryczy porażki.

Matka była w swoim żywiole, przeglądała uważnie listę rzeczy niezbędnych w szkole i radośnie oznajmiła:

– Szermierka! Kochanie, to wspaniale! Będziesz wyglądał jak Errol Flynn.

Ale przed Wyebourne miał jeszcze osiem tygodni letnich wakacji.

– Precz ze szkołą! – darł się Alice Cooper ku zgorszeniu matki.

Tego lata 1972 roku pojechali na Ibizę – wtedy była tam jedynie wioska rybacka. Barbara wynajęła z przyjaciółkami willę, kobiety skrzeczały jak papużki, nosiły wielkie okulary przeciwsłoneczne, zostawiały ślady szminki na kieliszkach z koktajlami i podczas kolacji flirtowały z cudzoziemskimi kelnerami.

Nie było nikogo w jego wieku i przez prawie cały czas czuł się nieswojo. No i był gruby. Jego sylwetka zaczynała niepokoić zarówno jego, jak i matkę. Słyszał jej rozmowy z koleżankami:

– Chyba nie myślicie, że jest zbyt otyły?

Odpowiedź, która padała ze stojącego obok na słońcu leżaka, była uspokajająca:

– To tylko dziecięca pulchność, kochana. Jak pójdzie do szkoły, od razu schudnie.

Lucas nie chciał zdejmować koszulki ani wchodzić do basenu. Pozostawał w pełni ubrany, nabawił się potówek i próbował podpalać mrówki za pomocą kawałka odłamanego lusterka.

Największą atrakcją stanowiły posiłki: w willi była pełna obsługa i na lunch

o pierwszej przygotowywano szwedzki stół. Wyglądało to tak, jakby przez dwa tygodnie codziennie zapraszano ich na weselną ucztę.

– Kochanie, kiedy wrócimy, będziemy jeść tylko chrupkie pieczywo i seler.

Barbara miała wprawę w walce z nadwagą. Traktowała to bardzo poważnie, kupowała książki i chodziła na spotkania grup wsparcia, ale ciągle tyła, bo dopadał ją efekt jo-jo. Była albo zbyt nieszczęśliwa, by jeść, albo zbyt nieszczęśliwa, by nie jeść.

– To przeklęty krąg – wyjaśniała Lucasowi.

W akcie desperacji zainstalowała w łazience na River Walk odchudzającą platformę wibrującą i całe godziny spędzała z szerokim płóciennym pasem założonym na biodra lub uda; w ten sposób próbowała pozbyć się nadmiaru tłuszczu.

– To cudo – powiedziała Lucasowi. – Dzięki tej maszynie znikną mi fałdy na brzuchu.

Lucas spróbował kiedyś z niej skorzystać i po raz pierwszy w życiu dostał erekcji, ale był zbyt wielkim tchórzem, żeby ponownie zbliżyć się do urządzenia.

Kolejna sprawa związana z brakiem męczyzny w domu: nie było z kim porozmawiać o pewnych rzeczach, o siusiaku i włosach łonowych.

Jeśli Lucas chciał porozmawiać z ojcem, musiał czekać na weekendy, które spędzał na Kennington Road. Chociaż tęsknił za tatą, nigdy nie potrafił przekroczyć progu domu pod numerem sto trzydzieści siedem bez wrażenia, że wkracza na ruchome piaski.

Bliźnięta wytrącały go z równowagi. Były dziwne, androgeniczne i rozumiały się bez słów. Wszystko, co robiły, wydawało mu się osobliwe: sposób, w jaki nakładały marmoladę na masło orzechowe czy ponure milczenie przerywane wybuchami wesołości. Ale to przede wszystkim niesamowita inteligencja Roweny i nieprzewidywalne wysoki Charliego sprawiały, że w porównaniu z nimi czuł się niezdarny i tępy.

Dwoje na jednego – równowaga była zachwiana. Gdyby chociaż miał młodszego brata, chłopca trochę podobnego do siebie, towarzysza i sojusznika, jednak był samotny i obcy w domu, który dziwnie pachniał, wśród ludzi, których nie lubił i którzy – w porównaniu z jego matką – nie zdawali się cenić go wysoko.

Oczywiście ojciec starał się, jak mógł, dawał jasno do zrozumienia, że uważa Lucasa za fajnego, bystrego chłopaka, i był całkowicie przekonany, że syn i spadkobierca z powodzeniem podąży w jego ślady. Po Wyebourne pójdzie do Oksfordu (najlepiej do dawnego kolegium ojca), a potem rozpocznie karierę polityczną.

– A co ty sam chciałbyś robić, Lucas? – spytała go macocha, podając jakieś paskudztwo na sobotni lunch.

Edwina rzadko gotowała, nie lubiła tego. Większość posiłków przygotowywała czarna kobieta, pomoc domowa, która potwornie przerażała Lucasa. (Czarna kobieta, Lucas, jesteś pewien? – spytała matka i wysoko uniosła wydepilowane brwi).

– No, wykrztuś to z siebie. Co chciałbyś robić, kiedy skończysz szkołę?

Pytania Edwiny najczęściej odbierały mu mowę. Tak bardzo różniła się od jego matki, zachowywała się jak nastolatka, chodziła w domu na bosaka, strząsała popiół gdzie popadnie, zbyt głośno nastawiała muzykę i nigdy nie pytała bliźnięt, czy umyły ręce przed jedzeniem (Lucas był pewien, że tego nie robiły).

– Chciałbym pracować w banku – odpowiedział.

Edwina się roześmiała.

– Naprawdę, Lucas, tylko tyle? Praca w banku to szczyt twoich marzeń? Myślałam, że lubisz kosmos: nie chcesz polecieć na Księżyc, odkrywać nowych galaktyk, doświadczyć braku ciężenia?

W tym momencie Charlie założył na głowę durszlak i zaczął gadać jak kosmita, ale Edwina nie kazała mu się zamknąć.

– Czy w tej potrawie jest mięso? – spytał ojciec.

– Nie – odparła Edwina. – Mamy wegetariański weekend. To ciecierzycyca z chili.

Była okropna.

Edwina starała się nie ograniczać nikomu wyobraźni i swobody twórczej. Dlatego nie przeszkadzało jej rysowanie na ścianach ani to, że Charlie używał jej szminki.

– Chciałabym zachęcić cię do poszerzania horyzontów artystycznych, eksperymentowania, przecież możesz być, kimkolwiek zechcesz.

– Ale ja chcę być kierownikiem w banku – upierał się Lucas.

Nagle przychodzi mu do głowy myśl, czy nie poświęcił się karierze w finansach tylko po to, by zrobić na złość Edwinie. Kim naprawdę chciał zostać? Znów spogląda na fotografię, w swoje oczy trzynastolatka.

Chciałem być wyższy, bardziej wysportowany i naprawdę lubiany, ale przede wszystkim chciałem czuć się dobrze we własnym ciele, pragnąłem być chudy jak Charlie i Rowena.

Z perspektywy czasu wydaje mu się, że jako dziecko nie był nielubiany. W szkole miał dużo przyjaciół, tylko trudno było wszystko tak zorganizować, żeby mógł widywać się z kolegami podczas ferii i wakacji, bo najczęściej siedział wtedy w Londynie. Większość czasu spędzał w podróżach pomiędzy jednym domem a drugim.

Czuł się zażenowany całą tą sytuacją, było w niej coś podejrzanego, powiew skandalu, bowiem większość ludzi wiedziała, kim jest Edwina („To ta słynna ilustratorka, wicie, ta od książeczek o Betsy i Tomie”).

Lucas nie uznawał talentu macochy. Nie chciał wchodzić do jej pracowni i odmawiał uczestnictwa w kreatywnych zajęciach przy kuchennym stole.

– Nie znoszę rysowania.

– Nie można nie lubić rysowania.

– Ja mogę. Nienawidzę tego, rysowania, malowania i tych wszystkich głupot. To dobre dla maluchów.

Lucas czuje się odrobinę winny. Ciężko było zaciągnąć go do muzeum, w galerii Hayward powłóczył nogami, nic go nie interesowało, gapił się tylko na czubki własnych butów.

Kiedyś słyszał, jak Edwina łka z głową złożoną na piersi Dickiego.

– Nie potrafię się z nim dogadać, kochanie, nie rozumiem go.

Ojciec pogładził ją po włosach i powiedział:

– Potrzeba tylko czasu, nic więcej. Musi trochę dorosnąć.

Dorastał, przynajmniej wszersch. Dowód ma przed sobą: gruby, niedojrzały nastolatek w za długich spodniach.

Przed powrotem powinien był się ostrzyć. Edwina zaproponowała, że nałoży mu

na głowę miskę do puddingu i przytnie włosy, tak jak robiła to Rowenie. Przyniosła nawet nożyczki i pobrzękiwała mu nimi przy uchu. Boże, czasem naprawdę jej nienawidził.

Wcześniej matka zabierała go do swojego salonu fryzjerskiego. Terence ustawiał plastikowe dziecięce krzeselko na jednym z normalnych foteli. Lubił strzyć małych chłopców, ale nie przyjmował w swoim zakładzie młodzieńców, więc kiedy Lucas skończył trzynaście lat, Dickie zaprowadził go do zakładu na St. James, gdzie syn mógł obserwować, jak ojcu przed goleniem brzytwą nakładają na twarz warstwę piany.

Kiedy fryzjer usuwał zarost z szyi, grdyka taty drgała niespokojnie i Lucas poczuł, że robi mu się niedobrze. Miał nie najlepsze wspomnienia związane z brzytwą, musiał wyjść na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza i opanować nerwy. Za dwa tygodnie miał pojechać do Wyebourne, gdzie nie tolerowano tego typu idiotycznych hysterii.

Przed wyjazdem rodzice zabrali go na lunch. To był rzadki pokaz rodzinnej jedności i pierwszy raz, odkąd Dickie wyprowadził się z domu, kiedy Lucas zobaczył ich razem.

Poszli do Simpsona na Strandzie. Matka miała wspaniale ułożone czarne loki. Terence wplótł w nie kilka „dodatków” i rezultat był imponujący. Z daleka można było uznać ją za faworytkę do wygrania konkursu Miss Świata.

Ojciec zachowywał się bez zarzutu, podobnie jak Lucas. Wszyscy zamówili steki; były wyśmienite, ale Barbara nie zjadła swojego. Nie tknęła też koktajlu z krewetek. Wpatrywała się w Dickiego oczami pełnymi łez, bez przerwy przekręcała obrączkę na palcu i w końcu powiedziała:

– I po co to wszystko było, Dickie? Przysięga ślubna, druhnny w żółtych sukniach z szyfonu. Nie pamiętasz? Zrzuńnowałeś mi życie.

W tym momencie ojciec spróbował zmienić temat, wspomniał o krykcie i nowym musicalu na West Endzie.

– Prawie nigdzie już nie bywam – skrzywiła się matka, co było kompletną bzdurą, bo ciągle chodziła na bale charytatywne i spotkania w klubie brydżowym.

Pomiędzy łyżkami szampana – „w końcu mamy co świętować” – Barbara drapała się po bliznach na nadgarstkach. Lucasa niepokoił ząbkowany nóż do steków i odetchnął z ulgą, kiedy kelner zabrał ledwo napoczęte główne danie. Jeszcze przyszyłoby jej do głowy coś głupiego. Obrusy były wykrochmalone i śnieżnobiałe, nie mógł odpędzić myśli, jak okropnie by wyglądały, gdyby spryskała je krew; wszyscy by to zauważyli i gapiliby się na nich.

Ojciec chciał, żeby zamówił lody z owocami i bitą śmietaną, ale Lucas przypomniał sobie, jak bliźnięta przechwalały się, ile zjadły takich deserów na ślubie Edwiny i Dickiego. Nagle zrobiło mu się słabo i chciał wracać do domu.

Matka płakała w taksówce przez całą drogę do Chelsea. Trzymał ją za rękę na tylnym siedzeniu i obiecywał, że nigdy jej nie opuści, co było idiotyczne, bo przecież za trzy dni wyjeżdżał do Wyebourne.

Gdy dotarli na River Walk, matka z zimnym kompresem na głowie położyła się do łóżka, a Lucas po raz dziesiąty przepakowywał swój kufer. Skrzynia była niesamowita. Ojciec kupił ją w Harrodsie.

– Czeka cię wspaniały okres w życiu – obiecywał. Zapłacił za wytłoczenie złotego

monogramu na ciemnoczerwonym skórzanym obiciu kufra. L.P.S., Lucas Peter Spinner.
– To, że nie kocham twojej matki, nie oznacza, że nie kocham ciebie – powiedział.

No właśnie, zastanawia się Lucas, otumaniony zmęczeniem. Gdzie jest mój kufer? Przez lata stał w jego sypialni na River Walk; Lucas znów czuje nostalgię za czasami, gdy miał swój pokój z modelami rakiet kosmicznych rozstawionymi na parapecie i wielkim plakatem z planetami wiszącym na ścianie. Szykuje się do spania, stara się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Układzie Słonecznym, i zasypia, mamrocząc coś o „fuzji jądrowej”.

Lucas leży w łóżku i żałuje, że nie zamówił dodatkowej pizzy na śniadanie; następnie dochodzi do wniosku, że wszystko zepsuło się przez kufer. Do dzisiaj nie może pojąć, dlaczego ojciec to zrobił. Z perspektywy czasu rozumie, że Dickie prawdopodobnie nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad tym.

Kufer to kufer. Ten Lucasa był ciemnoczerwony. Matka zrobiła zdjęcie „swojego wyrośniętego maleństwa” – Lucas stał z jedną nogą opartą na wielkiej skórzanej skrzyni, jakby właśnie upolował ją na trawniku River Walk.

Chwilę później podjechał ojciec, zaparkował przed domem i zatrąbił trzy razy. Stało się, przez następne pięć lat Lucas miał być chłopakiem z Wyebourne.

Matka otarła oczy, powiedziała, że go kocha, że jest z niego bardzo dumna, pocałowała go niezdarnie w nos i uciekła do środka, zatraskując żółte drzwi tak mocno, że aż zadrżały szyby w stalowych ramach.

Nawet jeśli Dickie coś zauważył, nie skomentował tego, niełatwo było wyprowadzić go z równowagi. Dopiero dziesięć lat później Lucas miał zobaczyć, jak ojciec traci nad sobą panowanie.

W drodze do szkoły Dickie opowiadał Lucasowi o wszystkich szaleństwach i tarapatach, w jakie pakował się podczas swojej bytności w Wyebourne. Był w wylewnym nastroju, spuścił szybę w drzwiach, popiół z papierosa sypał się na zewnątrz i do środka samochodu.

– Zazdroszczę ci, stary, to wszystko dopiero przed tobą, cała ta niesamowita frajda.

Lucas nieźle się starał, żeby wyglądać na pewnego siebie nastolatka, który nie może się doczekać nowej szkoły i przygód, które na niego czekają, ale w gruncie rzeczy był przerażony. A co z mokrymi snami, co z mutacją, co z jądrami?

Zamiast porozmawiać o tych drażliwych sprawach, ojciec i syn wystrzegali się wszelkich tematów, które mogłyby wzbudzić emocje. Podczas dwupółgodzinnej podróży nie mówili o niczym ponurym lub niepokojącym, ograniczając się do pogaduszek o szkolnych rozgrywkach sportowych i zaletach poszczególnych burs. Dickie był w Miltonie, a Lucasa skierowano do Bunyana, ojciec przypomniał mu, że to od nazwiska autora *Wędrówki Pielgrzyma*.

– Ale nie martw się, pobyt w szkole to nie pokuta – powiedział tata.

Opinie ojca nie miały większego znaczenia; Lucas szybko się zorientował, że w Wyebourne chłopcy z Bunyana byli (nie do końca czule) określani mianem „gamonii”.

Kiedy zbliżali się do wysypanego zwiernem podjazdu, Dickie zasugerował, żeby syn spróbował sił w wiosłarstwie. Lucas na chwilę zaniemówił. Czy ojciec oszalał? Grubi chłopcy nie wiosłują. Zatopiłby łódkę.

– Przede wszystkim – kontynuował ojciec – bądź aktywny. Nikt nie lubi tych, którzy chadzają własnymi ścieżkami. Postaraj się zgłaszać na ochotnika, wykazuj inicjatywę, bądź dobrym kumplem, a wszystko pójdzie jak po maśle.

I właściwie tak było. Lucas zastanawia się głęboko nad Wyebourne. Pomimo że zignorował rady ojca, przez większość czasu nie był ani nieszczęśliwy, ani specjalnie

zadowolony. Już wcześniej przywykł do mieszkania w internacie, a pobyt (przynajmniej przez pewien czas) z daleka od matki i jej bezsensownej samotności działał orzeźwiająco. Jedzenie było w porządku, nauczyciele też, tak samo jak zajęcia. Najważniejsze, że się nie wyróżniał. Dzięki parze chorobliwie otyłych bliźniaków z jego klasy, których już pierwszego dnia przechrzczono na Grubasa i Tłusciocha, udało mu się uniknąć przezwiska związanego z nadwagą.

Był po prostu Spinnerem, nawet nie jedynym; inny kolega, który nazywał się tak samo, zyskał przydomek od nazwy brytyjskiego śmigłowca Sycamore. Lucas nie od razu zrozumiał dlaczego (choć etymologia jego nazwiska wiązała się z ruchem obrotowym), a kiedy już to pojął, poczuł zazdrość. Dlaczego właśnie ten chłopiec otrzymał taki wyjątkowy pseudonim, a nie on?

Po namyśle dochodzi do wniosku, że przez cały pobyt w Wyebourne płynął z prądem, nigdzie i do nikogo nie dołączył. Teraz, czterdzieści lat później, zastanawia się, czy mógł postarać się bardziej, skorzystać z tego, co mu oferowano, wykazać większą aktywność.

Ale wtedy chciał tylko unikać problemów. Był potwornie nieśmiały, miał kompleksy ze względu na nadwagę i cuchnący oddech – skąd ktoś mógł wiedzieć, że cierpi na halitozę? Często zasłaniał usta dłonią, ale ukrywał swoją paranoję i udawał, że niczym się nie przejmuje. Stał się tak nonszalancki, że nie mógł już postępować inaczej: oczywiście, że nie pójdzie na przesłuchanie do chóru, niby dlaczego miałby zapisać się do kółka fotograficznego, filatelistycznego lub szachowego? Z czasem ta postawa utrwalała się i zmieniła w rodzaj apatycznego letargu: w rezultacie Lucas nie robił prawie nic. Stał się prawdziwym bunyanowskim gamoniem.

Właściwie najdramatyczniejszym wydarzeniem w jego życiu w Wyebourne stało się przybycie przybranego brata, Charliego. To było niewiarygodne, druga najgorsza rzecz, jaką zrobił mu ojciec (pierwszą było porzucenie matki).

Pewnie gdzieś w kufrze zachował się list Dickiego, w którym wyjaśniał sytuację. Ojciec opisał to mniej więcej w taki sposób:

Posłuchaj, mój stary, młody Charlie dał plamę podczas egzaminów w swojej byłej szkole. Na szczęście w Wyebourne zgodzili się go przyjąć. Wiem, że to może nie być dla Ciebie łatwe, ale byłbym wdzięczny, gdybyś miał na niego oko; to dobry chłopak.

Piękne kaligraficzne pismo na delikatnym kremowym papierze. Lucas za nic nie jest w stanie sobie przypomnieć, czy ojciec załączył uściski.

Lucas nie chciał mieć nic wspólnego z Charliem. Był dopiero drugi rok w tej szkole i nie miał zamiaru komplikować sobie życia. Nic ich nie łączyło, nosili różne nazwiska, dlaczego nie można zachować wszystkiego w tajemnicy? Mnóstwo chłopców nie zwracało uwagi na swoich braci, nawet rodzonych, a co dopiero mówić o przybranych półgłówkach.

Dickie przywiózł Charliego mniej więcej tydzień po rozpoczęciu trymestru jesiennego. Struchlały Lucas obserwował to z okna sypialni. Co będzie, jeśli Edwina też wysiądzie z samochodu? Ostatnio wygrzebała skądś jakiś okropny, śmierdzący afgański kozuch. A jeśli będzie go miała na sobie? Spocił się na samą myśl o możliwej

kompromitacji.

Na szczęście z Bentleya wynurzyli się tylko Dickie i Charlie – no i jego kufer. Nowiutki jasnyniebieski kufer, który, pomijając kolor, był przerażająco podobny do skrzyni Lucasa.

Ponownie poczuł, jak wnętrzności skręcają mu się z wściekłości, znów musiał iść do toalety. Cholerny, pieprzony Charlie!

Z portierni wyszedł odźwierny, który zabrał bagaż do tej części internatu, w której miał zamieszkać Charlie (oczywiście znalazł się w Miltonie). Kiedy przetaczał go pod oknami sali sypialnej, Lucas od razu zauważył, że kufer był identyczny, tylko złoty monogram na wieku składał się z liter C.S.T. Charlie Skurczybyk Tuman.

Czy ojciec nie zdawał sobie sprawy, co to oznacza?

Wyszło na to, że on i Charlie byli sobie równi, że ojciec tak samo dbał o tego patentowanego durnia jak o własnego, jedyne dziecko.

W krótkim przebiegu nienawiści Lucas poczuł, że jest zadowolony, iż dziecko Edwiny umarło, że skończyło życie w sedesie, niczym jakaś cholerna złota rybka, którą można wygrać na jarmarcznej strzelnicy.

Kilka miesięcy wcześniej ojciec w końcu zdecydował się powiedzieć mu o ciąży, głównie dlatego, że chciał, by Lucas był trochę miłszy dla Edwiny.

– Oboje nadal cierpimy – zwierzył się i dodał: – Nie ma nic smutniejszego niż strata dziecka.

Lucas nawet mu wtedy współczuł, ale teraz był zadowolony. Ojciec nie zasługiwał na kolejne dziecko.

Charlie wywołał małe zamieszanie w Wyebourne: przyjechał później niż inni, włosy wchodziły mu na oczy i nie nosił krawata. Jakby przybyła tu nastoletnia gwiazda filmowa z Hollywood. Kim on był?

Lucas został wezwany do kierownika internatu Milton, który polecił mu, żeby zapoznał nowego ucznia ze zwyczajami i tradycjami szkoły, zwłaszcza tymi dotyczącymi ubioru.

– Co za kupa pieprzonych bzdur – skomentował Charlie.

Od tej chwili Lucas unikał przybranego brata. Nie było to trudne: Charlie najczęściej przebywał na zajęciach albo siedział w kozie. Ta historia wydarzyła się właśnie wtedy, gdy za karę zatrzymano go w klasie po lekcjach. Jeden jedyny raz Charlie przyszedł do niego po pomoc. Pewnego deszczowego listopadowego dnia, kiedy drzewa zrzucały resztki rdzawych liści, Lucas wrócił z lekcji teologii i przed drzwiami swojej sypialni zastał przybranego brata. Cały Charlie, pomyślał, był już znużony jego nieposłuszeństwem. Przecież uczył się w Wyebourne już wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie wolno mu przebywać w bursie Lucasa bez pozwolenia.

– Nie wiem, jaką masz do mnie sprawę – wysyczał do brata. – Ale wygląda na to, że szukasz kłopotów.

I Charlie mu powiedział.

Wówczas pewne szczegóły wydały mu się bez sensu. Lucas był prawiczkiem, nie miał doświadczeń z kobietami ani z chłopcami, ani – tym bardziej – ze starszymi mężczyznami.

Teraz, czterdzieści lat później, wie, że popełnił błąd, mówiąc prosto w oczy trzynastoletniemu Charliemu, że kłamie, jak może zmyślać takie bzdury o panu Robbinsie, starym koledze szkolnym ojca.

– Dostajemy od niego kartki na Boże Narodzenie, Charlie. Czy sądzisz, że ktoś, kto wysyła życzenia świąteczne do przyjaciela ze szkoły, jest w stanie popełnić coś tak ohydneho?

– Lucas, on mi kazał sobie obciągnąć – odpowiedział Charlie, a Lucas do dziś nie jest pewien, czy przybrany brat uśmiechał się złośliwie, kiedy to mówił. – Zabrał mnie do składziku i powiedział, że jestem wyjątkowy, przez cały czas bawił się ze sobą, a kiedy był sztywny jak kij od szczotki, kazał mi go wziąć do ust i... Zastanawiałem się, komu mam o tym powiedzieć.

– Nikomu, ty popieprzony dziwaku! – krzyknął Lucas.

Ale Charlie go nie posłuchał. Powiedział pielęgniarce, która i tak już coś podejrzewała, a potem zgłosili się jeszcze dwaj chłopcy, którym przydarzyła się podobna historia, i zanim zaczęły się ferie, Charlie i pan Robbins na zawsze opuścili szkołę.

W Wyebourne udało się zatuszować całą sprawę. Było nieco gadania, kiedy Robbins się powiesił, ale większość ludzi uważała, że na koniec postąpił honorowo. Co dziwne, Barbara wyrażała się o nim z wyjątkowym jak na nią współczuciem:

– Biedny człowiek. Nie zrozum mnie źle, Lucas; to, co zrobił Robbins, było potworne, ale nie mów mi, że ci chłopcy byli zupełnie bez winy. Na pewno zachowywali się wyzywająco.

Rzecz jasna po sprawie z Robbinsem Charlie poszedł do jakiejś idiotycznej szkoły „eksperymentalnej”, gdzie (w odróżnieniu od Wyebourne, w której dochodziło do pewnych ukradkowych czynków jedynie podczas ciszy nocnej) uczniów zachęcano do uzewnętrzniania własnej seksualności, a homoseksualizm był całkowicie akceptowany.

– A pewnie nawet do niego zachęcano – szepcze z goryczą Lucas, zadowolony, że to miejsce spłonęło w latach dziewięćdziesiątych, bez wątpienia podpalone przez kogoś, kto zgłębiał swą naturę piromana i eksperymentował z zapalnikami.

Sam Lucas przez cały pobyt w Witterings i Wyebourne nie miał doświadczeń z „takimi rzeczami”, ale teraz, szperając w zakamarkach pamięci, przypomina sobie, jak udawał, że głęboko śpi, kiedy ze skrzypiącego łóżka stojącego w przeciwległym kącie sali sypialnej dobiegały charakterystyczne rubaszne odgłosy. Zakrywał sobie uszy, żeby nie słyszeć wybuchu histerycznego śmiechu, któremu towarzyszyło szlochanie.

Dobra, dość tego, myśli Lucas. Czas wstawać i zmierzyć się z dniem – zacnie od kąpieli. Niektóre wspomnienia sprawiają, że człowiek czuje się wyjątkowo brudny.

Mój tłusciutki, kochany synek

Lucas widzi swoje odbicie w lustrze w łazience. Wygląda jak groteskowy Gollum; nadwaga prześladowała go przez całe życie. Gdy siada w wannie, fala wzburzonej wody przelewa się przez krawędź i ochlapuje dywanik.

Nawet matka uważała, że jest gruby. Pod jedną z fotografii w albumie napisała: „Mój tłusciutki, kochany synek”.

Oczywiście nie była bez winy. Zawsze kiedy wracał na River Walk, Barbara traktowała go jak rozpieszczonego kanapowego pieska, przerośniętego pekińczyka, z którym wychodzi się na zbyt krótkie spacery, a karmi się go zbyt obficie. Jej miłość była przesłodzona, pokryta bitą śmietaną i obłana czekoladą. Mdła, bezgraniczna miłość, której Lucas zarazem pożądał i nie znosił.

– Daj mi spokój, mamó, nie jestem niemowlakiem.

Ale dla niej na zawsze pozostał wielkim, tłustym bobasem.

Kiedy Lucas skończył piętnaście lat, wszedł na wagę matki i natychmiast z niej zeskoczył. Jego ciężar wyrażony w kamieniach był taki sam jak wiek. Piętnaście kamieni, czyli ponad dziewięćdziesiąt sześć kilogramów. Nawet wskazówka na skali zadrżała z przerażenia.

Kilka tygodni później do Barbary zadzwoniła szkolna pielęgniarka i powiedziała, że Lucas potrzebuje specjalnego talku, aby wyleczyć grzybicę, która na skutek odparzeń zaatakowała pachwiny; „koszt substancji zostanie doliczony dodatkowo” do czesnego.

Barbara była wściekła. Telefonowała ta sama kobieta, która doniosła na tego biednego pedała Robbinsa.

– Wścibska krowa. Nie powinna wtykać nochała w sprawy innych ludzi.

Jednak fakty były niepodważalne: naturalna skłonność Lucasa do otyłości skutkowało tym, że z puciołowatego chłopca stał się tłustym pulpetem z rozstępami na skórze i czasami, stojąc obok Grubasa i Tłusciocha, czuł się, jakby byli trojaczkami. Coś trzeba było z tym zrobić, więc Barbara zabrała go na Harley Street, gdzie przepisano mu tabletki odchudzające i zaordynowano restrykcyjną dietę.

Lucas skręca się ze wstydu na to wspomnienie: zważono go w samej bieliźnie, specjalnymi szczypcami sprawdzono grubość warstwy tłuszczu na ramionach, no i ten komentarz matki:

– Nic nie rozumiem, odżywiamy się zdrowo, no ale jego ojciec nas zostawił i sędzę, że taki szok musiał wpłynąć na przemianę materii.

Była entuzjastką Harley Street, wielbicielką różnych „cudownych” diet i doraźnych rozwiązań w dziedzinie kosmetologii. Lucas pamięta, jak zrobiła sobie lifting twarzy. Wróciła do domu z ośrodka odnowy biologicznej cała w bandażach; wyglądała, jakby stoczyła walkę z Joem Bugnerem.

Blizny są nadal widoczne (różowe ślady po szwach za uszami), zwłaszcza teraz, gdy jej włosy nie są już takie wspaniałe.

I po co to wszystko, mamó? – zastanawia się Lucas. Te operacje plastyczne, korekcje brzucha. Po Dickiem nie było już żadnych mężczyzn. Właściwie dopiero kiedy

wprowadził się Terence, mogła odetchnąć. Był homoseksualistą bez grosza przy duszy i nie miał dokąd uciec. Barbara w końcu zyskała wiernego towarzysza i maskotkę.

Po pewnym czasie Lucas zaczął gwałtownie rosnać, co w połączeniu z przepisaniem siarczanem amfetaminy sprawiło, że chociaż trudno byłoby nazwać go szczupłym, to gdy skończył szesnaście lat, „faza otyłości” odeszła w niebyt.

Do czasu, myśli ze smutkiem i pociesza się, że matka jest zbyt niedołęzna, by zdać sobie sprawę, iż ten pulchny gość to jej syn, a nie jakiś gruby pielęgniarz.

Edwina przywiązywała większą wagę do zdrowego żywienia niż Barbara, która nigdy nie potrafiła oprzeć się słodyczom. Macocha była zwolenniczką brązowego ryżu i soczewicy. Zachęcała też do długich spacerów na świeżym powietrzu; według niej młodzież musiała się wyszaleć. Kiedyś usłyszał, jak powiedziała do Dickiego, że jego syn musi więcej biegać, co wprawiło Lucasa we wściekłość i napełniło go wstydem. Nie był już dziewięcioletnim chłopcem, a zresztą jego matka stwierdziła, że „to tylko gruczoły, kochanie, wyrośniesz z tego, poza tym wiadomo, że dziewczęta nie lubią chudzielców”.

To było oczywiście kłamstwo – dziewczyny lubiły chudych chłopców. Przepadały za Charliem. Jego powodzenie u płci przeciwnej złościło Lucasa. Charlie był nonszalancki wobec swoich zdobyczy, zapłakane dziewczyny wydzwaniały i pytały o niego, a nastoletni casanova z Kennington mówił wtedy rozgorączkowanym szeptem:

– Powiedz, że mnie nie ma. – I odchodził na palcach, jakby w aparacie telefonicznym krył się jadowity wąż.

Rowena kłamała dla niego, Lucas wprost przeciwnie.

– Niestety, nie chce z tobą rozmawiać. Możesz już tu nie dzwonić.

Charlie już wtedy był rozwiązły. Chociaż o rok młodszy od Lucasa, już chwalił się malinkami, a raz poinformował przybranego brata, że chyba złapał mendy. Lucas z początku nie wiedział, o czym on, na Boga, mówi: w co złapał te mendy, do czego są mu potrzebne? Ten chłopak jest niepoważny.

Dopiero Rowena to wyjaśniła:

– Chodzi mu o wszy łonowe – powiedziała znudzonym tonem i dodała: – Pamiętaj, Charlie, że nie mam zamiaru wyczesywać ich z twoich świńskich włosów na jajach. Musisz sobie radzić sam, stary.

W rozpalonej wyobraźni Lucasa Charlie w swoim internacie wiódł życie jak jakiś James Bond i zaliczał kobiety, które wyglądały jak Britt Ekland w *Człowieku ze złotym pistoletem*.

Ich przeciwieństwo stanowiły dziewczyny z pobliskich szkół żeńskich, przywożone autokarami na potańcówki do Wyebourne. Były albo za ładne, by Lucas ośmielił się na nie spojrzeć, albo tak samo niezdarne i brzydkie jak on.

Jedyną dziewczyną, którą bliżej znał, była przybrana siostra. Mądra, czujna Rowena o ciętym języku i kompletnym braku zainteresowania rzeczami, które uważała za głupie: ubraniami, butami czy popem. Chadzała własnymi ścieżkami, czytała trudne książki, słuchała dziwnej muzyki i dopóki nie opuściła domu, nie była zbyt towarzyska. W londyńskiej szkole dziennej miała dwie przyjaciółki: malutką dziewczynę, która cierpiała na jakąś chorobę hamującą wzrost, i milczącą Chinę, matematyczną geniuszkę.

W porównaniu z kobietami, o których marzył Lucas, Rowena nie była specjalnie

seksowna. Co więcej, dobrze wiedział, że czasami nosiła majtki Charliego i tylko w wyjątkowych sytuacjach zakładała stanik. Ponieważ nie przepadała za posiłkami i prawie nic nie jadła, miała wypukły kręgosłup, jej uda się nie stykały, a obwisłe piersi przypominały puste torebki.

Naprawdę marny obiekt do podglądania w łazience.

Grono znajomych Lucasa poszerzyło się, kiedy po ukończeniu pierwszego roku w Wyebourne spędził prawie całe wakacje z matką na River Walk. Barbara była towarzyską osobą i siatka jej znajomości rozciągająca się w dzielnicy Royal Borough of Kensington była gęsta niczym pajęczyna. Matce zależało, żeby ludzie poznali jej atrakcyjnego syna i w wieku szesnastu lat Lucas został wciągnięty na listę chłopców, których można bez obawy zapraszać na domowe imprezy.

– Przecież nie będziesz kradł sreber, kochanie.

Większość przyjęć odbywała się w tym samym gronie: uprzywilejowane dzieciaki, które kiedyś chodziły do tego samego przedszkola, spotykały się w piwnicach białych domów o fasadach pokrytych stiukami i piły niewielkie ilości piwa i cydru. Dla dziewcząt były też miniaturowe buteleczki dziecięcego szampana, a od czasu do czasu ktoś dorosły wpadał na kontrolę, zapalał więcej świateł i ściszał muzykę.

Podczas tych imprez Lucas w końcu nabrał odwagi i zaczął całować się z dziewczynami; zazwyczaj były to siostry chłopców z Wyebourne lub Wittering, piętnastolatki z zaróżowionymi twarzami, pulchne małe dziewice z oddechem cuchnącym czosnkiem, które dopiero zaczynały się malować i nosić buty na wysokim obcasie, pozwalały macać się tylko od pasa w górę i często okazywało się, że pod stanikami prawie nie mają piersi.

Chociaż bardzo się starał, nie zdołał namówić żadnej z tych dobrze wychowanych pań, żeby dotknęła jego fiuta. Rzecz jasna krążyły legendarne opowieści o dziewczynach, które szły na całość, a w tych historiach często przewijało się nazwisko Elise Landreth. Lucas nie wiedział, czy ma się przyznawać, że ją zna; co prawda była uwielbianą chrześnicą matki, ale plotki głośniły, że zachowuje się jak szmata.

Woda w wannie wystygła i pokryła się brudem; Lucas czuje się, jakby siedział w zimnej zupie z porów. Bojler na pewno jest już pusty, więc wstaje i z trudem owija się za krótkim ręcznikiem kąpielowym.

W albumie matki jest fotografia z okresu, kiedy Elise przemieniła się z niewinnej dziewczynki w ponętą lolkę. Lucas przerzuca kartki i w „dziale wakacyjnym” pamiątkowej księgi matki odnajduje zdjęcie, którego szukał: „Elise w wieku piętnastu lat, Turks i Caicos”.

Chociaż skończył pięćdziesiąt sześć lat, nadal nie ma pojęcia, gdzie leżą te wyspy, ale wyraźnie widzi, że dziewczyna w barwnym hipisowskim bikini w niczym nie przypomina już dawnego szczerbatego dzieciaka z warkoczykami.

Kiedy miała jedenaście lat, wysłano ją na prowincję do szkoły z internatem dla dziewcząt, gdzie przez cztery lata marynowała się w jakiejś odurzającej miksturze z estrogenów, a potem przeistoczyła się w długonogą piękność z wąskimi biodrami i pełnymi piersiami.

Na wpół uczennica, na wpół kobieta, pozuje na tle basenu i śmieje się spod burzy

kręconych włosów. Jest coś nieposkromionego w tej nastolatce i Lucas ze smutkiem konstatuje, że chociaż wygląda uroczo, jest już zepsuta. Z perspektywy czasu rozumie, że już wtedy było za późno, by ją uratować. Elise robiła, co chciała.

Lucas wraca powoli do sypialni. Na pewno gdzieś tu musi być talk. Ta cholerna infekcja grzybicza znowu mu doskwiera.

Lucas posypuje uda talkiem firmy Cuticura. Po śniadaniu pójdzie na przechadzkę po King's Road, zajrzy do sklepu Marks and Spencer i kupi coś dobrego do jedzenia.

Matka nie przywiązuje teraz wagi do punktualności, więc Lucas nie musi się śpieszyć, wypije jeszcze jedną filiżankę kawy i poprzegląda nieco irytujące fotografie, które obrazują zmiany, jakie zachodziły w jego życiu, gdy był nastolatkiem.

Transformacja Lucasa nie była tak szokująca jak w przypadku Elise, ale i tak zmienił się na lepsze.

Patrzy na swoją podobiznę, ma tu siedemnaście lat. Rósł szybko, spodnie od smokingu są zdecydowanie za krótkie. Na twarzy Lucasa z tamtych czasów maluje się zarazem arogancja i spryt, wygląda na szcawanego lisa, a matka najwyraźniej była z niego dumna. „Mój syn w przedostatniej klasie Wyebourne”.

Chociaż może wydawać się to dziwne, muszka i smoking były obowiązkowe podczas pewnych szkolnych uroczystości, takich jak Dzień Założyciela czy kolacja na zakończenie semestru. Dobór odpowiedniego ubioru, podobnie jak nalewanie kieliszka porto koledze siedzącemu po lewej stronie, dyskretne wypluwanie śrutu podczas spożywania dziczyzny, umiejętność palenia długich cienkich cygar (nie wolno było zakrzusić się dymem) i prawidłowe zachowanie przy stole do gry traktowano jako ważną część wychowania dżentelmena.

W połowie lat siedemdziesiątych królował poker. Hazard w obrębie szkoły został surowo zakazany, więc grano na zapalki, ale niektórzy uczniowie pochodzili z bajecznie bogatych rodzin i czasami trudno było przestrzegać regulaminu.

Lucas znów spogląda na aroganckiego młodzieńca. Za wyniosłą miną daje się wyczuć napięcie. Nigdy nie potrafiłem w pełni się kontrolować, przyznaje, zjadając herbatniki. Jak nie jedzenie, znalazłbym coś innego.

Od lat nie zbliżył się do stolika karcianego ani do kasyna – przynajmniej z tego mógłby czuć się dumny, ale szybko przewraca kartkę. Widok tamtej fotografii wytrącił go z równowagi, czuje się zaniepokojony losem chłopca, który bez wątplenia zmierza ku przepaści.

Uspokają się kilkoma zdjęciami zrobionymi podczas świąt Bożego Narodzenia; stos prezentów ułożonych pod choinką, to wszystko dla niego. Był bardzo rozpieszczanym młodzieńcem. Ale nie tak bardzo jak... tak, to znowu ona.

Kiedy Elise skończyła szesnaście lat, rodzice zamówili dość znanego fotografa, żeby zrobił jej portret; Barbara dostała wycięty fragment stykówki, z której jedno zdjęcie Landrethowie kazali powiększyć, oprawić i powiesić nad kominkiem w swojej jadalni.

Elise ma gołe ramiona, co sprawia wrażenie, że pozuje topless. (Wcale nie – przekonywała Minty. – Przez całą sesję miała na sobie szlafrok). Zdecydowanie za duży nos został dość niezdarnie przypudrowany przez makijażystkę (miał się wydawać mniejszy), a długie kręcone włosy wyprostowane i wysuszone suszarką (tak, że ledwo można poznać Elise), jednak to oczy przyciągają uwagę. Ma dopiero szesnaście lat, ale z jej spojrzenia można wyczytać tak wiele. „Słodka małolata!”, napisała pod spodem jego

matka. Lucas dodałby do tego jeszcze kilka wykrzykników.

Przenosi się myślami w czasy, kiedy zrobiono tę fotografię. Niegrzeczna Elise została właśnie wydalona ze szkoły z internatem na głębokiej angielskiej prowincji, gdzie uczono szkockich tańców i kaligrafii. Jej mało oryginalne zbrodnie polegały na paleniu, piciu i uruchomieniu gaśnicy przeciwpożarowej. W rezultacie wylądowała w dziennej szkole w Kensington – trudno było to nazwać karą, bo sama dążyła do tego od dłuższego czasu.

Powinni byli zatrzymać ją na wsi, gdzie nadal musiałaby nosić fartuszek w szkocką kratę, a w niedzielę białe rękawiczki. Właściwie wszyscy wiedzieli, co się wydarzy. Paul i Minty Landrethowie powinni byli zamurować córkę w wysokiej wieży.

Kilka lat później Elise powiedziała Lucasowi, że rznąła się z tym fotografem w jego pracowni, a zwierza mu się tylko dlatego, że ów artysta zrobił niedawno portret lady Dianie i ciekawi ją, czy przyszła księżna też się z nim pieprzyła.

– Był bardzo stary, ale z jego fiutem było wszystko w porządku – dodała.

Barbara stała twardo po stronie Elise. Co z tego, że ją wyrzucili, czego Minty i Paul się spodziewali? Jej chrześnica była wolnym duchem i nie zasługiwała na to, by zostać pogrzebana żywcem na jakimś prowincjonalnym angielskim cmentarzu!

Dzienna szkoła w Londynie była według niej o wiele lepszym rozwiązaniem i Barbara miała zamiar jak najczęściej widywać się ze swoją „ulubienicą”.

– Wyobrażasz sobie? – powiedziała Lucasowi. – Praktycznie mieszka tuż obok. Mogę zabierać ją na lunch i zadbam, że nie wypije więcej niż jedną małą lampkę wina przed powrotem do szkoły.

Rzecz w tym, że Elise rzadko wracała na lekcje po lunchu, o czym Barbara nie miała pojęcia. Uroki King’s Road w 1977 roku były o wiele bardziej pociągające niż zajęcia z geografii na Kensington Gore.

Ale na razie nikt jeszcze nie wiedział o jej wagarach, a Minty i Paul postanowili wydać przyjęcie z okazji szesnastych urodzin córki. Chcieli wykorzystać okazję i wprowadzić Elise na salony Kensington i Chelsea, gdzie kręciło się wielu młodych kawalerów do wzięcia.

– Zaprosimy mnóstwo miłej młodzieży z przyzwoitych rodzin – oznajmiła Minty, Barbara obiecała jej pomóc. – A może wypad na łyżwy, a potem uroczy posiłek? – zaproponowała.

Jazda na łyżwach to taka przyjemność, daje też szansę chłopcom, by mogli pokazać, jacy są szarmanccy. Barbara była przejęta romantycznym aspektem takiej rozrywki.

– Lucas, kochanie, na pewno ci się spodoba. Minty, June i ja miałyśmy niesamowitą frajdę, kiedy jeździłyśmy na łyżwach w Szwajcarii. Byłam naprawdę niezła, ale nie chcę się chwalić.

Lucas nie odziedziczył naturalnego wdzięku, z jakim matka poruszała się na lodzie; chociaż mocno zeszczupłał, nadal był masywnym chłopcem, więc spędził większość popołudnia, trzymając się barierki. Czuł się jak drewniany kłoc.

W przeciwieństwie do niego Elise była nieustraszona, fruwała na lodowisku w białych trykotach i plisowanej aksamitnej minispódniczce. Oczywiście miała własne łyżwy, co dawało jej dodatkową przewagę. Lucas nadal pamięta wypożyczone figurówki,

które przypominały buty ortopedyczne, i wstyd, jaki odczuwał, kiedy co chwila ciężko lądował pupą na lodzie.

– Przynajmniej masz dobrą amortyzację – roześmiała się Elise.

W tym momencie jej nienawdził. Co za suka, nie była nawet specjalnie ładna ani miła. Wyglądała egzotycznie, miała długie, gęste włosy, które ściągnęła do tyłu, co uwydatniało wielki, tłusty nos, a z bliska na jej brodzie można było dostrzec wągry.

Tylko jedna dziewczyna przyćmiewała tam Elise. Fern. Lucas zapomniał nawet na chwilę o obolałym tyłku i wilgotnych sztruksach, gdy rozpoznał dziewczynę, obok której siedział na trzynastych urodzinach Elise, dziewczynę, która kiedyś trzymała go za rękę. Może było im pisane spotykać się jedynie przy takich okazjach?

Gdyby tylko zdołał zwrócić na siebie jej uwagę... Niestety, nawet nie miał okazji z nią porozmawiać, ponieważ spędziła całe popołudnie, ślizgając się na łyżwach, pędziła przed siebie i kręciła piruety na środku lodowiska, a burza rudych włosów wirowała wokół niej. Chwilami unosiła wysoko jedną nogę, potrafiła też jeździć do tyłu.

Jej pulchna koleżanka, która jak i on nie była wprawna łyżwiarką (plując śliną przez aparat ortodontyczny, przedstawiła się jako Clem), podcięła mu przypadkowo nogi, i kiedy razem klapnęli na lód, zdradziła Lucasowi tajemnicę Fern:

– Dla niej to łatwe, chodzi na lekcje baletu i stepowania.

Otyła dziewczyna była nim zainteresowana, wyczuł to. Gdy poszli na urodzinowy obiad, udało jej się usiąść obok niego; śmiała się z każdego jego słowa, aż w końcu ten śmiech zaczął go drażnić.

Fern siedziała daleko, po przeciwnej stronie stołu. Przebrała się w czarną aksamitną sukienkę, a kolor jej skóry przypominał barwę pewnego gatunku kremowych róż, które rosły przy drzwiach na River Walk; bardzo chciał jej to powiedzieć, a także poczuć zapach jej szyi. Nagle, kiedy zamawiali deser, zniknęła, a pulchna dziewczyna z aparatem na wielkich zębach oznajmiła mu radośnie, że Fern straciła przytomność w damskiej toalecie; szofer Elise miał ją zabrać i odstawić do domu.

Lucas nie miał pojęcia, jakim cudem zdołała tak się upić, skoro jedynym alkoholem na stole było piwo dla chłopców i cydr dla dziewcząt. Ale najwidoczniej Elise przemyciła butelkę wódki i obie zaprawiły cydr smirnoffem.

– Była w strasznym stanie – dodała wesoło dziewczyna z końskimi zębami. – Zarzygała tę piękną sukienkę.

Wspomnienia Lucasa z reszty wieczoru są mgliste. Pamięta tylko, jak zobaczył Elise w kuchni. Siedziała na blacie kuchennym z majtkami i rajstopami spuszczoneymi na kostki, a jeden z kelnerów trzymał głowę pod jej spódnicą.

Dzisiaj takie zachowanie skrytykowano by ze względów higienicznych. Nagie pośladki Elise dotykały miejsca, gdzie przygotowywano jedzenie, i na dodatek paliła, co było jeszcze gorsze.

Trzy tygodnie później Elise została wyrzucona ze swojej miłej dziennej szkoły dla dziewcząt za wagarowanie i kradzież; nawet jego matka wyglądała na zaniepokojoną.

– Przyłapano ją na kradzieży w sklepie. O tej porze, kiedy powinna być w szkole, Lucas. Co ją, na Boga, opętało? Puszka lakieru do włosów i kredka do oczu. Dlaczego nie poprosiła mnie? Mogłabym jej to natychmiast kupić.

Nie miał na to odpowiedzi, przynajmniej takiej, jaką mógłby podzielić się z matką. Mógłby powiedzieć: Czasami robimy różne rzeczy tylko po to, by zaznać nieco wrażeń, mamo. Rzeczy, których nie powinniśmy robić, ale pociąga nas dreszcz emocji.

Pod wpływem tych wspomnień Lucas czuje, że robi mu się gorąco. Powinien już wyjść. Potrzebuje świeżego powietrza, musi strząsnąć z siebie pajęczynę przeszłości.

Lucas idzie do sklepu Marks and Spencer, a potem wraca do mieszkania matki. King's Road z pozoru jest taka sama, ale w rzeczywistości zupełnie inna. Boiska przy byłej rezydencji księcia Yorku nadal są czynne, ale w samym budynku mieści się teraz galeria sztuki.

Może ją odwiedzi. Ciekawe, czy matka kiedykolwiek tam była. Miała bardzo konkretne upodobania, najbardziej lubiła impresjonistów, ładne obrazy kwiatów w wazonach, owoce w pięknych misach, rzeczy, które łatwo można rozpoznać, żadnych bzdurnych abstrakcji. W przeciwieństwie do Edwiny Barbara nie znosiła awangardy, nazywała ten rodzaj sztuki „głupotą”.

Ulice wokół Sloane Square nadal zapełniają spacerujące parami dzieci w mundurkach. Dawno temu Lucas chodził do przedszkola o rzut kamieniem od miejsca, w którym teraz stoi. Kiedy skończył trzy lata, szlak jego dalszej edukacji został precyzyjnie wytyczony, wyznaczono mu trasę, jakby był jakimś małym okrętem, z Drake House do Witterings, potem Wyebourne i w końcu bezpieczna przystań w Oksfordzie.

Jednak zgubił się po drodze, uniwersyteckie wiatry sprzysięgły się przeciwko niemu. Lucas rozpakowuje zakupy, zrzuca buty i siada na rozkładanym fotelu z paczką żelków Percy Pigs i albumem.

Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, na kolejnych stronach powinny znaleźć się jego zdjęcia na tle kamiennego gotyckiego kolegium, a szyję owijałby mu czarny szalik w złote paski.

Jednak coś poszło nie tak i Lucas ogląda teraz siebie z czarno-czerwono-białym szalem Warwick, swojej Alma Mater, nowoczesnego uniwersytetu usytuowanego przeraźliwie blisko Coventry.

Na fotografii wygląda na nieco oszołomionego, pewnie dlatego, że po raz pierwszy w życiu miał wypłynąć na szerokie wody i poznać ludzi, którzy nie należeli do „towarzystwa”.

Studenci w Warwick pochodzili z najprzeróżniejszych środowisk. Wieść niesła, że było tam sporo osób chodzących w kufajkach i śpiewających protest songi.

Istniejący dopiero od dziesięciu lat Warwick nie miał strzelistych wież ani jadalni wyłożonych dębową boazerią. Od tej chwili Lucas miał jadać w stołówce.

– Chyba nie mówisz o czymś takim, gdzie stoi się z tacami w kolejce? – dopytywała się Barbara.

Oczywiście Lucasa ostrzegano, że Oksford to nie bułka z masłem, że trudno się tam dostać, bo konkurencja jest ostra, ale ani on, ani matka nie traktowali tych głosów poważnie. Oboje zakładali, że mu się uda: dokona tej sztuki jak magik, który wyciąga sznur jedwabnych chusteczek z rękawa, zatriumfuje w ostatniej chwili.

Matka uważała go za geniusza. Kiedy pewnego razu wziął udział w szkolnym przedstawieniu, stwierdziła, że jest lepszy niż Laurence Olivier; kiedy w hotelu zdołał przepłynąć jedną długość basenu, orzekła, że będzie nowym Markiem Spitzem. Nie widziała przeszkód, by został pilotem myśliwca, kardiochirurgiem, a nawet astronautą.

Podczas kłopotliwej wywiadówki, jednej z rzadkich okazji, kiedy rodzice stali za sobą murem, Barbara podkreślała zalety syna i puszczała mimo uszu wszelką krytykę.

– Są dla ciebie tacy surowi, ponieważ wiedzą, jaki jesteś zdolny – twierdziła.

Ojciec reagował z większym spokojem. Odbywali długie rozmowy na temat szkolnych świadectw Lucasa, które toczyli w jadalni na Kennington Road; ojciec siedział za biurkiem, które niegdyś należało do dziadka, i uważnie odczytywał uwagi nauczycieli: „brak zaangażowania”, „wiedza powierzchowna”, „nie przykłada się do nauki”.

– I co masz na swoje usprawiedliwienie, Lucas?

Rumieni się na to wspomnienie. Dickie był taki rozczarowany, kiedy z Oksfordu nadszedł napisany na opatrzonym herbem papierze list, w którym oznajmiono, że nie został przyjęty. Matka stała po stronie syna, była wściekła.

– Popelnili błąd. Zapamiętaj moje słowa, Lucas, jeszcze im pokażesz. Kiedy odniesiesz wielki sukces, ci głupcy będą musieli zjeść ten list.

Przez chwilę Lucas marzy, by zjawić się u matki i zastać ją jak dawniej, w salonie na River Walk, ze skrzyżowanymi elegancko nogami w cienkich nylonowych rajstopach, ze szklaneczką ginu z tonikiem, którą zawsze stawiała na podstawce, i powiedzieć, że stracił pracę, bo miło byłoby usłyszeć, jak mówi: „To nie było odpowiednie zajęcie dla ciebie, kochanie. Powinieneś robić coś bardziej zajmującego, a nie przesiadywać w tym nudnym banku. Chcesz coś przekąsić?”.

I na kilka minut mógłby poczuć, że czeka go lepsza przyszłość, że wciąż może mieć nadzieję.

W albumie jest niewiele zdjęć z Warwick. Barbara odwiedziła go tam tylko raz i na widok jego pokoju w akademiku z trudem powstrzymała łzy.

– Jest taki bezosobowy, kochanie – lamentowała. – Laminowane meble i linoleum na podłodze, nie mogę na to patrzeć. Dlaczego światło jest takie ostre?

Lucasowi brakuje dokumentacji fotograficznej, by odświeżyć pamięć, wspomnienia tych lat są niewyraźne. Żeby się nie wyróżniać, zapuścił odrobinę włosy, przestał nosić koszule ze spinkami przy mankietach (nikt inny w takich nie chodził) i bez powodzenia usiłował znaleźć dżinsy, w których nie wyglądałby na kompletnego idiotę.

Na szczęście w Warwick było mnóstwo studentów, którzy nie gonili za modą, więc Lucas zdołał wtopić się w amorficzny tłum bladych, długowłosych młodzieńców i dziewczyn ubranych w workowate sztruksowe spodnie.

W naturalny sposób ciążył ku rubasznym absolwentom szkół z internatem i miłośnikom rugby.

Jeśli chodzi o kobiety, to unikał wściekłych feministek, ponieważ nie potrafił zrozumieć, o co im chodzi ani dlaczego nie chcą ładnie wyglądać, i skoncentrował się na mniej pewnych siebie dziewczętach (najczęściej były to brzydsze koleżanki przebojowych piękności); dzięki tej taktyce przestał być prawiczkim już na drugim semestrze pierwszego roku.

Lucas spogląda na swojego penisa, chce sprawdzić, czy wspomnienie tej doniosłej chwili wywoła jakąś reakcję; nic z tego.

Lauren, była uczennica szkoły średniej z Lytham St. Annes (Lucas nigdy wcześniej nie słyszał o takiej miejscowości). Ona i jej chłopak z rodzinnych stron zawarli pakt, że

pozostaną cnotliwi, dopóki nie wezmą ślubu (po zrobieniu dyplomu), ale Lauren dowiedziała się, że on złamał obietnicę, i od tego czasu nosiła w torebce paczkę kondomów.

Fakt, że miał to być odwet, zupełnie nie przeszkadzał Lucasowi – w końcu przysługa była obopólna – zwłaszcza kiedy się przekonał, że w seksie najprzyjemniejszy jest nie sam akt, ale to, co dzieje się potem. Właściwie najbardziej podobało mu się, że może opowiedzieć o swoim podboju kumplom w barze klubu studenckiego. Kobiety nadal były dla niego istotami z innej planety, ale znalazł wystarczającą liczbę takich, które zgodziły się z nim przespać.

Czasami, kiedy któraś z nich zdejmowała stanik, pojawiał mu się przed oczami obraz wanny i zakrwawionych piersi matki – wtedy erekcja ustępowała natychmiast. Było to dość krępujące, jednak szybko zrozumiał, że większość dziewczyn uważa, iż coś takiego dzieje się z ich winy, i nauczył się powtarzać, że nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

Szczerze mówiąc, widok nagiej kobiety był dla Lucasa trochę szokujący. Najbardziej podobały mu się wtedy, gdy szczelnie okrywały je wieczorowe suknie, a ramiona otulały futrzane etole. Odrzucały go zwłaszcza różne akcesoria, które pojawiały się w intymnych chwilach: nie znosił kondomów, przerażał go widok podpasek w łazience i raz o mało nie zwymiotował, kiedy pewna dziewczyna, która przyszła na jedną noc, użyła jego maszynki, by ogolić sobie nogi.

Doszedł do wniosku, że w większości kobiet jest coś nieczystego, i czasami jego podświadomość podsuwała mu obraz pary kremowych ramion i wysmukłej szyi Fern odzianej w czarną aksamitną sukienkę. Nikt nie mógł się z nią równać, na zawsze zapamiętał wizerunek płaczącej dziewięcioletniej dziewczynki, która potrzebowała pomocy, małej dłoni ściskającej go za rękę, anielskiego blasku rudych włosów.

Jednym z najgorszych momentów w Warwick była chwila, kiedy dowiedział się, że Rowena została przyjęta na anglistykę do kolegium Hertford w Oksfordzie.

Siedział na wąskim łóżku w paskudnym pokoju, który mu przydzielono, z brzydkim biurkiem z jasnego drewna i przegubową lampą stołową i chciał rozwalić to wszystko w drzazgi.

Jak zwykle! Pieprzona, chuda, dziwaczna Rowena, która nie wzięłaby do ust ziemniaków, ciastka z kremem ani żadnych innych słodyczy czy mięsa, dostała się do pierdolonego Oksfordu. Gdzie tu sprawiedliwość? Nawet nie skończyła osiemnastu lat.

Lucas przypomina sobie mgliście, że tego wieczoru okropnie się upił beczkowym piwem, wymiotował potem przez całą noc do kosza na śmieci, który stał przy łóżku. Jeśli się skoncentruje, nadal potrafi wyczuć w nozdrzach ohydny smród wymiocin. Rzecz jasna, w kolejnych latach kosz na rzygi obok łóżka jeszcze nieraz mu się przydał.

W nieco lepszym nastroju świętował swoje dwudzieste pierwsze urodziny; nadal studiował w Warwick, ale oczywiście przyjęcie odbyło się w Londynie. Matka zajęła się wszystkim, była w swoim żywiole, wiele uwagi poświęciła zaproszeniom, w końcu zdecydowała się na srebrną czcionkę na lśniącym, czarnym tle. Koperty też były czarne, co oznaczało, że trzeba było zaadresować je specjalnym srebrnym atramentem, który zabrudził cały stół w jadalni.

Kolacja dla trzydziestu osób w hotelu Claridge's, a następnie wieczór w nocnym klubie na West Endzie. Lucas znów widzi Barbarę, która szaleje na lustrzanym parkiecie przy muzyce disco, różnokolorowe światła wirują wokół niej, rozwiane włosy falują w rytm tańca.

Zdjęcie Lucasa z matką zrobione kilka godzin wcześniej jest podpisane: „Dziś dwudzieste pierwsze urodziny”. Siedzą obok siebie, Barbara na wielkim wyściełanym fotelu, Lucas na jego poręczy. Ktoś musiał ich sfotografować. Patrząc na fryzurę matki, dochodzi do wniosku, że pewnie był to Terence.

Lucas znów ma na sobie smoking – matka kupiła mu go na urodziny. Jedwabne klapy są szerokie i świecące, pasują do lampasów przy spodniach. Całość uzupełnia pas, a rezultat jest więcej niż zadowalający.

Matka promienieje. Patrzy z zachwytem na syna; okienny parapet za nimi jest zasłany kartkami z życzeniami.

Rowena też napisała, rzecz jasna z Oksfordu. Na widokówce jest portret Virginii Woolf.

– Dość to osobliwe – skomentowała matka.

Charlie oczywiście miał to w nosie, ale Edwina przysłała mu w prezencie nawet ładny nieduży pejzaż lub, wedle słów matki, „kiczowaty bohomasz”.

Lucas pamięta, że był zdenerwowany i przejęty tą imprezą. Nawet teraz wspomnienia budzą niepokój. Zaprosił ściśle wyselekcjonowane grono znajomych z Warwick, w tym Lauren, którą matka była bardzo rozczarowana (Jest z północy, kochanie. Jakieś St. Lytham? Gdzie to jest?).

Chociaż Lauren nie spotkała się z aprobatą matki, wieczór okazał się oszałamiającym sukcesem. Barbara zgromadziła elegancką mieszankę starych i nowych znajomych, nawet Dickie dobrze się bawił, z cygarem w jednej dłoni i szklaneczką Jacka Daniel'sa w drugiej rozmawiał z dawno niewidzianymi przyjaciółmi. Przez krótką, cudowną chwilę Lucas sądził, że rodzice ze sobą zatańczą, ale wyjątkowy moment minął, ojciec spojrział na zegarek i mruknął:

– Boże, widzieliście, która godzina? Edwina pomyśli, że się zgubiłem albo uciekłem. – Po tych słowach wyszedł.

Elise też tam była, rodzice obserwowali ją przez cały czas czujnym wzrokiem.

– Ostatnio ma pstro w głowie – szepnęła matka. – Ale na szczęście zaczęła studiować modę w St. Martin's. Zobaczysz, jeszcze będzie z niej nowa Zandra Rhodes.

Elise z pewnej odległości wyglądała jak zwykle świetnie. Dopiero z bliska można było zauważyć, że pod makijażem ma ziemistą cerę; podczas kolacji co chwila musiała wychodzić do łazienki.

– Zdaje się, że ma zapalenie pęcherza moczowego – powiedziała Barbara. – Jej matka bez przerwy na to cierpiała, biedna Minty. – Wtedy po raz pierwszy usłyszał, jak matka mówi o ciotce Aramincie „biedna Minty”. Nie po raz ostatni.

Lucas przerzuca kolejne strony albumu ze zdjęciami wykonanymi już po dwudziestych pierwszych urodzinach. Zatrzymuje się przy fotografii zatytułowanej: „Mój syn z dyplomem”.

Odbitka jest trochę niewyraźna. Musi przyjrzeć się dokładniej, żeby się upewnić,

że to on, ale rozpoznaje się po brodzie. Był z niej taki dumny, nawet Charlie powiedział mu pewnego razu, że wygląda jak Peter Sutcliffe, Rozpruwacz z Yorkshire.

Ubrany jest w biret i togę, przypomina miliony innych absolwentów, ale jeśli przyjrzeć się uważniej, widać na jego twarzy ulgę, że to wszystko już się skończyło.

Rodzice przyjechali na uroczystość, która odbyła się w Butterworth Hall w Warwick.

– Było bardzo miło – powiedział protekcyjnym tonem ojciec. – Przynajmniej zrozumiałem każde słowo. W Oksfordzie podczas ceremonii rozdania dyplomów przemawia się po łacinie.

– Co za głupota – odparła matka.

Odkąd Lucasowi nie udało się dostać do Oksfordu, znienawidziła ten uniwersytet, posunęła się nawet do tego, że kiedy oglądała regaty wioślarskie na Tamizie, kibicowała osadzie Cambridge. Wiele lat później przyznała się, że kiedy reprezentacja Warwick zwyciężyła zespół z Oksfordu w programie telewizyjnym *Bitwa uniwersytetów*, otworzyła szampana.

Nalegała też, żeby zamówić butelkę do lunchu.

– Nie jestem pewny, czy absolwent takiej uczelni zasługuje na szampana Laurent-Perrier. – Dickie udawał, że żartuje, ale nie był w stanie ukryć rozczarowania.

W sumie było jednak znośnie, matka jadła z apetytem i obyło się bez łez.

Może naprawdę wszystko ułoży się dobrze.

Lucas nagle czuje, że jest mu okropnie smutno. Torba żelków jest pusta, więc włącza telewizor, żeby oderwać się od przeszłości.

Dostał jakąś wiadomość od ukochanej żony. Lucas sprawdza telefon – jest krótka i trafna:

WTF?

Jakbyś, kurwa, nie wiedziała.

Kasuje to. Nie musi się przejmować Denise, ma wystarczająco dużo problemów na głowie. Zastanawia się przez chwilę, czy mógłby tu zostać na stałe: znów mieszkałby u mamy, tak jak po skończeniu studiów. Nie planował tego, po prostu nie miał gdzie się podziać, a matka zawsze powtarzała: „Mój dom jest i twoim domem”.

Po cichu liczył, że ojciec kupi mu mieszkanie, ale taka propozycja nie padła. Wręcz przeciwnie: Dickie chciał, żeby Lucas zaczął zarabiać na swoje utrzymanie, i z pełną premedytacją pomógł mu znaleźć pracę w City.

Barbara była oczywiście zachwycona, że ma w domu „prawdziwego mężczyznę”, i uparła się, żeby sfotografować go w dniu, w którym miał objąć swą pierwszą posadę. Lucas odnajduje to zdjęcie, jest mniej więcej w połowie albumu. Matka podpisała je: „Mój syn u progu kariery”, ale Lucas widzi tylko dwudziestojednoletniego chłopca z idiotyczną brodą, który wygląda na zażenowanego w nowej koszuli i krawacie.

Była bardziej podekscytowana niż on.

– Tylko pomyśl, codziennie rano przygotuję ci solidne śniadanie, a ty po powrocie do domu będziesz mi opowiadał o pracy. No już, uśmiechnij się. Nie zapominaj, że świat stoi przed tobą otworem.

Niestety, nie wszystko jest tak dobre, jak się wydaje, i Lucas już po tygodniu wiedział, że nienawidzi swojej pracy.

Lucas, teraz już mężczyzna w średnim wieku, czuje sympatię do tego młodzieńca na fotografii, przypomina sobie, jak większość czasu w biurze krył się po toaletach, na lunchu spędzał dwie godziny i jak najwcześniej wymykał się do domu.

Praktycznie został pełnoetatowym obibokiem, ale rzecz jasna ukrywał prawdę przed rodzicami; zapewniał Barbarę, że to tylko kwestia czasu, kiedy zostanie członkiem zarządu.

Lucas z lekką nutką nostalgii wspomina Londyn z połowy lat osiemdziesiątych. Zaczęła się nowa dekada, ale na ulicach wokół Aldgate ciągle królowały parasole i meloniki. Co więcej, nadal spotykał w porannym autobusie wielu mężczyzn podobnych jak dwie krople wody do pana Banksa, bankiera z książki *Mary Poppins*.

Inne, dawno minione czasy.

Chociaż City trzymało się tradycji, okolica, w której mieszkał Lucas, szybko przekształciła się w dzielnicę rozrywki dla nowobogackich japiszonów. Wszędzie powstawały winiarnie i Lucas wreszcie poczuł, że przynajmniej po pracy znajduje się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Wychodził prawie co wieczór. Od razu po powrocie z biura brał prysznic, przebierał się, jadł, a potem pojawiał się na cudownych ulicach Fulham. Dzięki temu, że matka nie brała od niego ani pensa za czynsz, mógł udawać playboya; często stawiał

drinki.

Barbara marudziła po matczynemu:

– Nie wychodź znowu, Lucas, rozchorujesz się.

Gotowała egzotyczne potrawy i przygotowywała wymyślne desery, których Lucas nie chciał jeść, bo ludzie nagle zaczęli dbać o swoje ciała i Londyn oszalał na punkcie aerobiku i obcisłych strojów.

– Przecież to twój ulubiony – jęczała Barbara.

Naprawdę, czasem Lucas wyobrażał sobie, że matka byłaby w pełni zadowolona jedynie wtedy, gdyby w „National Enquirer” napisano o nim: GRUBAS UMIERA TAM, GDZIE ŻYŁ – NA SOFIE W DOMU MATKI.

Zapisał się do siłowni, ale korzystał tylko z sauny, widywał się ze starymi znajomymi z Wyebourne, z których większość zdaje się pracowała w „rodzinnych firmach” (cokolwiek to miało znaczyć), i spotykał z parą absolwentów Warwick, która przeprowadziła się do Londynu i wynajmowała mieszkanie na Earl’s Court.

Eddie i Joe założyli firmę robiącą kanapki; w Soho i na West Endzie dostarczali bajgle i bagietki wypełnione egzotycznym nadzieniem.

– Kanapki? – pogardliwie spytała matka. – Tak się cieszę, że masz przyzwoitą pracę, Lucas. Można zarabiać na kawałek chleba albo zarabiać na kawałku chleba.

Po tych słowach matka wybuchnęła histerycznym śmiechem, zaczęła się dusić i Lucas musiał poklepać ją mocno po plecach. Ale jej słowa okazały się prorocze: Eddie i Joe odnieśli niesamowity sukces i z tego, co ostatnio Lucas słyszał, wcześniej przeszli na emeryturę, zajęli się działalnością charytatywną i spędzali większość czasu w swoim domku w Aspen, gdzie szusowali na nartach.

Skoro o tym mowa, kolejne zdjęcie przedstawia Lucasa w czarnych spodniach narciarskich. Wygląda jak otyły James Bond wyposażony w najnowszy sprzęt narciarski, ma nawet lśniące przyciemnione gogle. Matka zatytułowała tę fotografię: „Lucas podbija szczyty, styczeń 1981 roku”; charakter pisma Barbary nadal jest czytelny i zdecydowany.

Od pół roku pracował w firmie Hargreaves Benedict i udało mu się przetrwać w biurze pierwszą imprezę gwiazdkową. Na szczęście nie ma dokumentacji fotograficznej tego wydarzenia. Zachowywał się nieprzyzwoicie, prawie przyłapano go na sikaniu do donicy z juką.

Z kilkoma osobami postanowili pojechać na narty w Nowy Rok. Towarzystwo składało się ze znajomych z uniwersytetu (wśród nich była Lauren), paru kumpli ze starej szkoły i kilku nowych z Fulham, których Lucas mniej więcej kojarzył z różnych imprez i winiarni.

Wynajęty domek pomieścił bez trudu dziesięć osób, wokół rosły sosny, w środku był kominek, na ścianach wisiały poroża jeleni i skóry łosi, a na wielkopański stół w jadalni ponuro spoglądał wypchany łeb łosia.

To dopiero jest życie – Lucas przypomina sobie, że tak właśnie sobie wówczas pomyślał. Żadnej pracy, dziesięć dni zabawy pod wspaniałym błękitnym niebem i, co najważniejsze, nie musiał po przebudzeniu oglądać Barbary (w domu, każdego ranka, kiedy tylko otwierał oczy, pierwszym obrazem, jaki widział, była matka siedząca w nogach jego łóżka i czekająca, żeby podać mu herbatę).

Prawdę mówiąc, zdecydowanie bardziej niż narty podobały mu się popołudniowe i wieczorne rozrywki. Jazda na wyciągu była koszmarem przeżyciem, a kiedy dostał się już na ten cholerny szczyt, chciał tylko posiedzieć w restauracji i podziwiać widoki. Przecież to było głupie: kiedy już się zjechało z tego cholerstwa, trzeba było znów telepać się na górę. Lepiej spędzić czas na tarasie, pooddychać świeżym powietrzem, pożartować z innymi gośćmi, których stać było na potwornie drogie *glühwein* i doskonałe *fondue*.

Aż ślinka napływa mu na to wspomnienie. Boże, jak on uwielbia *fondue*, każdy rodzaj *fondue*: z sera, mięsa w gorącej oliwie czy z czekolady; mógłby zjeść wszystkie naraz.

W połowie urlopu, zupełnie przypadkowo, wpadł na Elise. Nie dało się jej nie zauważyć: nosiła okropny jaskraworóżowy kombinezon narciarski i olbrzymią futrzaną czapę. Mieszkała w domku położonym niedaleko miejsca, w którym zatrzymał się Lucas z przyjaciółmi. Zdążyła się już pokłócić z większością swoich znajomych; stwierdziła, że to „drętwi nudziarze”.

Na nartach szusowała równie odważnie, jak jeździła na łyżwach. Najchętniej zjeżdżała czarnymi trasami i często zbaczała ze szlaku. W uzdrowisku powtarzano, że ma szczęście, że nie skręciła sobie karku; a Lucas nie potrafił nawet wypić płonącego likieru Sambuca, nie parząc sobie ust.

Od czasu do czasu Elise jadła lunch z Lucasem i jego doborową paczką. Była okropnym pasożytem, nigdy nie miała pieniędzy, żeby kupić jedzenie albo postawić komuś drinka, a jednak stać ją było na pobyt w tym kurorcie. Lucas nie mógł tego zrozumieć.

– No cóż, Elise jest wielbicieleką „śniegu” – wtrącił się do rozmowy jakiś nieznajomy, pewny siebie mały Australijczyk.

– Oczywiście, inaczej by jej tu nie było – odpowiedział Lucas.

Kim był ten niebudzący zaufania cham? Elise zawsze przyciągała tabuny fagasów i szczerze mówiąc, kilku miłośników narciarstwa, których poznał dzięki niej, było nie do zniesienia.

„Bardzo łatwo ulega wpływom”, zadzwęczał mu w głowie głos matki.

Pewnie dlatego doszło do tego zdarzenia w domku, w którym mieszkała. Elise zaklinała się na wszystkie świętości, że nawet jej tam nie było, kiedy o czwartej nad ranem wybuchł pożar (co spowodowało pytanie, gdzie w takim razie się podziewała, do cholery?). Stało na tym, że jej ojciec musiał pokryć straty ze swojego ubezpieczenia i Elise znów mu podpadła.

Dziwne, ile wspomnień może wywołać jedna fotografia, myśli Lucas i nagle czuje się wyczerpany, w głowie wirują mu obrazy szwajcarskiego *raclette* i mięsa z renifera. Podczas tego urlopu Lauren prawie rzuciła się na niego w trakcie popijawy, którą zorganizowali tuż po przyjeździe, ale jej nie uległ. Była miłą dziewczyną, dobrze sobie radziła, miała służbowy samochód i pieniądze na firmowe wydatki, ale północny akcent Lauren odrobinę go krępował, a jej dźwięki wydawały mu się za duże i zbyt różowe. Zignorował ją, doprowadził do płaczu i zupełnie przestał zwracać na nią uwagę, tak że pod koniec pobytu związała się z Timem, jednym z bywalców winiarni w Fulham, a pół roku później Lucas dowiedział się, że są zaręczeni.

Matka miała rację, Lauren nie była dziewczyną dla niego. W głębi duszy wiedział, że istnieje dla niego tylko jedna kobieta, a im więcej miał lat, tym bardziej był przekonany, że los ich w końcu połączy.

Nie może się zdecydować, czy ma zwalić konia, czy zjeść lunch. Lunch będzie łatwiejszy, postanawia, kupił przecież w sklepie Marks and Spencer zestaw bardzo dobrych gotowych dań.

Lucas zjada doskonałego kurczaka po kantońsku ze smażonym ryżem i sajgonki nadziewane kaczką. Ma lepkie ręce, więc myje je bardzo starannie, po czym znów zagłębia się w albumie. Barbara niczym jakaś sentymentalna sroka kolekcjonowała drobiazgi przywołujące wspomnienia, więc od czasu do czasu Lucas odnajduje wsunięte pomiędzy plastikowe okładki stare bilety do teatru czy opery, zaproszenia na bale charytatywne i przyjęcia urodzinowe, które odbywały się w różnych eleganckich lokalach. W pewnej chwili natrafia na złożoną różową kartkę. List od Elise.

Napisała go kilka tygodni po wypadzie na narty, by z opóźnieniem podziękować Barbarze za cudowny prezent na Boże Narodzenie. Nie sprecyzowała, o jaki podarek chodzi, Elise nie zawracała sobie głowy podobnymi drobiazgami, a zresztą od Gwiazdki minęło już trochę czasu.

Pismo na kartce jest rozchwiane, chyba pisała jakimś zielonym mazakiem. Tekst jest pełen przeprosin, podziękowań i plotek z wypadu na narty: jaki wspaniały był śnieg, jaka fantastyczna pogoda, a spotkanie Lucasa było „wisienką na torcie” tego wyjazdu!

Kartka usiana jest wykrzyknikami, a nad literą „i” w swoim imieniu narysowała zamiast kropki uśmiechniętą buźkę. Nie wspomina o spalonej kuchni w wynajętym domku ani o dziewczynie, która wylądowała w szpitalu po zatruciu dymem, ale obiecuje, że postara się w tym roku „zakasać rękawy” i „wziąć się do roboty na uczelni”. Zresztą to tylko niektóre z jej noworocznych postanowień.

List jest datowany na dziesiątego lutego. Za kilka tygodni będzie już martwa.

Noworocznym postanowieniem Lucasa była wyprowadzka. Barbara się zmartwi, ale trzeba to zrobić; przypomina sobie, jak zdecydował, że poprosi ojca, by wsparł go finansowo przy kupnie nowego mieszkania.

Wsuwa z powrotem list do plastikowej okładki, przerzuca kilka kolejnych stron albumu i zatrzymuje się przy polaroidowej fotografii, poplamionej i wyblakłej; nie pamięta, że dał ją matce. Została zrobiona podczas dwudziestych pierwszych urodzin bliźniąt. Ojciec był bardzo hojny i kupił im nowe polaroidy.

Po uroczystej kolacji, arcydziele sztuki kulinarnej Edwiny, Dickie załadował kasetę z filmem do aparatu i zaczął objaśniać Rowenie i Charliemu, jak się nim posługiwać.

Bliźnięta stanęły za ojcem, który wycelował obiektyw w Lucasa. Trzask! Aparat cicho zaterkotał, zgrzytnął i po chwili wypluł fotografię na stół.

Nikt nie chciał jej wziąć, więc Lucas podniósł ją i obserwował, jak na pustym, szarym kwadracie pojawia się jego twarz. Na zdjęciu wyszedł nieźle, ale wciąż miał wątpliwości, czy powinien nosić brodę. Nie była modna, sądził jednak, że go wyszczupła.

Teraz na zdjęciu widać już tylko zarost. Twarz Lucasa zmieniła się w bezkształtną plamę. Pod spodem Barbara napisała: „Ostatnia impreza z brodą”. No tak, w tamten weekend ją zgolił. Podejrzewa, że matka nigdy jej nie lubiła.

Dla niego to pamiątka z dnia, kiedy po raz ostatni usiadł przy stole na Kennington Road. Zdziwił się, że został zaproszony na urodziny bliźniąt, sądził, że w ten sposób Edwina ironicznie odpłaca mu za to, że nie umieścił jej dzieci na liście gości imprezy

w hotelu Claridge's.

Nieważne, jakie były jej motywy, bo wieczór zapowiadał się nie najgorzej. Rowena nadal była płaska jak deska do prasowania, ale przynajmniej starała się coś zjeść, a Charlie ze swoimi okropnymi manierami (trzymał widelec w prawej dłoni, a nóż w lewej) niezdarnie pochłaniał wszystko aż do ostatniego okruszka; robił to z takim zapałem, że ziarenka grochu spadały z talerza.

– To dlatego, że jest leworęczny – powiedziała Rowena.

Zawsze usprawiedliwiała go w ten sposób, ale Lucas w głębi duszy uważał, że wyłazi z niego prymitywny irlandzki farmer. W końcu Rowena i Charlie mieli dość żywiolowych przodków. „Cyganie”, rzucała czasem matka, kiedy wracał z niedzielnych lunchów z Kennington. I czasem dodawała coś uszczypliwego w rodzaju: „Dziwię się, że jeszcze nie podała ci pieczonych jeży”.

Tym razem Edwina przygotowała bardzo smaczną jagnięcinę. Szczerze mówiąc, atmosfera na urodzinach była miła. Rozmawiano kulturalnie przy dobrym czerwonym winie, Rowena wymądrzała się na temat feminizmu, Charlie pozwalał żartować ze swojego damskiego naszyjnika, a Lucas zdołał wygłosić kilka opinii na temat rynków finansowych i nikt go nie zakrzyczał.

Lucas zdaje sobie sprawę, że prawie im się udało; czuje skurcz w piersiach i łzy napływają mu do oczu. Mogliśmy w końcu zostać przyjaciółmi, była taka szansa.

Jak zwykle to Rowena podała mu gałązkę oliwną.

– Lucas, w następny weekend odbędzie się zbiorowa impreza, coś w rodzaju wspólnego świętowania dwudziestych pierwszych urodzin kilkorga studentów. Zapraszam cię, wpadnij do Oksfordu.

Przypomina sobie błysk zdziwienia w oczach Charliego; Edwina, która nalewała kawę ze srebrnego dzbanka, znieruchomiała na chwilę. To był przełom. Ojciec wstrzymał oddech, nim Lucas odpowiedział:

– To bardzo miłe z twojej strony, Roweno. Jeśli nic mi nie wyskoczy, to chętnie przyjadę. Może być fajnie.

Ojciec odetchnął, Edwina znów zajęła się kawą, a Charlie zamrugął ze zdziwienia.

Widzicie, jaki potrafię być dojrzały? – chciał krzyknąć Lucas, ale powiedział tylko:

– Tak, z przyjemnością napiję się jeszcze kawy.

Tak postępują dorośli, stwierdził w myślach, i żeby potwierdzić swój nowy status, postanowił nie dolewać mleka do filiżanki.

Mniej więcej godzinę później, kiedy bliźnięta zniknęły (jak zwykle przy wkładaniu płaszczy zapanował niezły rozgardiasz), Lucas i Dickie przeszli do gabinetu na męską pogawędkę.

Rumieni się na to wspomnienie. Nie przypuszczał, że prośba o mieszkanie wywoła taką reakcję. Jednak ojciec przyjął to bardzo źle.

– To dlatego byłeś taki uprzejmy? – zapytał. – Chciałeś podlizać się swojemu staremu? Cóż, bardzo mi przykro, ale nie udzielę ci subwencji. Powiedziałem twojej matce, że skoro skończyłaś edukację, nie muszę już płacić jej tak wysokich alimentów. Będzie musiała żyć oszczędniej. Wiem, że pożyczyła ci pieniądze na samochód, nie mam pojęcia, skąd wzięła taką sumę, ale powtarzam, nie jestem studnią bez dna i obawiam się,

że kupno mieszkania nie wchodzi w grę, dopóki nie sprzedamy River Walk.

Lucas nie wierzył własnym uszom. W gruncie rzeczy ojciec stwierdził, że dopóki nie wypędzi Barbary z River Walk, nie ma za cholere szansy na zdobycie mieszkania.

– Zresztą, synu – kontynuował ojciec – nie potrzebujesz ode mnie pomocy finansowej. Jesteś zdolnym młodzieńcem, masz przed sobą dobre perspektywy, poradzisz sobie sam, beze mnie. Chcesz cygaro?

Lucas przypomina sobie, że zakrztusił się dymem, zakręciło mu się w głowie i powiedział, że musi już iść do domu. Nie pamięta, czy podziękował Edwinie za gościnę; zrozumiał tylko, że po raz kolejny za długo siedział w tym domu.

Biedna Barbara, nie mógł od niej żądać, by opuściła dom, który tak kochała. Dlaczego matka miałaby przeprowadzać się do jakiejś małej, gównianej nory, kiedy Edwina ma ten ogromny dom na Kennington Road? Dlaczego ona i ojciec go nie sprzedadzą? Dlaczego to zawsze on i matka mają dostawać po dupie?

– I jak było? – spytała Barbara, kiedy wrócił do domu.

– Okropnie – odpowiedział.

– To dobrze – uśmiechnęła się złośliwie i zlizwała z warg okruszki bezy. – W lodówce jest tort Pavlova.

Matka sprzedała trochę biżuterii, żeby pomóc mu sfinansować kupno samochodu. Twierdziła, że wcale jej to nie martwi.

– Dziś jest tyle doskonałej sztucznej biżuterii, Lucas. Rzecz nie w tym co, ale jak się nosi.

Zdaje sobie sprawę, że musiała sprzedać wszystko, zanim ostatecznie zrezygnowała z River Walk. Dlatego nic nie zostało, najmniejszy brylant, szmaragd czy szafir. Biżuteria zniknęła, podobnie jak żelki.

Miał zamiar po południu odwiedzić matkę, ale kiedy zjadł chińszczyznę (co za ucztą!) i przypomniał sobie, że Barbara nigdy nie lubiła jego brody, Lucas postanawia uciąć sobie drzemkę. Tylko na tyle go stać.

Ścieżka wspomnień okazała się bardziej wyboista, niż przypuszczał, nerwy ma w strzępach.

Każdy dobry amerykański psychiatra powiedziałby mu, że nie potrafił przetrwać wydarzeń, które rozegrały się lata temu, i miałby rację. Ustawia fotel w pozycji „do drzemki”, wyciąga się wygodnie i próbuje zebrać myśli.

Pod pewnym względem konsekwencje tragicznej śmierci Elise można przyrównać do rozbitego szkła. Nawet jeśli wydawało ci się, że je zamiotłeś, kolejny ostry odłamek udowadnia ci, że się myliłeś.

Tyle osób i spraw jest uwikłanych w tę historię, która przecina życie niczym Tamiza Londyn, formuje i kształtuje przyszłość wielu osób. Od trzydziestu lat Lucas zmaga się z pytaniem: Czy to była moja wina?

Gdzie się zaczyna i kończy łańcuch winy? Elise umarła, bo brała narkotyki, ale w rzeczywistości zginęła tego konkretnego dnia, ponieważ on zaprosił ją na tę konkretną imprezę.

No ale gdyby matka nie dała mu pieniędzy, nie kupiłby samochodu. Gdyby nie kupił samochodu, pewnie nie zawracałby sobie głowy idiotyczną imprezą Roweny.

Ale Barbara to zrobiła, i on też.

Nadal słyszy zachwyt w głosie matki, kiedy pozował na tle nowego samochodu przy River Walk. Była wczesna wiosna, kwitły forsycje.

– Jeszcze jedno, ale teraz włóż okulary przeciwsłoneczne, Lucas, wyglądasz jak gwiazda filmowa. – Nie była to prawda, ale uśmiech, kiedy nonszalancko opierał się o lśniącą, opływową karoserię, mówił wszystko: to jest moja duma i radość. Oczywiście zdjęcie znajduje się w albumie, z podpisem: „Fantastyczny wóz Lucasa”.

Triumph TR8, szybki, mały, jasnoczerwony dwuosobowy kabriolet, idealny, by przyciągać wzrok dziewcząt przechadzających się po Chelsea – i właśnie do tego mu służył, kiedy w marcowy sobotni poranek dostrzegł Elise.

Lawirowała pomiędzy samochodami na King’s Road, nie próbowała skorzystać z przejścia dla pieszych, które było tuż obok.

Zatrąbił, a ona pokazała mu środkowy palec. Zatrąbił raz jeszcze, tym razem go rozpoznała i krzyknęła wesoło, żeby zatrzymał się na Flood Street, to sobie pogadają.

Pięć minut później siedziała już w jego wozie, bawiła się radiem, muskała guziki i gałki, których raczej nie powinna była dotykać. Czuć było od niej lekki zapach potu, uskarżała się, że od czasu wypadu do Val d’Isère nudzi się jak mops.

Pewnie był to wpływ samochodu, bo poczuł się pewny siebie jak nigdy wcześniej; ku swemu zaskoczeniu zapytał ją, czy ma jakieś plany na wieczór.

– Nic specjalnego – przyznała. – Jest jakaś prywatka na Ealingu, ale kto by jechał do Ealingu?

– A ja muszę wlec się do Oksfordu – odparł Lucas.

– Uwielbiam Oksford – powiedziała z zachwytem i zaczęła się domagać szczegółów.

Pamięta, jak się rumienił, kiedy wyjaśniał, że to Rowena organizuje imprezę.

– No tak, ona jest z tej twojej tajemniczej przybranej rodziny, o której nie wolno wspominać. – Roześmiała się. – Tak się składa, że znam kilku gości z Oksfordu. Jest taki facet, Niemiec, jakiś hrabia czy coś takiego, nieważne. Zawsze mogę przewaletować w jego pokoju. O której wyruszasz?

Lucas nawet o tym nie pomyślał, ponieważ tak naprawdę nie zamierzał tam jechać. Skrycie podziwiał Rowenę, ale nie na tyle, by tłuc się tam i z powrotem ponad sto mil. Ale w sumie nieźle byłoby zabrać triumpha na porządną przejażdżkę. Wahał się, więc Elise zdecydowała za niego.

– Przyjedź po mnie o piątej do Westminsteru. Zatrzymałam się chwilowo u ojca, przez tę straszną historię z moim starym mieszkaniem. Możemy przekąsić coś w Oksfordzie, a potem pójść na imprezę.

Matka była zbita z tropu.

– Myślałam, że zjemy kolację na mieście, na tyłach Harrodsa otworzyli świetną włoską restaurację, chciałam cię zaprosić, podobno dają tam zabójczą cielęcinę.

O mało go nie skusiła. Elise była trudna, podejrzewał, że przez całą drogę do Oksfordu będzie palić w jego pięknym nowym samochodzie, a zresztą on nikogo tam nie zna. Kiedy przyjadą, Elise na pewno gdzieś zniknie i będzie tkwił samotnie w jakimś kącie.

Ale kiedy powiedział Barbarze, że obiecał zabrać Elise, zmieniła zdanie.

– W takim razie musisz jechać. Elise powinna wreszcie poznać kogoś odpowiedniego, już najwyższy czas. Biedna Minty, mówi, że zadaje się z jakąś straszną hołotą, ale z tobą będzie bezpieczna. Będziesz prowadził ostrożnie, prawda, kochanie?

Zapewnił ją, że tak. Zgodnie z instrukcjami zjawił się w mieszkaniu ojca Elise punktualnie o piątej, ale dziewczyna szykowała się do szóstej. Nie wiedziała, w co się ubrać, i zaciągnęła go do swojego pokoju, żeby pomógł jej coś wybrać. Garderoba Elise wyglądała jak kiepsko prowadzona wypożyczalnia kostiumów teatralnych. Ubrania walały się wszędzie: na łóżku, podłodze, zwisały z szafek i wystawały z szuflad.

W końcu zdecydowała się na wyszywaną cekinami srebrną suknię w stylu lat trzydziestych – „moja kochana starowinka” – na którą narzuciła ekscentryczną fioletową marynarkę, a potem skoczyła do pokoju matki, żeby pożyczyć efektowną parę ametystowych kolczyków i kaszmirowy rozpinany sweter – „na wszelki wypadek”.

Lucas, który sądził, że ubrał się dość śmiało – pod najlepszą płócienną marynarką miał hawajską koszulę od Flipa – poczuł się odrobinę wytrącony z równowagi. Nadpobudliwa Elise była typem dziewczyny, która na randce potrafiła zaproponować, by zwiać z restauracji bez płacenia. Poczul nadciągającą nieuchronnie katastrofę i żałował, że nie ma przy sobie aspiryny. Przez Elise zdążyła już rozboleć go głowa.

Zanim wyszli, przetrząsnęła jadalnię w poszukiwaniu butelki czerwonego wina i od razu wyciągnęła korek.

– Mama i tata chyba pojechali na weekend do Chequers, zresztą nie jestem pewna.

Mieszkanie w Westminsterze, z którego rozciągał się wspaniały widok na rzekę, nie było jedyną rezydencją Landrethów. Paul miał także wiejską posiadłość w swoim okręgu wyborczym w Norfolk, nie wspominając o małym domku w Portugalii. Z trzech przyjaciółek, które zostały druhami na swoich ślubach, Minty zdecydowanie trafiła najlepiej i Lucasowi nagle zrobiło się żal matki, która spędza kolejny samotny wieczór na River Walk przed telewizorem. Teraz przypomina sobie, że June w ogóle nie wyszła za mąż. Barbara była przekonana, że to z powodu jej wielkich stóp – „były jak kajaki, kochanie” – nosiła ósemkę.

Kiedy wychodzili z budynku, portier uchylił czapki.

– Dobry wieczór, panno Landreth, dobry wieczór, sir.

Tak jak przewidywał, kiedy tylko wsiedli do samochodu, Elise wyciągnęła paczkę papierosów. No cóż, pomyślał Lucas, gdyby nie wolno było palić w środku, nie byłoby tu elektronicznej zapalniczki. Wcisnął przycisk; podłużna rurka wyskoczyła po kilku sekundach, żarząc się na czerwono.

– Bosko – westchnęła Elise, kiedy wyjeżdżali z miasta, i zaciągnęła się głęboko dymem.

Obawiał się trochę, że rozmowa nie będzie się kleić, ale mieli dużo wspólnych znajomych i plotkowali, dopóki nie wjechali na autostradę M40.

Na jakiś czas, kiedy utknęli w korku, a Elise zaczęła pociągać wino, wpadła w filozoficzny nastrój.

– Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem, Lucas?

A on odpowiedział najszczerzej, jak potrafił:

– Chcę odnieść sukces i stać się bogaty. – I chudy, dodał w myślach.

– Ja już chyba jestem bogata – zauważyła Elise. – Mam fundusz powierniczy, pieniądze dostanę, gdy skończę dwadzieścia pięć lat. Do tego czasu starzy trzymają mnie na finansowej smyczy, ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek musiała pracować. Szkoda, naprawdę czasami tego żałuję, bo praca i jakiś cel w życiu mogłyby być interesujące, jak myślisz, Lucas? Kurwa, chyba fajnie jest być kimś pożytecznym.

Nie wiedział, co na to powiedzieć, więc udał, że jest skupiony na prowadzeniu. Elise mówiła dalej:

– Oczywiście chciałabym kiedyś wyjść za mąż i mieć dzieci, rzecz jasna, jak uda mi się zająć w ciążę. Chodzi o to, Lucas, że miałam aborcję, a bywa, że przy tym coś schrzanią... Nie wiadomo, czy nie doszło do jakiegoś trwałego uszkodzenia. Wcale nie mówię, że byłabym najlepszą matką, ale od czego są nianie. Chyba wolałabym mieć chłopców niż dziewczynki. Z dziewczynami jest tyle kłopotów, byłam straszną suką dla swojej mamy, biedna ta moja stara.

Lucas słuchał jak oniemiały; mówiła o takich intymnych sprawach. By ukryć zmieszanie, włożył kasetę do odtwarzacza, dźwięki *The Wall* Pink Floydów na chwilę zagłuszyły Elise, ale po chwili powiedziała „cholera” i wyłączyła muzykę.

– Czasami się zastanawiam, Lucas, może powinnam zostać wolontariuszką, dać coś z siebie. Jestem uprzywilejowaną dziewczyną, mama i tata bez przerwy mi to powtarzają. Może mogłabym pojechać i pomagać ludziom w Trzecim Świecie?

Lucas podejrzewał, że Elise uważała Trzeci Świat za jakieś konkretne państwo.

Bez końca przynudzała, przeciągała samogłoski w sposób typowy dla dziewczyn z londyńskich wyższych sfer. Lucas próbował przestać zwracać uwagę na jej gadaninę i skoncentrować się na gardłowym pomruku silnika, niestety poszczególne fragmenty jej monologu nadal przebijały się przez warkot motoru.

– Duchowość, Lucas, musi być jakaś przyczyna istnienia. Nie twierdzę, że Bóg, ale ktoś powinien być za to odpowiedzialny... bla, bla, bla... Może trudno mnie pokochać? Jasne, wiele dziewczyn jest o mnie zazdrosnych... bla... Naprawdę uwielbiam zwierzęta, ale nie ma nic nudniejszego od spaceru z psem. Nieważne, jaki to pies, wyprowadzanie zwierzaków jest upierdliwe.

W tym momencie Lucas o mało jej nie przerwał. Już, już miał powiedzieć: Nie, Elise, psy nie są nudne, Chryste, to ty przynudzasz. Jesteś najnudniejszą, najbardziej egocentryczną dziewczyną, z jaką kiedykolwiek siedziałem w dwuosobowym sportowym samochodzie. Co za pech.

Podróż dłużyła się w nieskończoność. Elise pociągała z butelki czerwone wino i w związku z tym stawała się coraz bardziej ożywiona, opowiadała po kilka razy te same historie, na szczęście w końcu zasnęła z zapalonym papierosem w dłoni. Lucas wyjął jej z dłoni kopiącego peta i doszedł do wniosku, że wszystkie kobiety są okropne. Oczywiście oprócz jednej.

Lucas unosi się na fotelu i zastanawia nad udziałem Fern w tych zdarzeniach. Właściwie poznał ją dzięki Elise. Było to dawno temu, ale nigdy tego nie zapomniał: sztuczne ognie, muzyka, gołębice i jedwabne chusteczki. Lucas zakochał się, kiedy miał dwanaście lat, a jego wybranka nazywała się Fern Woolbright.

Rudowłosa Fern, która siedziała obok niego na dziesiątych urodzinach Elise i widziała, jak płacze. Można wyobrazić sobie jego upokorzenie. Duży dwunastoletni chłopiec płakał, bo jego ojciec ożenił się z inną kobietą, która nie była jego matką, a Fern po prostu wzięła go za rękę. Drobne paluszki przypominające ukwiały owinięły się wokół jego dłoni.

– Jestem tutaj, wszystko będzie dobrze – powiedziała.

Nie pamiętał o tym zdarzeniu, przypominał je sobie teraz, tu, na tej zielonej rozkładanej leżance, która mogłaby stać w gabinecie psychoanalityka – co za freudowskie skojarzenie. Ale nagle jego zadurzenie nabiera sensu: nic dziwnego, że tak bardzo chciał ją ochronić przed srającymi gołębiami.

Rzecz jasna, kiedy spotkali się kolejny raz, nie miała pojęcia, kim on jest. Wtedy, na szesnastych urodzinach Elise, nie zamienili ze sobą nawet słowa. Dopiero zbierał się na odwagę, żeby do niej podejść i ponownie się przedstawić, kiedy zniknęła.

Gdyby pomógł jej wtedy tak jak ona jemu. Gdyby wtargnął do damskiej łazienki, wziął ją za rękę, kiedy rzygała, i powtarzał: „Jestem tutaj, wszystko będzie dobrze”. Ale nie zrobił tego i w drodze do Oksfordu (Elise chrapała cicho na fotelu pasażera) zdał sobie sprawę, że nie widział Fern już od pięciu lat.

Wiedział, że poszła do szkoły teatralnej, ponieważ ciotka Minty powiedziała o tym Barbarze; sporo dyskutowano na ten temat w salonie na River Walk – czy Woolbrightowie oszaleli, że na to pozwolili?

– Nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby wybrała jakąś szkołę w Londynie, ale ona

studiuje w Manchesterze – rozpaczała Minty.

– Fuij! – wzdrygnęła się Barbara. – Przecież to na tej lodowatej północy.

Elise spała do chwili, kiedy wjechali na przedmieścia Oksfordu. Obudziła się nagle, jak królewna z bajki, całkiem wypoczęta. Pusta butelka po winie walnęła się na podłogę samochodu.

– Powinnam była zabrać dwie – westchnęła niezadowolona.

– Jesteśmy prawie na miejscu – odparł Lucas; starał się, żeby z jego głosu nie wyczytała, jak bardzo jest zniecierpliwiony. Po chwili zapytał obojętnym tonem: – A przy okazji, co słyszeć u twojej kuzynki?

– Chodzi ci o uroczą małą Fern?

– Właśnie.

– Widziałam ją w święta Bożego Narodzenia, od tego czasu gadałyśmy kilka razy przez telefon. Ciągłe obiecuje, że pojedę i się z nią spotkam, ale przecież to Manchester. Sądziłam, że doskonale wiesz, co porabia, biorąc pod uwagę... sam wiesz co.

– Nie, co takiego?

Była naprawdę wkurzająca.

– Że rżnie się z twoim przybranym bratem.

W tym momencie coś się stało z głową Lucasa i na ułamek sekundy zapomniał, jak się prowadzi samochód. Odruchowo wcisnął pedał gazu, Elise wrzasnęła:

– Kurwa, Lucas, zwolnij! Nie chcę jeszcze umierać, nie śpieszy mi się.

Z trudem przypomniał sobie, do czego służy hamulec. Kiedy zwolnili, był zlany potem.

– Przepraszam, Elise, chyba... eee... zacięło się sprzęgło.

Zignorowała jego przeprosiny.

Przejechali przez most nad Cherwell i już bez kolejnych zgrzytów znaleźli się na High Street.

– A teraz – zakomenderowała – znajdziemy jakieś miejsce, gdzie coś zjemy, a potem pójdziemy na imprezę. Może pojedziemy do Randolpha? Dają tam niezłe dania z grilla.

Lucas opiera się na łokciu w rozkładanym fotelu matki. Za chwilę stanie się najgorsze. Wydarzenia kompletnie wymykają się spod kontroli.

Chyba zamówili steki. Elise jadła, jakby od tygodni nie miała nic w ustach. Powiedziała mu, że musiała przeprowadzić się do rodziców, bo właściciel mieszkania w Pimlico stał się „nie do zniesienia”, i chociaż w domu trudno wytrzymać, bo matka śledzi każdy jej krok, cudownie jest mieć przez cały czas ciepłą wodę i darmowy alkohol pod ręką.

Po posiłku Lucas najchętniej wróciłby do Londynu. Wypił trochę, ale nie za dużo, to Elise wysuszyła lwią część butelki niezłego beaujolais, musiał powstrzymać ją przed zamówieniem kolejnej.

– Chyba czas pójść na imprezę – powiedział.

Elise wyjęła portmonetkę z torebki i zaczęła odgrywać komedię, że ma zamiar dorzucić się do rachunku.

– O Boże, przepraszam, Lucas, zapomniałam karty kredytowej. – Idiotyczna wymówka: portmonetka była wypchana banknotami.

Kiedy udawała, że szuka karty, na stół wypadła mała plastikowa saszetka; jego matka używała podobnych do przechowywania resztek jedzenia.

– Zapasy na imprezę – zachichotała. – Muszę mieć coś, co mnie nakręci, chociaż szczerze mówiąc, to już końcówka. Nie przypuszczam, żebyś miał...

Wyraz jego twarzy wystarczył za odpowiedź; czuł, że skrzywił nos z dezaprobatą, więc wrzuciła pakiecik z powrotem do torebki, zamknęła ją, pochyliła się, uszczypnęła go w policzek i powiedziała:

– Ojej, Lucas, jesteś taki słodki i naiwny.

Uregulował rachunek i wyszli.

Impreza była mniej więcej taka, jak się spodziewał: mnóstwo ludzi, od których czuł się gorszy, zarówno pod względem wykształcenia, jak i towarzyskim. Nie był wystarczająco bystry, wyluzowany ani dziwaczny, by dobrze się tu bawić.

Rowena była miła, ale roztargniona. Wydawała się zdziwiona, że się zjawił.

– Miałem ochotę przejechać się samochodem – zaczął wyjaśniać, ale przerwała mu lekceważącym gestem dłoni i zapytała:

– Znasz Penny?

Jasne, że nie znał; studiowała w kolegium St. Hilda na trzecim roku biochemii, grała na harfie i uwielbiała języki starożytne, zwłaszcza sanskryt. Była nudna, ale nie tak bardzo jak Elise, przynajmniej znała podstawowe zasady konwersacji. Grzecznie zadała mu kilka pytań, a potem odpłynęli w różne strony, niczym oddalające się od siebie statki kosmiczne.

Następne dwadzieścia minut spędził oparty o ścianę, udając, że jest zatopiony w muzyce. Trzy razy poszedł do łazienki i po raz pierwszy w życiu żałował, że nie pali, przynajmniej mógłby czymś się zająć.

Charlie zjawił się około dziesiątej. Goście zaczęli tańczyć, ale Lucas nadal czuł się skępowany. Wypił już sporo i chciało mu się spać. Żadna z dziewcząt nie była w jego typie, a nie potrafił rozmawiać z mężczyznami; w końcu oni dostali się do Oksfordu,

a jemu się nie udało. Wyobrażał sobie, jak wypytyują go o wyniki, które uzyskał podczas egzaminów na zakończenie szkoły średniej.

Stał na chłodnych kamiennych stopniach i obserwował, jak Rowena obejmuje brata, pociąga go za sobą i przedstawia wszystkim, którzy są jeszcze trzeźwi. Charlie był jak zwykle leciutko nawalony i dobroduszny, ścisnął dłonie, całował dziewczyny na powitanie i ciągle się śmiał. Szary nikotynowy dym unosił się przy każdym jego kroku. Był naprawdę parszywym dupkiem, na samą myśl, że dotyka Fern swoimi obrzydliwymi paluchami z obgryzionymi paznokciami, Lucasowi robiło się niedobrze. Chciał się z nim bić, ale zdawał sobie sprawę, że nie potrafi znaleźć pretekstu. Miał ochotę po prostu podejść do niego i go znokautować, wiedział jednak, że wtedy to on będzie miał kłopoty: jak mógłby komuś wytłumaczyć, nawet samemu sobie, że bije się o dziewczynę, w której się zakochał, kiedy był małym chłopcem?

Z oddali obserwował, jak Charlie i Elise krążą wokół siebie, oczywiście w końcu na siebie wpadli. Po chwili pogrążyli się w rozmowie, ich głowy nieomal się stykały. Bez przerwy chwyciła go za ramię, a on delikatnie odsuwał jej dłoń. Lucas miał wrażenie, że obserwuje zwierzęta pochłonięte jakimś rytuałem, przedziwnym rodzajem tańca. Wydawało się, że Charlie ma coś, czego Elise pożąda, na tyle mocno, że zaczęła biegać dookoła i rozpaczliwie szukać swojej torebki. Kiedy wyciągnęła ją spod stosu płaszczy, przycisnęła zdobycz do piersi i pognęła z powrotem do Charliego.

Widział, jak stają blisko siebie i odwracają się tyłem do gości. Doszło do jakiejś wymiany, po wszystkim Elise tak mocno uściskała Charliego, że musiał siłą wyrwać się z jej objęć.

Około północy Lucas ledwo trzymał się na nogach. Elise zeszła na trawnik, w swojej błyszczącej sukni grała w krokieta przy zapalonych świecach. Ludzie łączyli się w pary, całowali, a w ciemnych zakamarkach salonu Roweny dochodziło do ostrzejszych zbliżeń.

Czuł coraz bardziej, że nie ma tu dla niego miejsca. Jeśli wypije więcej, zwymiotuje, a szansa, że poderwie jedną z tych przerażających młodych kobiet, była zerowa, więc Lucas ruszył na spacer po Oksfordzie. Nocny portier u Randolpha powiedział mu, że w zajeździe nie ma wolnych pokoi, musiał więc spędzić potwornie niewygodną noc, skulony w samochodzie. Po raz pierwszy od czasu, kiedy go kupił, żałował, że nie zdecydował się na coś większego, na przykład na volkswagena kombi.

Kiedy obudził się następnego dnia, czuł się, jakby ktoś zdzielił go po głowie żelazną sztabą, płócienna marynarka była wymięta i poplamiona. Pragnął jedynie coś zjeść, pojechać do domu i się przebrać.

Matka będzie wściekła, że zostawił Elise. Wyobrażał sobie jej słowa: „Dzentelmen tak się nie zachowuje”, na co miał gotową odpowiedź: „Ale ona nie jest damą”.

Ze względu na nikłe prawdopodobieństwo, że spotka Elise, przejechał trzy razy obok akademika Roweny (jednak zaczynało go już dopadać poczucie winy). Kilkoro studentów wychodziło przez wiekową drewnianą bramę, ale nie był pewien, czy są to niedobitki wieczornej imprezy.

Potem odjechał. Tak po prostu, bo nie mógł jej znaleźć. Sprawdził, czy jej nie ma, i odjechał. Czuł się okropnie, miał kaca i był brudny. Była jedenasta rano, niedziela,

pojechał do najbliższej otwartej stacji benzynowej, zjadł doskonałe, obfite angielskie śniadanie, wypił dwie filiżanki kawy i coca-colę, poczuł się odrobinę lepiej i ślimaczym tempem wrócił do Londynu; w drodze słuchał taśmy Pink Floydów, którą Elise tak bezceremonialnie wyłączyła poprzedniego dnia.

Kiedy wrócił na River Walk, matki nie było – wyszła na lunch – ucieszył się, że ma dom do wyłącznej dyspozycji. Wykąpał się, przeczytał niedzielne gazety, rozkoszował się tym, że kac powoli mija. Życie nie było takie złe; sprzątaczką matki zajmowała się praniem, w jego szafie wisiało pięć starannie wyprasowanych koszul, które wkładał do pracy. Wybrał do każdej z nich odpowiedni krawat i zrobił sobie kanapkę z pieczoną wołowiną. Może wieczorem zabierze gdzieś matkę, mogą spróbować tego *ossobucco* w nowej włoskiej restauracji.

Drzemal na łóżku, kiedy usłyszał, jak wraca. Było około piątej; może jednak zostaną w domu i zjedzą jajecznicę przed telewizorem. Dobrze będzie solidnie wypocząć przed jutrzejszym dniem pracy. Ostatnio popełnił kilka głupich pomyłek i został ostrzeżony, że jego okres próbny jeszcze się nie skończył.

Nie jest pewien, czy to telefon go obudził, ale ktoś musiał zadzwonić, ponieważ o siódmej wieczorem matka zawołała go z dołu. W jej głosie było coś, co przypomniało mu o dniu, kiedy leżała w wannie pełnej własnej krwi, jakaś nuta hysterii, której nie słyszał już od wielu lat. Włożył szlafrok na piżamę i począł w pantoflach do salonu.

Matka kołysała się w przód i tył na fotelu.

– O Boże, Lucas, chodzi o Elise. Myślałam, że jest z tobą, sądziłam, że jest bezpieczna.

Natychmiast ogarnęło go poczucie winy; musiał zrobić coś strasznego, ale nie miał pojęcia co. Nalał matce brandy i włożył kieliszek w jej drżącą dłoń. Twarz Barbary była wykrzywiona, wyglądała okropnie, jak postać z obrazów Francisa Bacona. Otwierała i zamykała usta, nie mogła złapać tchu, wychyliła brandy i zanim zdążyła ją przełknąć, wydusiła z siebie słowa:

– Elise nie żyje. Minty i Paul właśnie wrócili z Chequers, dostali policyjną eskortę. Pomyśl, co za tragedia. Dobry Boże, Elise nie żyje, mówią, że to może mieć coś wspólnego z narkotykami.

Brandy ściekała jej po brodzie i szyi.

Lucas stał na środku dywanu zdobionego złotymi wzorami. Spoglądał na swoje pantofle i na kwiecistą piżamę, ale nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Byłeś z nią, Lucas, dlaczego ją zostawiłeś? Dlaczego była sama?

Matka nigdy się na niego nie gniewała. Nie mógł znieść jej wyrzutów, to nie była jego wina. Poczuł się, jakby miał cztery lata, wtedy chyba po raz ostatni go zbesztala, bo narysował coś na ścianie. Przez krótką, dręczącą chwilę myślał, że się zmoczy.

– Widziałem go! – wrzasnął. – Widziałem człowieka, który sprzedał jej narkotyki. Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy, ale widziałem, jak daje mu pieniądze, temu mężczyźnie, i widziałem, jak on jej coś w zamian przekazuje, jakąś plastikową torebkę.

Matka ociera brandy z twarzy i szyi i wbija w niego wzrok.

– To był Charlie, mamusiu, ten człowiek, który dał Elise narkotyki. To był Charlie Treadaway.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Więc dzwonię na policję.

Patrzył, jak matka idzie z salonu do hallu. Przez otwarte drzwi widział, jak siada przy stoliku z telefonem i podnosi słuchawkę, i nie zrobił nic, żeby ją powstrzymać.

Nagle robi mu się zimno. Przesuwa oparcie fotela i wstaje.

Lucas włącza elektryczny kominek i czeka, aż żar bijący od podświetlonego sztucznego węgla rozgrzeje mu ciało. Nie potrzebuje fotografii, żeby przypomnieć sobie, co stało się później. Sprawa była prosta: czas dzielił się na „przed” i „po”, klocki domina zaczęły się przewracać.

Kiedy matka doniosła na Charliego, Lucas już nie mógł bywać na Kennington Road. Nadal widywał ojca, prowadzili wymuszone rozmowy przy lunchach, prawie nie tykając jedzenia. Na twarzy Dickiego pojawiło się dużo nowych zmarszczek i zaczął gwałtownie łysieć. Te spotkania były bolesne dla nich obu.

Ojca nie zaproszono na pogrzeb Elise.

– To nie byłoby właściwe – sapnęła matka, ubrana na czarno wyglądała niezwykle majestatycznie. – Chcesz połówkę valium, kochanie, żeby się trochę rozluźnić?

Wysiadła z samochodu i od razu zauważył burzę rudych włosów. Nie mógł przyjrzeć się jej dokładnie, miała spuszczone głowę, a w kościele był tłok. Stracił ją z oczu i zobaczył dopiero w hotelu: biała twarz i strach w oczach, kiedy go rozpoznała. Matka właśnie miała do niej podejść, kiedy Fern nagle zemdląła, czarna suknia i rude włosy opadły w nieładzie na niebieski dywan.

– Proszę się cofnąć! – krzyczał jej ojciec.

Zrobiło się zamieszanie, ludzie byli podnieceni, nareszcie wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Zewsząd padały stwierdzenia: Zemdląła, to wszystko ją przytłoczyło, biedaczka. Co za smutna historia.

– Głupia dziewczyna, pewnie nic nie jadła. – Tylko tyle współczucia zdołała wykrzesać z siebie matka, ale Lucas nie potrafił wyrzucić z pamięci tego obrazu, był jak scena z jakiejś przerażającej bajki: nieprzytomna Fern ze srebrnym łańcuszkiem na szyi.

Natychmiast go rozpoznał. W głowie huczały mu strzępy rozmowy: „Charlie, bawisz się w pedała?”.

Jowialność Dickiego, jego własne szyderstwa, westchnienie Roweny, półmisek ziemniaków z masłem, zapach hiacyntów.

Srebrny naszyjnik z wisiorkiem w kształcie liścia paproci, który miał na sobie Charlie, jego pogardliwy uśmiech, żółte zęby, kartki z życzeniami na gzymisie kominka. I wtedy zrozumiał, że Elise mówiła prawdę: oni się różnili. Gdyby tak nie było, to dlaczego ten piździelec Charlie miałby nosić naszyjnik Fern podczas urodzinowego przyjęcia?

Oczekiwanie na rozprawę ciągnęło się w nieskończoność. Matka nie chciała, żeby się zdręczał, i zabrała go na wakacje. Pojechali do Neapolu i zatrzymali się w pięciogwiazdkowym hotelu; traktowała go jak inwalidę.

– Ma za sobą ciężkie przejścia – mówiła wszystkim, tak że w końcu nawet kelnerzy zaczęli uważać go za żalosego imbecyla.

Tego lata Fern wyszła za mąż. Barbara powiedziała mu o tym w Neapolu, kiedy pili poobiedniego drinka na tarasie i patrzyli na Capri, gdzie rodzice spędzili miodowy miesiąc.

– Cichy ślub, skromna uroczystość w urzędzie stanu cywilnego; to normalne,

rodzina jest w żałobie, Minty o wszystkim mi opowiedziała. Ona i Paul nie przyszli, to by było dla nich zbyt bolesne, bo przecież gdyby Elise żyła, na pewno zostałyby druhną. – Barbara zaczęła płakać, łyzy kapąły do kieliszka z koniakiem, rozpacziała, że Elise nigdy nie zostanie druhną, panną młodą, żoną i matką. – To nie do zniesienia, kochanie. Gdyby cokolwiek stało się tobie, poszłabym po prostu na stację metra przy Sloane Square i rzuciłabym się pod pociąg. Po tym, jak odszedł twój ojciec, żyję tylko dla ciebie.

Właściwie dobrze było wrócić jesienią do pracy, ale pewnego dnia, gdy wychodził z biura, w hallu natknął się na Edwinę. Nie chciał z nią rozmawiać, więc szybko cofnął się do windy; wolał zjeść herbatniki w sali posiedzeń, niż pójść na lunch. Na szczęście nie udało się jej wtargnąć do sanktuarium, w którym pracował. Świat finansów dobrze strzegł swojego bezpieczeństwa.

Bywały dni, kiedy z trudem oddychał na myśl o tym, co go czeka, nie wytrzymał presji, nocami często wsiadał do samochodu i jeździł po Londynie, w głowie tłukło mu się bez przerwy to samo pytanie, przewiercało mu mózg na wylot: Dlaczego? Dlaczego wyszła za kogoś innego, jeśli rznęła się z Charliem?

Odpowiedź stała się oczywista, kiedy zobaczył ją na rozprawie wstępnej. Wchodziła na salę sądową z rodzicami; jej płaszcz się rozsunął, ukazując małe, zgrabne wybrzuszenie. No jasne, była w ciąży.

– Tak – potwierdziła matka. – Pewnie dlatego wzięli ślub z takim pośpiechem, „pod przymusem”, jak to się mówi, ale na szczęście to przyzwoity człowiek. Oficer, nie żaden szeregowiec, kapitan Frobisher. Mam nadzieję, że będą szczęśliwi.

I było po wszystkim: wyszła za męża, będzie miała dziecko z innym mężczyzną. Dziecko z innym mężczyzną. Przez lata nie dawało mu to spokoju: Czy Charlie wiedział? A jeśli tak, czy go to obchodziło?

Był zadowolony, że nie przyszła na proces, zadowolony, że nie musi kłamać na jej oczach. Cała prawda i tylko prawda, co za kpiny.

Ale w końcu wszystko potoczyło się bardzo szybko. Facet trafił do więzienia, urodziło się dziecko. I co z tego? To zdarza się każdego dnia, a jednak Lucasa nadal prześladowa ten obraz: w dniu, w którym Charliego skazano, został natychmiast połknięty przez system, po prostu zniknął, pozostawiając za sobą zdumionych widzów.

Oczywiście znowu wypłynął. Trzy lat później zwolniono go z więzienia, ale wtedy Lucas siedział już bezpiecznie w Ameryce, za sprawą wdzięcznego Paula Landretha, który pociągnął za odpowiednie sznurki i spowodował, że przeniesiono go do nowojorskiego oddziału firmy i powierzono stanowisko, na którym nie mógł narobić zbyt wielkich szkód.

Nowy początek.

Ciekawość zwycięża i Lucas ponownie sięga po album w plastikowej okładce, który matka przygotowała, gdy jej mózg jeszcze rozpoznawał twarze, a dłoń potrafiła utrzymać długopis. Które fotografie z jego amerykańskiego wcielenia wybrała? Ach, to: gładko ogolony, elegancki, wznosi butelkę budweisera przed obiektywem nieznanego fotografa. Na zdjęciu widnieje napis skreślony ręką Lucasa: „Spełnienie marzeń”.

W Wielkim Jabłku był szczęśliwy, bez trudu zmienił swój image, miał akcent Anglika z wyższych sfer i odrobinę przypominał księcia Andrzeja. Przeszłość zostawił w innym kraju, zimnym, szarym, ponurym miejscu, gdzie bez przerwy padało.

Rzadko przyjeżdżał do domu. W końcu po co miał wracać gdzieś, gdzie czuł się smutno i źle?

Zamiast tego Barbara i ojciec przylatywali do Stanów (rzecz jasna osobno) raz lub dwa razy do roku, matka chętnie chodziła w Nowym Jorku na zakupy, do teatrów i restauracji.

– Oczywiście Regent Street jest urocza, a Liberty's to najlepszy sklep na świecie, ale nic nie może równać się z Piątą Aleją.

Tak, jest tutaj. Zdjęcie matki, która pozuje z reklamówką od Bloomingdales, zatytułowane jest: „Niech żyją zakupy!”.

Ojciec zawsze zjawiał się wyczerpany. Nie starzał się tak dobrze jak matka, która z każdą wizytą wydawała się coraz bardziej dziarska. Tymczasem Dickie zmieniał się w przygarbionego, siwego starca; pewnego razu przyznał, że kiedy Charlie siedział w więzieniu, on i Edwina mogli przynajmniej spać spokojnie w nocy, nie denerwowali się tak jak teraz, wiedzieli, gdzie był i że nic mu nie groziło.

Co do Roweny, Dickie poinformował Lucasa, że podczas tak zwanej nieobecności brata jakoś doszła do siebie, przeniosła się na Uniwersytet Londyński, zamieszkała w domu i udało się jej zrobić dyplom. Z wyróżnieniem.

– No jasne – mruknął Lucas, a ojciec skinął głową i powiedział:

– Zachowywała się jak eremitka, zajmowała się wyłącznie pracą. Żadnych mężczyzn, rozrywek, tylko książki.

Kiedy ojciec był w Londynie, sumiennie dzwonił do Lucasa raz w tygodniu. Pewnego wieczoru Lucas słuchał cierpliwie, jak to na kilka tygodni przed zwolnieniem Charliego z więzienia Rowena rzuciła pracę w wydawnictwie, zwinęła manatki i przeprowadziła się do Australii. Biedny Dickie, musiał przechodzić katusze. Wyjaśnił Lucasowi, że nie wini Roweny, rozumie ją, chciała odsunąć się od brata, potrzebowała przestrzeni, by się uwolnić i zacząć nowe życie, ale Edwina nie może się z tym pogodzić. Uważa, że córka ich zdradziła.

Lucas miał ochotę przerwać ojcu i zapytać: Dlaczego nasze rozmowy zawsze muszą dotyczyć jego? Ale ugryzł się w język, uświadomił sobie, że jest jedyną osobą, której ojciec może się zwierzyć.

Kilka miesięcy później ojciec przyjechał z kolejną wizytą. Po kolacji i wypadzie do kina przekazał mu najnowsze wieści z Kennington.

– Sytuacja przedstawia się dość makabrycznie – ostrzegął.

Ojciec bez przerwy palił. Lucas przypomina sobie, że ze zdumieniem obserwował rosnący stos niedopałków w popielniczce.

– Kiedy Charlie skończył odbywać karę – zaczął Dickie – nie chciał wrócić do domu, chociaż Edwina go do tego namawiała. Zamieszkał na dziko w Camdenie z jakimiś muzykami, swoimi przyjaciółmi. Przez pewien czas grał w zespole i nieźle sobie radził. Oczywiście wspieraliśmy go finansowo – przyznał ojciec.

Siedzieli w mieszkaniu Lucasa na dwudziestym trzecim piętrze nowego, lśniącego wysokościewca z widokiem na centrum Manhattanu.

Tego wieczoru wypili sporą ilość czerwonego wina. Dickie osuszył kolejny kieliszek i mówił dalej:

– Ale to mu nie wystarczało. Ciągłe domagał się nowych sum, na lekcje prawa jazdy, na samochód. Zacząłem mieć tego dość, nie chciałem go widzieć, ale Edwina nie traciła nadziei. Błagała go, by spróbował dostać się do jakiejś szkoły plastycznej w Londynie albo zaczął praktykę w teatrze przy malowaniu dekoracji. Kupiła mu porządne ubranie, żeby nie wyglądał jak włóczęga, ale on przestał się golić i myć włosy. Pamiętasz, że zawsze odrobinę nieświeżo pachniał? Ale mówię ci, Lucas, zaczął już śmierdzieć. Edwina nie dawała za wygraną, zapłaciła mnóstwo pieniędzy za jego dentystę, bo wdał się w bójkę i stracił dwa przednie zęby. Zabrała go Bóg wie skąd, kiedy zadzwonił z płaczem z budki telefonicznej o trzeciej nad ranem, przywiozła do domu, nakarmiła zupą i nie zadawała żadnych pytań. Kiedy odszedł, nawet nie powiedział „dziękuję”. Wyglądało na to, że jest gotowa wybaczyć mu wszystko. Ale rzecz jasna – ciągnął ojciec – zawsze jest kropla, która przeleje czarę goryczy.

Dickie znów napełnił swój kieliszek, zanim przeszedł do kolejnej części opowieści.

– To było we wtorek albo w czwartek, nieważne, w każdym razie we wrześniu. Od kilku tygodni panował względny spokój, Londyn był urzekający, rozświetlony ognistymi barwami jesiennych liści. Pamiętasz, Lucas, jak nagle zmieniają kolor o tej porze roku? Byłem w pracy, a Edwina pojechała do miasta na spotkanie z agentem, chodziło o jakieś nowe zamówienie. Liczyła, że spotka się z Charliem, postawi mu lunch, może kupi nowe buty. Zarzekał się, że przyjdzie, ale się nie zjawił. Czekwała do czwartej, potem dała za wygraną i wróciła do domu, a tam... – Dickie bierze głęboki oddech – znalazła u podnóża schodów zmasakrowaną Alicię. To była sprawka Charliego, przyszedł do domu i ukraść drogie i łatwe do sprzedaży rzeczy, w tym srebrne sztuczce i kilka pejzaży, o których wiedział, że są cenne. Nie ma co się rozwodzić, po prostu załadował plecak i już miał wyjść, kiedy pojawiła się Alicia. – Dickie pociera twarz dłońmi. – Doszło do przepychanki na schodach, może ją zepchnął, może sama spadła, nie w tym rzecz, w każdym razie nie zatrzymał się i jej nie pomógł. Uciekł, uciekł i ją tak zostawił. Stracił przez to zaufanie matki, już na zawsze i całkowicie. Ona... ona... No cóż, Alicia została bardzo poważnie ranna, złamane biodro i obojczyk, straszna historia, Edwina kazała zmienić zamki w drzwiach. Zachowywała się, jakby ktoś zaryglował część jej serca, tę część, która zawsze należała do Charliego. I tak już pozostało. Nie potrafi mu przebaczyć, jest przekonana, że to on przed wieloma laty ukraść jej szkatułkę z biżuterią, że cały czas ją okłamywał. Mówi, że zniszczył jej miłość i zaufanie.

Lucas zaciska oczy na to wspomnienie. Wtedy też nie ośmielił się spojrzeć na ojca, bał się, że staruszek płacze. Była pierwsza w nocy, Dickie był pijany i wyczerpany, musiał zaprowadzić go do łóżka.

Tęskni za ojcem. Świadomość tego przypomina zderzenie z ciężarówką, Lucas czuje, jak przytłacza go straszliwa samotność.

Matka już nigdy go nie rozpozna, a ojciec nie żyje.

To palenie zabiło Dickiego, papierosy i troska, oczywiście głównie o Charliego. Cholerny Charlie, od niechcienia niszczył wszystkim życie i zostawiał za sobą spaloną ziemię.

Lucas przygotowuje sobie filiżankę kawy. Wrzuca trzy kostki cukru, słodki płyn podnosi go na duchu.

W albumie Barbary rozpoczyna się nowy rozdział, zaczynają się lata dziewięćdziesiąte i według fotograficznego archiwum najważniejszych wydarzeń z ich życia Lucas – „cudowne dziecko Wall Street” – nosi okulary w grubych czerwonych oprawkach i szelki w tym samym kolorze. Uśmiecha się: nieważne, ile razy mówił, że nie pracuje na giełdzie, nie chciała mu wierzyć. Tego roku matka poślizgnęła się na lodzie, kiedy wychodziła z imprezy charytatywnej June, i w albumie pojawia się zdjęcie Barbary o kulach, podpisane: „Wypadki się zdarzają”.

Miałaś rację, myśli Lucas. Dickie zatelefonował w styczniu 1990 roku. Nowy Jork był przysypany śniegiem, a ojciec wydawał się nienaturalnie radosny.

– Charlie pojechał do Tajlandii – powiedział. – Rowena opłaciła mu podróż, ma się tam z nim spotkać. Chciała, żeby przyjechał do Australii, ale ze względu na wyrok nie dostał wizy. Spędzą razem trochę czasu na plaży. Nigdy nic nie wiadomo, może jeszcze coś do niego dotrze.

Lucas przypomina sobie, jak pomyślał, że chętnie powłóczyłby się przez kilka tygodni po Tajlandii. Cały Charlie, prosto z kabały ląduje na słonecznej plaży, na wakacjach, za które zapłaci jego siostra.

Sześć tygodni później ojciec zadzwonił i oznajmił, że Charlie nie żyje, został skremowany. Nie, Lucas nic nie może zrobić. Dickie przyjedzie go odwiedzić, jak tylko będzie mógł, ale na razie musi być przy Edwinie. Ona jest w strzępach, szaleje z rozpaczy, nie je, nie śpi, teraz nie może jej zostawić.

Barbara odpisała na list Lucasa, w którym przekazał jej tę wiadomość, z charakterystycznym dla siebie jadem: „Według mnie to ręka boskiej sprawiedliwości, Lucas”, oznajmiła radośnie. Pisała fioletem: „Ten chłopak zasłużył na śmierć, powinien zawisnąć już dawno temu; nie będę kłamać, że mnie to zmartwiło”.

Lucas czuł zarazem przerażenie, ulgę i całkowite odrętwienie. Spróbował na głos wypowiedzieć słowa: „No tak, był na haju i umarł, mój przybrany brat przedawkował”, ale nie potrafił.

To było nieprawdopodobne, zakrawało na jakiś niewiarygodny żart, przecież Charlie był młodszy od niego.

Kiedy kilka miesięcy później Dickiemu udało się wyrwać z Londynu na krótką wizytę u syna, Lucas ledwo go poznał. Miał czerwone obwódki wokół oczu, nieogolone policzki po długiej podróży były białe jak popiół.

Przez większą część czterodniowego pobytu ojciec spał. Przyjechał z infekcją dróg oddechowych, której nie mógł się pozbyć, więc Lucas nie chciał wyciągać go do miasta i ostatniego wieczoru postanowił zamówić jedzenie do domu. Starał się nie okazywać zdziwienia, kiedy Dickie wyskoczył do sklepu po „lecniczą” butelkę Jacka Daniel’sa.

Dickie prawie nie tknął kolacji, od razu otworzył burbona i zaczął szczegółowo opowiadać o upiornej podróży do Tajlandii i jej katastrofalnych skutkach.

Lucas nie miał wielkiej ochoty słuchać tej opowieści. Był zażenowany, że ojciec jest bliski płaczu, a zresztą znał finał tej historii, ale Dickie najwyraźniej potrzebował otworzyć się przed kimś, a kto mógłby być lepszym słuchaczem od syna? Pomiędzy kolejnymi łykami burbona i napadami kaszlu ojciec opowiedział Lucasowi, co się wydarzyło i dlaczego wszystko tak fatalnie się skończyło.

Charlie zjawił się na Kennington Road, żeby zabrać swój paszport. Edwina nadal nie chciała go widzieć, ale kupiła mu jasnopomarańczowe kąpielówki. Charlie był podniecony, nie mógł doczekać się wyjazdu, mówił, że zamierza pływać w masce z fajką, a może spróbuje też nurkowania z akwalungiem. Jeśli mu się spodoba, zapisze się do jakiejś szkoły dla nurków i zostanie tam na dłużej.

Zwykle, głupie młodzieńcze mrzonki, pomyślał Lucas, pałaszując pałeczkami zamówione danie. To wszystko nieuchronnie zmierzało ku tragedii.

– Ale oczywiście – kontynuował Dickie – jego matka musiała się chwycić jakiejś nadziei. Bardzo liczyła na córkę, naprawdę wierzyła, że siostra będzie w stanie mu pomóc; Rowena też była dobrej myśli, powiedziała, że Charlie po prostu potrzebuje trochę czasu, musi porządnie się wyspać i dobrze odżywiać. Miała przeróżne plany: joga, kursy medytacji, mieli czytać mnóstwo książek, jeść na plaży ryby z rusztu i codziennie pływać. Twierdziła, że Tajlandia jest jednym z tych uduchowionych, uzdrawiających miejsc. Dostaliśmy nawet pocztówkę.

Dickie sięgnął do portfela i pokazał Lucasowi widokówkę ze zdjęciem zachodzącego w morzu słońca. Na odwrocie Rowena swoim starannym pismem zwięźle opisywała wszystko, co robili: wycieczki na bajeczne targi pełne egzotycznych warzyw i owoców, niesamowite buddyjskie świątynie, chatkę na plaży, w której mieszkali (stała o krok od morza), i to, że Charlie opalił się jak nigdy w życiu. Na zakończenie przesłała im pozdrowienia, miała nadzieję, że oboje mają się dobrze, a następnie przekazała długopis Charliemu. „Jest jak w rajuu!!!”, nabazgrał i zapełnił odrobinę pozostałego miejsca buziakami. Pocztówka była przedarta na pół i skleciona taśmą.

Mieli takie wielkie nadzieje. Według Roweny gdziekolwiek się pojawił, tam od razu zyskiwał przyjaciół. Był trzeźwy, zdrowy, a jego nowe białe zęby lśniły w słońcu. Wszyscy go kochali.

Ja nie, mógłby powiedzieć Lucas. Szczerze go nienawidziłem. Wszystko niszczył. Nawet jeśli sam nie zabił Elise, to była jego wina.

Ale milczał.

Dickie przyznał, że też był na niego zły.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie okazał więcej wdzięczności – wychrypiął. – Dlaczego nie starał się bardziej. To była taka szansa, wydawało się, że każdego dnia jest coraz lepiej. Ale Rowena w końcu musiała wrócić do Australii. Miała pracę, obowiązki,

wszystko, co i Charlie powinien był mieć, więc zostawiła brata z wystarczającą ilością pieniędzy na bilet powrotny, z zastrzeżeniem, że jeśli zostanie w Tajlandii, musi przestrzegać zasad: ma chodzić na jogę i medytacje, odżywiać się zdrowo i tylko od czasu do czasu może pozwolić sobie na piwo. I tak zrobił, wytrzymał prawie przez tydzień, ale potem zadał się z jakimiś włóczęgami, przeprowadził do gorszej dzielnicy i dziesięć dni po powrocie Roweny do Australii Charliego znaleziono martwego w tanim hoteliku ze strzykawką wbity w ramię. – Dickie pociągnął spory łyk burbona, prychnął i ciągnął dalej: – Został skremowany w Tajlandii, Edwina przywiozła prochy do domu samolotem, tuliła urnę, jakby trzymała małe dziecko.

Lucas miał nadzieję, że to już koniec, że będą wreszcie mogli pójść spać, ale ojciec jeszcze nie skończył. Mówił z zamkniętymi oczami:

– Najgorsze jest to, że Edwina obwinia Rowenę. Mówi, że powinna wiedzieć, jak bardzo słaby jest jej brat, że gdyby z nim została, nie zginąłby. Powiedziała, że równie dobrze Rowena mogła sama go zabić. Jestem za stary na to wszystko, Lucas, to nie do zniesienia. – W tym momencie ojciec zaczął przeproszać, że mu się naprzykrza, i potykając się, poszedł do łóżka. Lucas do późna w nocy słyszał, jak kaszle.

Kiedy obudził się rano, Dickiego już nie było: pojechał na lotnisko. Zostawił kartkę w kuchni: „Sądzę, że powinieneś to odespać, Kocham Cię, Twój ojciec”. Pod spodem były trzy pocałunki; ma do dziś przed oczami widok tych odcisniętych warg.

Na podłodze w salonie leżała osuszona butelka Jacka Daniel'sa. Lucas nie pamiętał, żeby sam ją skończył, ale musiał to zrobić. Za to pudełko ojca z tajskim daniem *pad* było prawie nienaruszone.

– Cholera – szepnął Lucas. Co mi przyszło do głowy, żeby zamówić tajskie jedzenie? Nic dziwnego, że ojciec się zdenerwował.

Spóźnił się do pracy, czuł się okropnie, i kiedy ktoś zaproponował mu w toalecie szybkiego niucha, żeby jakoś przetrwać dzień, zgodził się. Przez pośpiesznie zwinięty banknot dziesięciodolarowy wciągnął krótką, grubą kreskę kokainy i natychmiast poczuł się wolny.

Po raz pierwszy od ośmiu lat nie czuł się winny. Nie czuł nic, jedynie niezwykle poczucie całkowitej pewności, że ma rację, że zawsze miał rację, że jego zeznania w sądzie, którymi praktycznie podpisał wyrok śmierci na Charliego, nie były niczym złym.

I tak to się zaczęło, picie i narkotyki, przez całe lata, a rodzice niczego się nie domyślali. Ich wizja jego życia w Nowym Jorku odbiegała od rzeczywistości. W przeciwieństwie do Charliego potrafił żyć w społeczeństwie i pracować, chociaż był uzależniony; czasami, pomiędzy kolejnymi ciągami, chodził nawet do siłowni. Prawdę mówiąc, nie licząc chwil, kiedy się zataczał, a z nosa ciekła mu krew, nigdy w całym swoim życiu nie był w lepszej kondycji fizycznej.

Nic nie było w stanie go wzruszyć ani wyprowadzić z równowagi, myślał tylko o pracy i o tym, żeby się nawalić. Kobiety nie wchodziły w grę, ponieważ nie miał ochoty inwestować w stały związek, a prostytutki go brzydziły. Wiódł dziwne, nieomal mnisie życie, rzadko wychodził, prawie z nikim się nie spotykał, siedział samotnie w swoim nieskazitelnym mieszkaniu i co noc się znieczulał.

Teraz oczywiście zastanawia się, czy się nie karał. Oboje, Elise i Charlie, zmarli wskutek zażywania narkotyków, dlaczego on miałby skończyć inaczej? To by było uczciwe: gdyby umarł, wtedy zamknąłby koło winy i potępienia. Tak więc każdego dnia grał ze swoim organizmem w rosyjską ruletkę, ale rzecz jasna nic tym nie osiągnął. Nadal każdego dnia, budząc się, czuł się jak nieboszczyk, ale pozostawał żywy i cały cykl rozpoczynał się na nowo. Był silny jak wół. Oczywiście zawsze odznaczał się mocną budową, a Elise i Charlie byli chudzi, na dodatek Elise miała serce osłabione przez zaburzenie łaknienia, na które cierpiała jako dziecko.

Nigdy też nie uległ pokusie heroiny, to paskudny narkotyk, wymaga igieł i strzykawek. Co prawda Elise zmarła po wciągnięciu heroiny nosem, świadomie lub nie, ale Lucas wiedział, że coś takiego nigdy mu się nie przydarzy. Wolał myśleć o sobie, że jest koneserem używek, a nie bezradnym ćpunem: pił najlepszą wódkę z drogich kryształowych kieliszków i wciągał najlepszej jakości kokainę poprzez szeleszczący banknot pięćdziesięciofuntowy; oszukiwał się, że w ten sposób dodaje klasy temu, co robi.

Lucas otrząsa się ze wspomnień jak bokser po ciosie. Jest wyczerpany i poobijany, ledwie starcza mu siły, by podgrzać w mikrofalówce kolejne danie, nim wchodzi do łóżka z tacą pulpetów *al forno*.

Lucas się budzi. Poduszka jest pobrudzona sosem pomidorowym, Denise byłaby wściekła.

Przynosi sobie filiżankę herbaty i album z fotografiami. Zostało mu jeszcze kilka ostatnich stron.

Lucasa już na nich nie ma, dosłownie zniknął. W kolekcji zdjęć Barbary zaczynają się pojawiać twarze, których nie rozpoznaje. Na fotografii koleżanek z piątkowych poranków brydżowych, optymistycznie zatytułowanej: „Dziewczyny”, widzi osiemdziesięcioletnie gorgony; ich spojrzenie na pewno potrafiłoby zmienić człowieka w kamień.

Oczywiście jest i Terence z wąsikami à la Errol Flynn i nienaturalnie czarną (jak u Barbary) wybrylantynowaną czupryną.

Lucas wyobraża sobie, jak oboje farbują sobie włosy nad umywalką w łazience. To wyjaśniałoby tyle zabarwionych ręczników w szafce na pranie.

Pocziwy Terence, opiekował się matką, kiedy Lucas był zbyt zaćpany i samolubny, żeby się nią zająć.

Jest naprawdę wdzięczny losowi, że rodzicom został oszczędzony widok jego upadku – w latach dziewięćdziesiątych właściwie już go nie odwiedzali i na szczęście nigdy nie zobaczyli, do jakiego stanu doprowadził swoje mieszkanie, nie ujrzeli zasranej muszli klozetowej, brudnych lusterek i lodówki pełnej gnijącego jedzenia.

Ojciec już nie przyjeżdżał, ponieważ Edwina potrzebowała go w Londynie, a matka po raz pierwszy w życiu odczuwała, że „odrobinę brakuje jej gotówki”.

Dom na River Walk został sprzedany i za niewielkie środki, które jej zostały, musiała urządzić nowe mieszkanie. Niektóre elementy wyposażenia nadal znajdują się na swoim miejscu, jak zielone zasłony z mory, udrapowane, ozdobione frędzlami, świadectwo zamiłowania Barbary do luksusu w stylu Królowej Matki.

Lucas, więzień własnego egoizmu, udawał, że nie dostrzega kłopotów finansowych matki i tego, że była samotna. Przerzywał międzynarodowe rozmowy telefoniczne w chwili, kiedy wspominała, że „trochę u mnie krucho z pieniędzmi, kochanie”, kłamał, że ma umówione ważne spotkanie. W rzeczywistości czekała na niego jedynie butelka kapitana Smirnoffa.

Matka zazwyczaj telefonowała w niedzielę, ojciec starał się dodzwonić w środku tygodnia. Kilka lat po śmierci Charliego, gdy Lucas wiódł życie jak postać z powieści Breta Eastona Ellisa, Dickie powiedział mu, że Rowena przysłała list. Napisała, że przekwalifikowała się i pracuje teraz w Melbourne, w centrum dla młodych kobiet z zaburzeniami łaknienia.

– Ale najciekawsze w tym jest co innego – kontynuował ojciec, nieświadomy, że Lucasa interesuje w tej chwili jedynie gram kokainy ukryty zmyślnie w etui po okularach przeciwsłonecznych Gucciego. – Posłuchaj tylko – mówił dalej, więc Lucas skrzywił się i słuchał.

Okazało się, że jego przybrana siostra kupiła mały dom blisko plaży w St. Kildzie

i przysłała fotografię przedstawiającą ją i jej partnerkę Pat, która okazała się miłą piegowatą blondynką; na zdjęciu pulchnymi ramionami obejmowała talię Roweny.

– Wcale mnie to nie dziwi – dodał sucho Dickie. – Uważam, że powinienes wiedzieć. Pogadamy za tydzień, mam robotę.

Zawsze telefonował z biura i Lucas wiedział, że lepiej nie dzwonić do niego do domu. Raz spróbował, ale Edwina nie chciała przyjąć do wiadomości jego istnienia i lodowatym tonem powiedziała, że to pomyłka. Zadzwoiła do niego tylko raz – żeby poinformować go, że ojciec nie żyje. Zostawiła długą wiadomość na automatycznej sekretarce, podała czas i datę śmierci i pogrzebu.

Właśnie na pogrzebie ojca po raz ostatni widział macochę, ale nie rozmawiali ze sobą. To było proste: on przyszedł z matką, a ona z Alicią, i w stylu zwaśnionych rodzin Montecchich i Capulettich usiedli w kościele w osobnych ławkach.

– Nawet nie włożyła kapelusza – zauważyła matka. – Co to za wdowa, która nie wkłada kapelusza?

Barbara z dumą obnosiła wspaniałe nakrycie głowy ozdobione czarnymi łabędzimi piórami. Jedyłą osobą, która mogła z nią rywalizować, była Alicia. Cały czas siedziała obok Edwiny, a jej olbrzymi pomarańczowo-zielony, wzorzysty turban zasłaniał widok wszystkim, którzy mieli pecha znaleźć się za nią.

– Kim jest ta czarna kobieta? – syknęła Barbara. – I dlaczego, u diabła, siedzi w pierwszym rzędzie, z tym idiotycznym czymś na głowie?

Resztę dnia Lucas pamięta jak przez mgłę. Chaotyczne obrazy matki, która wpija paznokcie w rękaw jego marynarki, niezliczone kieliszki gorzkiego musującego wina na stypie, niezliczone kreski jakiejś białej, przypominającej puder substancji, która chyba była mieszkanką amfetaminy i talku, a nie kokainą, za którą słono zapłacił.

Kiedy wsiadł do samolotu odlatującego do Nowego Jorku, był mocno pijany, a jego garnitur pokrywały plamy po kanapkach z jajkiem i łososiem. Podczas ostrych turbulencji, wymiotując w maleńkiej toalecie dziewięć tysięcy metrów nad oceanem, sięgnął dna. Nagle, gdy rzygał po raz nie wiadomo który, olśniła go myśl: już nie bawią go próby samounicestwienia, nie chciał jeszcze umierać.

Po powrocie do Stanów zapisał się na program dwunastu kroków i rozpoczął powolną, krętą drogę ku samooczyszczeniu.

Przypomina sobie, ile razy o mało nie zadzwonił do swojego dilera, ile razy omal nie kupił butelki wódki i jak pogodnego dnia jedenastego września ujrzał walące się bliźniacze wieże WTC.

Obserwował to z okna swojego podniebnego apartamentu; opadł na kolana i szlochał na podłodze, a potężne budynki waliły się na ziemię. Widok był niewiarygodny, przyprawiał o mdłości, a jednak, co dziwne, ten czas, który później nastąpił, sprawił, że Lucasowi udało się wyzdrowieć. Umocnił się w swoim postanowieniu: jeśli inni ludzie mogli się pozbierać, jeśli całe miasto potrafiło wrócić do normalnego życia, to on potrafi być czysty, przy tej tragedii to niewiele.

Miał wybór; ludzie, którzy zginęli tamtego dnia, nie mieli.

Lucas nie był dzielnym człowiekiem, ale uznał, że ma obowiązek pozostać przy życiu.

Rowena skontaktowała się z nim po atakach. Namierzyła jego adres e-mailowy i przysłała mu długą, życzliwą, chaotyczną wiadomość. Napisała, że myślała o nim, kiedy oglądała te straszne wydarzenia w telewizji, chciała go przeprosić, że nie była na pogrzebie Dickiego. Lucas przypomina sobie, że zdziwiła go jej nieobecność, ale wtedy się tym nie przejął. W końcu nie mieli sobie niczego do powiedzenia. Jego ojciec, jedyna osoba, która kiedykolwiek ich łączyła, nie żył. Zresztą, biorąc pod uwagę stan, w jakim Lucas był tego dnia, mogłaby nawet przylecieć na wielkiej świni, a on i tak by tego nie zauważył.

W mailu Rowena wyjaśniała, że przyleciałaby, gdyby mogła, ale jej partnerka zachorowała na raka piersi i postanowiła zostać z nią podczas kuracji. Dodała, że nie utrzymuje stosunków z matką, ale ma nadzieję, że pewnego dnia się pogodzą.

Nie mam innych krewnych, a życie, co pokazały ostatnie wydarzenia, jest takie krótkie, więc chcę powiedzieć, że jest mi bardzo przykro.

Pozdrawiam serdecznie,

Rowena

To zdanie nie dawało mu spokoju przez ponad dziesięć lat. Jest coś, co musi zrobić, musi się w końcu dowiedzieć.

Odkąd przyjechał do Londynu, nie daje mu to spokoju. W mieszkaniu matki czegoś brakuje, czegoś, co spodziewał się tu znaleźć.

Musiała zabrać to ze sobą; na pewno szukał niedokładnie. A jednak dziwne, że się na to nie natknął.

W pokoikach matki znajdują się tylko szafki wielkości małych pudełek i puste kąty. Nie ma tajemnych kryjówek jak na Kennington Road; Lucas nagle znów przenosi się pod dziwnie pachnące drewniane łóżko, w którym jego ojciec sypia z „tą kobietą”.

Nie powinien tu być, nie wolno wchodzić do sypialni dorosłych, ale nie może się ruszyć, ukrywa się. Jedno z bliźniąt powinno go znaleźć. Spędził długie godziny, gapiąc się na parę nocnych pantofli, krztusząc się kurzem i czekając bez końca.

W końcu zjawił się ojciec i powiedział:

– Lucas, bliźnięta piją herbatę na dole. Co ty, na Boga, robisz, dlaczego kulisz się pod łóżkiem?

Ciecierzycy. Edwina kazała mu jeść ciecierzycę i zupę z soczewicy z grudkami; mimo to nie zasługiwała na to, co jej zrobiłeś, upomina się, i po raz kolejny zagłębia się w ten sam kołowrót pytań: A co, jeśli?

Ma tego dosyć. Nie spędzi reszty życia, zadręczając się tym, co zrobił.

Wina naznaczyła cały jego los, na dobre i na złe. Kiedy Charlie umarł, z poczucia winy Lucas zaczął pić i zażywać narkotyki, a kiedy zmarł ojciec, wyrzuty sumienia kazały mu przestać. Ale nadal się męczy. Chce choć odrobinę naprawić to, co zniszczył. Wszystkiego nie da rady, za dużo szkód już się dokonało, bez sensu wstawiać nową szybę w okno domu przeznaczonego do rozbiórki, ale wie, że musi coś zrobić. „Postaraj się choć trochę”, słyszy głos ojca.

Szybko przygotowuje śniadanie – płatki i paszteciki z kiełbaskami – i ponownie zabiera się do poszukiwań. Sprawdza miejsca, w których na pewno tego nie ma, za sofą, w szparze pomiędzy szafą a sufitem, która jest zbyt wąska, i nagle coś sobie uświadamia: żadne mieszkanie w tym budynku nie ma porządnego składziku. W szafce w przedpokoju zmieści się jedynie bojler i odkurzacz. Gdzie są walizki matki? Gdzie mieszkańcy trzymają swoje walizki? Ludzie, którzy tu mieszkają, są zamożni, wyjeżdżają na wakacje, muszą mieć walizki. Tylko gdzie?

Hastings chętnie służy pomocą.

– Oczywiście, sir, mamy piwnicę, wszyscy nasi lokatorzy mają swoje skrytki, trzymają tam bagaże, skafandry do nurkowania, narty i różne takie rzeczy. Oczywiście, zaprowadzę tam pana.

Hastings jest jedyną osobą, którą poznał bliżej od czasu przyjazdu do Londynu.

Światło migocze na betonowych schodach, drażniący gardło zapach środka dezynfekującego przypomina mu Wyebourne. A jeśli tego tam nie ma?

Składzik Barbary znajduje się na samym końcu, wejście zatarasowane jest nieznanymi mu przedmiotami. Hastings jest zdumiony.

– Pańska mama chyba od dawna tu nie zaglądała – mówi, odsuwając złożony

wózek dziecięcy i wielki, zrolowany wiśniowy dywan.

Lucas oddycha z ulgą. Jest, widzi go, leży pod walizkami, pod warstwą kurzu i pajęczyny dostrzega ciemnoczerwoną skórę.

Walizki są ułożone według rozmiaru, na wierzchu leży niewielka niebieska torba na kółkach. Znów przenosi się myślami do hali przylotów lotniska Kennedy'ego i widzi matkę, jak macha mu dłonią w rękawicze („Tu jestem, kochanie! Tutaj!”).

Lucas mówi Hastingsowi, że sam sobie poradzi. Portier obciąża swój elegancki uniform i pogwizdując, wraca na górę.

Jest zamknięty na kłódkę, zawsze był, kufer ucznia jest skarbcem, w którym umieszcza się wszystkie rzeczy, których należy strzec przed innymi chłopcami, pielęgniarką szkolną i matką.

Zanim Barbara przeprowadziła się do Bartholomew Lodge, kufer leżał w jego sypialni na River Walk. Matka była wścibska, ale do tej jedynej rzeczy nie miała dostępu. Jest pewien, że próbowała, na pewno się wściekała, czerwone paznokcie przekreślały cyferki, starała się odgadnąć szyfr, sprawdzała, czy nie chodzi o daty urodzin, ważnych wydarzeń historycznych lub kody pocztowe. Lucas wiedział, że nigdy nie wpadła na prawidłową sekwencję czterech cyfr, chociaż dla niego było to tak oczywiste.

W 1969 roku Apollo 11 wylądował na Księżycu, a ojciec postanowił rozwieść się z matką: 6-9-1-1.

Przekręca trybiki, piwnica jest sucha i kłódka tylko odrobinę pokryła się rdzą: 6-9-1-1. Ta sama kombinacja uruchamia jego smartfona. Otwiera zamek i podnosi wieko z monogramem.

Na samym wierzchu natyka się na plik czasopism pornograficznych z wczesnych lat osiemdziesiątych. Nadąsane dziewczyny ze sztucznymi rzęsami i z pomarańczowym różem na policzkach spoglądają smętnie, mają obwisłe cycki, nastroszone fryzury i włosy łonowe.

Pięćdziesięcioletni Lucas czuje przypływ sympatii dla dwudziestoparoletniej wersji samego siebie: próbował się onanizować, podczas gdy jego matka pukała do drzwi sypialni i proponowała mu „lemoniade albo może ciasteczko”.

Pod sprośnymi magazynami leży stos starych zeszytów. Po co je trzymał? To smutne świadectwo braku zapału do nauki, która kosztowała ojca sumę, za którą można by kupić niewielki dom. Lucas przerzuca szybko kilka brulionów ze szkoły średniej z wypracowaniami z historii. Są upstrzone czerwonym długopisem nauczyciela, pod spodem często pojawia się dopisek: „PROSZĘ ZOSTAĆ PO LEKCJACH”.

Biedny Dickie, nic dziwnego, że tak się martwił.

Sięga w głąb kufra. Robi to na chybił trafił i wyciąga plastikowy ochraniacz do gry w krykieta (pęknięty), walkmana i poźółkły sweter. Wełna rozłazi się ze starości.

Lucas kontynuuje poszukiwania i znajduje torbę pełną krawatów na gumkach, powieść *Autostopem przez Galaktykę* i wypchanego słonia z filcu. Słoń był maskotką krótko istniejącego elitarnego stowarzyszenia biesiadnego, czegoś w rodzaju Klubu Bullingdona, którego Lucas był samozwańczym prezesem; już po tygodniu feministki z Uniwersytetu Warwick doprowadziły do zamknięcia jego kółka.

Po chwili wyławia damskie majtki; podejrzewa, że mogły należeć do Lauren.

Dawno temu potrafił sobie wmówić, że pachną ponętą młodą cipką, dziś to już niemożliwe. Jest! Kawałek kwiecistej tkaniny, już wyblakła, straciła jaskrawe, charakterystyczne dla lat siedemdziesiątych różowe i fioletowe barwy. Szarpie mocniej i z głębi kufra wyciąga poszewkę na poduszkę, w którą zawinięty jest jakiś kanciasty przedmiot. Wywraca poszewkę na lewą stronę i na obwisłe cycki dziewczyny z „Penthouse’a” wypada szkatułka. Czerwone skórzane obicie jest popękane, maleńki złoty zatrzask stracił swój blask.

Wie, że jest prawie pusta. Zawartość została sprzedana dawno temu znajomemu znajomego pewnego człowieka, osobnikowi z lepkiemi paluchami i licznymi kontaktami, facetowi, który spotykał się w pubach z podobnymi sobie koleżkami; chętnie kupił niemodne powojenne broszki i zbyt ostentacyjne perły i w końcu biżuteria jego macochy została zamieniona na plik pomiętych pięciofuntowych banknotów.

Pamięta, jak je liczył: sześćset pięćdziesiąt funtów.

To był dług hazardowy, musiał zapłacić. Był w ostatniej klasie, ojciec oczekiwał, że pójdzie do Oksfordu, nie mógł sobie pozwolić, żeby go wydalono, nie chciał potknąć się na czymś takim. Nic dziwnego, że opuścił się w nauce, był chory ze zmartwienia. I wtedy zaoferowano mu rozwiązanie.

To było banalnie proste, musiał tylko przekazać klucze i zagwarantować, że dom będzie pusty, a nikt nigdy niczego się nie dowie. I tak się stało.

Jedynym dowodem mogącym połączyć Lucasa z kradzieżą na Kennington Road była ta szkatułka i pozostałe przedmioty, których nikt z tej branży nie chciał kupić.

Obrączka ślubna, zbyt cienka, by opłacało się ją zważyć, pukiel włosów w pudełku po zapalkach, pognieciona fotografia rodziny na słonecznej plaży i najdziwniejsze – blaszane pudełko po miętowych pastylkach odświeżających, w których zamiast drażetek grzechotały dziecięce mleczne zęby.

Lucas ociera oczy o poszewkę. Jest już za późno, ale musi jakoś to naprawić. Nie może spędzić reszty życia, wstydząc się za to, co uczynił; dla odmiany teraz robi coś dobrego.

Podnosi szkatułkę i wkłada z powrotem do poszewki. Kto wie, co będzie chciała odzyskać? Pójdzie zobaczyć się z Edwiną. Musi, to jedyny sposób, żeby coś uratować; nie zwróci jej syna, ale przynajmniej tyle jest jej winien.

Lucas jedzie na Kennington czarną londyńską taksówką. Niektóre widoki są krzepiąco znajome; bliźniacze złote galeony nadal połyskują na krańcowych lampach mostu Chelsea, park Battersea i schronisko dla zwierząt są dokładnie w tym samym miejscu, tylko na południowym brzegi rzeki, wzdłuż Nine Elms, gdzie kiedyś nie było nic, wyrasta nowe miasto ze szkła, dźwigi ciągną się po horyzont – to nowy Londyn. Nawet elektrownia Battersea ma zostać przekształcona w budynek mieszkalny. Billboardy otaczające budowę reklamują mieszkania w wieżowcach dla ludzi wysokich lotów i Lucas zaczyna tęsknić za znikającym Londynem, jaki zapamiętał z dzieciństwa, za furgonetkami rozwożącymi mleko, sprzedawcą cebuli, za człowiekiem skupującym stare szmaty i kości, który pchał swój wózek przez Kennington, punkami i dziewczynami z wyższych sfer z King's Road. Myśli o księżnej Dianie, jej ślubie i pogrzebie. Tyle się w życiu wydarza, decyzje podejmowane w ułamku sekundy mogą zakończyć się tragedią.

Przy moście Lambeth kierowca skręca w prawo w kierunku dzielnic południowych. Na widok gmachu Imperial War Museum czuje znajomy ucisk w brzuchu. Już za kilka minut, za kilka sekund... taksówka zatrzymuje się przy krawężniku.

Kiedy zobaczył ten budynek po raz pierwszy, od razu go rozpoznał: to przecież dom Betsy i Toma, nie miał pojęcia, jakim cudem ojciec miał do niego klucz. To była noc tej krwawej łaźni. Ta noc, kiedy spał z ojcem w obcym drewnianym łóżku, z głową na dziwnie pachnącej poduszce.

– Zrobiłam porządek w twoich dziecięcych książeczkach – poinformowała go matka kilka tygodni później. – Pomyślałam, że przyda ci się miejsce na nowe, piękne wydania dla nieco starszych chłopców.

Wszystkie książeczki o Betsy i Tomie zniknęły, ale kolekcja z Noddym była nienaruszona.

– No tak, Noddy to klasyka – stwierdziła matka. Nie nosiła już opatrunków na przegubach dłoni.

Pada drobna mżawka, Lucas wysiada z taksówki, płaci kierowcy i zatrzymuje się z wahaniem na chodniku. Dom pod numerem sto trzydzieści siedem na Kennington Road wydaje się jakiś mniejszy, jakby przez te lata zgubił gdzieś jedno piętro, farba na fasadzie się łuszczy. Tablica z napisem „Na sprzedaż” przybita do słupa przy furtce pochyła się jak anioł i Lucas przez chwilę zastanawia się, czy Edwina jeszcze żyje.

Dom wygląda jak zmęczony starzec z przymkniętymi oczami. Okiennice pokrywa gruba warstwa brudu, schodki przy drzwiach wejściowych są popękane i poprzerastane chwastami. Panuje tu dziwnie senna atmosfera, Lucas czuje się jak zły książę z bajki, ma ochotę odwrócić się i odejść.

Jednak naciska dzwonek i słucha w napięciu, jak w środku rozlega się jego dźwięk. Może jej nie ma? Chce zajrzeć do środka przez otwór na listy, gdy słyszy kogoś po drugiej stronie drzwi.

Pierwsze wrażenie – Edwina się skurczyła. Waży nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, sama skóra i kości, ale w przeciwieństwie do jego matki spojrzenie ma nadal

bystre, a siwe włosy starannie ostrzyżone.

Nie poznaje go; nie ma co się dziwić. Minęło piętnaście lat od śmierci ojca, Lucas przytył pewnie ze dwadzieścia kilogramów.

Milczy przez chwilę, po czym się przedstawia:

– Jestem Lucas, czy mogę wejść?

Edwina cofa się o krok, dłonią dotyka szyi. Wygląda na to, że ją przestraszył, czuje się zakłopotany: to jedna z najgorszych cech potężnej postury, jakby groził swoim ciałem, że jest w stanie użyć siły i kogoś skrzywdzić.

Ostrożnie przechodzi obok niej, trzyma się jak najdalej, chce, żeby poczuła się swobodnie, i od razu zaczyna się usprawiedliwiać:

– Przechodziłem obok, zobaczyłem, że dom jest na sprzedaż.

– Chyba nie chcesz go kupić? – pyta.

Lucas nie wie, czy miał to być żart, ale się śmieje. Poszewkę schował do starej reklamówki z domu towarowego Selfridges, którą znalazł w kuchni u matki. Pocą mu się dłonie. Hall z pozoru wygląda tak samo, ale coś się zmieniło, obrazy olejne wiszą jak zawsze, jednak chodnik wyściełający schody zniknął. Czuje, że lekko kręci mu się w głowie, jakby dom się kołysał.

Edwina gestem dłoni zaprasza go do kuchni. Lucas z trudem mieści się na schodach, zapomniał, jak niski jest sufit w suterenie. Czuje się jak olbrzym w domu dla lalek.

– Herbaty? – Jej głos się nie zmienił, Edwina nadal dobrze się trzyma: kiedy napełnia czajnik przy zlewie, jej plecy są proste jak struna.

Pokój śniadaniowy jest jeszcze bardziej zagracony niż kiedyś. Szuflady kredensu są powyciągane, widać splątane sznurki, centymetry krawieckie i motki wełny, prawie potyka się o kosz na śmieci wypełniony rolkami podartego papieru do pakowania. Z przyzwyczajenia zerka, czy na suszarce pod sufitem wisi pranie. Nic tam nie ma, zdaje sobie sprawę, że Edwina pewnie nie ma już dość sił, by z niej korzystać.

Lucas siada niezdarnie na sofie; ma wrażenie, że wszystko, czego przypadkiem dotknie, może się rozlecieć.

– Nie pamiętam, jaką pijesz – mówi Edwina.

Lucas obawia się, że zaraz chluśnie mu w twarz wrzącym czarnym naparem, ale odpowiada spokojnie:

– Z mlekiem i jedną kostką cukru. – Choć zwykle pije z dwiema.

Edwina stara się nie okazywać zdenerwowania. Nie ma pojęcia, po co przyszedł ten grubas, który kiedyś był Lucasem. Nie jest pewna, czy rozpoznaje w nim chłopca, którego niegdyś знаła, ale pod tym nowym cielskiem kryje się coś, co kojarzy: ten sposób, w jaki siedzi, to samo skrępowanie. Tak, to Lucas. Więc takim stał się mężczyzną, no cóż. Czuje, że działa jakby na dwóch odrębnych poziomach, jej ręce przygotowują herbatę, a umysł zastanawia się, czy ma gdzieś pod ręką nóż albo nożyczki, tak na wszelki wypadek. Napełnia stary brązowy imbryk i zdejmuje z haczyków na kredensie dwa kubki, jeden jest trochę wyszczerbiony.

Lucas próbuje usadowić się wygodniej, stara sofa trzeszczy pod jego ciężarem.

– Zatrzymałem się w mieszkaniu matki. Jest w domu opieki i... nie pozostało jej

wiele czasu.

Edwina sięga po mleko. Więc umiera, to okropne stworzenie zza rzeki wreszcie wydaje ostatnie tchnienie. Zawsze uważała Barbarę za pół kobietę, pół smoczycę, zionącą ogniem sekutnicę w lakierowanych szpilkach. Co może powiedzieć? Ta damulka musi być bardzo stara.

Nalewa herbatę, do jego kubka dodaje mleko i cukier.

– Rozumiem... – Zbiera ze stołu jakieś papiery, układa je porządknie i stawia kubek z herbatą blisko Lucasa. – To dlatego przyjechałeś do Londynu?

Ale dlaczego przyszedł tutaj, do tego domu? Czego on chce? Pewnie herbatników, ale nic z tego; zawsze namawiała go, żeby odżywił się zdrowo, starała się, jak mogła, ale potem wracał do tej kobiety, która napychała go ciastkami i tortami. Powinien uważać, grubi ludzie umierają młodo. Oczywiście nie bardzo młodo, nie przed trzydziestką. Charlie miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

Barbara musi mieć około dziewięćdziesiątki. Doprawdy, czego on się spodziewał? Nikt nie żyje wiecznie, to naturalna kolej rzeczy. Więc jego matka umiera, to normalne; nienormalne jest, kiedy umiera twoje dziecko.

Patrzy na wiszące na ścianie odbicie pomalowanych dłoni Roweny i Charliego, chodzili wtedy do przedszkola, drobne, zanurzone w czerwonej i niebieskiej farbie rączki odcisnięte na szarym kartonie.

Lucas wie, o czym ona myśli; mogłaby równie dobrze napisać to markerem na murze. Ma pięćdziesiąt sześć lat, ale czuje się, jakby się cofał do młodych lat, które wciągają go niczym ruchome piaski.

Chryste, to wszystko jest takie skomplikowane. Reklamówka od Selfridges, którą postawił obok siebie, jest taka jaskrawa; może powinien po prostu wyjść i ją zostawić. Niech sama ją znajdzie. Wykona zadanie i żadne z nich nie będzie musiało nic mówić.

Ale wtedy niczego nie wyjaśni; a zresztą, co ma do stracenia?

– Chodzi o to, Edwino...

Wygląda na zaskoczoną. Nigdy wcześniej nie mówił do niej po imieniu, dziwnie to brzmi.

– ...jest coś, co muszę ci oddać.

– A co takiego? – Nie ułatwia mu tego, jest twarda.

Lucas bierze głęboki oddech.

– Muszę coś wyjaśnić, sobie i tobie, coś, co rozegrało się w tym domu. Chcę, żebyś wiedziała, że za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżałem, myślałem, że matka znów spróbuje się zabić, podetnie sobie żyły, wyskoczy przez okno albo włoży głowę do piecyka. Leżałem w pokoju na poddaszu i wyobrażałem sobie, jak może to zrobić: nóż, sznur czy trucizna? Rano się budziłem, widziałem, że znów zmoczyłem łóżko, i wiedziałem, że będziesz się śmiała.

Edwina wypija łyk herbaty.

– A co niby miałabym zrobić? Sprawić ci lanie? Nie byłam tego rodzaju macochą. Staralam się, namalowałam ci Księżyc, a ty go zamazałeś, zatrzaszkiwałeś nam drzwi przed nosem.

Ponownie ma przed oczami ten obraz, jak na drzwiach jego sypialni pęka tabliczka

z jego imieniem. Znów widzi nietknięte prezenty gwiazdkowe, milczące spojrzenie spode łba, trudno się dziwić, że ten mały drań był przerażony, kiedy spuszczał matkę z oka, mogła przecież próbować się zabić. Ale to nie jej wina, tylko tej szalonej Barbary.

Lucas wyczuwa, że jest zła.

– No dalej, Lucas, powiedz mi, że to moja wina.

Nie, nie chce nikogo obwiniać. To trwa już za długo, oskarżenia, potem zemsta, a następnie poczucie winy. Czas z tym skończyć.

Lucas zdejmuje szalik i Edwina przypomina sobie, że Dickie miał podobny, żółty w czerwone paski, z frędzlami; może to nawet ten sam. Wszystko się pomieszało, mężczyzna, który kiedyś był jej pasierbem, ma czerwoną twarz, na pewno jest zdenerwowany. A jeśli dostanie zawału? Czy powinna ratować go metodą usta-usta? A gdyby tonął, czy powinna przytrzymać jego głowę pod wodą?

Lucas podnosi ręce i wzdycha.

– Tak się po prostu złożyło, to niczyja wina, ale żadne z nas nie radziło sobie dobrze z tą sytuacją. Przede wszystkim nie potrafiłem dogadać się z bliźniętami, oboje byli tacy żywiołowi, żadne z nich mnie nie potrzebowało. Przez cały czas sądziłem, że traktujecie mnie jak wielki, bolesny ciern, no i nie chciałem dzielić się ojcem. Nie podobało mi się, że śpi w tym domu, z tobą i z nimi pod jednym dachem. Czułem, że nie jestem tutaj u siebie, chciałem wrócić do domu, ale tam tęskniłem za tatą. Byłem wkurzony, bo uważałem, że odebrano mi połowę tego, co miałem wcześniej, i szczerze mówiąc, nie znosiłem twojej kuchni.

Ach tak? Teraz już na pewno nie dostanie herbatników. Co za bezczelność.

– Twój ojciec nie ożenił się ze mną dlatego, że dobrze gotowałam.

– I nie lubiłem Alicii.

– Ani ona ciebie. Sądziła, że jesteś zarozumiała.

– Pewnie byłem. – Lucas szuka słów na swoją obronę. – Ponieważ chodziłem do szkół, w których nie szanowano takich kobiet jak Alicia i ty, uczyli mnie tam wierzyć w rzeczy, które dziś już mnie nie obchodzą. Wiem tylko, Edwino, że wydarzyły się kurewsko złe rzeczy, nie mogę już zmienić tego, co powiedziałem w sądzie, nie przywrócę do życia Charliego ani Elise, ale mogę dać ci to.

Sięga po poszewkę.

Edwina natychmiast rozpoznaje tkaninę. Wiele lat temu kupiła na straganie kilka kwiecistych poszewek na poduszki.

– Ostatni krzyk mody – wydierał się sprzedawca. – Szyling i trzy pensy za sztukę.

Pasował do pokoju niań, który stał się pokojem Lucasa, a potem gościnnym, z mapami na ścianie. A teraz Lucas przyjechał z Ameryki z poszewką, której nie widziała od wieków.

Patrzy, jak wyjmuje z niej jakiś przedmiot i stawia go na stole.

Tym razem potrzebuje kilku chwil, żeby ją rozpoznać: kiepsko zniosła upływ czasu, cienka skórka jest przetarta, kolor, niegdyś intensywnie czerwony, wyblakł. Złoty zatrask już nie błyszczy. Wreszcie sięga po szkatułkę, ale kiedy bierze ją do ręki, zaczyna obawiać się najgorszego: jest zbyt lekka. Wszystko zniknęło, brzydkie broszki, przydymione perły, ale z przyzwyczajenia otwiera zamek i szkatułka rozsuwa się jak

wachlarz. Wszystkie przegródki są puste, z wyjątkiem skrytki na samym dole. Najcenniejsze skarby są tam. Jej cieniutka obrączka ślubna, jego wspaniałe włosy, mleczne zęby dzieci i zdjęcie, fotografia z tego ostatniego dnia.

Lucas mówi z twarzą ukrytą w dłoniach, ma niski, ale spokojny głos:

– To byłem ja. To ja zorganizowałem kradzież szkatułki, ponieważ miałem kłopoty w szkole. Byłem winien komuś pieniądze, musiałem zwrócić dług, ktoś zaproponował mi rozwiązanie, a ja się zgodziłem. Przekazałem klucze do tego domu i powiedziałem, kiedy można tu bezpiecznie wejść, i cóż, udało się. Dostałem pieniądze i nikomu nic się nie stało. Ale na koniec wszyscy ucierpieliśmy z tego powodu.

Edwina nie jest w stanie nic powiedzieć, trzęsie się, długo przyciska palce do ust, łzy spływają jej po policzkach.

Lucas wstaje. Teraz może już iść, ma inne rzeczy do zrobienia.

Kiedy rusza do drzwi, Edwina chwyta go za rękę. Ma silny uścisk.

– Dziękuję, Lucas.

Nie wybacz mu, nie potrafi. Nie patrzą na siebie. Załatwili już swoją sprawę.

Lucas opuszcza Kennington Road. Może i waży sto dwadzieścia pięć kilogramów, ale czuje się lżejszy. Zawarł pokój, a przynajmniej porozumienie, jego ojciec pewnie byłby z niego dumny.

Rzecz jasna nie wspomniał o Fern, ale nie było sensu jeszcze bardziej tego komplikować, po co wyciągać nowe fakty, rozsnuwać kolejną pajęczą sieć; a zresztą, na co jej ta wiedza?

Charlie rznął dziewczynę, z którą nie miał prawa się pieprzyć, ona zaszła w ciążę i urodziła dziecko, które mogło być Charliego, ale niekoniecznie.

Byli ze sobą od lat, Fern i ten, jak mu tam, Frobisher. Jeśli ten facet miałby jakiegokolwiek wątpliwości, że dziecko nie jest jego, ich małżeństwo by się rozpadło. Takie rzeczy się wie, w głębi duszy zawsze się wie, czy dziecko jest twoje, czy nie.

W pewien sposób Fern miała szczęście. Bądźmy szczerzy, James Frobisher, bohater odznaczony za wojnę na Falklandach, był lepszym kandydatem na męża niż kryminalista i ćpun Charlie.

Matka wysłała mu wycinek z „Daily Mail” z 1982 roku. Artykuł opisywał szczegółowo, jak zaledwie dwudziestotrzyletni kapitan Frobisher dowodził plutonem żołnierzy, którzy przewozili amunicję do Port Stanley; okręt desantowy został zbombardowany przez Argentyńczyków, rozpętało się piekło. Ludzie znaleźli się w pułapce, płonęli, tonęli. Zdjęcia przystojnej, pokiereszowanej twarzy ukazały się na pierwszych stronach wszystkich gazet; matka była rozemocjonowana.

Nie wiem, czy pamiętasz małą kuzynkę Elise, tę dziewczynę z rudymi włosami, która chodziła do szkoły aktorskiej, ale rzuciła ją, wyszła za mąż i urodziła dziecko? Jej mąż podczas lądowania w Port Stanley znalazł się pod ostrzałem. Przeżył, ale został ciężko ranny. Minty mówi, że jest strasznie oszpecony, stracił jedno oko. Pewnie dostanie medal, wykazał się wielką odwagą.

Kolejne wycinki z fotografiami nadeszły po roku, przedstawiały stojącego przed pałacem Buckingham kapitana udekorowanego Orderem za Wybitną Służbę; Frobisher miał przepaskę na oku, obok niego stała jego piękna żona, która trzymała na rękach ich półtoraroczną córkę.

W napadzie – czego: zazdrości, goryczy, złości? – Lucas przesłał wycinki Charliemu do więzienia. Byłem nadal bardzo wściekły, przyznaje sam przed sobą. Ciągle czułem się zraniony.

Oczywiście w dzisiejszych czasach nietrudno jest mieć kogoś na oku. Lucas czasami wpisuje w wyszukiwarce internetowej „James Frobisher” i po chwili wie już wszystko: szlachetny człowiek, były żołnierz, weteran wojny na Falklandach, konsultant do spraw wywiadu, a ostatnio doradca rządu do spraw bezpieczeństwa. Poniżej szczegółów dotyczących jego edukacji (Stowe, Sandhurst) i przebiegu służby wojskowej znajdują się informacje o życiu prywatnym: „żonaty, jedna córka”.

Fern Frobisher występuje wyłącznie w powiązaniu z nazwiskiem męża. Jest „jego

żoną” na kolacjach charytatywnych i balach dobroczynnych; od czasu do czasu widać ją na fotografiach, jak przypina rozetki kucykom na pokazach jazdy konnej. Niedoszła aktorka Fern Woolbright przestała istnieć, ma pięćdziesiąt lat i nie korzysta z Facebooka ani żadnych innych portali społecznościowych.

Według wszelkich danych osiadła w Wiltshire i poświęciła się roli oddanej towarzyszki zasłużonego weterana, zajmuje się jedynie Jamesem i Sophie. Lucas wyobraża sobie, że mieszkają na wielkiej plebanii zbudowanej z żółtego kamienia i mają czarnego labradora. Sophie musi mieć teraz około trzydziestki.

Lucas jest zdziwiony – jak się tu znalazł? Był oszołomiony od chwili, kiedy opuścił dom po drugiej stronie rzeki, a teraz nagle jest tutaj i z wysiłkiem otwiera ciężkie mosiężne drzwi domu towarowego Petera Jonesa.

Świta mu pewna myśl, może jest głupia, ale nieważne. Od tej chwili będzie robił tylko to, co pozwala mu myśleć o sobie lepiej. Kto wie, może nawet kupi spodenki gimnastyczne i zacznie ćwiczyć. Na pewno nie wróci do żony.

Jest coś wyjątkowo krzepiącego we wnętrzach dobrze zorganizowanych domów towarowych; w tym sklepie wszystko jest urządzone tak, jak powinno wyglądać prawdziwe życie. Pościel jest świeżo wyprasowana, kolorowe ręczniki starannie poskładane i ułożone w równe stosy, szczotki w toaletach są tak czyste, że można by nimi myć zęby. Wszystko jest idealne, nie ma pękniętych szklanek ani wyszczerbionych kubków. Lucas czuje spokój. To lepsze niż kościół.

Wjeżdża ruchomymi schodami na pierwsze piętro i przypomina sobie, ile razy mierzono mu w tym sklepie stopy, ile czasu nudził się tu, podczas gdy matka przewracała bele materiałów i zastanawiała się na głos, czy rolety w łazience na parterze to dobry pomysł. Wydaje się, jakby czas tutaj jednocześnie zatrzymał się i płynął dalej. Dwie starsze, podobne do siebie siostry mijają go, trzymając się pod rękę. Jedna z nich ma wpiętą w klapę broszkę zrobioną z zajęczej łapy. Na ten widok z jakiegoś powodu zbiera mu się na płacz.

Z pomocą ubranej w biały fartuch dziewczyny znajduje to, po co tu przyszedł. Płaci w kasie za zakupy, zjeżdża windą na parter i wychodzi na Sloane Square.

Ile ma czasu? Nie wie, ale czuje, że powinien się śpieszyć; rusza do mieszkania matki, żeby zabrać album.

Jest dla niej na pewno bardzo ważny. Futra i biżuteria zniknęły dawno temu; najistotniejsze części życia Barbary kryją się pomiędzy kartkami tego taniego albumu oprawionego w sztuczną skórę. Należy do niej. Musi go odnieść.

Matka wygląda tak samo, nie zmieniła się od chwili, gdy ją zostawił; drobne ciało, a właściwie to, co z niego zostało, przykryte jest niebieskim prześcieradłem. Kładzie album w nogach łóżka i rozpyła wokół poduszki perfumy Diorissimo. Przez chwilę ma wrażenie, że matka się uśmiecha. Przysuwa krzesło, siada i bierze ją za rękę. Nic innego nie może zrobić.

– Jestem tutaj, wszystko będzie dobrze.

Więzy krwi są silne. Jest jedyną bliską osobą, jaka mu pozostała, może kochała go odrobinę za mocno, ale pewnie taka jest rola matki.

Chciałby, aby Barbara odeszła, wyobrażając sobie, że leży na leżaku na słonecznym

patio na tyłach River Walk; przeszklone drzwi do jadalni są otwarte, dzbanek z czymś zimnym i pysznym stoi z jednej strony, a z drugiej jej ulubione ciasta z kremem z wisienkami na wierzchu. Ojciec też tu jest, a Lucas właśnie przyjechał z Witterings na letnie wakacje. Ojciec rzuca mu piłkę, on odbija ją kijem do krykieta, słońce świeci, to jedna z tych cudownych chwil, zanim wszystko się popsuło.

Trzask, drewniany kij uderza w skórzaną piłkę, promienie słońca migoczą, i przez ułamek sekundy świat jest doskonały...

Edwina

Zakończenie

Edwina słyszy, jak zatraskują się frontowe drzwi. Wątpi, żeby jeszcze kiedyś ujrzała Lucasa, ale zadba o to, żeby wszystko odbyło się jak należy. Otrzyma swoją część pieniędzy ze sprzedaży domu, no i, rzecz jasna, biurko ojca.

Wpatruje się w fotografię swojej rodziny na plaży. Ollie trzyma Rowenę na kolanach, a ona obejmuje Charliego, który chce pobiec do morza. Tak bardzo się bała, że utonie, ponieważ w głębi duszy przeczuwała, że pewnego dnia straci syna. Wiedziała od razu, kiedy tylko pojawił się niespodziewanie w środku nocy, że przybył z krótką wizytą, nie zatrzyma go na zawsze.

Był takim nieostrożnym chłopcem, ale, o Boże, jak ona go kochała.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi więzienia i straciła go po raz pierwszy, miała nadzieję, że po zwolnieniu dostaną drugą szansę. Ale był tak pokiereszowany, że nawet Rowena musiała uciec od niego i przez lata jedyną osobą, która o nic nie obwiniła Charliego, była ona, Edwina.

Rozpieszczała go, wybaczała mu wszystko, do dnia, kiedy skrzywdził Alicję. Wtedy zrozumiała: jest słaby, zawsze taki był.

Jednak liczyła, że w Tajlandii zdarzy się cud. Jeśli ktokolwiek mógł go ocalić, to jedynie Rowena. Ale kiedy wszystko skończyło się źle, wyrzekła się córki, ponieważ nie chciała dopuścić do siebie myśli, że to była decyzja Charliego, że sam wbił sobie strzykawkę w ramię. Nie kto inny, tylko jej cudowny chłopiec.

Nigdy nie daruje Lucasowi tego, co zrobił w sądzie, ale przynajmniej teraz rozumie, dlaczego tak się stało; już od pierwszej chwili, kiedy przykuła spojrzenie Dickiego, ich los był przesądzony. Ludzie reagują źle, kiedy tracą ukochanych.

Powinna była to przewidzieć. Po śmierci Charliego zachowywała się jak wariatka, obwiniła Rowenę o śmierć brata, latami ją karała, ignorowała jej listy, nie chciała nawet z nią porozmawiać. Nie ma powodu, żeby mi wybaczyła, myśli Edwina. Herbata w imbryku wystygła, wydaje się nieprawdopodobne, że Lucas jeszcze niedawno był w tym pokoju, ale to prawda, świadczy o tym szkatułka na biżuterię.

Pudełeczko zawiera zaginiony skarb, który może zabrać do Australii. Edwina bierze ostatni list córki ze stosu uporządkowanych papierów.

Mieszkamy na plaży niedaleko St. Kildy. Mogłabyś malować, mamo; Ty będziesz malować, a my rozpalimy grilla. Codziennie noszę Twoją bransoletkę z wisiorkiem. Jesteśmy tu i czekamy.

Ma już nawet bilety. Sprawdza co wieczór: paszport, bilety, a teraz dołoży do tego fotografię, mleczne zęby dzieci, obrączkę i pudełko po zapalkach z puklem włosów.

Zabierze też szkatułkę, nieważne, że jest stara i poobijana. Zabawne, kiedy znów ją zobaczyła, uświadomiła sobie, że to jedyna rzecz, jaka została jej po matce.

Więzy krwi są silne, stwierdza Edwina, potrafią wciągnąć cię jak fala odpływu.

Sophie

Nowy początek

O półtora kilometra od Kennington, w szpitalu z widokiem na brązowy nurt Tamizy, lekarka rozsmarowuje bezbarwny żel na zgrabnym, lekko wypukłym brzuchu młodej kobiety.

– Więc to jest babcia – pyta i uśmiecha się do starszej kobiety, która siedzi zdenerwowana przy łóżku.

Fern wybucha śmiechem. Nadal jest atrakcyjną kobietą, chociaż jej ogniście rude włosy wymagają już pewnych „poprawek” w salonie fryzjerskim w Salisbury. Ujmuje dłoń córki, czuje znajomą chłodną skórę smukłych palców. Przyjechała tu specjalnie ze wsi, nie przegapiłaby tego za żadne skarby.

Partner Sophie nie mógł przyjść, zatrzymały go obowiązki. Fern rozumie, jakie to trudne, w końcu jej mąż też służył w wojsku.

James nie posiada się z radości. Zawsze chciał mieć więcej dzieci, ale nie było im to dane i nauczyli się doceniać swoje szczęście.

– To przeznaczenie – powiedziała mu przed wieloma laty. – Pomyśl, to prawdziwe błogosławieństwo losu, że mamy Sophie. Niektóre pary nie mogą mieć dzieci, a spójrz na nasze чудо.

Kochała córkę od chwili jej narodzin, ale obserwowała ją bacznie, kiedy dorastała, z niepokojem szukała zapowiedzi tego, co nigdy nie nadeszło.

Była po prostu Sophie, niebieskooką Sophie z miękkimi brązowymi włosami, spokojną, opanowaną dziewczynką, która śmiała się cicho do siebie z rzeczy, które tylko ona uznawała za zabawne, towarzyską małą istotką, która czasami lubiła być sama, marzycielką, chociaż utrzymywała w nieskazitelnym porządku domek dla lalek, bystrą panienką, która potrafiła rysować zarówno prawą, jak i lewą ręką, maleństwem, które wyrosło na miłą, zabawną, lubianą, towarzyską osobę, a teraz jest już kobietą i spodziewa się dziecka.

– Proszę mi powiedzieć – pyta lekarka – czy w rodzinie zdarzały się bliźnięta?

– Nie – śmieje się Sophie – nic mi o tym nie wiadomo. Prawda, mam?

Na ekranie widać dwa maleńkie serduszka, biją oddzielnie, ale jednym rytmem – są razem.

¹ Słynny loch w Forcie Williama, gdzie w 1756 roku z powodu ciasnoty w ciągu jednej nocy zginęło 123 brytyjskich żołnierzy uwięzionych przez wojska Siradza ad-Daulaha (przyp. tłum.).

² William Shakespeare, *Makbet*, akt I, scena VII, przeł. Maciej Słomczyński.